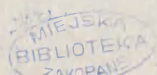


WIERCHY



ROCZNIK SZÓSTY

1928



WIERCHY



„Wierchy” r. 1928.

Z salonu wieszczywego we Lwowie 1928

K. SICHULSKI: WESELE HUCULSKIE

WIERCHY

ROCZNIK POŚWIĘCONY GÓROM I GÓRALSZCZYŹNIE



ORGAN POL. TOW. TATRZAŃSKIEGO WYDAWANY PRZEZ
ZARZĄD GŁÓWNY ŁĄCZNIE Z ODDZIAŁEM LWOWSKIM TO-
WARZYSTWA POD KIERUNKIEM KOMITETU REDAKCYJNEGO.
REDAKTOROWIE: PROF. DR. JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI
(RED. NACZ.), PROF. DR. WALERY GOETEL. — CZŁONKOWIE
KOMITETU REDAKCYJNEGO: PROF. DR. ADOLF CHYBIŃSKI,
DR. ROMAN KORDYS, MAJOR BRONISŁAW ROMANISZYN.

ROK SZÓSTY



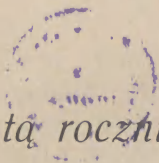
KRAKÓW 1928

NAKŁADEM POLSKIEGO TOW. TATRZAŃSKIEGO W KRAKOWIE
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA W KRAKOWIE



P 1588

91(23) : 496.52](058)



W 10-tą rocznicę

odzyskania niepodległości

pamięci

poległych za wolność i całość Ojczyzny

Podhalań

Rocznik ten poświęca

Pol. Tow. Tatrzańskie

W związku z naszą dedykacją chcieliśmy umieścić zapiskę o udziale Podhalan w wojnach narodowych i w tym celu zwróciliśmy się z prośbą o dostarczenie nam danych do p. Generała Galicy. Zamiast tego przysłał nam p. Generał uprzejmie następujące pismo, które tu umieszczamy. *Red.*

GENERAL ANDRZEJ GALICA.

Młodym Podhalanom ku pamięci.

W czasach wyścigu żelaza i krwi, kiedy Ojczyzna nasza zrywała się do własnego czynu, ziemia podhalańska nie zawiodła dawnych jej tradycji i pokładanych w jej legendach nadziei.

Mimo, że w ciągu światowej wojny Austria poprostu wiadrami czerpała krew z tego bitnego górskiego ludu, ziemia podhalańska zdążyła, jak może żadna inna, złożyć poważną ofiarę swej krwi serdecznej na ołtarzu ojczyńskiej sprawy.

Nie będę przesadnym, gdy powiem, że do legionu, który skutkiem nagłej inwazji rosyjskiej z początku wojny zmuszony był uzupełniać swe szeregi prawie wyłącznie z b. zach. Galicji, powiaty górskie od Tatr po Sącz, Myślenice, Wadowice, Białą, wysłały wraz z późniejszym uzupełnieniem, kilkanaście tysięcy ochotników. W Nowotarszczyźnie, na t. zw. Skalnem Podhalu, niema prawie dzisiaj rodziny, z którejby choć jeden syn nie służył w legjonie.

Kiedy zaś pod koniec wojny światowej zabłysła nadzieja wyzwolenia całości Ojczyzny, Podhale nie tworzyło osobnych republik, ale rzuciło ostatniego górala, ostatnie swoje dziecko na bój o rozszerzenie i utrwalenie Jej granic. Na zew utworzonego po przewrocie Dowództwa Okręgu Podhalańskiego do trzech tygodni stanęła brygada strzelców podhalańskich, której oddziały dławiły liczne, obłudne ruchawki w zachodniej połaci kraju, trzebiły puszcze niepołomicką z zielonej kadry, a tarnobrzeską republikę dwa

razy uczyły respektu wobec zmartwychwstającej Ojczyzny. Wciąż nowotworzone, niemal z ostatnich wyrostków oddziały brygady szły na Śląsk, pod Lwów i na dalekie płonące fronty Rzeczypospolitej. Zajęły trzykrotnie Spisz i Orawę i dzięki tej akcji części tych zapomnianych, uroczych krain przyłączono do Polski.

Wedle rozkazów Dowództwa Okręgu Podhalańskiego, obejmującego Nowotarszczyznę, Limanowszczyznę i Sądecczyznę, wyszło z tych trzech powiatów przed oficjalnym jeszcze poborem, 46 kompanij na różne potrzeby Rzeczypospolitej. Większość ich rozplynęła się w różnych formacjach tworzącego się wojska narodowego. Nie było niemal pułku w Polsce, gdzieby nie znalazł się ochotnik z Podhala. A kiedy nastął oficjalny pobór na Podhalu, już prawie nie było co brać i tworząca się 1. dywizja górską musiała otrzymać częściowo uzupełnienia z Królestwa, a ówczesny minister spraw wojsk. gen. Sosnkowski wydał specjalny rozkaz zezwalający rannym i chorym podhalańcom rozprószonym w różnych pułkach wracać z powrotem do swych formacyj górskich.

Po dwuletnich bojach polskich, w których oddziały podhalańskie w szeregu bitew i pościgów pod Lwowem, na Wołyniu, Podolu, w wyprawie kijowskiej i w ostatniej ofensywie pod Kockiem, Łukowem, Siedlcami, Sokółowem, Grannem, Brańskiem, w rejonie Białegostoku, przy zdobyciu twierdzy Grodna i w pościgu na dalekie rubieże Rzeczypospolitej, wykazały najwyższe walory żołnierskie, wielki hart ducha i poświęcenia się, ukochany nasz Wódz Marszałek Józef Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, w uznaniu tych żołnierskich cnót i bohaterskich zasług, pozostawił, przy tworzeniu regularnej armji narodowej, sześciu pułkom strzelców podhalańskich ich dumną nazwę i przyznał im prawo noszenia swastyk, piór i kapeluszy.

Dziś pułki te owiane sławą wojenną, sformowane w dwie dywizje górskie, pracują z zaparciem się przy ugruntowaniu siły zbrojnej Państwa, a muzyki ich wygrywają butne melodie, wydobyte z przeszłości Podhala.

Dumną też może być dzisiaj Ziemia podhalańska, że synowie jej nie skarteli w niewoli, lecz w czasach wielkich wysiłków narodu spełnili jej legendarne o rycerzach śpiących w Tatrach i imię Podhala wyryli bagnetami głęboko na pomnikach narodowej sławy.

SPIS RZECZY.

	Str.
List Władysława Matlakowskiego do Zygmunta Kramsztyka. Podał do druku W. Olszewicz	1
Stan badań nad osadnictwem Podhala. <i>St. Kupczyński</i>	8
W ojczyście strony. (3 ilustr.). <i>K. Zaremba</i>	52
Na skał wyżynnych nagim grzebieniu... (wiersz). <i>St. Bąkowski</i>	63
O symfonię tatrzańską. <i>A. Chybiński</i>	64
W turniach. <i>H. Jost</i>	69
Wspinaczki w Bubniskach (7 ilustr. w tekście, 2 poza tekstem). <i>R. Kordys</i>	80
Szczytom Skolskim (wiersze). <i>M. Wolska</i>	89
Wspomnienia z Gorganów (11 ilustr.). <i>M. Nunberg</i>	91
Życie roślinne na najwyższych szczytach tatrzańskich (6 ilustr. w tekście, 1 poza tekstem). <i>B. Pawłowski</i>	105
Na Pęksów brzyzek (wiersz). <i>M. Pawlikowski</i>	117
Z lat dawnych. — Opis Morskiego Oka i Doliny Pięciu Stawów z roku 1839	119

Kronika.

Ś. p. Władysław Szajnocha (z portretem). <i>A. Lardemer</i>	127
W toku prac nad utworzeniem pogranicznych parków narodowych. <i>W. Goetel</i>	129
Ochrona przyrody naczelnem zadaniem turystyki słowiańskiej. — III. Zjazd Assoc. Słow. Tow. Tur. (1 ilustr.). <i>W. Goetel</i>	143
Barania Góra i źródła Wisły (3 ilustr.). <i>A. Kęsa</i>	148
Za błękitnym nurtem Soly. <i>W. Midowicz</i>	152
Z ideologii współczesnego alpinizmu	154
Zmarli	164
Badania naukowe	169
Ochrona przyrody	175
Turystyka	180
Pol. Tow. Tatrzańskie	188
Kronika zakopiańska	199
Piśmiennictwo	207

Od Redakcji 214

Ilustracje. — W tekście 32 cynkotypij; — w pośród tekstu poza artykułami: 3 cynkotyp. (str. 7, 51, 118).

Tabele: do tekstu: 3 (str. 80 rotogr., str. 88 cynkotyp., str. 106 rotogr.); — poza tekstem: Wesele huculskie, z obrazu Sichulskiego (cynkotyp. przed kartą tytułową); — Żabi koń (rotogr. przy str. 63); — Wąwóz „Kraków” w dolinie Kościeliskiej (cynkotyp. przy str. 127).

Okladka: Dolina Pięciu Stawów Spiskich; — Sokola Turnia. Fot. *Oppenheim*.

WIERCHY (LES CIMES).

ANNUAIRE DE LA SOCIÉTÉ POLONAISE DES TATRY.

TABLE DES MATIÈRES.

Une lettre de Ladislas Matlakowski à Sigismond Kramsztyk. — L'état actuel des études sur la colonisation de la région de Podhale. — Une excursion au pays natal. — Poésie. — Vers la symphonie des Tatry (un problème musical). — Dans les rochers (nouvelle). — Les ascensions des rochers Bubniska. — Poésie. — Souvenirs d'une excursion dans les montagnes de „Gorgany“. — La flore subnivale dans les montagnes des Tatry. — Poésie. — De jadis: Une description du lac Morskie Oko et de la vallée des Cinq-lacs de l'année 1839.

Chronique. — Le feu professeur Charles Szajnocha anc. président de la Société des Tatry — Travaux préparatifs aux parcs nationaux limitrophes. — La protection de la nature comme principe cardinal de l'Association slave du tourisme. — La montagne Barania et les sources de la Vistule. — La route de Sucha à Zwardoń. — La récente idéologie alpiniste. — Les morts.

Recherches scientifiques. — Protection de la nature. — Le tourisme. — Société Polonaise de Tatry. — Chronique de Zakopane. — Livres et revues.

Illustrations hors texte: Sur reliure: la vallée des cinq étangs de Spisz (Tatry).

Frontispice: Noce huculienne, tableau de Sichulski; — Żabi Koń (Tatry); — Les rochers de Bubnisko (Carpathes orientales); — „Lalka“ un rocher de Bubniska; — Vue de Gerlach vers Wysoka (Tatry); — La gorge Kraków, dans la vallée de Kościeliska (Tatry).

Adresse de la Société Polonaise de Tatry: Kraków, rue Potockiego 4. — Adresse du rédacteur: Dr. Jean Pawlikowski, Lwów, rue 3 Maja 5.

List Władysława Matlakowskiego do Zygmunta Kramsztyka.

Uprzejmości p. Wacława Olszewicza zawdzięczamy możność ogłoszenia listu Władysława Matlakowskiego, zachowanego między pamiątkami po dr. Zygmuncie Kramsztyku. List dotyczy wydania znakomitej, podstawowej pracy Matlakowskiego „Zdobnictwo i sprzęt ludu polskiego na Podhalu“ i rzuca jasne światło na niepospolitą postać autora. Urywki z niego były już ogłaszane w życiorysach Matlakowskiego, niewątpliwie jednak zasługuje on w całej pełni na to, aby być ogłoszonym w całości.

Podstawą druku jest kopia sporządzona z wielką starannością przez p. Olszewicza. Zachowaną została pisownia i interpunkcja oryginału, — przypiski i dopełnienia podane w klamrach [] pochodzą od wydawcy.

Redakcja.

Drogi Zygmuncie !

Piszę do Ciebie w sprawie dla mnie niesłychanie ważnej, a może nieobojętnej i dla społeczności. Może obito Ci się o uszy, iż przygotowałem dzieło o Ornamentyce podhalskiej. Dzieło to ukończyłem rok temu i złożyłem w Akademii Umiejętności na ręce prof. Malinowskiego. W listopadzie r. z. otrzymałem wieść, iż niema pieniędzy na wydanie w r. z. — Teraz znów pokornie i grzecznie, a obocznie, (bo są tam ludzie b. b. b. drażliwi, z wadami serca), co słyhać. Niema odpowiedzi; ale z Zakopanego doszła mi wieść, iż wszelkie starania, jakie ludzie wpływowi, nieproszeni, za moimi plecami, przez żarliwość dla sprawy, by przyspieszyć wydanie (do hr. Tarnowskiego, do Smolki) rozbiły się. Ma to ten smutny skutek, iż te wpływy uboczne są nienawistne ludziom, z którymi jestem w otwartej korespondencji, i skoro się dowiedzieli o staraniach pańsko-hrabiowsko-jaśniewielmożnych, gotowi się zemścić na mnie, choć jak czczę Ciebie, nie ruszyłem palcem o owe protekcje. Dotąd szał i z wydania nic. A tu czas idzie. A co ten czas znaczy? Zwłoka to to = mnie życie ucieka, raz wraz zapadam, i mogę nie ujrzeć wydania; nie tylko chodzi mi o egoistyczną przyjemność, lecz i o absolutną pewność, iż rzecz już stała się! B. niepevien jestem, czy obecna moja matergja jednostki, po mojej śmierci, zamie-

niona znów w etergję, czy będzie miała świadomość rzeczy, dziejących się na świecie ziemskim. 2) Zwłoka to = hazard i wszelkie niebezpieczeństwa dla rękopisu; to znaczy pożar, to wojna, to rabunek, to kradzież, to zła wola! — A zaprawdę powiadam Ci, dziecko moje z krwi i ciała nietyłe mnie obaw, zachodu, mozołu, biedy, starań, kosztowało, co taki drań-robotą. — Patrz jeno. — Ja niemłody z rękami zgrabiałemi, chory lub słaby, odwykły, z biciem serca, musiałem nauczyc się piórkowego rysunku! Zasiadłem do roboty 27 Stycz[nia] 1893. — i ślęcząc po 4—6 godzin na dzień, jedząc i pijąc obiad lub podwieczorek, na rajzbracie, obłożony gratami, odpędzając gości i znajomych, przejęty jedną ideą, palony gorączką aby prędzej, żarty wątpliwością — „czy dokończysz?“ z omdlewaniem rozpaczy „to napróżno“ — po każdym zapadnięciu na zdrowiu, myślący w dzień, marzący o tem w nocy, — słowem nasiąkły tem, aż do tego stopnia, że żona, Kiesio i Kasia tylko o tem, jak idjoci mówili i myśleli — pracowałem tak 4 miesiące i zrobiłem 20 kilka tablic — z cyrklem w rękę, zmniejszając ze ścisłością geometryczną. Większość gratów dostarczyły zbiory. Ale mniejszość! Jakże ją trzeba było zdobywać!! Żonisko moje, zziąjane, zapadając po uda w śnieg, ściągało graty z Gubał[ówki] z Kieściel[isk]. Nieraz po jedną i tę samą rzecz trzeba było jeździć zimą po 3 razy, bo żona chatę zastała zamkniętą, zabita, a gazdy na innej „dzierżawie“ (possesio); czasami pod naporem namiętności, trzeba było okno odrywać po łódziesku, by swego dopiąć. A dopiero mycie i czyszczenie gratów? A tłumaczenie góralom celu, a kaptowanie benevolentiae. I to miesiące, miesiące — z perypetjami: tydzień krwotoku, 2 tyg[odnie] gorączki z oczami z łóżka utkwionemi w stolik rysunkowy. Na lato 1893 wyjechałem z Zakop[anego]. Przerwała się robota. Na jesieni 1894 [sic! zamiast 1893] wróciłem do Zakop[anego]. Nawał roboty z Hamlet[em] naglił mnie — przerwa trwała. 11. XII. 1893 przyszedł straszny krwotok, a po nim co 2 tygodnie 4 potęż[ne] krwotoki — zostałem bez duszy. I umierając patrzyłem na te 20 kilka tablic — na nic! na marnie! bez textu! Po drugim krwotoku, w łóżku, ołówkiem, siedząc, kpiąc z rady „trzeba spokoju“ zacząłem pisać co najpilniejsze. Robota jak w halucynacji rosła, codzień, choć przeznaczyłem sobie napisać tylko $\frac{1}{3}$ arkusza. I tak pisząc, z duszą na ramieniu, z upiorem krwotoku w gardle, łykając plwocinę, by nie widzieć przypuszczalnej krwi, ze zdrewniałymi mięśniami krzyża, oślepy co dzień ku wieczorowi — skończyłem rękopism, nadspodziewanie na Sy. Maciej [23 lutego 1894]! Ale co z rysunkami i resztą? Skrycie przed żoną — rysowałem, zrazu ze strachu po niewiele, potem po godzinie, po 2. Ściągnąłem z Monachjum szwagra [Wacława Zaborowskiego], wprzągnę do roboty niewolnika z tryremy. Były też rysunki perspektywiczne absolute

poza obrębem mojej możności. Sprowadziłem podręcznik geom[etrji] wykreślnej, zdjąłem spodnie¹⁾, i jak student zabrałem się do nauki! Inne kupiłem u budowniczego — kłaniając się, basując, pochlebiając, zagrzewając jego Sursum Cor. Inne płaciłem drogo; robił mi jeden cudny rysownik ze szkoły, ale biedactwo suchotnik in extremis, po krwotoku już nie mógł.

Wszystko to jednak furda! Żelazna wola, wola niestarta brukowca z Gnojnej lub Grzybowa, wola i wytrzymałość podeszwy bosej, wola lodowca polerującego granity — pokonywała i trudności, i koszta, i gniewy, i wstręty. — Ale coś idzie trudniejszego. W Zakop[anem] bawi Witk[iewicz]. Jakże go nie zużytkować, nie wprządz? Proponowałem spółkę lub wstęp krytyczny itd. Na nic. Obieca wszystko, ucałuje, łaza stanie mu w oku — ale miesiąc upłynie nie zrobi nic. On zdrów — nie zna co śmierć z krwotoku, on może czekać! Ja nie. Znasz go; wiesz — jest to człowiek tak strasznie dobry, uczynny, życzliwy, tak idealnie płonący do wszystkiego co szlachetne — że jeszcze takiego nie widziałem! Wiesz, iż literacko — to gienjusz. Ma on odczucie przyrody i piękna — niebywałe! Odczucie Goncourt'ów, Renan'a. Wiesz, iż tęgi malarz, — że rysownik piórkiem — wielki, znamienity. Nie wiesz, żem z nim z Warszawy w ścisłej znajomości, leczyłem go za darmo, posyłałem obiady, bo był chory i sam. Jest on tak wdzięczny, takie ma serce, jak najczulsza kobieta. — Mnie kocha, lubi, ceni — codzienny dawniej gość, pocieszyciel, bawiciel, rozraduj-serce moje. — Otoż ten i taki człowiek — extra fine — człowiek rzadki — kochający, rozpląnięty w góralszczyźnie — skutkiem pewnej nowej słabości moralnej — został bez woli. Żadne zaklęcia, żadne błagania, protekcje jego żony, prośby mojej — nie były w stanie złamać lenia. Miesiąc zeszedł — przyniósł ledwie jedną tablicę — Jak narysowaną? Trzebaż Ci mówić — arcydzieło — zrobione w 1/2 godziny. I tem większa oskoma dla mnie. I tak dębiąc, prosząc, narażając się, poruszając wszystkie klawisze, niezważając na uboczne niechęci (nieboszczyk Dembowski mówił Witkiewiczowi, czy pani Lilpopowej, że ja mu bezecnie czas zabieram i nadużywam jego talent) — wydostałem 12 tablic z Witkiewicza. Ale jak? Kapanią taką, że n. p. ostatnią tablicę dostałem, gdy górale już wiązali kosze na wyjazd!! Na usprawiedliwienie Witkiewicza dodać muszę, iż on i dla siebie i dla wszystkich przestał działać, wola jego zginęła. Oby tylko nie na zawsze. Nic i nikt go nie byli w stanie skłonić do roboty: ani Paprocki, ani Dygański, ani Baranowski, ani Czas, ani Kurjer, ani nikt, nikt!

Otoż to krwawo zdobyte dzieło — ze 20 arkuszy druku i 60 tablic — z 50 fotogramów, — bo zapomniałem Ci dodać, że ściągnąłem aparat, kupowałem klisze, itd. — ze 100 rysunków do textu leży w kasie ogniotrwałej

¹⁾ W gwarze szkolnej warszawskiej tyle co „zakasać rękawy“.

w Krakowie. Jak zaś tam rzeczy legiwają, dowód że mój zbiorek wyrazów przeleżał 12—13 lat, ja już miałem go za stracony! ¹⁾ Jeżeliby to przepadło — oho! już nikt takiej pracy, z taką miłością i wżyciem się nie podejmie. Witkiewicz, ten by zrobił oczywiście coś cudownego — ale on już zagwożdżony na długo.

Przystępuję k'rzeczy. Czyby nie można wydostać pieniędzy z Kassy Mian[owskiego]? I dla czego od razu się tam nie zwróciłem? Oto widzisz dla tego. Akademia wydała moje Budownictwo niesłuchanie dla mnie korzystnie: 1) wydała swoim kosztem i kłopotem, tak, żem tylko robił 2-gą korektę, 2) dała mi 30 egzemplarzy (не въ примѣръ другимъ). 3) zapłaciła mi 300 flor. za 8 arkuszy druku i 27 tablic. 4) rozesała dzieło jako swoje wydawnictwo na 4 strony świata, gdzie je czytali i mnie doszły tak pochlebne oceny, że mi wynagrodziły nędzne przyjęcie w naszej nędznej prasie. Otoż, udaję się do Ciebie jak do wypróbowanego przyjaciela, i nie wiem czem zyskanego sobie serdecznego człowieka — jako do patrioty, któremu każdy grosik Mianow[skiego] jest krwawicą, czy ja mógłbym uzyskać pieniądze na takich samych warunkach? z honorarjum dla siebie w takiej samej proporcji? Bo przecież muszę zapłacić ludziom, co ze mną robili, a i sam coś zarobić, bo mi się nie przelewa teraz. Czy to uwzględnia Kassa? Czy były już takie prejudykaty?

Zapytasz mnie się, ile to może kosztować? Nie wiem absolutnie. Należałoby pójść do Tyg[odnika] Illustr[owanego] i zapytać, ile kosztował nakład „Na przełęcz” Witkiewicza, bo +— tyle będzie tekstu i tyle rysunków i taki format, i taki papier — różnica tylko, że u mnie będą nie drzeworyty, lecz same trawionki, t. j. grubo taniej. Ale żeby były trawionki fajne muszą być od Angerer'a z Wiednia — i papier doskonale satynowany, bo rysunki są jak stałoryty. Ile kosztować by mogły tablice — łatwo dowiedzieć się, bo można w Tyg[odniku] Illustr[owanym] dowiedzieć się, ile kosztuje u Angerer'a centym[etr] □ trawionki? Moje zaś tablice mają 13×19 centym.

Takim to brzemieniem Cię obarczam. Czy mi wybaczysz? Czy będziesz łaskaw? Czy doniesiesz? Zapadłem znowu ciężko — i zdjęta mię trwoga o los dzieła. W niedzielę byli Dunin i Jawd[yrński]. Trochę mi było lepiej, dziś nieco gorzej. Kiedy Sessja w Kassie? Czyby to było możliwe? Lecz wierzę, że co można Ty — ze spokojem sobie właściwym zrobisz. Wiem też, iż w Kassie są ludzie, którzy by każdej dobrej sprawie przychylił nieba — ale i to wiem, jak nie ma grosza — to nikt nic nie pomoże. Ponieważ nakład musi

¹⁾ Matlakowski ma tu na myśli swój „Słownik wyrazów ludowych, zebranych w Czerskiem i na Kujawach“, drukowany w V. tomie Sprawozdań Komisji Językowej Akademji Umiejętności str. 362—373 i w odtbitce. Kraków 1892.

być duży, możnaby tak urządzić, iż np. na początek na ten rok, uzyskać 1000 rs. — a następnego na nowo się podać, jak czynią wydawnictwa Wisły, Kroniki itd.

Nie myśl, iżbym był tak marny, żebym mniemał, iż moja książka jest coś extra; o nie! Niemcy, Anglicy robią rzeczy w porównaniu z czem to moje dzieło jest rzeczą skromną; ani to arcydzieło rysunku, ani owoc głębokiej myśli. — Ale względnie, w odniesieniu do naszych warunków — jest extra! Jest to niedogar, popiół serca, które paliło się dla kraju i dobra polskiego, lecz brak talentu, zdrowia i czasu nie dozwolił zrobić czego lepszego, nad ten swąd i niedopał przedśmiertny. Tak patrz, a wtedy, choć ocenisz surowo — ukochasz wielce.

Ściskam Cię, Szanownej Pani oboje z żoną zasyłamy najmiłsze pozdrowienie, prosząc o pamięć. Bądź zdrów

12. II. 1895 r.

Wład. Matlakowski.

Stacja Czerniewice kol. Bydgos [kiej].

Format i papier księgi dla prof. Brodowskiego odpowiada prawie mojemu pojęciu. Ile też ona kosztowała?

* * *

[Do powyższego listu dołącza p. W. Olszewicz tytułem komentarza następujący artykuł, który objaśnia nas o okolicznościach, w jakich list powstał i o osobie adresata, a także podaje źródła do poznania życiorysu Matlakowskiego, zebrane z pomocą dr. Zweigbauma, bibliotekarza warsz. Tow. lekarskiego a kolegi M.].

„Był on człowiekiem w wysokim znaczeniu tego wyrazu“. Tak scharakteryzował Władysława Matlakowskiego jego serdeczny przyjaciel, dr. Zygmunt Kramsztyk, we wspomnieniu, które jest może najpiękniejsze ze wszystkich, ogłoszonych o przedwcześnie zmarłym lekarzu-artystcie. Prócz podobnych poglądów na zawód i społeczną rolę lekarza, prócz wspólnego umiłowania literatury pięknej, zbliżało dwóch tych przyjaciół jedno uczucie, któremu wierni byli do śmierci: umiłowanie Tatr i Podhala. Kolegom swym Peszkemu i Kramsztykowi w opiekę powierzył umierający Matlakowski rękopis dzieła „Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu“, a z listów p. Julji Matlakowskiej i prof. Lucjana Malinowskiego widać, jak gorliwego dla swego dzieła znalazł w Kramsztyku opiekuna. Widać to jednak zwłaszcza z samego wydawnictwa; jego koszty poniosła Kasa Mianowskiego, której Komitetu długoletnim członkiem był dr. Z. Kramsztyk. Jego to głównie zabiegi sprawiły, że „Zdobienie“ mogło się ukazać w pięknej formie, z której autor byłby z pewnością zadowolony.

Matlakowski rękopis „Zdobienia“ złożył w Akademji Umiejętności. Komisja Antropologiczna nie wydała go z braku funduszków i pomimo entuzjastycznej oceny dzieła. Jej prezes, prof. Lucjan Malinowski, wyraził się, w liście z dnia 24 października 1895 do dra Kramsztyka, że to jest „w swoim rodzaju arcydzieło i przyniesie chlubę naszej literaturze naukowej“; sekretarz Komisji prof. R. Zawiliński zabiegał również gorliwie o wy-

danie, ale wszystkie te starania rozbiły się o brak pieniędzy. Zniecierpliwiony Matlakowski postanowił zwrócić się do Kasy Mianowskiego. Na miesiąc przed śmiercią prosił go jeszcze listownie prof. Zawiliński o zaniechanie zamiaru wycofania rękopisu z Akademii, jednak po śmierci Matlakowskiego zgodził się wraz z prof. Malinowskim, że warunki wydania w Warszawie będą korzystniejsze, i rękopis w końcu października 1895 został doręczony dr. Kramsztykowi. Nie był to autograf Matlakowskiego, ale sumienna kopia, dokonana specjalnie dla celów wydawniczych przez p. Dobrowolskiego, urzędnika Akademii pod okiem Komisji Antropologicznej. Ten rękopis służył dla zaznajomienia członków Kasy Mianowskiego z dziełem Matlakowskiego. Druku dokonał następnie dr. Józef Peszke na podstawie rękopisu oryginalnego, który w lutym 1896 r. przywiózł z Zakopanego dr. Karol Benni. Reprodukacja materiału ilustracyjnego i napisanie obszernego życiorysu autora zajęło wydawcy sporo czasu, tak że „Zdobienie“ ukazało się dopiero w r. 1901.

W liście do dra Z. Kramsztyka, na cztery miesiące przed śmiercią, opowiedział sam Matlakowski w jak tragicznych warunkach powstawało dzieło, które nie nosi jednak na sobie piętna ciężkiej choroby autora, przeciwnie pełne nawet jest życia i radości życia.

Ten, do którego list był skierowany, uważał go za najpiękniejszą po zmarłym pamiątkę. Sam nie był zwykłym „zjadaczem chleba“. Znakomity okulista, autor wielu prac lekarskich, redaktor „Krytyki Lekarskiej“, zawsze umiał znaleźć nadto czas dla pracy społecznej i dla badań literackich nad twórczością Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego. Był współzałożycielem i czynnym członkiem Tow. Kultury Polskiej, Tow. Miłośników Przyrody, Tow. Medycyny Społecznej. Długi spis jego prac drukowanych podaje „Warszawskie Czasopismo Lekarskie“ w zeszytach z dnia 30 listopada 1926 r., poświęconym jego pamięci przez redakcję z dr. Z. Srebrnym na czele. Wśród tych prac na zaznaczenie zasługują czterotomowe studia mickiewiczowskie p. t. „Bohaterowie Pana Tadeusza“ (Warszawa 1907—1910), szereg szkiców literackich, drukowanych po miesięcznikach i dziełach zbiorowych, oraz tom „Szkiców krytycznych z zakresu medycyny“ (Warszawa 1899), zawierający m. i. serdeczne wspomnienie o Matlakowskim, „najlepszym z pośród nas“ (str. 252—259). Nie można tu pominąć artykułów Z. Kramsztyka-taternika. W r. 1893 w „Upominku dla E. Orzeszkowej“ przedstawił — z wielkiem umiłowaniem wszystkiego, co góralskie — warunki rozwoju „Z tej strony Tatr i z tamtej“. W r. 1899, w „Przeglądzie Zakopiańskim“ (nr. 2) opisał „Noc na Czerwonych Wierchach“. O Zakopanem, o Chałubińskim pisał kilkakrotnie, m. i. w r. 1889 w Kurjerze Warszawskim, omawiając projekt uczczenia pamięci Chałubińskiego przez nabycie jego domu w Zakopanem na pomieszczenie Muzeum Tatrzańkiego. Jeszcze w roku 1918 opracował dział taternictwa w wydanej przez M. Arcta „Hygienie Sportu“ (str. 222—233).

W Tatry chodził rok rocznie, tęsknił do nich w swych dalekich podróżach do Egiptu czy Norwegji. Zmarł w dniu 30 maja 1920 r. w pełni sił, przeżywszy lat 71. Do końca życia przechował pamięć o przyjacielu, którego podobiznę (reprodukcja portretu Kamińskiego) miał zawsze blisko siebie.

W uczuciu dla Matlakowskiego zgodni z nim byli wszyscy lekarze warszawscy. Dała temu uczuciu wyraz „Gazeta Lekarska“. W najbliższym numerze po jego zgonie (nr. 26 z dn. 29 czerwca 1895) zamieściła nekrolog z zapowiedzią poświęcenia specjalnego numeru temu, „który był miłością naszego grona, jego ozdobą i chlubą“. Po pogrzebie dała „Gazeta Lekarska“ (w nr. 27 z dn. 6 lipca 1895) jego opis i tekst przemówień, wygłoszonych nad grobem przez dra H. Nussbauma w imieniu kolegów i przez dra And. Ciechomskiego w imieniu uczniów. Zapowiedziany numer specjalny ukazał się dnia 27 lipca 1895 r. (nr. 30); zawierał on wspomniany już artykuł dra Z. Kramsztyka

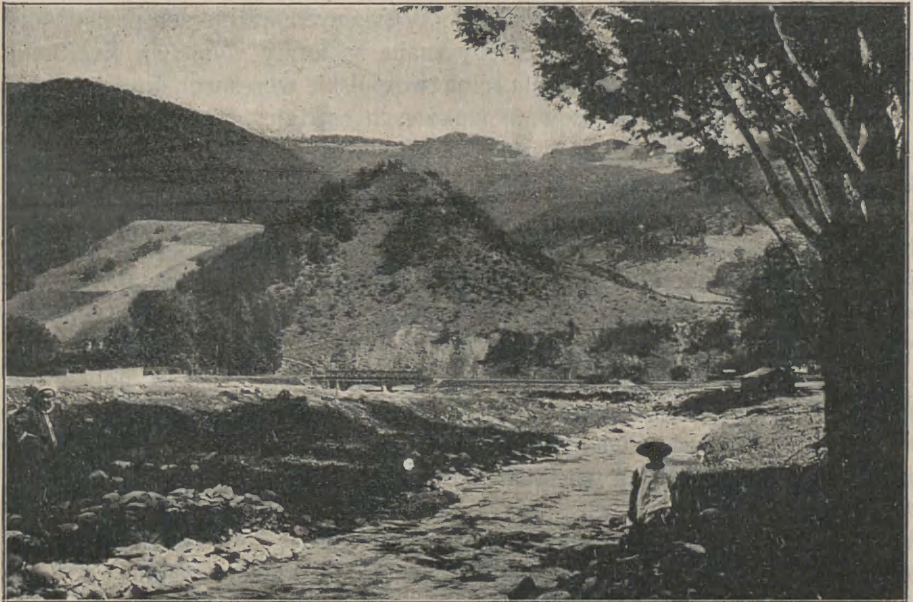
z ogólną charakterystyką Matlakowskiego, przedstawienie przez dra R. Jasińskiego Matlakowskiego jako chirurga (ze streszczeniem 73 jego drukowanych prac fachowych) i przez dra And. Ciechomskiego Matlakowskiego jako ordynatora szpitalnego; artykuł Stanisława Witkiewicza p. t. „Matlakowski i sztuka ludowa“, wreszcie list dra Krysińskiego, zawierający krótką, ale świetną charakterystykę Matlakowskiego, który „kochał dobro namiętnie, całą duszą, z zapamiętałością fanatyka“.

Oprócz znanego życiorysu Matlakowskiego pióra dr. Józefa Peszke, wydawcy „Zdobienia“ (1901), na uwagę zasługuje „wizerunek pośmiertny“, skreślony przez dra T. Dunina. Wydrukowany w pierwszym roczniku „Krytyki Lekarskiej“ (1897, str. 33—45 i 66—76, z portretem), dał on powód do polemiki; wzięli w niej udział dr. Jasiński (w Gazecie Lekarskiej nr. 2 z r. 1897), dr. Czaplicki (tamże, nr. 4), dr. Dobrzycki (w „Krytyce Lekarskiej“ z r. 1897, str. 110—114), dr. Dunin (tamże str. 114—117), oraz p. Julja Matlakowska (tamże str. 117).

Ostatnio przypomniał młodszym lekarzom postać tę dr. L. Zembrzusi artykułem p. t. „Władysław Matlakowski jako student“, drukowanym w pierwszym numerze „Medycyny“ z r. 1928, z portretem z czasów uniwersyteckich.

W. Olszewicz.

Z BESKIDU SAŃDECKIEGO.



Ruiny zamku w Ryrtrze.

Fot. F. Raff

Stan badań nad osadnictwem Podhala.

I. Wstęp.

Osadnictwo można określić jako ogół zjawisk, które składają się na treść procesu zajmowania na stałe ziemi przez człowieka. Jestto pewien stosunek człowieka do ziemi i to — jak etymologia wyrazu wskazuje — stosunek trwały, trwalszy niż przemijające związki pasterza-koczownika, lub myśliwego, na tyle trwały, że człowiek stwarza sobie w pewnym miejscu stałą siedzibę, która jest punktem oparcia dla władztwa nad ziemią w pewnym promieniu. Z natury rzeczy wynika, że osadnik opanowuje ziemię wszechstronnie, eksploatuje ją intensywniej, niż człowiek koczujący. Jest przede wszystkim, lub przynajmniej w znacznej mierze, rolnikiem.

Oczywiście może być także inaczej. W pewnych warunkach pasterz staje się istotą osiadłą, z drugiej zaś strony znane są formy rolnictwa koczowniczego. Było niem w dużym stopniu rolnictwo polskie wczesnego średniowiecza.

Jako przedmiot zainteresowań naukowych osadnictwo może być badane dwojako: dynamicznie lub statycznie. W osadnictwie możemy widzieć albo żywy, rozwijający się w czasie proces, albo obraz stosunków w pewnym momencie; linię lub punkt. Dzieje osadnictwa to przedmiot zainteresowań historyka, obraz osadnictwa to domena przede wszystkim geografa. Antropogeografia, wskazując i wyjaśniając nam różne węzły zależności między człowiekiem a ziemią, zajmuje się w pierwszym rzędzie najtrwalszym spłotem węzłów, jakim jest osadnictwo.

Badając osadnictwo pewnego terytorjum, będziemy szukali odpowiedzi głównie na następujące pytania: jakie warunki fizyczne przedstawia dane terytorjum; z jakim kapitałem społecznym przyszedł człowiek na to terytorjum; jaki wpływ wycisnęły na osadnictwie warunki fizyczne z jednej, a społeczne z drugiej strony, które z nich działały silniej i dlaczego, jaki żywioł ludzki i kiedy przyszedł na dane miejsce; jak się osiedlał, w jakiej kolejności ziemię zajmował i jak ją wyzyskiwał; jakie formy nadawał swym osadom, poszczególnym gospodarstwom, poszczególnym budynkom i dlaczego; jakie siły kolonizatorskie i z jakim skutkiem kierowały procesem kolonizacyjnym i t. d.

Osadnictwo Podhala ma literaturę wcale bogatą, może najbogatszą wśród ziem polskich. Złożyło się na to kilka przyczyn. Dzięki swym walorom naturalnym kraj szczególnie pociąga ludzi i dostarcza podniecie twórczości, dlatego z Podhalem i Tatrami związane są najwybitniejsze polskie nazwiska w dziedzinie nauki, literatury i sztuki, a więc poetów, malarzy, muzyków, zoologów, botaników, geologów, mineralogów i petrografów, geografów, etnologów, lingwistów. Badacza osadnictwa specjalnie nęci Podhale: silnymi kontrastami, które zachęcają do śmiałych i efektownych formułowań; zachowaniem starych form, gdzieindziej już niespotykanych; typowemi i bardzo wyraźnemi wpływami geograficznymi na osadnictwo; faktem świeżości samego osadnictwa, które rozwijało się tu w całej pełni o kilka wieków później, niż w sąsiednich częściach Polski; a wreszcie — co niemniej ważne — tem, że oddaje do dyspozycji historyka dużo materiału źródłowego, bez czego niema badań i niema historii.

Systematyczne badania nad osadnictwem Podhala datują się od końca XIX stulecia. Przedtem zwracano na nie uwagę tylko ubocznie. Głównym przedmiotem zainteresowań była przyroda, a zwłaszcza budowa geologiczna Tatr. Tem właśnie zajmował się „pierwszy Polak w Tatrach“ Staszic, a dzieło jego „O ziemiorodztwie Karpatów“¹⁾ traktuje w pierwszej połowie wyłącznie o Tatrach, w drugiej zaś o sąsiednich górach, lecz ze stałą orientacją ku Tatrom.

Na marginesie swych wywodów naukowych notuje Staszic tu i ówdzie spostrzeżenia z życia ludu. Zwraca uwagę na charakter i wygląd górali, stwierdzając ze zdziwieniem, że niema wśród nich „garłuchów“ ni karłów, a wyradzają się często olbrzymy. Zauważa, że w północnej części Spisza jest język polski „nierównie czystszy, niżeli w wszystkich innych górach od Krakowa aż do tej okolicy“²⁾. Podziwia pasję łowiecką górala i jego hart w walce z twardą przyrodą, upatrując źródło tej siły moralnej w prawie własności. Oblicza, na jakiej wysokości biegnie granica między polanami a pastwiskami. Nie uchodzą jego uwagi stosunki gospodarcze ludności.

Wśród plejady przyrodników, którzy później pisali o Podhalu, wybija się Ludwik Zejszner, sumienny badacz stosunków geologicznych i klimatu Podhala, baczny obserwator życia ludu tamtejszego. Na uwagę zasługują zwłaszcza jego prace: „Podhale i północna pochyłość Tatrów“³⁾, „Orawa“⁴⁾ i „Spisz

¹⁾ Rok 1800—1816.

²⁾ Stwierdził to również w kilkadziesiąt lat później S. Morawski, dochodząc przytem do wniosku, że Podhalańskie są ojcami Podmagórzan.

³⁾ Biblioteka Warszawska 1849—1852.

⁴⁾ Tamże 1853.

słowacki“¹⁾. Obserwacje tego autora są bystre, a wnioski w większości swej bardzo trafne. U Podhalan zauważył on lepszy byt, odzież i mieszkanie niż na żyznych równinach, co tłumaczy lepszym położeniem socjalnym górala, oraz różnorodnością jego zajęć zarobkowych. Domyśla się, że pierwotnie było tu osadnictwo jednostkowe, bo wielu górali nie zna nazwy wsi, tylko mówi, gdzie kto mieszka. Stwierdza, że wsie Podhala są bardzo rozciągnięte, a domy — np. w Białym Dunajcu — ku górom coraz porządniejsze, gdzieindziej zaś — np. w Bukowinie — porozrzucane. Opisuje wygląd i kształt osiedli. Podaje szereg informacji, odnoszących się do szałasnictwa i życia pasterskiego, m. in. rozróżnia pasterstwo owcze, zbiorowe, i krowiarskie, indywidualne, wyróżniające się dostatniejszymi od owczych szałasami. Uważa Podhalan za typ antropologicznie odmienny tak od reszty Polaków jak i od Słowaków, a gwarę ich za przejściową między polską a słowacką. Oczywiście nie możemy wymagać od Zejsznera takich wiadomości lingwistycznych, jakimi rozporządza dzisiejszy uczonej, jak również wielkich odkryć historycznych.

Zainteresowanie Podhalem i Tatrami szybko wzrasta. Oprócz przyrodników i lekarzy, do których ten zakątek miał szczególne szczęście, szybko zwiększa się zastęp przygodnych etnografów. Mnożą się w nieskończoność opisy, artykuły i „wrażenia z podróży“, których niesposób tu wyliczać²⁾. Z poetów Goszczyński i Pol byli rozkochani w Tatrach. Zwłaszcza Pol zasługuje na wzmiankę jako geograf, choć więcej w nim poety niż uczonego. Podhalem interesował się³⁾ dlatego, że widział w niem zachowane „wzory starożytnego bytu Słowian“. Rozróżniał właściwych Podhalan („ród alpejski“) i Nowotarzan. Widział geograficzną łączność doliny nowotarskiej z Orawą, ale etnograficznie uważał je za całkiem obce sobie, tłumacząc to następująco: „... lubo w te strony⁴⁾ kraj jest otwarty, bez zawady, nie przeciągnęły się ku niej Nowotarzan siedziby, bo ród każdy bierze zawsze wagę tylko za wodą“. Jak zobaczymy niżej, najwybitniejszy badacz osadnictwa Podhala Potkański całą swoją konstrukcję prądów osadniczych oparł na tezie, że szlakami pochodzenia osadnictwa były doliny rzeczne, i z tezy tej wyciągnął w odniesieniu do osadnictwa Orawy wnioski, zgodne naogół z poglądem Pola. W poecie odkrywamy tu więc poprzednika Potkańskiego.

1) Tamże 1855.

2) Starszą literaturę, dotyczącą Tatr i Podhala, podaje pierwszy rocznik Pamiętnika Tow. Tatrzeńskiego.

3) „Rzut oka na północne stoki Karpat“ 1851; „Obrazy z życia i natury“ 1870.

4) t. j. ku Orawie.

Dziejami Nowotarszczyzny zajmował się S. Morawski¹⁾, lecz fakty podawane przez niego są często fantastyczne, a obraz przeszłości zgoła fałszywy. Znajdujemy tam takie opowiadania jak np., że w XIII wieku Nowotarszczyzna była zalana wodą, a Dunajec tworzył wielkie jezioro, nad którym żył zdziczały lud, trudniący się paszeniem kóz i rabowaniem sąsiadów. Albo, że Cystersi przyszli tu w XIII wieku celem wynaradawiania tubylców i stąd powstała niezgoda między Niemcami i Polakami, która dopiero pod wpływem najazdu tatarskiego i oplakanej doli Niemców zakończyła się finałem serdecznego zbratania obu narodowości.

O gospodarstwie współczesnym Podhala pisał J. Konopka w „Encyklopedji rolnictwa“²⁾. Autor zwrócił uwagę, że wsie Podhala są „poplątane rozrzuconymi tu i ówdzie po zarębkach, sołtystwach i rolach osadami, które zdają się granice jednej wsi od drugiej zacierać...“ Specjalne warunki geograficzne widzi Konopka nie w glebie — bo ta posiada, jego zdaniem, dość warunków do uprawy — lecz w wzniesieniu nad poziom morza i w klimacie. Autor opisuje szczegółowo gospodarstwo rolne i hodowlane na Podhalu, wykazując cyframi, że hodowla zwierząt jest na Podhalu silniej rozwinięta, niż na równinach. W związku z uprawą owsa na odległych polanach notuje zjawisko, określone dziś mianem czasowego osadnictwa. Poświęca sporo uwagi innym źródłom zarobkowania, stwierdzając, że dzięki nim mieszkańiec Podhala przy silnie rozwiniętym zmyśle oszczędności i dużym sprycie dochodzi, mimo nieprzyjaznych warunków przyrodniczych, nawet do pewnej zamożności.

Artykuł Konopki zasługuje na uwagę tem bardziej, że echo jego znajdujemy w szeregu prac późniejszych badaczy Podhala.

Szersze niż Konopka zadanie określił sobie A. Wrześniowski w artykule o Podhalu i Podhalanach, zamieszczonym w Pamiętniku Tow. Tatrzańskiego³⁾. Na podstawie własnych spostrzeżeń oraz informacji osób, dokładnie obeznanych z Podhalem, daje Wrześniowski pewien całokształt tak warunków przyrodniczych kraju, jakoteż życia jego mieszkańców pod względem społecznym, gospodarczym i kulturalnym. Autor definiuje pojęcie Podhala, zaznajamia czytelnika z ukształtowaniem pionowym, strefami roślinności, fauną, klimatem, rolnictwem, hodowlą bydła, ubocznymi gałęziami zarobkowania górala, sposobem żywienia się ludności; sporo miejsca poświęca charakterystyce Podhalan, opowiada o życiu pasterskim, nie zapomina oczywiście także o zbój-

¹⁾ S. Morawski: Sądeczyzna, t. I., Kraków 1864. Sądeczyzna za Jagiellonów, t. II. Kraków 1865.

²⁾ Encyklopedja rolnictwa, Warszawa 1874, t. II., str. 812—822.

³⁾ A. Wrześniowski: „Tatry i Podhalanie“, Pam. Tow. Tatr. r. 1882, str. 1—53.

nictwie. W kreśleniu obrazu życia gospodarczego Wrześniowski oparł się w znacznej mierze na artykule Konopki, uzupełniając go tu i ówdzie nowymi szczegółami.

O ile chodzi o zagadnienia ściśle osadnicze, określił Wrześniowski dość dokładnie zasięg stałych siedzib na Podhalu¹⁾ zaznaczając, że w Szwajcarii stałe siedziby sięgają wyżej, kraina roli zaś niżej, niż w Tatrach. W budownictwie pasterskiem zauważył, jako znamienne cechy: prymitywność budowy, niedbalstwo i korzystanie z przypadkowych ułatwień. Wszystkie te cechy — jak wykazały późniejsze badania na innych terenach — występują jaskrawo wszędzie, gdzie koczownictwo jest dość silne, ostatnia zaś, t. j. korzystanie z ułatwień jakie nastęrcza teren, daje się stwierdzić w większym lub mniejszym stopniu w przeważającej ilości form osiedlenia stałego²⁾.

Nie zapuszczając się w wyczerpujące wyławianie szczegółów, możemy okres od Staszica do Potkańskiego scharakteryzować w ten sposób: w okresie tym nie można jeszcze mówić o badaniach nad osadnictwem; o osadnictwie Podhala powiedziano niewiele, a i to tylko przygodnie, o ile pewien objaw był szczególnie uderzający, np. przebieg górnej granicy osad stałych, czasowe osadnictwo rolne na polanach, pewne zjawiska związane z szałaśnictwem, wygląd wsi. Uwagę badaczy zwracała przede wszystkim przyroda kraju, człowiek tworzył tylko rodzaj akcesorium, gdy zaś on sam stał się głównym przedmiotem zainteresowań, oglądano go przeważnie oczyma etnografa. Jedynie życie gospodarcze doczekało się pełniejszego opracowania.

Cała ta literatura jest dla badacza osadnictwa tylko materiałem, z którego to i owo wyłowić można i który poznać należy, choćby dla konfrontacji z innym materiałem. Lecz niczem więcej.

II. Przegląd literatury o osadnictwie Podhala.

Zanim przystąpimy do przeglądu prac, poświęconych osadnictwu Podhala, należy powiedzieć słów parę o historycznych źródłach. Poza dokumentami o charakterze ogólnym, najważniejszy materiał źródłowy dla dziejów osadnictwa stanowią lustracje i inwentarze, oraz t. zw. dokumenty lokacyjne. Materiału tego wydano sporo.

¹⁾ Nieco ponad 975 m, a więc obejmują one „średnią krainę roli uprawnej“ (do 750 m, kraina żyta i owoców) oraz część „górną krainę“ (do 1100 m, kraina owsa i ziemniaków).

²⁾ Klasycznym przykładem tego są wsie w Sandomierszczyźnie, gdzie uboższa ludność w braku drzewa wydłubuje sobie mieszkania w stromych zboczach loessowych wąwozu w ten sposób, że trzy ściany domu lub budynku gospodarczego tworzy ziemia, czwartą zaś, przednią, buduje się z desek.

W „Przywilejach sołtysów podhalańskich“¹⁾ wydał E. Długopolski zbiór 105 dokumentów, nieogłoszonych gdzieindziej drukiem, a odnoszących się do 25 wsi Podhala, w tem 24 wsi starostwa nowotarskiego. Materiał ten niesłychanie cenny, odnosi się do czasu od 1416 r. (lokacja Ochotnicy) do początku XVIII w. głównie zaś do XVI i XXII w. Są to przeważnie przywileje lokacyjne, oraz nadania i zatwierdzenia sołectw. Układ materiału jest terytorjalny a w obrębie poszczególnych wsi chronologiczny. Nie trzeba specjalnie podkreślać znaczenia tej starannej publikacji, jeśli się zważy, że dzieje przywilejów sołtysich to dzieje wsi, dzieje osadnictwa. Materiał ten uzupełnił recenzent „Przywilejów“ K. Dobrowolski, publikując w załączeniu do recenzji²⁾ 33 rejestrów aktów i przywilejów podhalańskich, nie pomieszczonych przez Długopolskiego z powodu braku miejsca.

W „Księgach sądowych wiejskich“ t. II. wydał B. Ulanowski materiały do historii poddanych w starostwie nowotarskiem z czasu 1629—1769 r., a przedewszystkiem obszerne akty sądowe z okresu komorowszczyzny, lustrację starostwa z 1765 r., oraz akty sądowe z czasu ostatniego starosty nowotarskiego, Franciszka Rychtera Pelikańczyka. Zwłaszcza akty procesu Komorowskiego z poddanymi są nieprzebraną kopalnią wiadomości o stosunkach i życiu ludności wiejskiej na Podhalu. Oparł na nich swą doskonałą pracę o rządach Mikołaja Komorowskiego na Podhalu E. Długopolski, ostatnio zaś S. Udziela próbował odtworzyć na ich podstawie obraz życia codziennego Podhala przed 300 laty.

J. Baranowski ogłosił w „Materiałach do dziejów wsi polskiej“ inwentarz wsi starostwa nowotarskiego z 1638 r. przy objęciu starostwa przez Adama Kazanowskiego.

Lustrację starostwa z 1564 r. podaje J. Czubek w swej pracy „Początek i nazwa Zakopanego“ wraz z dwoma dokumentami z r. 1694 i 1762, w sprawie młyna Gąsieniców w Zakopanem.

K. Baran ogłosił szereg dokumentów, ważnych dla historii Nowego Targu³⁾, przeważnie przywilejów królewskich dla miasta, obejmujących okres czasu od r. 1238 (założenie N. Targu na prawie niemieckiem) do r. 1843 (przywilej cesarza Ferdynanda I. na 13 jarmarków rocznie), ponadto zaś w trzech sprawozdaniach gimnazjum nowotarskiego⁴⁾ ekscerpta lustracji z r. 1564, 1636, 1765 i 1767 odnoszące się do miasta Nowego Targu, rejestr

¹⁾ E. Długopolski: Przywileje sołtysów podhalańskich. Rocznik Podhalański, Zakopane—Kraków 1914—1921.

²⁾ Kwartalnik historyczny t. XXXVIII za rok 1924.

³⁾ Prawa i przywileje m. Nowego Targu, wydał Kazimierz Baran, Kraków 1908.

⁴⁾ Za rok szkolny 1909/10, 1912/13 i 1913/14.

domów pogorzałych w Nowym Targu w r. 1719, dokument z 1749 r. dotyczący sporu granicznego między Waksmundem a Nowym Targiem i lustrację wsi starostwa z r. 1767.

W tomie III „Polski XVI wieku“¹⁾ znajdujemy księgę poborową z 1581 r., obejmującą m. in. materiał ze starostwa nowotarskiego, oraz wykaz wsi i miast starostwa spiskiego na podstawie opisów lustracyjnych z 1569 r.

Z dawniejszych wspomnień należy o S. Morawskim, który w swej „Sąddecyźnie“ przytacza szereg dokumentów w tłumaczeniu polskim.

Dyplomatarjusze: małopolski Piekosińskiego, spiskie Wagnera i Bardosiego, oraz węgierski Fejera dopełniają pokąźnego dorobku źródłowego, ogłoszonego dotąd drukiem.

* * *

Badaczów osadnictwa Podhala nęciła zwłaszcza epoka historyczna najwcześniejsza, t. j. wiek XIII i XIV, oraz epoka osad najmłodszych. Na obie te epoki rzuciły sporo światła prace Potkańskiego, Zakrzewskiego, Zachorowskiego, Długopolskiego, parę cennych przyczynków zawdzięczamy Dobrowolskiemu. Z dziejami gospodarczymi Podhala zaznajamia nas Rafacz, Baranowski i Długopolski. Zakopane specjalnie zajmowało Czubka i E. Radzikowskiego. O budownictwie Podhala pisał Matlakowski, o kształtach wsi traktuje świeże dzieło Zaborskiego. Problemów osadniczych dotyka też K. Sochaniewicz w swoim studjum o miarach ziemi na Podhalu. Z. Hołubianka zajmowała się osadnictwem pasterskim. Szereg wiadomości o osadnictwie Podhala znajdziemy również w innych pracach.

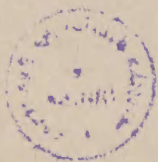
Pragnąc rozjaśnić mroki starego osadnictwa na ziemiach polskich, wziął Potkański za podstawę badań trzy terytorja „deskami od świata zabite“, szukając w zachowanych tam, pierwotniejszych niż gdziekolwiek indziej form społecznych i gospodarczych klucza do wyjaśnienia dziejów osadnictwa polskiego wogóle. Jednym z tych trzech rezerwoarów starych form jest właśnie Podhale.

Osadnictwem Podhala zajmował się Potkański przez szereg lat. Wyniki swoich badań przedstawił poraz pierwszy na posiedzeniu Akademji Umiejętności w r. 1896²⁾, część pracy ukazała się na łamach „Czasu“³⁾ i „Pamiętnika Towarzystwa Tatrzańskiego“ pod tytułem „Pierwsi mieszkańcy Podhala“. Potkański stwarza tu na podstawie studjum starych map swoją teorię prądów osadniczych, streszczającą się w tem, że osadnictwo płynie zawsze z terytorjów gęściej zaludnionych do mniej ludnych, a drogami pochodu

¹⁾ A. Pawiński: Polska XVI w. pod względem geogr.-statyst. Warszawa 1883—1895.

²⁾ K. Potkański: Granice i osiedlenie Podhala. — Spraw. w. h. f. Akad. Umiejęt., marzec 1896.

³⁾ „Czas“ w sierpniu 1896; „Pam. Tow. Tatr.“ r. 1897.



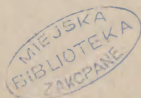
osadnictwa są doliny rzek i strumieni. Na Podhalu szło osadnictwo z przedludnionego pasa nadwiślańskiego, posuwając się z jednej strony dolinami Skawy i Raby ku południowej krawędzi Beskidu, z drugiej zaś doliną Dunajca, przedhistorycznym szlakiem handlowym ku Sączowi, skąd rozszczaiało się na dwie fale: jedna doliną Popradu przesiąkała na Spisz, druga za Dunajcem na dolinę nowotarską, gdzie stykała się z słabszą falą beskidową.

Osadnictwo polskie na Podhalu datuje się — zdaniem Potkańskiego — przynajmniej od XII wieku, ale silniejsze zaludnienie nastąpiło dopiero po XIII wieku, w znacznej mierze dzięki napływowi elementu niemieckiego. Osadnictwo polskie na Spiszu obejmowało pokaźny szmat ziemi między Dunajcem, Popradem i Białką i było tam wcześniejsze od słowackiego. Natomiast Orawę zajął wcześniej element słowacki, który na Podhalu nie sięgnął jedynie z powodu przeszkód natury geograficznej (bagnistość doliny górnego Dunajca) i politycznej (wczesny upadek państwa wielkomorawskiego pod uderzeniem Madjarów).

Jak widać z powyższego, autor nie zagłębia się w szczegóły, lecz daje syntetyczny szkic, nakreślony barwnie i z zacięciem literackim. Sposób traktowania zagadnienia był rewelacją i otworzył nowe horyzonty przed nauką, zamkniętą aż do tej chwili w ciasnych ramach metody filologicznej. W przeciwieństwie do poprzedników Potkański nie posługuje się analizą nazw miejscowych, lecz patrzy na zagadnienie oczyma geografa, dzieje osadnictwa stara się wyczytać z mapy, a w źródłach historycznych szuka jedynie potwierdzenia wniosków, które mu nasuwa fizyczny wygląd kraju. Użyta przez Potkańskiego metoda geograficzna stała się trwałą zdobyczą nauki polskiej.

Oczywiście w podobnym szkicowym obrazie nietrudno o nieporozumienie między autorem a czytelnikiem. Zrywając z jednostronnością metody filologicznej, Potkański zdradza tendencję do przeceniania niektórych przesłanek geograficznych. Z rozróżnienia czterech rzek Podtatrza na polski Dunajec i Poprad, oraz słowacki Wag i Orawę, wyciągnął w odniesieniu np. do Orawy zbyt pochopne uogólnienia o „zupełnej zgodności etnologji z geografją“. Zgodności tej niema dzisiaj i nie było już od szeregu wieków. Geograficznie więcej czynników łączy Orawę z Podhalem, czy innymi częściami byłej Galicji, niż ją od nich dzieli, a widoczny w czasach historycznych proces cofania się wpływów polskich na Orawie ku północy nasuwa co do dziejów osadnictwa w tym kraju wnioski odmienne od tych, do których doszedł Potkański.

Podhalu jest również poświęcone większe studjum Potkańskiego, które wraz z dwoma innymi, dotyczącymi puszczy kurpiowskiej i radomskiej ukażało się pod wspólnym tytułem „Studja osadnicze“ w I. tomie „Pism po-



śmiertnych“¹⁾, wydanych w 13 lat po śmierci autora przez prof. Bujaka. W pracy tej, po wstępie zawierającym obraz geograficzny Podhala (na podstawie Rehmana), autor daje kolejno opis rolniczy Podhala, obraz przedhistorycznego i wczesnohistorycznego osiedlenia naokoło Tatr, dzieje działalności osadniczej od XIII wieku, następnie mówi o gospodarstwie pasterskim w XIII—XVI, o rozwoju rolnictwa, osobny rozdział poświęca ogólnym rozważaniom na temat przejściowych form rolnictwa i osadnictwa, a zamyka nowszymi dziejami osadnictwa podhalańskiego.

Obecność szczepów przedślowiańskich na Podtatrzu uważa Potkański za przejściową, na stałe zajęli kraj dopiero Słowianie, a mianowicie, o ile chodzi o północne stoki Tatr, Wiślanie, którzy są podkładem etnograficznym dla wszystkich późniejszych fal osadniczych Podhala. Osadnictwo polskie na Podhalu zaczyna się od pojawienia się Wiślan i trwa przez cały okres plemiennego osadnictwa, t. j. do XII wieku. Okres ten może być badany tylko etnograficznie, drogą retrospektywną. Historycznie da się badać osadnictwo Podhala od XIII w., jest to wiek akcji kolonizatorskiej Henryka Brodatego. Próby kolonizacyjne tego czasu naogół zawiodły, ruch wzmaga się dopiero w XIV w., kiedy ukazuje się na Podhalu sznurek wsi o nazwach niemieckich. Po wiekowym zastoju przychodzi z końcem XV lub początkiem XVI w. powierzchowna fala wołoska, a prawie równocześnie nowa potężna fala osadnictwa polskiego, która wchłonęła obce napływy i nadała ludności jednolitą fizjonomję polską. Z końcem XVI w. osadnictwo polskie dociera do Tatr, zaludnia też północny Spisz, należący do Węgier. W XVII i XVIII w. osady wyrastają na ostatnim pasie Podhala pod Tatrami w odległości 3 mil od gór. Jest to ostatnia fala osadnictwa.

W rozdziale poświęconym pasterstwu Podhala XIII do XVI wieku przypuszcza autor, że początkowo nie było tu ono lepiej rozwinięte, niż gdzieindziej w Polsce, nie wycisnęło też silniejszego piętna na ziemi. Pierwsze ślady pasterstwa łączą się z Niemcami, później wchodzą w Tatry Polacy, Wołosi i znów Polacy. Polany górskie zajmowano kolejno wedle ich dobroci. Stąd mieszkańcy wsi najstarszych i najdalej od Tatr położonych (w dolinie nowotarskiej) posiadli polany najlepsze, natomiast dla osad późniejszych (pod Tatrami) zostały najgorsze, lub w głębi gór położone.

Na życiu pasterskim Tatr wycisnął silne piętno element t. zw. wołoski. Z powodu nieznamości dawniejszych urządzeń pasterskich nie można dziś rozstrzygnąć, co w urządzeniach tych jest nalotem wołoskim, a co należy do zabytków przedwołoskich.

¹⁾ K. Potkański: Pisma pośmiertne, t. I. Kraków 1922.



Badając rozwój rolnictwa na Podhalu, zwraca Potkański uwagę przede wszystkim na osady najmłodsze, bo powstały one z działania czynników miejscowych „dzięki którym powtórzyły bardzo dawny proces osadniczy“, a powtóre dla tych czasów rozporządzamy większym materiałem źródłowym. W stosunkach Podhala chce autor znaleźć odzwierciedlenie znacznie starszych i pierwotniejszych stosunków ogólnopolskich, które zaginawszy na innych ziemiach Polski, odżyły wskutek specjalnych warunków na Podhalu, bo „ile razy powtórzą się pewne warunki, tyle razy powtórzą się z nimi związane formy społecznego bytu“. Pod wpływem tych warunków równinna ulicówka niemiecka pierwszych wiosek podhalańskich, z podziałem na równe role i z systemem trójpolowym, ustępuje miejsca osadom rozrzuconym na dużych przestrzeniach. Znika trójpolówka. Zboża jare odzyskują przewagę nad ozimymi. Rola staje się znów, jak było na niższych szczeblach rozwoju gospodarczego, rolą-pastwiskiem. Niedaleko za wsią następuje silny wzrost gospodarstwa ekstenzywnego.

Szukając analogii między współczesnym gospodarstwem rolnym i osadnictwem Podhala, a rolnictwem i osadnictwem Polski z doby epoki plemienniej, snuje Potkański garść rozważań na temat przejściowych form rolnictwa i osadnictwa, z których najtypowszą jest uprawa roli przez wypalanie, i związane z niem koczownictwo rolnicze z uprawą tych gatunków zbóż, które pierwotnie dominowały w Polsce, a które i dzisiaj kwitną na Podhalu.

Ostatni rozdział poświęca autor dziejom powstawania osad na polanach górskich. Stwarzała je ciasnota we wsiach w miarę rozmnażania się ludności. Dawne „letniki“ dla owiec przemieniają się w siedziby ludzkie, pierwotnie jednodworczne, z czasem wielodworczne, bezładnie zabudowane. Po przeludnieniu polan z kolei nie było już wolnego miejsca na dalsze exodusy, następowało zato szybkie rozdrabnianie ziemi rolnej. Tak z pojedynczych osad powstawały wsie na większych polanach. Na mniejszych z braku przestrzeni wsie rozwinąć się nie mogły, dlatego dochowało się na nich po dzień dzisiejszy osadnictwo jednodworczne, gdzieindziej w Polsce rzadko spotykane.

Podstawową tezę studjów osadniczych Potkańskiego jest zasada, że osadnictwo kształtuje się pod wpływem warunków fizjograficznych z jednej, społecznych zaś z drugiej strony jako ich funkcja. Nie działają one jednak zawsze z jednakowym natężeniem, wpływ ich może być ilościowo różny. Toteż znając oba czynniki, nie można jeszcze w drodze czysto logicznej dedukcji wnioskować o kształtowaniu się osadnictwa. I odwrotnie, identyczne formy osadnicze nie muszą odpowiadać identycznym formom społecznym, jako bardziej konserwatywne.

Wprowadzenie do badań nad historją osadnictwa geograficznego punktu

widzenia jest niepodzielną zasługą Potkańskiego. Konsekwentnie wykazuje on ścisły związek między dziejami osadnictwa a warunkami fizjograficznymi, stwierdzając, że oddziaływanie przyrody na człowieka, jest ciągle..., daje początek stałym wzajemnym wpływom przez cały długi szereg wieków i ustaje jeśli naród opuszcza zajmowane terytorjum lub jeśli na niem wymiera“. Do uwydatnienia się tego związku pomaga w wysokim stopniu sama natura badanych przez Potkańskiego terenów, a w szczególności Podhala, gdzie wpływ czynników geograficznych rzuca się w oczy. Krajobraz, który na terenach równinnych nie dochodzi prawie do głosu, w górach wręcz rozstrzyga o położeniu i kształtach osad, zwłaszcza wpływa na ich rozrzucenie. Lichość gleby i potrzeba ekstenzywności gospodarczej również zmusza do rozrzucenia osad, a obfitość wody szczególnie do tego zachęca. Siedziby ludzkie wyrastają na linii, która jest wypadkową dwóch dążeń: w górę do słońca i w dół do wody. Słoneczne stoki pokrywają się osadami silniej niż zacienione. Jaskrawo występuje w górach wpływ wiatrów, wyrażając się czy to w doborze miejsca pod osadę, czy w sposobie budowania, czy wreszcie w układzie budynków gospodarczych. Nawet ubiór Podhalanina jest ponoś tak idealnie dostosowany do warunków geograficznych, że pojawiają się głosy, by wprowadzić go jako umundurowanie w pułkach podhalańskich.

Wielką doniosłość ma stworzona przez Potkańskiego konstrukcja prądów osadniczych. Logika, chronologia osad, odtworzona na podstawie przekazów źródłowych, wreszcie wymowa starych map dyktują, że w procesach osadniczych, podobnie jak w świecie fizyki, panuje zasada przelewania się z pełnego w próżne. Kanałami tych prądów są doliny rzek. Wzdłuż rzeki posuwa się człowiek w poszukiwaniu ziemi i chleba, trzyma się jej zwłaszcza w terenach lesistych, opuszcza zaś kierując się ku międzyrzeczu dopiero wtedy, gdy go zmusza do tego konieczność, a ośmiela lepsza znajomość kraju.

Pojęcie terenów przeludnionych i niezaludnionych jest oczywiście dość złożone. O pojemności pewnego terytorjum dla osadnictwa decyduje nie tylko stosunek ilości głów do wielkości przestrzeni (zresztą różny przy różnych stopniach kultury, bo im niższa jest kultura człowieka, tem więcej trzeba — *caeteris paribus* — ziemi do jego wyżywienia), lecz również warunki życiowe, jakie ofiaruje człowiekowi owa przestrzeń niezaludniona. I to jest moment bodaj że decydujący, zwłaszcza na niższych stopniach kultury, kiedy człowiek słabo panuje nad otoczeniem. A warunki przyrodzone Podhala bynajmniej nie zachęcały do osadnictwa.

To tłumaczy nam dlaczego Małopolska będąca już w XII wieku krajem w niektórych swych częściach dosyć gęsto zaludnionym, nie wykazywała aż do XVI wieku jakiejś silniejszej ekspansji osadniczej ku Podhalu. Ale jedno-

częśnie zastanawia, skąd wzięła się na przeszło dwa stulecia przedtem silna niemiecka ekspansja ze Spisza, którą badacze osadnictwa Podhala z Potkańskim na czele przyjmują za fakt nie ulegający dyskusji, cytując różne Waksmundy, Szaflary, Krauszowy i t. d. Wątpliwości pewne nasuwa okoliczność, że Sasi spiscy — jak wykazuje Zachorowski¹⁾ — jeszcze z początkiem XVI w. zamknięci byli na części Spiszu między Hornadem a Popradem, nie stykając się w swej zwartej masie, cechującej ich osadnictwo, bezpośrednio z osadnictwem polskim. Ekspansja osadnicza magnatów węgierskich dotarła do granic Nowotarszczyzny później niż powstały niektóre wsie Podhala o nazwach niemieckich, a posługiwała się w sąsiedztwie Podhala, t. j. w kącie między Białką—Dunajcem i Magurą spiską, żywiołem osadniczym polskim. Ponadto we wsiach Podhala, o które chodzi, spotykamy gdzieniegdzie świadczenia, które Baranowski odnosi do epoki ludności niewolnej, a więc do czasów wcale dawnych. Z drugiej jednak strony trudno nie dopatrzeć się jakiegoś powinowactwa między wioskami nowotarskimi o nazwach niemieckich, a wioskami zamagurskimi w sąsiedztwie Podhala o takich brzmieniach jak: Durstin, Frydman, Kacwin. O ile więc nie ulega wątpliwości fakt infiltracji żywiołów saskich ze Spisza w dolinę nowotarską, o tyle otwarta jest kwestja rozmiarów i siły tej infiltracji. Być może ograniczała się ona do żywiołów nielicznych, przeważnie zapewne kierowniczych, które wywarły wpływ na osadnictwo i ustrój wsi, lecz same przez się nie „zaludniły“ doliny nowotarskiej. Do domysłu takiego zachęca analogia stosunków Sądeczyny, która zresztą leżąc na prastarym szlaku komunikacyjnym między dorzeczem Dunajca a dorzeczem Wisły, łatwiej była dostępna dla wpływów zewnętrznych, niż położone na boku Podhale.

Sposób w jaki podchodzi Potkański do zagadnień osadniczych, odznacza się pewnym, dla umysłowości autora bardzo znamienym rysem. Jest to tendencja do łączenia zjawisk społecznych i fizycznych w związki przyczynowe, które pozwalałyby na formułowanie jeśli nie praw w znaczeniu przyrodniczym, to przynajmniej prawidłowości. Potkański jest z urodzenia przyrodnikiem, z wykształcenia historykiem. Ma duszę przyrodnika. Nie dziw więc, że marzył o rzuceniu pomostu między dyscypliną humanistyczną a przyrodniczą i o oparciu zagadnień historycznych na podwalinach myślenia przyrodniczego. Marzeń tych nie urzeczywistnił, zresztą jest to — jak słusznie zauważył prof. Bujak²⁾ — niemożliwe przy dzisiejszym stanie nauki. Niemniej przeto pionierskie te próby są cenne jako drogowskazy dla pochody nauki. Nie trzeba

¹⁾ Węgierskie i polskie osadnictwo na Spiszu do połowy XVI w. Rozpr. Ak. Umiej T. 52, r. 1909.

²⁾ W przedmowie do I tomu „Pism pośmiertnych“ Potkańskiego.

chyba dodawać, że właśnie historia społeczna jest działem historii, który naj- silniej ęci do prób tego rodzaju.

Praca Potkańskiego daje nam obraz osadnictwa stanowiący pewną całość, tak chronologicznie, jak i rzeczowo. Nie wyczerpuje wszystkich zagadnień, tylko najbardziej istotne. W doskonałym ujęciu rysuje nam to, co najważ- niejsze w dziejach człowieka na ziemi: proces zajmowania i opanowywania ziemi przez człowieka. Reszta to już szczegóły, cenne jako rozwinięcie, uzu- pełnienie lub sprostowanie. Praca Potkańskiego jest jakgdyby ramą, w której mieszczą się badania innych uczonych, poświęcone tej czy owej kwestji, temu czy owemu okresowi czasu.

Takich prac szczegółowych mamy cały szereg.

Roli kolonizacyjnej Cystersów, osadzonych w pierwszej połowie XIII w. w Ludzimierzu, a przeniesionych wkrótce potem do Szczyrzyca, poświęca wyczerpującą pracę St. Zakrzewski¹⁾. W sześciu rozdziałach swej pracy Za- krzewski dał przegląd i analizę dokumentów, odnoszących się do dziejów klasztoru, skreślił początki fundacji 1231—1241 r., rozwój prawa niemieckiego w kluczu mogiłańskim i szczyrzyckim, dzieje parafji szczyrzyckiej, stosunki w nowotarszczyźnie, a wreszcie zajął się wiekiem XIV. Celem pracy było oświetlenie krytyczne sądu Długosza o rozkwicie, zasługach i upadku klasztoru wskutek konfliktu z królem Ludwikiem. Wedle Długosza klasztor odegrał pierwszorzędną rolę w dziejach osadnictwa Podhala. Otrzymałszy bowiem pustą ziemię, stworzył swą pracą wielkie majątki, obejmujące trzynaście po- siadłości w Nowotarszczyźnie oraz w częściach powiatu limanowskiego i są- deckiego. Owocna ta praca załamała się tragicznie za Ludwika Węgierskiego. Opat klasztoru wydzierżawił gród w Szaflarach wychrzcie, który zaczął bić fałszywą monetę. Gdy mimo upomnień królewskich opat nie usunął wychrzty, król zburzył gród, spalił fałszerza i skonfiskował majątki klasztoru na Podhalu.

Z tego wynikałoby, że romańscy Cystersi, a więc czynnik obcy, byli pierwszymi, którzy opanowali gospodarczo Podhale aż do Poronina, i że późniejsze pokolenia spożywały jedynie owoce tej dwuwiekowej, katastro- falnie przerwanej pracy cywilizacyjnej.

Opowiadanie Długosza, brane dosłownie aż do nowszych czasów (m. in. przytacza je Zejszner w swoim opisie Podhala), prof. Zakrzewski gruntownie przenicował, dowodząc, że wielkie zasługi kolonizacyjne Cystersów na Pod- halu są legendą. Na podstawie wyczerpującej analizy szeregu dyplomów, odnoszących się do najstarszych dziejów klasztoru, Zakrzewski dochodzi do wniosku, że próby kolonizacyjne Cystersów na Podhalu zawiodły, natomiast

¹⁾ St. Zakrzewski: Najstarsze dzieje klasztoru Cystersów w Szczyrzycu 1238—1382. Przyczynek do dziejów osadnictwa na Podhalu. Rozprawy Ak. Um. w. h. f. I. 41. (1902).

praca ich w ciągu XIII i XIV w. wydała owoce w dobrach położonych poza Podhalem, a to lepsze w kluczu mogiłańskim, słabsze w szczyrzyckim. Zakrzewski wykazuje, że z trzynastu posiadłości, które Długosz wymienia jako klasztorne, siedm było królewsczyznami jeszcze przed ową rzekomą katas strofą za Ludwika. Prócz własności niektórych wsi przysługiwały klasztorowi na obszarze całej Nowotarszczyzny pewne prawa użytkowe, które jednak przestały być respektowane, gdy zabrakło przyjaciół klasztoru. Do różnych majątków w Nowotarszczyźnie klasztor podnosił pretensje, uważając się za spadkobiercę swego patrona Zdzisława, przodka Śreniawitów szczyrzyckich, czy też Ratołdów, a do poparcia swych roszczeń nie cofał się przed fałszowaniem dokumentów. O niektóre wsie nowotarskie zaczął klasztor procesować się dopiero w połowie XVI w.

Wedle Zakrzewskiego akcja kolonizatorska Podhala była w XIII wieku wypadkową ścierania się wpływów polskich, których organizatorką była władza książęca, i węgiersko-niemieckich, ułatwianych przez żywe stosunki posko-węgierskie w XII—XIV w. W ciągu XIV wieku, pod koniec panowania Łokietka i za Kazimierza Wielkiego, pracę osadniczą na Podhalu prowadzili głównie Śreniawici, a obok nich także klasztor.

Zestawiając cyfry procentowe ziemi uprawnej dochodzi Zakrzewski do wniosku, że najwięcej ziemi wziął klasztor pod uprawę „tam gdzie i dla innych były znośne warunki gospodarcze“ t. j. pod Krakowem, najmniej zaś w kluczu ludzimirskim; że jednym słowem „romańska Vallis S. Mariae nie umiała się wywiązać z cywilizacyjnej misji na Podtatrzu“, bo brakło jej „twardych karków i mocnych rąk“, których wymaga każda praca kresowa. Na usprawiedliwienie klasztoru przytacza ciężkie warunki geograficzne, społeczne, polityczne i gospodarcze.

Myśl przewodnią swej rozprawy przeprowadził Zakrzewski z konsekwencją, w której jest coś prokuratorskiego. Lecz jeśli nawet pewne wnioski autora, oparte na podstawach zbyt szczupłych, można zakwestjonować jako przedwczesne, to z drugiej strony trudno zgodzić się z twierdzeniem St. Krzyżanowskiego¹⁾, jakoby cały obraz działalności Cystersów na Podhalu skreślony przez Zakrzewskiego był chybiony. Nie ulega bowiem wątpliwości, że klasztor okazał się za słabym do skutecznej walki z ciężkimi warunkami Podhala. Dowodem tego jest choćby fakt szybkiego wycofania się z Ludzimirza w okolice bliższe ludzi i Boga. Gospodarękę skrętną i owocną rozwijał, ale nie na Podhalu. Skłonność do rozszerzania się objawiał, lecz w kierunku Krakowa. Zresztą Cystersi szczyrzyccy nie są zjawiskiem odosobnionem.

¹⁾ Szczyrzyc, w Kwartalniku histor. 1904.

Uderzające analogie nastęcza klasztor Klarysek w Nowym Sączu, które osadzone w warunkach znacznie pomyślniejszych i doskonale uposażone nie umiały zdobyć się na ekspansję, czyto doliną Dunajca ku Podhalu, czy też doliną Popradu na Spisz, i ograniczyły się do pracy nad lepszym zagospodarowywaniem obszarów, opanowanych przez osadnictwo przed objęciem ich w swe posiadanie.

Podnoszono, że akcję kolonizacyjną na Podhalu utrudniały przez długi czas zatargi między klasztorem a władzą królewską, która w istocie — jak wnosić można z pewnych śladów — postępowała czasem z klasztorem w sposób dość bezceremonjalny. Ale kto wie, czy nie należałoby tego związku przyczynowego odwrócić i czy postępowanie takie nie było właśnie następstwem bierności kolonizacyjnej klasztoru. W sprawach tego rodzaju, jak uprawnienia na ziemiach kresowych, musiała decydować faktyczna tężyzna. Przywilejowi pisanemu powinien był klasztor swą pracą wlać krew i życie, jeśli nie miał on zostać bezdusznym skrawkiem pergaminu; a to — jak można przypuszczać — nie stało się. Dlatego nie należałoby się dziwić, że nad pretensjami klasztoru życie przechodziło do porządku dziennego i że niewyraźne tytuły prawne musiały ustępować miejsca wyższej racji państwowej. W dziejach Spisza XIII w. spotykamy się z wypadkiem, gdzie bardzo konkretne nadanie ze strony króla węgierskiego wskutek bezczynności osoby obdarzonej poszło w zapomnienie, a w miejsce to przyszedł inny element, zasobny i silny.

Tą samą epoką, choć innem terytorjum, zajmuje się St. Zachorowski w pracy „Węgierskie i polskie osadnictwo na Spiszu do połowy XIV w.“¹⁾. Praca dotyczy wprawdzie obszaru leżącego poza Podhalem, ale rzuca światło także na nasze stosunki, przeprowadzając porównanie między Spiszem a Podhalem, oraz wykazując wpływ osadnictwa na kształtowanie się granic politycznych Podhala. Autor, uczeń Potkańskiego, zostaje pod wyraźnym wpływem mistrza, o ile chodzi o metodę pracy, zmierza jednak do innych niż Potkański celów. Podczas gdy Potkański interesuje się osadnictwem głównie jako masowym procesem społeczno-gospodarczym, Zachorowskiego zacięka w pierwszym rzędzie kto i dla jakich celów kierował ruchem kolonizacyjnym, a dopiero później, jakim materiałem ludzkim posługiwał się dla przeprowadzenia swoich zamierzeń. Potkański szuka praw rządzących życiem grupy, Zachorowski stara się poznać jednostki kierujące masą i odnoszące zwycięstwa nad prawami, które usiłuje dyktować człowiekowi nieprzyjazna przyroda.

W czterech rozdziałach swej pracy Zachorowski omawia kolejno: wa-

¹⁾ Rozprawy Akademii Umiejętności. T. 52 (r. 1909).

runki topograficzne Spisza i tendencje rozwojowe osadnictwa węgierskiego z nad Hornadu; osadnictwo niemieckie na Spiszu, które magnackim rodem węgierskim Berzeviczych i Görgów, mającym obszerne nadania od królów węgierskich na Spiszu, dostarczyło materiału ludzkiego do rozszerzenia się za Poprad; polski ruch osadniczy na Podhalu w kotlinie nowosądeckiej i w związanym z nią cyplu spiskim; zwycięstwo planowego ruchu osadniczego węgierskiego nad bezplanowością polskiego osadnictwa.

W XII i XIII wieku większą część Spisza pokrywała puszcza dziewicza, która była naturalną granicą między Polską a Węgrami. Władztwo obu państw sięgało po brzeg puszczy, t. j. tak daleko, jak daleko sięgało osadnictwo. Pochód osadnictwa był w tych warunkach równoznaczny z rozszerzaniem granic państwa. Rozumiały to dobrze odpowiednie czynniki węgierskie, toteż w ciągu XIII wieku planowym postępowaniem posunęły osadnictwo znacznie na północ i przez gospodarcze opanowanie lesistego pasa granicznego stanęły pod boki osadnictwa polskiego. Ponieważ jednak nadania monarsze wyprzedzały potrzeby gospodarcze, miejscowy żywiol ludzki nie wystarczał na przeprowadzenie akcji kolonizacyjnej i trzeba się było oglądać za żywiółem cudzym. Tym materiałem osadniczym byli najpierw Sasi, później Polacy. Przy pomocy Sasów magnacki ród Berzeviczych zagospodarował w ciągu XIII wieku prawie cały pas ziemi między Popradem i grzbietem Magury Spiskiej, a nie mając innej drogi do dalszego pochodu, przekroczył łańcuch Magury spiskiej; druga rodzina węgierska Görgów posuwała się, choć słabiej, w tym samym kierunku, a założywszy na przełomie XIII i XIV w. Toporzec u stoku Magury, skierowała swą ekspansję w bok przez Magurę ku Dunajcowi.

Inaczej wyglądało polskie osadnictwo. Dolinami Raby i Dunajca szedł na południe ruch osadniczy samorodny, bezplanowy, a wskutek tego w wysokim stopniu zależny od warunków fizjograficznych. Od połowy XIII wieku przez wiek zgórą obszar osadniczy polski na Podhalu nie powiększał się, a i w tych granicach nastąpił w pracy osadniczej zastój, wskutek czego nie mogły narosnąć siły, niezbędne dla dalszego rozszerzania się.

Drugi prąd osadniczy polski, idący od bardzo dawnych czasów doliną Dunajca, mógł być podstawą dla kolonizacji zakarpackiej, lecz utknął wskutek oddania klucza sandeckiego klasztorowi Klarysek, który nie miał dość rozmachu ani doświadczenia gospodarczego, by przerzucić się za Pieniny. Głębszą przyczynę tego zastoju upatruje Zachorowski w fakcie, że między kotliną sandecką a puszcza karpacką ciągnęły się drobne posiadłości rycerskie, które same nieczynne, zagradzały drogę innym czynnikom.

Ostatnim etapem pochodu węgierskiego na północ było skolonizowanie

przez magnata węgierskiego Kokosza na początku XIV w. północnych stoków Magury w bezpośrednim sąsiedztwie Podhala. Prawie równoczesne powstanie wiosek tego pasu oraz pewne zjawiska etnograficzne dowodzą, że pas ten skolonizowali Węgrzy elementem polskim, rekrutującym się z Podhala i dalszych okolic Polski.

Podstawą więc kolonizacji Spisza była sprawa organizacji: kresów przez państwo i gospodarstwa przez wielką własność. Wielka własność węgierska, mając monopol osadnictwa, zdołała pokonać przeszkody naturalne i brak własnego materiału osadniczego. Drobną własność polską była słaba i nieczynna, dlatego od połowy XIII do połowy XIV wieku nie posunęła granicy polskiej a w XIV w. nie przekroczyła linii Dunajca ku Magurze spiskiej, choć materiału osadniczego było dosyć. Polskie posiadłości nad Popradem Lubowla, Gniazdo, Podoliniec uległy osaczeniu przez osadnictwo węgierskie i odpadły od Polski w latach 1315—1320.

Założeniem rozprawy Zachorowskiego jest myśl, że jeśli dwa państwa oddziela od siebie bezludny pas, na kształtowanie się linii granicznej wpływa zasięg osadnictwa, przyczem jednak za gospodarzem musi iść polityczne opanowanie danego obszaru. Planowa kolonizacja pograniczna może być prowadzona tylko przez żywioły silne gospodarczo (możnowładztwo). Jeśli natomiast proces osadniczy rozwija się samorzutnie i bezplanowo, to mimo obfitego materiału osadniczego i korzystniejszych warunków topograficznych państwo przegrywa pokojową walkę o granicę.

Studjum swoje oparł Zachorowski na źródłach zarówno polskich jak węgierskich, dzięki czemu mógł śledzić zagadnienie niejako z dwóch stron. Jest to szczególnie ważne w pracy, konstruowanej na podstawie źródeł dość skąpych i wymagającej częstego posługiwania się rozumowaniem nieomal matematycznym i wnioskowaniem przez analogję.

Z zastrzeżeń, które tu i ówdzie możnaby poczynić na marginesie tej wzorowej pracy, ograniczymy się do najbliższej nas obchodzącej sprawy kolonizacji północnych stoków Magury spiskiej. Jest to część pracy najciekawsza, bo właśnie na tem terytorjum planowa ekspansja węgierska odniosła najklasyczniejsze zwycięstwo nad polską improwizacją, bijąc nas — naszym własnym materiałem osadniczym. Sprawa ta wymagałaby omówienia szerszego, niżto autor uczynił. Zachorowski stwierdza, że w XIV wieku była na tem terytorjum zwarta ludność polska i że napłynęła ona z innych ziem Polski. Z pewnością tak było, ale skoro autor usiłuje to udowodnić, nie wystarczy czytelnikowi wymowa dzisiejszej mapy językowej, na którą autor powołuje się, ani też argument, że skoro w trzynastu miastach spiskich, zostających przy Polsce od XV do XVIII w., żywioł polski nie wzrósł w tym czasie, to

tem bardziej nie mógł wzrosnąć w Zamagurzu, które do Polski nie należało. Wiadomo przecież, że na Orawę, która od wieków nie należała do Polski, przesiąkał aż do ostatniej doby żywiół góralski z Podhala.

Są też w tej części pracy nawet pewne sprzeczności, np. w jednym miejscu powiada autor, że nazwa i pierwotna ludność Landeku jest słowacka, w innym zaś przyjmuje twierdzenie dra Czambella, iż „Polacy na Spiszu nigdy i nigdzie nie stykali się ze Słowakami“, i umieszcza Landek wraz z szeregiem innych wsi, jak Jaworzyną, Zdziarem, Krighem, Ruźbakami, Kołackowem, Nową Lubowlą na południowej linii granicznej obszaru etnograficznie polskiego.

Zakopanem specjalnie zajmował się — jak wspomnieliśmy — St. E. Radzikowski i Jan Czubek. Radzikowski zebrał w „Słowniku geograficznym“ sporą wiązkę wiadomości, dotyczących warunków geograficznych, zaludnienia i stanu bydła w latach 1818, 1848 i 1890, polan i ról uprawianych, historii, a wreszcie nazwy Zakopanego. Szuka on początku Zakopanego przed 1578, nazwę wywodzi od słowa „kopać“, ma ona oznaczać miejsce „utworzone przez wycięcie lasu, lub świeżo założoną osadę“. Ze szczegółów obchodzących nas tu bliżej zanotować wypada jego uwagę, że górale zakopiańscy nabyli części hal dopiero w nowszych czasach (jedynie hala Gąsienicowa jest cała w rękach jednego rodu), oraz informacje o kuźnicach zakopiańskich, w których na początku XIX w. było zajętych 140—160 robotników, po roku zaś 1834, w okresie największego rozkwitu, pracowało stale 540 ludzi.

W Pamiętniku Tow. Tatrzańsk¹⁾ zamieścił tenże autor dłuższą pracę o „Zakopanem przed stu laty“, omawiając przywileje, związane z dziejami Zakopanego od początku istnienia, stosunki społeczno-gospodarcze w starostwie nowotarskiem, lustrację Zakopanego z 1765 r., a wreszcie dzieje górnictwa za Stanisława Augusta. E. Radzikowski stwierdza, że Zakopane powstało samorzutnie z letników dla owiec, dlatego nie miało sołtysów, podobnie jak i kilka innych sąsiednich wsi. Było zorganizowane prawdopodobnie na zasadzie prawa wołoskiego. Jako wieś późnego pochodzenia, nie miało hal w Tatrach, przynajmniej nie wymieniają ich przywileje królewskie. W XVII wieku Zakopane — jak można przypuszczać — szybko wzrastało, ale pierwsza o niem wzmianka w źródłach pochodzi dopiero z r. 1630. Tradycja miejscowa łączy najsilniejszy rozwój Zakopanego z czasami i osobą Marjanny Wielopolskiej, długoletniej starościny nowotarskiej pod koniec XVII i z początkiem XVIII w. Z brzmienia lustracji 1765 r. wnioskuje Radzikowski, że w czasie tym Zakopane liczyło 10 i pół ról a 42 polan i że tę ilość polan

¹⁾ Pam. Tow. Tatr. 1901 i 1902.

wobec konserwatyzmu cyfr w lustracjach należy odnieść do czasów Wiśniowieckiego, względnie nawet Batorego. Wynikałoby z tego, że już z początkiem XVII w. Zakopane „było ludniejsze niżby się to zdawać mogło“. Pod koniec XVIII w. liczyło Zakopane — jak wnosi autor z porównania ilości głów w 1818 i 1848 roku — około 1000 mieszkańców.

Wbrew wywodom Radzikowskiego prof. Czubek twierdzi¹⁾, że przywileju Batorego na osadzenie Zakopanego nigdy nie było, ale że mógł istnieć już w końcu XVI wieku związek Zakopanego pod postacią osady N. Gąsienicy, którego potomkowie mieli młyn „między wodami Białą i Ciche“. Ostatnimi wsiami ku Tatrom były w XVI wieku Czarny i Biały Dunajec. W spisie wsi 1616 r. Zakopanego jeszcze nie wymieniono, luźne jego osady (Gąsieniców, Bachledy, Kurtka) mogły należeć do Białego Dunajca, który w r. 1564 liczył ledwie 6 kmieci, a dopiero w r. 1579 otrzymał sołtystwo. Poronin powstał na resztkach pół Białego Dunajca, wyodrębniając się w osobną wieś za rządów Witowskiego (początek XVII w.). Z Poronina pojedyncze osady szły dolinami Cichej Wody i Bystrej ku Kuźnicom i Kościeliskiej. Jak widać z powyższego, Czubek ocenia znacznie skromniej i dawność i wielkość Zakopanego.

Niewymienianej długo w źródłach wsi Zakopane, domyśla się Czubek zgodnie z Radzikowskim, w Nowej Osadzie, o której mówi inwentarz z r. 1628. Dzisiejszą nazwę uważa za ludową i wywodzi ją etymologicznie ze słowa: kopane = miejsce wykarczowane na polanę²⁾.

Zasłużony historyk Podhala Edmund Długopolski, wydawca „Przywilejów sołtysów Podhalańskich“, do zagadnień osadniczych wracał kilkakrotnie. Nawiązując do chronologii osadnictwa Podhala, poruszonej przez Balzera w „Sporze o Morskie Oko“, powziął autor zamiar nakreślenia obrazu osadnictwa, w którym chciał „w wyższym stopniu wejść w ścisły związek między plastyką terenu, a stopniowem posuwaniem się osiedlenia na Podhalu...“, niż to w poprzednich pracach zostało uwytatnione³⁾. Jak widać nauka Potkańskiego z „Pierwszych mieszkańców Podhala“ nie poszła w las. Niestety autor w swem „Osiedleniu Podhala“ nie wyszedł poza część pierwszą, w której przedstawił warunki fizjograficzne kraju. Mamy tu określenie pojęcia i granic Podhala, charakterystykę terenu i właściwości gleby, szkic sieci wodnej, rys stosunków klimatycznych, wreszcie opis fauny i flory. Podhale dzieli on na cztery pasy równoleżnikowe, różniące się między sobą wzniesieniem i rzeźbą

¹⁾ J. Czubek: Początek i nazwa Zakopanego w Roczniku Podhalańskim.

²⁾ Było więc pierwotnie: na polanie za kopanem, potem na za Kopanem, na Zakopanem, w Zakopanem.

³⁾ E. Długopolski: Osiedlenie Podhala I. Spraw. gimn. I w Tarnopolu za rok szk. 1909.

terenu, oraz właściwościami gleby, a to: 1) doliny tatrzańskie, 2) kotlinowate zagłębienie między Tatrami a Gubałowskim wzniesieniem, 3) Gubałowskie wzniesienie, 4) równina nad Dunajcami. Doliny tatrzańskie obfitują w wyborną paszę, nie nadają się natomiast, z powodu zbyt wysokiego położenia, do uprawy roli; kotlina Zakopanego ma glebę dość urodzajną choć niełatwą do uprawy, a wał wzniesienia Gubałowskiego chroni ją od wiatrów północnych; wzniesienie Gubałowskie z glebą gliniastą i jałową nadaje się wyłącznie na pastwiska, dolina nowotarska jest najdogodniejsza dla osadnictwa, lecz z powodu przewodnienia ma niezbyt wiele ziemi zdatnej pod pług. Sieć wodna Podhala urobiła swem erozyjnym działaniem w poprzednich epokach geologicznych glebę, umożliwiającą osadnictwo i dlatego była „naturalnym drogowskazem, za którym posuwali się osadnicy w głąb zalesionych obszarów“.

Pierwszy rozdział swego studjum o „Rządach Mikołaja Komorowskiego na Podhalu“¹⁾ Długopolski również poświęcił osiedleniu Podhala. W dziełach tego osadnictwa przed Komorowskim rozróżnia dwa okresy: pierwszy obejmuje XIII i XIV w. jest to okres powstawania osad na prawie niemieckim (Nowy Targ, Rogoźnik, Szaflary, Gronków, Dębno, Harkłowa, Waksmund, Krauszów, Ludzimierz, Długopole, Ostrowsko, Klikuszowa), drugi cechuje wzrost kapitalizmu i ucisku chłopskiego, a rozwija się on w drugiej połowie XVI i na początku XVII wieku. Pierwszy nazywa autor okresem wsi czynszowych, drugi — wsi danych i roboczych. Ewolucja w kierunku ujednostajnienia obu ustrojów dokonywa się w XVI w., spory o robocizny wybuchają z końcem XV i na początku XVI wieku.

Osadnictwo wołoskie na Podhalu nie ma osobnego opracowania, ale na zagadnienie to rzucają światło prace, poświęcone wogóle osadnictwu wołoskiemu w Karpatach. Zajmował się nim jeszcze w połowie XIX w. A. Stadnicki²⁾ dowodząc, że wsie t. zw. wołoskie zaludnił rdzenny element wołoski, który do Polski przyszedł zapewne z Węgier lub przez Węgry. Okresem stałego osadnictwa wołoskiego były — zdaniem autora — czasy panowania obu Zygmuntów. Później formy organizacyjne osadnictwa wołoskiego rozpowszechniły się, obejmując także element miejscowy,

W odniesieniu do Sądeczyny twierdzi L. Białkowski³⁾, że wsie wołoskie zamieszkiwali od początku Rusini. Szczyplność wzmianek o tych wsiach tłumaczy wyłącznością władzy sądowniczej sołtysa. Zupełny brak ospów

¹⁾ W Pamiętniku Tow. Tatrzańkiego za r. 1911.

²⁾ A. Stadnicki: O wsiach t. zw. wołoskich na północnym stoku Karpat. Lwów 1848.

³⁾ Białkowski: Ziemia Sandecka, stan jej społeczny i gospodarczy w pierwszej połowie XVI w.

i minimalna robocizna dowodzą pasterskiego ich charakteru; rolnictwo natomiast uprawiano tylko w granicach własnych potrzeb.

Dla Długopolskiego¹⁾ zagadnienie osadnictwa wołoskiego jest przede wszystkim zagadnieniem nowego typu organizacyjnego wsi i nowych form gospodarczych, których domagały się warunki życia górskiego. Ewolucję dyktowaną specyficznymi warunkami lokalnymi, ułatwił i przyspieszył ruch rumuńskich żywołów pasterskich, które ze względów politycznych opuszczały ojczyznę i ciągnęły do Polski, a to albo na północ, w Bełzkie, Wołyń i Chełmszczyznę, albo na zachód wzdłuż Karpat, począwszy od XV wieku. Osadźcami wsi wołoskich byli, zdaniem Długopolskiego, Wołosi, osadnikami zaś ruski element etniczny. Omówiwszy organizację i ustrój wsi wołoskiej, stwierdza Długopolski, że w Nowotarszczyźnie pewne sprawy były uregulowane inaczej „ale te wsie były w zasadzie lokowane na prawie niemieckiem i tylko szereg zwyczajów prawa wołoskiego przyjęły“.

O ile Wołosi wycisnęli silne piętno na życiu pasterskiem w Tatrach, o tyle wpływów ich na osadnictwo Podhala, jak twierdzą zgodnie Długopolski i Potkański, nie należy przeceniać.

Osadnictwu wołoskiemu w Polsce poświęca sporo miejsca uczony czeski Karol Kadlec w dziele: „Valaši a valašské právo w zemích slovanských a uherských“²⁾.

Odnośnie do ziem Polski Kadlec zebrał — jak stwierdza K. Sochaniwicz³⁾ — dotychczasowe wyniki badań Stadnickiego, Lubomirskiego i Hruszewskiego, przyczem urwał rozwój zagadnienia już na XVI wieku.

Praca Kadleca, oparta na rozległym materiale, daje syntezę zagadnienia na ziemiach słowiańskich i węgierskich. O ile chodzi o pochodzenie Wołochów, czeski uczony wyznaje teorię Roeslera, wedle której Wołosi przybyli na ziemie rumuńskie z półwyspu bałkańskiego pod koniec XII w. Długie współżycie z Słowianami uczyniło z nich naród na poły słowiański. Z początkiem XIII w. pojawili się Wołosi w Siedmiogrodzie, w początkach XIV w. są w Marmaroszu, w drugiej połowie XIV w. na Rusi Halickiej, z początkiem XV w. na Podhalu i Orawie, w pierwszej połowie XVI w. na Śląsku cieszyńskim i na Morawach. Prawo wołoskie na Węgrzech było terytorjalne, w Polsce i Czechach zawodowe. W Polsce specjalnie prawo wołoskie nie mogło rozwinąć się, bo było słabe, zresztą przy znacznej ilości wsi wołoskich mało było samych Wołochów.

W świetle wywodów Kadleca przyczyny wędrówek wołoskich sięgają

¹⁾ Długopolski: Przyczynki do osadnictwa wołosk. w Karpatach. 1915.

²⁾ Praga 1916.

³⁾ W recenzji dzieła Kadleca, ogłoszonej w kwart. histor. 1916.

głębiej, niż mniemał Długopolski. Bezspornie wypadki wojenne i polityczne, które rozgrywały się w Rumunji od połowy XIV w., przy równoczesnem bezpieczeństwie w potężnej Polsce Jagiełły, musiały być bodźcem dla tego ruchu, ale stanowił on tylko jedno z dalszych ogniw wielkiego procesu, który znacznie wcześniej rozpoczął się w Tessalji i Epirze z linjami kierunkowemi na Dunaj i ku Adrjatykowi.

Zasiąg kolonizacji wołosko-ruskiej na polskiem Pogórze i Podhalu badał T. E. Modelski¹⁾, stwierdzając na podstawie nazw topograficznych i śladów ze źródeł, że zasiąg ten dochodzi po Kęty, Wadowice, Myślenice, Dobczyce, Nowy Sącz i Grybów, Gorlice, Biecz, natomiast na ziemiach ruskich jest szerszy. Wołosi pojawiają się na omawianych terenach z końcem XIV w., podobnie jak i na ruskich ziemiach, w XV w. są już na całym Pogórze i Podhalu, oraz Żywiecczyźnie, w XVI w. sięgają na Morawy. Fakt, że ruska dziś osada istniała z początkiem XIV w. na Spiszu, lub w połowie XV w. w Muszyńskim, nie dowodzi, słusznem zdaniem autora, że wieś ta już wówczas była ruska. Pas ziemi między Popradem a Jasiołką i Wisłokiem kolonizował się Rusinami dopiero w XV—XVII wieku, natomiast przedtem był rdzennie polski.

Dziejami gospodarczemi Podhala zajmowali się Baranowski²⁾, Rafacz³⁾ i Długopolski⁴⁾. Baranowski skreślił na tle dziejów osadnictwa, od XIII w. poczynając, życie gospodarcze Podhala w XVI i XVII w., Rafacz dał ciekawy odcinek dziejów z końca XV w., Długopolski wprowadza nas w życie Podhala z pierwszej połowy XVII w. Zajmiemy się najpierw obu ostatnimi.

Starostwo nowotarskie, pozostające przez cały wiek XV, prócz lat 1474 do 1477, w rękach Ratołdów ze Skrzydłnej, pod koniec tego wieku było podzielone między kilku braci Ratołdów, z których Marek dzierżył Nowy Targ, Szaflary i parę wsi. Działalność Marka Ratołda, skreślona przez Rafacza, jest charakterystyczna z tego powodu, że ciemniżył on ludność, oraz dążył do podniesienia gospodarki, a w szczególności do wprowadzenia gospodarstwa folwarcznego, będąc w obu względach protoplastą duchowym Komorowskiego. Z trzech kategorii ówczesnej ludności, t. j. mieszczan, sołtysów i poddanych, najsilniejszymi gospodarczo byli sołtysi. Warstwa pod-

¹⁾ T. E. Modelski: Kolonizacja wołosko-ruska na polskiem Pogórze i Podhalu. Spraw. Tow. Naukowego we Lwowie 1924.

²⁾ I. Baranowski: Karta z życia gospodarczego Podhala. Wieś i folwark. Warszawa 1914.

³⁾ Józef Rafacz: Dzierżawa szaflarsko-nowotarska Marka Ratołda w XV w. Rocznik Podhalański.

⁴⁾ Długopolski: Rządy Mikołaja Komorowskiego na Podhalu. Pam. Tow. Tatr. r. 1911.

danych nie była jeszcze zróżnicowana na kmieci, komorników i zagrodników i składała się tylko z nielicznych kmieci. Prócz opłat kmiecie wykonywali 1—4 dni robocizny w roku i składali pewne daniny w naturze, zaczątki daniny baraniej.

Marek Ratołd dążył do zwiększenia powinności od Nowotarzan, domagał się robocizny oraz świadczeń analogicznych z wsiami, ukrócał prawa sołtysów, obciążał chłopów robocizną 2 dni w tygodniu, bardzo wysoką jak na góry. Dążąc do przemiany gospodarstwa z czynszowego w folwarczne podwyższał robocizny, lecz nie rezygnował z danin. Walka Ratołda z poddanymi zakończyła się procesem pomyślnym dla poddanych.

Powyższy epizod dziejów Podhala interesuje nas głównie z dwóch względów. Zczątki dani baraniej wskazują, że uprawiano tu na dość dużą skalę pasterstwo, choć nie wiadomo, czy hodowla owiec występowała już wówczas — jak twierdzi autor — obok rolnictwa „jako drugi równie ważny kierunek gospodarki“. Pierwsza próba gospodarstwa folwarcznego na Podhalu, jest ciekawa może właśnie dlatego, że nie powiodła się. Przyczyną niepowodzenia był obok rezolucyjności górali, brak rąk do pracy, bardzo dotkliwy skoro w 70 lat później, po intensywnej akcji kolonizacyjnej Pieniążków największe Szaflary liczyły 18 kmieci, Długopole sześciu, a Niedźwiedź dwóch tylko. Ale nie można też zapoznawać przyczyn natury geograficznej, a zwłaszcza odcięcia Podhala od rynków zbytu wskutek utrudnionej komunikacji. Dążenia Marka Ratołda podjęli później Pieniążkowie, Komorowski, Kazanowski i celu swego — jak twierdzi autor — dopięli. Otóż dopięli go tylko względnie, bo dochody z folwarków stanowiły zawsze ledwie jedną trzecią dochodów z tenuty, specjalnie zaś dochód ze zboża ledwie 5 procent. Natomiast lwia część dochodów płynęła z czynszów i danin. Widać więc że o przekształcenie gospodarstwa nie warto było kruszyć kopij tak ostro, jak to w pewnych okresach czyniono.

Długopolski opisując wyczerpująco dzieje kilkuletniej walki (1624—1633) starosty Mikołaja Komorowskiego z duchowieństwem, szlachtą, sołtysami i poddanymi, zakończoną porażką Komorowskiego, słusznie stwierdza, że przyczyną tej walki nie był wyłącznie charakter pana starosty, jego pieniactwo, zachepliwość i zachłanność na grosz. Zmieniając czynsze dotychczasowe na robocizny w naturze, zwiększając robocizny, podwyższając daniny, jest Komorowski wyrazicielem dążeń szlachty, które na innych terytorjach Polski doprowadziły już wcześniej do ugruntowania gospodarki folwarczanej. By nie szukać daleko analogji, przypominamy że w czasie, gdy Komorowski prowadził na Podhalu drażniącą wojnę z góralami, w sąsiednim starostwie

Czorsztyńskim dobierał się do skór chłopskich starosta Jan Baranowski¹⁾. Czynił to bez jątrzenia lecz niesłychaną konsekwencją. Zjednawszy sobie chłopów, polikwidował sołtysów, a gdy już sprzymierzeńców nie potrzebował, nałożył na nich robocizny i porozszerzał folwarki. To samo, lecz niezręcznie czynił Komorowski. Podczas gdy Pieniążkowie w XVI w. prowadzili intensywną akcję kolonizacyjną, ściągając na Podhale osadników i zakładając nowe wsie, Komorowski był przeciwnikiem dalszej kolonizacji, dążył natomiast do pomnożenia i powiększenia folwarków, starając się równocześnie zapewnić im jak największą ilość pańszczyźnianych rąk roboczych.

Wspomnieliśmy wyżej, że różni Komorowscy musieli na Podhalu kapitulować, ponieważ zmierzali do celów sprzecznych z warunkami geograficznymi kraju. Zagadnienie to wyświetla J. Baranowski²⁾. Wedle Baranowskiego w XVI w. uprawa roli wśród kmieci przeważała nad pasterstwem, natomiast na folwarkach na pierwszy plan wysuwa się obora. W ciągu następnego wieku chów owiec we wsiach niższych spada, we wsiach górnych rośnie. Równocześnie chłopci biorą się do przemysłu leśnego, który tak doskonale odpowiadał warunkom miejscowym, oraz do przemysłu włókienniczego.

W produkcji folwarcznej uprawa zbóż jest w XVII wieku tylko częścią gospodarki, mniej rentowną niż obora; duże znaczenie miał przemysł włókienniczy i drzewny, lecz większość dochodu stanowiły czynsze i daniny poddanych. Właściwą drogę rozwoju gospodarczego wskazali już Pieniążkowie w XVI w. dbając nie o powiększanie obszaru folwarków, lecz o podniesienie ilości chłopów — czynszowników. Przeciwna próba Komorowskiego zawiodła, to też później dwór nowotarski był raczej fiskalną instytucją, niż duszą samoistego gospodarstwa.

O ile chodzi o wzrost liczby wsi, to w 1505 r. nadanie wymienia 10 wsi, w 1565 r. 19 wsi, a w 1636 roku na obszarze znacznie mniejszym, bo uszczuplonym o tenutę mszańską już 36 wsi. Lecz wsie XVI w. mają słabe zaludnienie i są przeważnie dworzyszczami, założonymi przez wychodźców z innych wsi, lub innych części Polski, natomiast w ciągu XVII stulecia zaludnienie wsi starostwa nowotarskiego niesłychanie wzrosło a w licznych wsiach okok dawnych „siedlaków“ gospodarują „nowacy“, świeżo osiadli „na surowym korzeniu“.

Zaletą pracy Baranowskiego jest trafne zobrazowanie procesu szukania dróg gospodarczych na Podhalu i przesuwania się punktu ciężkości gospo-

¹⁾ Józef Rafacz: Starosta Baranowski a sołtys i wybrańcy czorsztyńscy. Pam. Tow. Tatr. 1914.

²⁾ Karta z życia gospodarczego Podhala. Wieś i folwark, studja z dziejów agrarnych Polski, Warszawa 1914.

darstwa wiejskiego z dziedzin mniej korzystnych, wytworzonych pod wpływem pewnych warunków społecznych i respektowanych z tradycji, czy z nałogu, na dziedziny bardziej korzystne dyktowane warunkami geograficznymi.

Natomiast mniej udało się autorowi wykazanie postępów, jakie poczyniło zaludnienie Podhala w XVII w. Chcąc zademonstrować je cyfrowo, autor cytuje w przypisku rejestr księgi poborowej z 1673 r. z wymienieniem, ilu wówczas było „gospodarzy“ w każdej wsi. Cyfry te — zresztą wcale wysokie — świadczą o silnem zaludnieniu, lecz nie wykazują rozmiarów postępu w zaludnieniu starostwa, bez zestawienia ze starszemi cyframi porównawczemi. A czerpanie z lustracji starszych cyfr, nie sprowadzonych do wspólnego mianownika z naszymi, nie prowadzi do celu¹⁾.

W historii gospodarczej Podhala osobna karta należy się górnictwu i hutnictwu. O górnictwie w XVI oraz o próbach górniczych przedsięwziętych w drugiej połowie XVIII w. pisał St. E. Radzikowski²⁾, w ostatnim zaś roczniku „Wierchów“ M. A. Liberak kreśli historję górnictwa i hutnictwa w XIX wieku³⁾. Nie wymieniamy starszych autorów choćby Zejsznera. Ze skąpych śladów historycznych odtwarza Radzikowski dzieje „górnictwa“, uruchomionych w Tatrach za Aleksandra Jagiellończyka. Za Zygmunta I. roboty kopalniane były prowadzone na duże rozmiary, a to w Ornaku, Banistem i prawdopodobnie w Ropie, z powodu jednak szczupłości złóż usiłowania, ponawiane przez cały czas istnienia Rzeczypospolitej, pozostały bez większych rezultatów. Za Stanisława Augusta podjęto ostatnią próbę odnowienia kopalń szlachetnych kruszców w Tatrach z wynikiem nielepszym od poprzednich. Później za rządów austriackich próbowano raz jeszcze dobywać w Tatrach srebro i miedź, jakoteż wystawiono w Kuźnicach hutę żelazną. Liczne kopalnie rudy żelaznej cieszyły się przez dłuższy czas powodzeniem. Roboty górnicze w Tatrach ustały około r. 1880, podobnie i hutnictwo. Zostały po nich tylko kapliczki przydrożne, trochę większych budowli z kamienia, zamienionych na domy i budynki gospodarcze, oraz garść legend i wspomnień. Kuźnice były jeszcze w połowie XIX w. większe od Zakopanego, stanowiąc centrum życia gospodarczego. Popod Tatrami obok rodzimych Gąsieniców i Tatarów żyli wtedy przybysze z różnych stron Europy, pozostawiający po

¹⁾ Weźmy pierwszy z brzegu przykład: Szaflary mają wedle lustracji z 1564 r. 18 kmieci, wedle inwentarza 1638 r. 17 kmieci, wedle księgi poborowej z 1673 r. aż 84 „gospodarzy“, a w wiek później wedle lustracji z 1767 r. znowu 18 ról?

²⁾ St. E. Radzikowski: Góry srebrne w Tatrach otwarte. Pam. Tow. Tatr. 1902. Zakopane przed stu laty, tamże.

³⁾ M. A. Liberak: Górnictwo i hutnictwo w Tatrach polskich, „Wierchy“ 1927.

sobie ślady w zwrotach językowych, które tu i ówdzie utrzymały się w gwarze góralskiej.

K. Sochaniewicz omawiając dawne miary roli na Podhalu¹⁾, poruszył i wyjaśnił także pewne zagadnienia osadnicze, a głównie pojęcie i istotę zarębków. Wedle Potkańskiego zarębnicy byli rodzajem ludności zagrodniczej w górskich i lesistych stronach. Trudnili się pasterstwem, przedewszystkiem zaś byli kolonistami na płonej glebie stoków gór. Zarębek był pierwotnie w jednym kawałku ziemi. Wsie zarębników składały się z domów rozrzuconych po wzgórzach, na uboczu od głównej drogi, różniąc się kształtem od wsi prawa niemieckiego.

Sochaniewicz opierając się na nowym materiale źródłowym, a zwłaszcza na „Przywilejach sołtysów podhalańskich“, dochodzi do wyników szczegółowszych, a nieco odmiennych niż poprzednik. W zarębku widzi formę prymitywniejszą od gospodarstwa domowego pod względem wielkości, systemu i organizacji osadniczej. Jest to wykarczowany obszar, znacznie mniejszy od łąnu, stanowiący jednostkę gospodarczą; wyprzedza on powstanie wsi lub jest dalszym etapem jej rozwoju. Z wolnego tempa, w jakim rozbudowywały się wsi Podhala do XVI w., wnosi autor, że system zarębkowy mógł istnieć także w średniowieczu od chwili pojawienia się na Podhalu osadnictwa typu rolniczego. Zagrodnicy, z rolą i bez, pojawili się we wsiach na prawie niemieckim przed końcem XVI w. i byli rozpowszechnieni w całej Polsce, podczas gdy zarębników spotykamy tylko na Beskidzie i Podhalu. Zagroda obok zarębka była najmniejszym ułamkiem samostnej jednostki gospodarczej t. j. łąnu.

Rejestrując ważniejsze pozycje bibliograficzne, dotyczące osadnictwa Podhala, należy poświęcić słów parę książce Wł. Matlakowskiego „Budownictwo ludowe na Podhalu“. Czwierćwiekowa ta książka tchnie dziwną świeżością, a sekret tego tkwi bezsprzecznie zarówno w umiłowaniu Podhala, bijącym z kart książki jak i w talencie pisarskim autora. Nie wątpię, że etnograf zawodowy z łatwością wyłowi w książce Matlakowskiego szereg niedokładności, luk i przeoczeń. Ale są to drobiazgi, które wartości jej nie zmniejszają.

W dziesięciu rozdziałach książki autor opisuje kolejno ogólny wygląd wsi na tle i w związku z krajobrazem, układ wsi, układ poszczególnych zagród, główne zasady budownictwa, typowy dom góralski, odmiany domów odbiegające od zasadniczego typu, ornamentykę i różne szczegóły budowy, następnie przeprowadza klasyfikację typów, daje charakterystykę stylu, wreszcie zajmuje się budownictwem budynków gospodarskich.

¹⁾ K. Sochaniewicz: Miary roli na Podhalu w ubiegłych wiekach. Lud, s. II, t. 5. Lwów 1926.

Matlakowskiego uderzały na Podhalu zjawiska osadnicze przez swą przeciwstawność z życiem nizinem. Istotę tych różnic uchwycił trafnie, podobnie i ich związek przyczynowy z warunkami fizjograficznymi. Z zadziwiająco konsekwencją podkreśla autor zależność położenia i kształtu wsi, układu budynków i ich rozmieszczenia, sposobu budowy i t. d. od takich czynników jak woda, słońce, wiatr, niepogoda, rzeźba terenu, budulec. Lecz w stwierdzeniu tych zależności nie zagalopował się i naprzykład bardzo trafnie zaobserwował luźność związku, zachodzącego na Podhalu między osiedlem a drogą.

Za typ zasadniczy na Podhalu uważa Matlakowski dom dwuizbowy. Zaznacza, że obie izby tworzą jakby odrębne całości, dość mechanicznie ze sobą związane. Odmianny domów polegają na różnej ilości izb, a głównie na różnicach „w sposobie umieszczenia komory, która z „izbą“ (t. j. domem) łączy się bądź organicznie, bądź mechanicznie, a przylega do izby albo u ściany szczytowej, albo też z tyłu, nadając domowi w znacznej ilości wypadków wygląd asymetryczny. Różne kombinacje izb, sieni, komór układa autor w 9 typów, poczynając od domu złożonego tylko z sieni i jednej izby a kończąc na kilku warjantach domu dwuizbowego i dwukomorowego, Podobny schemat, jak dom, wykazuje „szopa“, główny budynek gospodarczy górala, pełniący rolę obory, stodoły i wozowni.

Perjodycznym osadnictwem pasterskim, czyli szałaśnictwem w Tatrach zajmowała się Zofja Hołubianka¹⁾). Ustala ona, że dzisiejszy obszar szałaśnictwa nie pokrywa się w całości z obszarem gospodarczym pasterskim, zwłaszcza w górnej granicy, zależy bowiem od rzeźby terenu, dostępności, wody, masywności gór. Szałaśnictwo rozciąga się w pasie od 900 1700 m, t. j. od granicy osad stałych do granicy kosodrzewu. Zewnętrzna konstrukcja szałasów zależy od położenia, wewnętrzna od przeznaczenia. Z gospodarczego punktu widzenia rozróżnia p. Hołubianka szałaśnictwo średniogórskie i wysokogórskie. Zasięgi ich częściowo pokrywają się, pierwsze sięgają do górnej granicy lasu, drugie schodzą do dolnej strefy regli, w całym więc pasie leśnym oba typy szałaśnictwa mieszają się. Szałaśnictwo średniogórskie panuje tam, gdzie istnieją lepsze warunki gospodarcze; jest to szałaśnictwo bydła wielkiego; natomiast szałaśnictwo wysokogórskie utrzymuje się w warunkach gorszych, wymagających większej ekstenzywności, odznacza się prymitywnym ustrojem i prymitywnym budownictwem; jest to szałaśnictwo owcze. Pierwsze jest indywidualne, drugie zbiorowe.

U wylotu dolin, w pasie łąk, istnieje wyłącznie szałaśnictwo średniogórskie. Pasterstwo podporządkowuje się tu gospodarce łąkowej, szałas są wiel-

¹⁾ Z. Hołubianka: Kilka słów o szałaśnictwie w Tatrach p. Przegląd geograficzny II.

kiemi stodołami, a hala w okresie sianokosów zmienia się w wieś letnią całych rodzin góralskich.

Autorka stwierdza, że poza pasem osad stałych, powstała na Podhalu strefa przejściowa, w której obok siebie znajdują się role, łąki i pastwiska, osady stałe i niestałe. Strefa ta liczy najwyżej 2 km szerokości, a miejscami zwęża się w linię, napieraną przez osadnictwo stałe, przed którym cofa się w góry pasterskie letnie osadnictwo.

Jest to spostrzeżenie bardzo ciekawe, gdyż pozwala nam stwierdzić, że pochod osadnictwa stałego ku górom jeszcze nie ukończył się. Przyczyną jego jest — jak się łatwo domyśleć można — wzrost ludności, a z drugiej strony uporczywe trzymanie się uprawy roli, jako głównego zajęcia. W tym względzie nasuwają się uderzające analogie z osadnictwem u stóp Babiej Góry w Beskidzie Zachodnim¹⁾. Oczywiście widoki tej ofensywy osadniczo-rolnej są beznadziejne, zwłaszcza, że górna granica uprawy roli sięga już na Podhalu bardzo wysoko, znacznie wyżej niż dyktują względy racjonalnej gospodarki.

III. Obraz osadnictwa.

Na podstawie literatury przedmiotu spróbujmy naszkicować krótko całość kształt naszych wiadomości o osadnictwie Podhala. Zacniemy od określenia terytorjum.

Granice Podhala określano różnie. Rajchman obejmował pojęciem Podhala wszystkie stoki Tatr, Zejszner wpadał w drugą ostateczność, zacieśniając je do terytorjum między Czarnym i Białym Dunajcem i doliny Nowotarskiej, Kopernicki wyłączał nawet dolinę Nowotarską. Wrześniowski zamyka Podhale w granicach powszechnie dziś przyjętych, t. j. między grzbietem Beskidu i Tatrami, oraz między Białką i Czarnym Dunajcem, zastrzegając, że „okolice Spiża i Orawy sąsiadujące z Podhalem, są stanowczo z tego ostatniego wyłączone, nawet okolice przez Polaków zamieszkałe“. Granice te przyjmuje między innymi Długopolski, który zauważa przytem, że Podhale pod względem geograficznym nie jest całością, natomiast pod względem etnograficznym i politycznym tak²⁾.

Do argumentów przemawiających za takim właśnie określeniem terytorjum Podhala, dodał ostatnio M. Małecki³⁾ ważny argument djalektologiczny

¹⁾ M. Mrzakówna — Wł. Kubijowicz: Ze studjów nad osadnictwem Babiej Góry. Czasop. geogr. t. III. 1925.

²⁾ Pisał to w r. 1909.

³⁾ M. Małecki: Archaizm podhalański wraz z próbą wykreślenia granic tego dialektu. Nakład Pol. Akad. Um. (Monografie polskich cech gwarowych. Nr. 4). 1928.

wykazując, że zwarty obszar archaizmu podhalańskiego (*i* zamiast *y*, po *s*, *z*, *c*, *dz*, *ř*), zgodny z obszarem dialektu, pokrywa się na wschodzie, na zachodzie i południu właśnie z powyższymi granicami. Na północ od Podhala archaizm zachował się w coraz rzadszych strefach aż do linii Stróży i Trzebuni. Izofona archaizmu, oddzielając Podhale od Spiszu i od Orawy, może nasunąć poważne wnioski odnośnie do procesów osadniczych na tych ziemiach.

Warunki geograficzne Podhala były dla osadnictwa bardziej niekorzystne, niż w innych okolicach Polski. Kraj zamknięty i niedostępny, pokryty odwieczną puszczą, względnie błotnisty, nie zachęcał człowieka do osadnictwa, ukształtowanie zaś pionowe i ostry klimat wraz z właściwościami gleby, utrudniały pracę rolnika, a często ją wręcz uniemożliwiały. Do tych przeszkód naturalnych należy dodać niepewne stosunki bezpieczeństwa, związane z bliskością granicy i niedostępnością kraju. Jak silny był wpływ tych czynników, dowodzą dzieje kolonizatorskie klasztoru Cystersów, który wytrzymał w Ludzimierzu ledwie parę lat, by następnie cofnąć swą siedzibę w głąb kraju. Trudne warunki Podhala wpłynęły nie tylko na opóźnienie procesu kolonizacyjnego, lecz również na jego formy, oraz na ustrój społeczny.

Z drugiej jednak strony działały czynniki, sprzyjające osadnictwu. Sąsiedztwo wcześniej i dość gęsto zaludnionej Małopolski, predestynowanej z natury rzeczy do ekspansji osadniczej ku górcom, pozwalało żywiłom, którym było ciasno w domu, szukać chleba a czasem bezkarności w tych okolicach bezludnych. Także dla księcia, zaludnienie Podhala nie mogło być rzeczą obojętną. Jako ziemia kresowa, wystawiona na zakusy agresywnego i zaborczego sąsiada, wymagało Podhale odpowiedniej opieki zbrojnej, a to było nie do pomyślenia bez zaludnienia kraju. Zresztą obie te rzeczy wiązały się z sobą: osadnictwo bez poparcia państwa nie mogło na dłuższą metę utrzymać czy rozszerzyć terytorjum granicznego, państwo bez osadnictwa nie mogło utrzymać się w posiadaniu pustego kraju, bo fikcyjną władzę nad „rzeczą niczyją“ przekreślał pierwszy lepszy fakt dokonany. Jak ścisły musiał być dawniej związek między osadnictwem a granicą polityczną, można domyśleć się choćby z tego, że jeszcze w XVII w., kiedy granice państwowe były ustalone, a stosunki różniły się diametralnie od zamierzchłych czasów średniowiecza, spotykamy się na Podhalu z faktem zakładania wsi na pustym miejscu po to, by zapobiec trudnościom, wynikającym stąd, że „Węgrowie przechodząc rzekę graniczną w nie (t. j. w puste miejsca) się wdzierają...“¹⁾. Dawniej, a w każdym razie jeszcze w XV w., rola polityczna osadnictwa nie ograniczała się do gospodarczego zajmowania ziemi, by ktoś obcy jej nie

¹⁾ Długopolski: Przywileje sołtysów podhalańskich. Przywilej lokacyjny wsi Zubow i Jastrzębice 1620 r.

zajął, lecz miała również charakter wojskowy. Na osadników nakładano często obowiązek wprost udzielania pomocy zamkowi gdyby zaszła „...protectionis et defensionis castris aliqua necessitas“¹⁾. ✕

W imieniu księcia względnie króla, czynnikiem kolonizatorskim na miejscu byli starostowie, którzy z powodu swych uprawnień majątkowych mieli osobisty interes w rozwoju kraju i pomnażaniu liczby ludności. Działalność ich jednakże była dość nierównomierna, nie każdemu bowiem pozwalały okoliczności, siły, czy też zrozumienie rzeczy, na najlepsze wywiązanie się z zadań, jakie na nim ciążyły.

Pierwszy zwrócił baczniejszą uwagę na Podhale Henryk Brodaty, który zamierzał skolonizować je Niemcami ze Śląska. Lecz usiłowania te nie wydały większych rezultatów. Osadzony w Ludzimierzu dla celów kolonizacyjnych klasztor Cystersów niedługo utrzymał się na miejscu, a przeniósłszy się do Szczyrzyca skierował swą działalność gospodarczą w innym kierunku. Dość silnie natomiast odbiły się w Nowotarszczyźnie wpływy węgiersko-niemieckie, których przejawem była penetracja Niemców ze Spiszu, a zapewne i rycerstwa węgierskiego, jak to było gdzieindziej w tym okresie ścisłych stosunków polsko-węgierskich. Wielki gospodarz i kolonizator Kazimierz Wielki zajął się poważnie kresami południowymi i skupił w swem ręku starostwa graniczne, a to: lanckorońskie, czorsztyńskie i Podhale, pragnąc mieć na nie bezpośredni wpływ tak ze względów strategicznych jakoteż celem popierania osadnictwa. Moment strategiczny odgrywał rolę jeszcze przez cały wiek XV, by zniknąć w wieku XVI. Za punkt zwrotny można uważać zdobycie i zburzenie grodu w Szaflarach przez wojska Kazimierza Jagiellończyka z powodu knozań, jakie prowadził na szkodę państwa głośny awanturnik i warchoł Piotr Komorowski, żupan orawsko-liptowski w służbie węgierskiej.

W ciągu XIV wieku Nowotarszczyzna znajdowała się w rękach Śreniawitów, niektóre wsie oraz pewne użytkowe prawa na całym obszarze należały do Cystersów, parę zaś było własnością prywatną innych rodów szlacheckich. Nie bardzo jasne dzieje tych czasów kończą się objęciem Nowotarszczyzny przez Ratołdów ze Skrzydłej, rodziny rycerskiej pochodzenia prawdopodobnie węgierskiego, która siedzi w Nowotarszczyźnie przez cały wiek XV, wyrabiając sobie opinię gospodarzy dobrych lecz twardych dla ludności, by z kolei ustąpić miejsca Odrowążom-Pieniążkom, skrzętnym i zasłużonym osadcom Podhala. Okres panowania Pieniążków, a zwłaszcza drugą połowę XVI w., wiąże tradycja z osobą Batorego, którego rola w dziejach osadnictwa Podhala nie jest jednak dotąd należycie zbadana. Ener-

¹⁾ Lokacja Ochotnicy 1416, Przywileje sołtysów Podhalańskich.

gicznym kolonizatorem był w pierwszym ćwierćwieczu XVII w. wielkorządca krakowski Witowski.

Dzieje osadnictwa Podhala badano historycznie od XIII w. O czasach dawniejszych wnioskuje się tylko pośrednio. Wedle Potkańskiego ocierały się o Tatry fale plemion turskich i irańskich. W drugim wieku przed Chrystusem, gdy doliną Popradu, Wagu i Podhalem ciągnęli kupcy etrusko-italscy po bursztyn nad Bałtyk, pod Tatrami przebywali Celtowie. Pobyt germańskich plemion był w tych okolicach wybitnie przejściowy. Na stałe zajęli kraj dopiero Słowianie. Przedśłowiańskie fale ludzkie nie zostawiły śladów w osadnictwie, prócz nielicznych, przeważnie zresztą spornych, nazw topograficznych. J. Rozwadowski¹⁾ wymienia jako germańskie następujące: Beskid — (dział wodny), Bieszczady, Wag (=woda falująca), Orawę (ar celtyckie, germańskie). Dunajec ma być wyrazem celtyckim (od Dunaj), Poprad panońskim, przedgermańskie są Tatry, które wraz z Karpatami mają być iliryskiego pochodzenia. Formę dawniejszą nazwy Tatr (r. 1086 Tritri) wyparła forma dzisiejsza polska, która przyjęła się u wszystkich narodów, świadcząc o ciągłości i długotrwałości polskich wpływów na tej ziemi. Pomijamy tu późniejsze ślady obcojęzyczne niemieckie, rumuńskie czy słowackie, jako nie należące do rzeczy.

Wiek XIII zastaje na Podhalu osadnictwo polskie, później przychodzi napływ niemiecki, prawdopodobnie ze Spiszu, zostawiając ślad w postaci kilku nazw wsi, oraz w nowym ustroju organizacyjnym wsi, który przyjął się na Podhalu podobnie jak i w innych stronach Polski, a wskutek specyficznych warunków był tu trwalszy. Wiek XV jest zdaniem Potkańskiego okresem zastoju osadnictwa i polonizowania się Niemców, choć zapewne zwolna przesiąkał tu w dalszym ciągu żywioł polski z północy; w wieku XV przypuszczalnie zjawia się na Podtatrzu żywioł wołoski, zresztą słaby liczebnie, a równocześnie lub nieco później — silna, niwelująca wszystko nowa fala osadnictwa polskiego. Późniejsze dzieje osadnictwa podhalańskiego są już dziejami rozwoju miejscowych sił.

Drogami pochodu osadnictwa były doliny rzek i potoków, jako linje orientacyjne i komunikacyjne oraz jedyne miejsca zdadne pod uprawę roli dzięki lepszej niż gdzieindziej glebie.

Stale osadnictwo trzymało się początkowo równiny nowotarskiej, choć i skalne Podhale nie było mu pewnie obce; świadczy o tem fakt, że na początku XIII w. wszystkie ważniejsze potoki Podhala były już ponazywane. Jeśli spróbujemy wykreślić sobie, na podstawie chronologii wsi, czerpanej

¹⁾ J. Rozwadowski: O nazwach geograficznych Podhala. Pam. Tow. Tatr. 1914.

z wzmianek historycznych, obszar zasięgu stałego osadnictwa w poszczególnych stuleciach, to powierzchnia osiedlenia w XIII w. przedstawia się nam jako nieregularna elipsa zbliżona do koła, w środku doliny nowotarskiej; w XIV w. powierzchnia ta wydłuża się na wschód i zachód, w XVI zaś wieku wypełnia jak najszczelniej całą równinę nowotarską, zgęszcza sieć osad na terenach dawniej zasiedlonych, i wybiega silnymi językami na południe, doliną Czarnego i Białego Dunajca ku Tatrom. Z porównania obszarów, przeznaczonych w najstarszych dokumentach lokacyjnych na osiedlenie poszczególnych wsi, ze stanem, jaki spotykamy na początku XVI w. wynika, że rozrost wiosek był nadzwyczaj powolny, ilość mieszkańców niewielka, a rozmiary ziemi wziętej pod uprawę dalekie od tego, co było zamierzone. W ciągu XVI w. na Podhalu wzrosła ilość wsi, lecz były one stosunkowo małe. Lustracja z 1564 r. wymienia jako nowe, będące w stadium osadzania: Maruszyń, Zawadę, Biały Dunajec, Bańską, Morawczyń i osadzony przed 12 laty Czarny Dunajec. Razem liczą one podówczas 48 kmieci.

Wiek XVII, który w całej Polsce jest okresem upadku i gwałtownego wyludniania się wsi, na Podhalu rozbrzmiewa łoskotem siekier. Osadnictwo obejmuje kotlinę zakopiańską i wgryza się w puszcze Gubałowskiego wzniesienia. Rosną osady już istniejące, występują na widownię nowe. Jednostką tego narostu jest zarębek, samotne gospodarstwo na ziemi dopiero karczowanej lub wypalanej, o powierzchni około 14 hektarów. Za czasów Komorowskiego spotykamy zarębików w Bystrem, Cichem, Międzyezerwiennem, Ratułowie, Leśnicy, Bańskiej, Białym Dunajcu, Gliczarowie, Groni, Białce, Bukowinie i Brzegach. Mnożą się te zarębki, niewidoczne dla oka i często-kroć panom lustratorom nieznanne, w formie samotnych dworców, przemieniających się po kilkudziesięciu latach w grupy gospodarstw, raz za wiedzą i zgodą starosty, który martwi się, że w dobrach „są pustynie niemałe, z których pożytku nie masz“ i rad jest powstaniu wsi, kiedyindziej wbrew woli starosty i wbrew wyraźnemu zakazowi królewskiemu, by lasów nie palić, ani „onych roskopywaniem nowym nieścieśniać“, by „dalej się w lasy kopaniami nie pomykać“, by osadnicy „nowinami w lasy nie wkopywali się“, jednym słowem „aby nad circumferentią w revisiey opisana, żadney possessiey w lasach iuris regii sobie nie przywłaszczali, y onych nie pustoszyli“.

Miała ta praca rozmach nielada, skoro Witowski objawszy w r. 1616 na Podhalu i w dzierżawie mszańskiej razem 25 wsi, po ośmiu latach oddał na samem Podhalu 36 wsi. Coprawda nowe wsie były małe, ale gdy stopa ludzka stanęła mocno w danem miejscu, las szybko ustępował przed siedzibami ludzkimi. Jeśli z końcem XVI czy na początku XVII w. możemy doszukać się w Zakopanem tylko jednego Gąsienicy, młynarza, praszczura

wszystkich późniejszych, to lustracja z r. 1767 wymienia Gąsieniców na 14 posiadłościach, w tem cztery są w posiadaniu kilku osób (przynajmniej dwóch braci), a Potkański naliczył już 49 rodzin tego nazwiska.

Tu wchodzimy w sedno nowego zagadnienia. Do warunków przyrodniczych, które w poprzednich wiekach działały hamująco na rozwój osadnictwa, przyłącza się w czasach nowszych problem przeludnienia. Osadnictwo nabrało większego rozmachu, niż na to zezwalały zasoby ziemi, nadającej się pod uprawę zboża. Od XVII w. słychać już skargi na osadników samowolnie wrębujących się w lasy a trwają one odtąd nieprzerwanie przez cały czas istnienia Rzeczypospolitej, świadcząc o rozwoju pewnego procesu, wobec którego wszelkie zakazy były bezsilne. Ale rozszerzaniu się osadnictwa sama natura zakreśliła granice. Rolnik w poszukiwaniu ziemi wspina się na stoki, wypiera trzody z ich dotychczasowych pastwisk i coraz gorsze obszary bierze pod pług, lecz rychlej niż gdzieindziej dochodzi do terenów, których uprawa przestaje się opłacać. Następuje więc rozdrabnianie ziemi do absurdu, warunki życiowe ulegają szybkiemu pogorszeniu, a rolnik w walce o byt wpada w obręb błędnego koła. O wytrwałości tego niewdzięcznego wysiłku świadczy fakt, że linja stałego osadnictwa na Podhalu, która już z końcem XVIII i na początku XIX w. osiągnęła maksymalne granice swego pochodzenia, zdradza po dzień dzisiejszy tendencje przesuwania się w dziedzinę subekumeny.

O ile chodzi o osadnictwo niestałe, to kwestja ta, już z natury rzeczy znacznie trudniejsza do obserwacji, jest stosunkowo słabo zbadana. Pomijając czasy przedślowiańskie, można przypuszczać, że osadnictwo perjodyczne istniało na Podhalu znacznie dawniej od stałego, pozostając w związku z zajęciami ludności, choćby owych chłopów z Kurozwek, którzy buszowali po puszczech aż do granicy węgierskiej, jako myśliwi i bartnicy. Najsilniej łączy się ono z pasterstwem, które musiało się w górach rozwijać silniej. Osadnictwo niestałe kurczy się w ciągu wieków na rzecz osadnictwa stałego. Niepodzielnie króluje w t. zw. dziedzinie wysokogórskiej, natomiast mięsza się ze stałym w dziedzinie średniogórskiej.

Jednym z podstawowych warunków rozwoju i utrzymania się osadnictwa niestałego jest wielka odległość między stałą siedzibą a terenami wyzyskiwanymi gospodarczo (czyto w formie pasterstwa¹⁾), czyteż wyrębu drzewa, czy wreszcie nawet uprawy roli. Konopka zwrócił uwagę²⁾, że na oddalonych polanach Podhala, obsianych owsem, spotyka się osobne szopy, w któ-

¹⁾ Na Przegibie (Babia Góra) od czasu podzielenia półn. Orawy między Polskę a Czechosłowację pasą się owce z odległej o 40 km Jasienicy, którą granica odcięła od bliższych pastwisk. W związku z tem wzmogło się szałasnictwo.

²⁾ Konopka: Gospodarstwo górskie. Encyklopedia rolnicza.

rych przez całe lato mieszka komornik, pod zimę zaś przenosi się tu na kilka tygodni gazda z całą rodziną i bydłem, celem wymłócenia zboża, spaszenia słomy i plew i jednoczesnego użyźnienia pola nawozem, który trudnoby było dowieźć. Gospodarka łąkowa¹⁾ u wylotu dolin tatrzańskich również powoduje letnie osadnictwo całych rodzin w okresie sianokosów. Podobnie i w Beskidzie, gdzie polany, hale i role są odległe od domu nieraz o kilkanaście kilometrów, obserwuje się dwoistość gospodarki: zimą w dolinach, latem w prowizorycznych mieszkaniach na polanach²⁾. Z tego właśnie powodu nie ma widoków utrzymania się szałaśnictwo średniogórskie³⁾, gdzie pasterstwo sprzęga się z gospodarką łąkową i wyrastają stałe osiedla ludzkie, natomiast ma je szałaśnictwo wysokogórskie, istniejące w Tatrach.

Proces osadniczy Podhala pozostaje w bezpośrednim związku z ogólnymi dziejami gospodarstwa. Nicią przewodnią tych dziejów, tem co je określa w sposób najbardziej charakterystyczny, jest zmaganie się rolnictwa z pasterstwem. Jest to walka atawizmu, czy tradycji z wymogami otoczenia. Podhalańin, zwłaszcza poza równiną nowotarską, powinien być przede wszystkim hodowcą a chce być przede wszystkim rolnikiem; kraj rodzi doskonałą paszę, góral każe mu rodić kiepskie zboże; żywi się owsem, który tuczy konia ale nie człowieka; gdyby nie odkryto ziemniaków, umarłby chyba z głodu.

Pierwsze historyczne ślady pasterstwa nawiązuje Potkański do osadnictwa niemieckiego. Przytaczana jest tu nazwa Szaflar oraz nazwy najstarszych hal w Tatrach, Waksmundzkiej i Kondratowej. Nawskróś pasterski charakter miało osadnictwo wołoskie, zwłaszcza w stadium początkowym, gdy było płynne. Osadnictwo wołoskie przeszło przez Podhale falą słabszą, niż u południowych stoków Tatr, przyspieszyło jednak ewolucję gospodarczą kraju, co znalazło swój wyraz w ustroju prawno-gospodarczym wsi, znanym pod nazwą prawa wołoskiego, swoistego amalgamu ustrojowego wsi rolnej i wsi pasterskiej, który zajął miejsce prawa niemieckiego i powszechnie panował na Podhalu w w. XVII. Wędrowniki wołoskie zostawiły pozatem silny pokost na całej kulturze pasterskiej, co wyraża się dobitnie choćby w słownictwie⁴⁾. Mimo jednak wzmożenia się hodowli owiec nie każdy góral XVI w. miał swoje stada, jak każą się domyślać przekazy źródłowe. Dopiero w XVII w.

¹⁾ Hołubianka: Kilka słów o szałaśnictwie w Tatrach polskich.

²⁾ K. Sosnowski: Pogląd na Beskid zachodni. Pam. Tow. Tatr. 1914.

³⁾ Mrazkówna, Kubijowicz: Ze studjów nad osadnictwem Babiej Góry.

⁴⁾ W dziedzinie osadnictwa stałego, wpływem wołoskim przypisuje się m. i. dachy kryte gontami w miejsce słomy, oraz niektóre szczegóły budownictwa (A. Fischer: Lud polski, Lwów—Warszawa—Kraków 1926), w dziedzinie zaś sztuki ludowej obrazki malowane na szkle (Baranowski: U stóp Babiej Góry).

hodowla wysuwa się na plan pierwszy, a przynajmniej równorzędny z rolnictwem.

Z jakim trudem torowało sobie drogę wśród miejscowego, polskiego żywiołu zrozumienie dla lokalnych warunków i możliwości rozwojowych, dowodzą uparte próby rozbudowy gospodarstwa folwarcznego z robociznami i uprawą zbóż, powtarzane od XV do XVII w. Jeszcze w XVI w. kuszono się nawet o uprawę pszenicy. Że silny rozwój pasterstwa w XVII w. nie był na Podhalu odosobniony, dowodzi historia Zawoji u stóp Babiej Góry, która powstała z początkiem XVII w. jako osada pasterska i dopiero później przeszła ewolucję ku rolnictwu tak, że na początku XIX w. występuje już jako osada przeważnie rolnicza.

Postęp w dostosowaniu się do warunków, jaki obserwujemy na przełomie XVI i XVII w., objawił się także w tym, że obok rolnictwa i pasterstwa wysuwa się jako doniosła gałąź zatrudnienia, przemysł leśny i włókienniczy.

Pasterstwo nie umiało jednak utrzymać się na poziomie, jakiego wymagał duch czasu, i przed wojną światową znajdowało się w stanie upadku. Złożyły się na to głównie długotrwałe, niszczące choroby owiec oraz nieopłacalność produkcji wskutek konkurencji rynków światowych. Od wojny widać pewną zmianę na lepsze. Hodowla ma w górach wogóle, a na Podhalu w szczególności, bardzo dobre widoki rozwoju, o ile wyzwoli się z powijaków prymitywnej gospodarki i wejdzie na tory nowoczesne. Poprawiając odżywianie owiec przez zapewnienie sobie odpowiedniej ilości paszy, może góral niesłychanie podnieść produktywność hodowli, o rynek zbytu zaś nie ma żadnych obaw, bo Polska konsumuje zagranicznego sera owczego za jakie półtora miliona złotych rocznie, a zapotrzebowanie koców wełnianych, sukna i kozuchów, zwłaszcza dla armji, pozwala na utrzymanie w Polsce trzy razy większej ilości owiec niż mamy dzisiaj¹⁾. Zagadnienie to nie zamyka się tylko w granicach Podhala, lecz jest aktualne dla wszystkich naszych gospodarstw podgórskich, które w dziedzinie produkcji rolnej są i muszą pozostać biernymi²⁾.

Jak silne jest na Podhalu zamiłowanie do uprawy roli i jak bezpośrednio związała się ta sprawa z dziejami i postępowaniem osadnictwa, świadczy charakterystyczny stosunek zasięgu obu. Podczas gdy szałasnictwo jest węższe od obszarów pasterskich, to natomiast górna granica uprawy roli pokrywa się z granicą osad stałych, a nawet wybiega ponad nią. Wręcz odwrotnie jest w kraju racjonalnej kultury, a mianowicie w Alpach, gdyż tam stręfa uprawy

¹⁾ Fr. Czubernat: Przyszłość hodowli owiec na Podhalu. Przew. Kółek Roln. 1927.

²⁾ Albin Jura: Potrzeby gospodarcze gospodarstw podgórskich. Przew. Kółek Rolniczych 1927.

roli cofnęła się do regionów niższych niż sięgała dawniej — i niż sięga po dziś dzień osadnictwo stałe, — ustąpiwszy miejsca gospodarce hodowlanej.

Specyficzne, lokalne warunki, które kształtowały osadnictwo i urabiały formy życia gospodarczego, odbiły się przemożnym wpływem na położeniu społecznym ludności. Górala mniej cisnęli ludzie, więcej przyroda. Naturalne warunki życia były bardzo twarde, zato stosunki społeczne znośne, toteż naogół wiodło się ludności nienajgorzej. Powtórzenie się w XVI wieku procesu kolonizacyjnego, którego widownią była Polska, a z niem i Podhale, o parę wieków wcześniej, dodało nowych sił życiowych korzystnym dla chłopów instytucjom, gdzieindziej już pogrzebanym lub zamierającym. Następuje nowy rozkwit ustroju wsi, opartego na czynszach i minimalnej robociznie, o znacznej wolności osobistej, ustroju, który miał szczególnie żywy sens i uzasadnienie w fakcie, że wskutek braku warunków do rozwoju intensywnej gospodarki folwarcznej, dzierżawcom starostwa niepotrzebne były, naogół biorąc, wysokie robocizny poddanych, a głównym źródłem dochodu pozostał czynsz. Temu stanowi rzeczy sprzyjała też w dużej mierze właściwa górom trudność zbyt drobiazgowego i uciążliwego „panowania“ oraz bliskość granicy, stanowiącej kłapę bezpieczeństwa dla zagrożonej ewentualnie wolności chłopskiej. Przysłowiowa w Polsce starościńska polityka twardej ręki i batoga była tu obca, względnie musiała zawodzić. Toteż gdy w Małopolsce i innych dzielnicach Polski zbiegostwo chłopów było zjawiskiem tak powszechnym, że ustawodawca musiał się ciągle głowić nad sposobami zapobieżenia temu, na Podhalu nie spotykamy śladów zbiegostwa, aż dopiero za rządów Komorowskiego. Ale też i Komorowski musiał uciekać z Podhala.

Zróżnicowanie warstwy poddańczej nastąpiło tu znacznie później niż gdzieindziej. Przez cały wiek XV istniała na Podhalu jednolita warstwa kmiecia, dopiero z końcem XVI w. pojawiają się zagrodnicy i chałupnicy.

Położenie społeczne chłopów odbijało się na jego dobrobycie i poziomie kulturalnym, który daleko odbiega od obrazu, jaki wyrobił sobie o tych czasach dzisiejszy ogół, przeważnie pod sugestją różnych „zbójnickich“ historyj. Źródła historyczne z XVII w. pozwalają na wyciągnięcie wniosku¹⁾, że „przed trzema wiekami kultura ludu tutejszego nie stała niżej, aniżeli u ludu w całej Polsce i owszem góral był zamożny, już wtedy odziewał się dostatnio a nieraz zbytkownie, mieszkał podobnie jak dzisiaj i otaczał się takimi samymi sprzętami, prowadził gospodarstwo domowe i rolne przy pomocy narzędzi, jakie widywaliśmy do ostatnich czasów, podobnie też żywił się“.

W tej atmosferze twardej walki z przyrodą i szerokiej wolności urobił

¹⁾ S. Udziela: Podhalanie przed trzystu laty. Ziemia 1927.

się typ człowieka hartowny i butny, pełen godności osobistej i praw swoich dobrze świadom, który umiał prowadzić zwycięskie procesy z panem starostą w XV, XVII i XVIII wieku, a gdy czasem stracił cierpliwość „interwenjował“ w kilka tysięcy zbrojnych ludzi, wyganiał z Nowego Targu chorągiew wojska koronnego lub stawał do walki przeciw 6 chorągwiom, posługując się skutecznie prócz broni siecznej i palnej także baterją drewnianych armat, z buka rzezanych¹⁾). Cechy charakteru góralskiego, a zwłaszcza hart objawiany w walce z niewdzięczną ziemią, podziwiał już Staszic, upatrując źródło siły moralnej górala w prawie własności, nieistniejącem w innych częściach Polski.

Na życie społeczne wywarło też wpływ samo osadnictwo. Dobrowolski analizując bardzo ciekawe związki rodowe, które istniały na Podhalu do połowy XIX w. a spełniały pewne funkcje społeczne i gospodarcze, dochodzi do przekonania²⁾, że nie są one pozostałością zamierzchłych czasów, lecz powstały dopiero w XVII i XVIII w., „wywołane głównie przez typ osadnictwa jednodworcznego, które pod Tatrami przedewszystkiem przeradza się w zwarte osiedla rodowe“. Ponieważ analogiczne zależności przyczynowe spotykamy we wsiach beskidowych, można widzieć w nich potwierdzenie zasady, że „powtórzenie prastarych form osadniczych wywołuje powtórzenie zbliżonych form społecznych³⁾).

Niniejszy rozdział zakończymy kilku uwagami o kształtach wsi i wyglądzie poszczególnych zagród.

Potkański rozróżniał i wyjaśnił genetycznie dwie formy wsi podhalańskiej, które Zaborski⁴⁾ określa jako łańcuchówkę i wieś samotniczą. Łańcuchówka w swej regularnej formie ma kształt wydłużony, podobny do ulicówki, lecz bardziej rozciągnięty, o osi swobodnej, jak rzucony łańcuch — stąd nazwa oraz charakterystyczne regularne drogi boczne, które Meitzen porównał do unerwienia liścia wiązu. Jest pochodzenia niemieckiego, u nas dominuje w Karpatach. Podhale — jak widać z mapki Zaborskiego — ma regularną łańcuchówkę tylko w części nowotarszczyzny, na pozostałym obszarze Podhala istnieje łańcuchówka nieregularna, bez typowych dróg bocznych. Trzyma się dolin potoków ale nie samego dna, ciągnie się całemi kilometrami. Forma ta ma w górach specjalnie korzystne warunki rozwoju,

¹⁾ J. Czubek: Bitwa pod Nowym Targiem 1670 r. Rocznik Podhalański.

²⁾ K. Dobrowolski: Związki i tradycje rodowe na Podhalu, Spiszu i Orawie. Spraw. Akad. Umiej. Marzec 1923.

³⁾ K. Dobrowolski: Wróżda i pojednanie w sądow. polskich wsi beskidowych XVI i XVII wieku.

⁴⁾ B. Zaborski: O kształtach wsi w Polsce. Kraków 1926.

toteż na Podhalu panuje niepodzielnie we wszystkich dolinach. Obok niej mamy tam wieś samotniczą, powstałą z osad jednodwórczych. Powszechna w Karpatach zachodnich obok łańcuchówki, położona często — przeciwnie niż łańcuchówka — w t. zw. układzie górnym, t. j. na wzniesieniach, jest wieś samotnicza wytworem gęstego zaludnienia i wyrazem posuwania się osadnictwa z miejsc korzystniejszych na mniej korzystne.

Sposób budowy domów mieszkalnych i zagród wskazuje bodajże najsilniej na wpływy warunków geograficznych. Budulcem jest kamień i smerek, a więc materiał otoczenia; niesłychanie silna budowa na węgiel jest obliczona na gwałtowne wichry, rozmieszczenie drzwi i okien ma na względzie utrzymanie ciepła w chałupie; specjalnie skonstruowany dach oraz szerokie okapy przypominają że żyjemy w krainie licznych opadów, a zwrócone ku południowi czoło chałupy, że słońce jest tu rzeczą cenną. Tylna ściana domu chroni podwórze od wichrów północnych, a szopa która stoi zawsze w zachodniej części zagrody, od wichrów zachodnich. Dymnik wychodzi na wschód, bo stamtąd jest mało wiatrów. Orientacja do drogi nie istnieje, bo najpierw była osada, a potem droga, jakto bywa z natury rzeczy przy osadnictwie jednodwórczym, zresztą droga jest czemś podrzędnem, a wygląda fatalnie. Zagrody bywają otwarte lub zamknięte. Pierwsze spotyka się we wsiach rozrzuconych, po stokach gór, oraz na końcach osad; drugie we wsiach zabudowanych gęściej. U bogatszych gazdów także oddzielna zagroda czasem zamknięta.

Reasumując powyższe, wypadnie stwierdzić, że na Podhalu osadnictwo kształtowało się słabiej pod wpływem czynników społecznych, bo tylko gęstość zaludnienia wywarła na jego rozwój i formy doniosły wpływ, natomiast bardzo silnie i oczywiste są — jak widzieliśmy — stosunki zależności od czynników geograficznych. Nic więc dziwnego, że w badaniach nad osadnictwem Podhala tak silnie zwracano uwagę na stosunki fizjograficzne, i tak często szukano związków przyczynowych między nimi a osadnictwem. W kraju o ostrych kontrastach fizjograficznych posługiwanie się metodą fizjograficzną jest — jak stwierdza L. Sawicki — stosowne i daje wyniki pomyślne. Gdzieindziej byłoby to niebezpieczne, bo łatwo prowadzi do przesady i jednostronnego upraszczania zjawisk, tak niesłychanie złożonych jak zjawiska osadnicze.

IV. Dorobek i potrzeby.

Jak widać z tego, cośmy dotąd powiedzieli, dotychczasowe badania nad osadnictwem Podhala wyjaśniły nam proces, kierunki i tempo pochodzenia osadniczego w sposób, jakiego dotąd nie doczekało się inne terytorjum Polski.

Wskazano i pod wielu względami wyczerpująco omówiono liczne węzły wzajemnej zależności różnych zjawisk; podkreślono silniej lub słabiej takie stosunki jak: wpływ warunków społecznych i fizjograficznych na prądy osadnicze, na sposób rozwijania się osadnictwa, na rozmieszczenie i kształty wsi, na sposób budowy i kształty domów, budynków gospodarczych i zagród. Zaznaczono wpływ warunków fizjograficznych na życie społeczne i gospodarcze ludności, wreszcie wpływ osadnictwa i jego form na życie społeczne. Sformułowanie związków zależności nie zostało zamknięte w sferze „czystej nauki“, lecz dało asumpt do wyciągnięcia pewnych wniosków praktycznych i wskazań natury gospodarczej na przyszłość.

Lecz z drugiej strony szereg kwestyj czeka jeszcze na zbadanie. Niema zgodności poglądów na rolę, jaką odegrał w dziejach Podhala klasztor szczyrzycki, a końcowe losy jego kariery kolonizatorskiej nastęrczają liczne niejasności. Zakrzewski jest w swej ocenie Cystersów prawie że odosobniony, innego niż on zdania jest Krzyżanowski, który swój pogląd uzasadnił dość szeroko, oraz Zachorowski i Baranowski, którzy mimochodem zaznaczają, że akcję kolonizatorską klasztoru hamowały niesnaski między królem a klasztorrem. Wszyscy jednak przyznają, pośrednio i bezpośrednio, że kolonizacja ta nie rozwijała się zadowolająco. Sprzeczne są poglądy na stan pasterstwa w XV wieku. Rafacz ocenia jego rolę bardzo wysoko, z tego zaś co mówi Baranowski wynikałoby coś wręcz przeciwnego.

Skoro pierwsza epoka osadnictwa Podhalańskiego cieszy się wśród historyków taką sympatją, nieszkodziłoby zająć się lepszem wyświetleniem migracji niemieckiej na Podhale. Przypuszczam, że szczegółowa analiza chronologii t. zw. wsi niemieckich w Nowotarszczyźnie w zestawieniu z podobnemi wsiami na północnym Spiszu, oraz gruntowne zbadanie stosunków polsko-węgierskich, zwłaszcza owych fal malkontentów, wyrzucanych z kraju do kraju, o których mówi Zakrzewski, niejednoby w dzisiejszych poglądach sprostowały, a wiele wyjaśniły. Wiek XV jest kartą prawie nie zapisaną, stąd nie wiadomo, czy był on okresem takiego zastoju, za jaki uchodzi dzięki Potkańskiemu. Zasługi kolonizatorskie Pieniżków także czekają na swego dziejopisa, podobnież rola Batorego w dziejach osadnictwa Podhala. Druga połowa XVII i cały wiek XVIII dalekie są jeszcze od takiego zbadania, na jakie pozwala stan źródeł.

Dla dziejów osadnictwa nieobojętną rzeczą byłaby możliwie dokładna znajomość i synteza ruchu ludności. Rozwój liczebny ludności to bardzo ważne uzupełnienie do wzrostu ilości wsi. Stwierdzić należy, że pierwsze próby takiej statystyki już mamy, a zawdzięczamy je Udzieli, jeśli chodzi

o pierwszą połowę XVII w., oraz Baranowskiemu, a w odniesieniu do Zakopanego, Radzikowskiemu.

W związku z tem, bardzo wdzięcznem zadaniem byłoby przeprowadzenie studjów nad przesuwaniami się ludności z miejsca na miejsce, biorąc za podstawę nazwiska. Jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że znamy na Podhalu bez liku nazwisk góralskich z XVIII wieku, wymienia je w każdej wsi lustracja z r. 1767, a z drugiej strony pierwsza połowa XVII w. przekazała nam w aktach procesowych z czasów Komorowskiego około 150 nazwisk sołtysich i kmiecyh. Pobieżne przejrzanie tego materiału wykazuje, że w przeciągu półtora wieku utrzymało się w miejscu około 40 procent nazwisk. Pewna ilość rodzin mogła zapewne wymrzeć, ale zachodzi pytanie, gdzie podziały się inne. Jeżeli odnośne rodziny wyszły ze swoich wsi, to dokąd się udawały? Przypuszczam że zbadanie tego prowadziłoby nas różnemi drogami Podhala, a zapewne także Spisza i Orawy i rzuciłoby niesłychanie wiele światła na dzieje osadnictwa¹⁾.

Oczekuje swojej monografji osadnictwo niestałe Tatr, choćby takiej, skromnej rozmiarami lecz ważkiej w treści, jaką poszczycić się może osadnictwo niestałe Babiej Góry. Szczegółowe zaznajomienie się z płaszczyznami zetknięć osadnictwa stałego i szalaństwa byłaby dla badacza osadnictwa tem, czem dla lekarza spojrzanie w przekrój żyjącego organizmu.

Prace dotyczące dziejów górnictwa i hutnictwa w Tatrach, zachęcają do szukania w archiwach śladów osadnictwa przemysłowego na Podhalu. Śladów tych dziś niewiele mamy, lecz poszukiwania ich wyda zapewne większe rezultaty, niż poszukiwanie skarbów kruszcowych w „górach srebrnych“. Ale nawet najskromniejsze wyniki będą cenne, nie ulega bowiem wątpliwości, że górnictwo musiało wywierać począwszy od XVI wieku znaczny wpływ na dzieje i formy osadnictwa, zwłaszcza w tych epokach, w których poszukiwania kopalniane forsowniej prowadzono. Przy dzisiejszym stanie badań jest to karta zupełnie niezapisana.

Mimo że Podhale — jak powiedzieliśmy na wstępie — ma szczególne szczęście do przyrodników, całokształt warunków fizjograficznych, na które tak często powołuje się badacz osadnictwa, nie jest jeszcze tak zbadany jakbyśmy tego oczekiwali. Dotyczy to zwłaszcza badań nad glebą.

O ile wreszcie chodzi o epokę przedślowiańską, jest na tem polu wiele do zrobienia, zwłaszcza w dziedzinie antropologii. Jedną z dróg prowadzącą do poznania zamierzchłych czasów, byłoby sądzić — zbadanie zasięgu ras bydlęcych, które wędrują razem z człowiekiem-pasterzem. Tak np. Niemcy

¹⁾ Zbieraniem nazwisk zajął się J. Zborowski, kustosz Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem.

mieli przyjść na Podhale wraz z bydłem. Dzisiejsze bydło¹⁾ na Podhalu należy do górskiej odmiany bydła krótkorogiego (*bos brachyceros*), które w epoce starokamiennej było powszechne w całej prawie Europie, a dzisiaj spotyka się je w Polsce poza Podhalem i karpacką częścią województwa krakowskiego także w górach Świętokrzyskich. Dzisiejsza rasa podhalańska i świętokrzyska dominowała na obszarze bodajże całej Małopolski zachodniej jeszcze w późniejszym średniowieczu — jak świadczą kości zwierząt z XV i XVI w. znalezione na zamku wawelskim²⁾. Zbadanie dziejów wędrowek i zasięgów bydła pozwoliłoby na wyciągnięcie wniosków odnośnie do pochodzenia i wędrowek człowieka, który z swoimi losami związał losy tych zwierząt domowych.

Te potrzeby szczegółowe nasuwają się na myśl jako najważniejsze rzeczy do zrobienia. Nie będziemy dodawać, że całokształt dziejów osadnictwa, którego jedyną próbą jest spuścizna naukowa Potkańskiego, przy dzisiejszym stanie badań i źródeł może być narysowany znacznie szerzej i szczegółowiej. Źródła pozwalają na podjęcie prób przedstawienia dziejów osadnictwa daleko pełniejszych, niż dotychczasowe, przyczem szczególnie nacisk należałoby położyć na metodę statystyczną. Przed badaczem stoi tu jeszcze otworem cała kopalnia możliwości i perspektywy pojętne, jak rzadko gdzieindziej.

V. Zagadnienie osadnictwa krain sąsiadujących z Podhalem.

Bilans badań nad osadnictwem Podhala byłby niezupełny, gdybyśmy nie poświęcili również uwagi Spiszowi i Orawie. Skrawki tych terytoriów przyłączone do Polski nie są wprawdzie obejmowane pojęciem Podhala, ale etnograficznie mają z niem wiele pokrewieństwa, łączą się z Podhalem geograficznie i gospodarczo, a od lat kilku stanowią jedność polityczną i administracyjną.

O osadach polskich w granicach Węgier pisali już w połowie XIX w. Załuski, Zejszner i Janota. Później zapomniano o Polakach na granicy południowej tak, że wyręczali nas uczeni czescy Šembera i Polivka, z nowszych zaś Słowak Czámbeł. Z początkiem XX w. znowu zaczęto się zajmować Spiszem i Orawą, że wymienimy choćby nazwiska etnografów E. Kołodziejczyka i R. Zawilińskiego, oraz historyka K. Krotoskiego i G. Smólskiego. Zawiliński³⁾ podkreślił ściśłą łączność jaka zachodzi między Orawiakami

¹⁾ Długopolski: Osiedlenie Podhala

²⁾ T. Marchlewski: Przyczynek do znajomości zwierząt dom. Zach. Małopolski z czasów późnego średniowiecza. Spraw. Ak. Umiej., luty 1923.

³⁾ „Z kresów polszczyzny“ 1912.

a Babiogórcami pod względem gwary, nazwisk, obyczaju, budownictwa ludowego. Smólski zajmował się tak Spiszem jak i Orawą w szeregu prac ogłoszonych w różnych czasopismach¹⁾. Był to przed wojną najgłośniejszy herold polskości ziem południowych, zwłaszcza Orawy. Smólski uczył inteligentny ogół polski, że „lud Podhala i Orawy jest jeden i ten sam“, jedna rasa, jeden typ, te same zwyczaje i obyczaje, wygląd wsi, ustrój życia i gospodarstwa, oraz gwara. Nawodząc historję Orawy przypominał, że słynny zamek Orawski był prawie bez przerwy w rękach polskich, lecz jego panowie nie mieli polskiego zmysłu państwowego. Rozprawiał się z twierdzeniami Słowaków, jakoby Polacy byli na Orawie późnym elementem napływowym ze Śląska i Galicji; wykazywał, że w XVI wieku cała górna Orawa była rdzennie polska i po przejściowej fali reformacji czeskiej i słowackiej nią pozostała, ulegając dopiero po rozbiorach wpływom słowackim.

Zainteresowanie Spiszem i Orawą rozbudziło się na większą skalę dopiero w okresie kształtowania państwowych granic odrodzonej Polski. K. Nitsch²⁾ wykazał, że gwara Spiszu jest czystą polszczyzną, posiadającą oprócz cech ogólnie polskich także cechy małopolskie mazurzące, oraz pewne specjalnie góralskie, z minimalnymi śladami wpływów słowackich, które natomiast silniej występują na Orawie wskutek bezpośredniego sąsiedztwa z Słowakami. J. Grzegorzewski ogłosił cenne materiały folklorystyczne, zebrane na Spiszu³⁾, „Ziemia“ poświęciła w r. 1920 specjalny wielki numer Spiszowi i Orawie z artykułami K. Sosnowskiego (geografja i turystyka), Wł. Semkowicza (z dziejów Spisza), M. Orłowicza (zabytki artystyczne), Wł. Olszewicza (piśmiennictwo), Fr. Barnerta (Sasi spiszy).

Aktualnemu zagadnieniu jest poświęcony również rocznik Pamiętnika Tow. Tatrzańskiego z 1920 r. Ze względu na temat niniejszej pracy zainteresuje nas przedewszystkiem zredagowany przez Semkowicza memoriał Towarz. Tatrzańskiego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o „granicy polsko-węgierskiej w oświetleniu historycznym“, gdyż autor kreśląc dzieje naszej południowej granicy, wiąże je z dziejami osadnictwa ziemi pogranicznej. Semkowicz stwierdza, że na Węgry szedł prąd osadnictwa polskiego zwłaszcza doliną Dunajca i Popradu, jeszcze przed powstaniem państwa polskiego; na tej podstawie pierwsi Piastowie zajęli północne Węgry po

¹⁾ Ludność polska we wschod. i środk. żupaństwach górnych Węgier (Świat Słowiański 1909), Polszczyzna na gór. Węgrzech (Bibliot. Warszaw. 1909), Lud polski na g. Węgrzech (Ziemia 1910), Orawa i jej ludność polska (Przew. Nauk. liter. 1910), Polskie osady i polska ludność na Spiszu (Bibl. Warsz. 1912).

²⁾ K. Nitsch: Granice państwa a granice języka polskiego. Język polski 1920.

³⁾ W Przewodniku Nauk.-liter. 1918.

Dunaj. Po Chrobrym granica polska cofnęła się na linję Wagu, Hornadu i Niżnich Tatr, jak świadczą nazwy topograficzne: Broniszczce, Straża, Strażka i. i., nasuwające skojarzenia z granicą i jej obroną. Po Krzywoustym ziemia ta częściami odpada od Polski, drogą siły lub kolonizacji węgierskiej. Żupaństwo trenczyńskie za Chrobrego było całe przy Polsce, później ograniczone do prawego brzegu Wagu weszło w skład księstwa opolskiego i cieszyńskiego. Żupaństwo orawskie do początku XIII wieku należało do Polski, odtąd opanowała je stopniowo kolonizacja węgierska, która kierowana przez panów węgierskich posuwała się od linii Wagu doliną Orawy ku północy, Z końcem XIII wieku najdalej wysuniętą ku Polsce osadą węgierską był Twardoszyn, na północ od niego ciągnęła się na obszarze całej górnej Orawy puszcza, którą zasiedlił żywioł polski do XVI wieku. Żupaństwo spiskie dostało się za Krzywoustego w ręce Węgier. W XII w. osadnictwo saskie wbiło się klinem w polskie terytorjum, a kolonizacja Berzeviczych i Gorgów postępując ku północy, przerzuciła się z początkiem XIV wieku na północny stok Magury spiskiej ku dzisiejszej granicy Podhala.

Uzupełnieniem wywodów Semkowicza jest artykuł R. Zawilińskiego p.t. „Charakter językowo-etniczny ludności polskiej na Węgrzech“. Wedle Zawilińskiego kultura materialna ludności polskiej na Węgrzech ma te same znamiona co górali polskich, natomiast kultura duchowa jest przeważnie odmienna. Pod względem antropologicznym cały lud górski aż do Moraw (Polacy, Czesi, Słowacy) reprezentuje ten sam typ fizyczny. Ludność okręgu czadeckiego ma wiele cech wspólnych z polską ludnością Śląska. Orawa w swej wschodniej części nie różni się od Podhala i utrzymuje to podobieństwo przez stały kulturalny i gospodarczy kontakt z tym krajem. Mieszkańcy Spisza mają w północnej części najwięcej cech górali pienińskich, w zachodniej zaś górali podhalańskich. Wyspy polskie w żupaństwach lip-towskim, zwoleńskim, gemerskim, szaryskim a zwłaszcza zemplińskim, oraz pewne fonetyczne prawa narzecza wschodnio-słowackiego, które — jak stwierdza Czámber — „są zasadniczo polskie“, dowodzą, że cała ludność tamtejsza była pierwotnie polska.

W odniesieniu do Spisza i Orawy, polskie zainteresowania naukowe idą dotąd przeważnie w kierunku badań etnograficznych i lingwistycznych. O dziejach osadnictwa mamy tylko ogólne pojęcie i to z lukami. Jedyną monograficzną pracą źródłową jest bodajże tylko praca Zachorowskiego, omówiona w pierwszej części niniejszego artykułu. Inne pozycje bibliograficzne — to raczej substrat do badań, niż ostateczne rezultaty. Naogół więcej wiemy o Spiszu niż o Orawie, tak że tutaj właściwie wszystko jest jeszcze do zrobienia.

A krainy te, ze wszech miar godne dokładnego poznania, zasługują w dziedzinie, która nas tu interesuje, na szczególną uwagę, ponieważ są z jednej strony obszarem bardzo starej kolonizacji polskiej, z drugiej zaś areną rozmaicie się kształtujących stosunków między siłami politycznymi a osadnictwem. W pochodzie i cofaniu się tych wpływów wyczuwamy rytmikę wieków bardzo znamioną dla dziejów Polski. Ekspansja osadnictwa polskiego na te ziemie była starsza i trwalsza niż wpływy polityczne, a żywioł ludowy silniejszy od władzy państwowej. Nie poparty jednak należycie przez państwo, poniósł dotkliwe straty i wzmocnił sobą obce organizmy państwowe. Wyrazem tego są dzieje naszej granicy południowej, która w ciągu wieków cofnęła się na linię Beskidu, conajmniej z linii Tatr, utrzymując się w dawnej rozciągłości jedynie na Podhalu.

Lwów.

Stanisław Kupczyński.

Z PRZED PÓŁ WIEKU



W pośrodku dr. Tytus Chałubiński. — Nad nim w ubraniu miejskiem Józef Sieczka, ówczesny wójt Zakopanego. — Z flintą stoi przewodnik Szymon Tatar starszy. — Z ciupagą na ramieniu w góral-skim ubraniu Jan Alions Surzycki, późniejszy zięć dr. Chałubińskiego. — Po prawej siedzi z fajką w ustach, ciupagą w ręce i blachą przewodnicką przewodnik Maciej Sieczka. — Obok Chałubińskiego siedzi z torbką i papierosem w ręce przewodnik Wojciech Roj. — Przy nim z fajką w ustach Józef Śliwa(?), który stale przywoził Chałubińskiego furką z Krakowa.

(Reprodukcja z oryginalnej fotografii, pochodzącej z lat około 1875, będącej w posiadaniu Stanisława Roja, syna przewodnika Wojciecha Roja).

W ojczyste strony.

Zakopane. — Połowa kwietnia. — Gościenna weranda Dworca Tatrzańskiego.

— Więc dokąd? — pyta przy pożegnaniu pan Oppenheim, naczelnik Tatrzańskiego Pogotowia.

— W grupę Krywania!

— Aha! w pańskie ojczyste strony!

Mocny uścisk dłoni i jestem w drodze na Halę Gąsienicową. Tym razem idę po ciemku, gdyż — przyjechawszy w południe do Zakopanego — miałem przed wymarszem tysiąc spraw do załatwienia. Toteż marsz po ścieżce, na której zna się każdy kamyk, usposabia do medytacji. Dźwięczą mi w uszach słowa pana Oppenheima. I dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, jak bliską jest memu sercu ta wysunięta w stronę Liptowa przednia straż Wysokich Tatr.

Przed oczyma stają mi sceny już to z mojej samotnej wędrówki rozświetloną późną jesienią 1924 r., gdy już żywej duszy w górach nie było, już to z nocy pełnej grozy spędzonej na grani pod Hrubym, w grudniu ubiegłej zimy. I znowu przeplatają się wizje radosnej wycieczki wielkanocej z przed dwóch lat, z przemiłym obrazem walki z kurniawą na północnej ścianie Krywania w Wilję Bożego Narodzenia 1927.

Co za kontrasty między olśniewającym przepychem różnorodnych barw październikowych starego lasu w Koprowej a zadymką śnieżną, w której człowiek nie widzi dosłownie nic! A jednak, jak gdyby nic czerwona przewija się przez wszystkie wspomnienia z gór, świadomość konsekwentnego i wytrwałego wysiłku dla osiągnięcia w sposób samodzielny określonego celu. Wysiłek ten, zmaganie się z żywiołem — równie „niepotrzebne“ jak nieśmiertelne boje Don Kichota z wiatrakami — stanowił dla mnie oddawna najistotniejsze kryterjum wartości doznanych przeżyć. Dlatego właśnie, dla taternika — mimo całego czaru promieni słonecznych, wspomnienia przejść burzliwych i niepokodnych należą do najcenniejszych.

Nie zawsze udają się w niepokodzie wyprawy poważnie trudne, lecz

o wartości wewnętrznej, osobistej, czynu taternickiego, nie roztrzyga przecież etykieta wzięta z przewodnika: „trudne“, „bardzo trudne“, „nadzwyczaj trudne“; roztrzyga walka, która w danej chwili stoczoną została. Dlatego całkowicie błędem jest zapatrywanie, głoszone — wbrew klasycznym zasadom taternictwa — przez niektórych rekordzistów młodszego pokolenia, iż właściwie warto chodzić tylko w pogodzie. Przeciwnie, nie zasługuje na miano prawdziwego taternika ten, kto nie zna gór w chwilach rozpasania i szaleństwa żywiołów.

Takie-to rozważania pocieszały mię, gdy mozolnie dźwigając ciężki worek, na Skupniowym Upłazie stwierdzałem, iż pogoda na noc się jeszcze psuje, choć i tak w dzień zbyt pięknie nie było.

Zbliżała się dziewiąta, gdy stanąłem na przełęczy między Kopami Królowemi. Są to jakgdyby wrota, przez które człowiek opuszcza rozbawioną dziedzinę widocznych jeszcze z daleka iluminowanych dancingów, a wstępuje w poważny świat olbrzymów górskich. Powitały mię odrazu swoim mroźnym oddechem. Na Karczmiskuomal nie zwałił mię z nóg nagły, wściekły poryw wiatru zachodniego. Była to mała przygrywka do tego, co miało się dzieć w ciągu kilku dni najbliższych.

Schronisko. — Pośpiesznie zjedzona kolacja. — Nocleg. — Śniadanie. — Wymarsz. Trzeba było przejść przez Zawrat, Gładkie, Zawory, aby dojść na noc do schroniska w Koprowej. Drogę zbyt łatwą, aby dawać wrażenia podniebne, a jednocześnie zbyt uciążliwą fizycznie (w zimie!), aby dawać szerokie pole do rozmyślań nad metafizyką taternictwa — przeszedłem, odnalazłszy Zawory niemal poomacku, w gęstej mgłę i zadymce śnieżnej.

Znalazłszy się wśród pierwszych drzew lasu ciemno-smreczyńskiego, odetchnąłem swobodniej. Myliłem się wszakże przypuszczając, iż przeszedłem już wszystkie próby, przeznaczone mi owego dnia. Albowiem gdy beztrzesko schodziłem w dół znajomą ścieżką, dosięgły mię znowu opady atmosferyczne, tym razem — dla odmiany — w postaci ulewnego deszczu. I przekonałem się, że stanowczo sympatyczniejszą była kurniawa na Zaworach, gdyż skafander, który mię tak znakomicie chronił na wysokościach, nie zdołał się oprzeć napływowi wód, wobec czego po jakimś czasie odczułem małe wodospady, spływające między bielizną a ciałem.

Mrok zaczynał się już kłaść po dolinach, gdy przez rzadniejące drzewa ujrzałem schronisko. Dym, uchodzący z komina, upewnił mnie o obecności ludzi. Jakoż na progu przywitani mnie dwaj górale słowaccy, którzy uprzejmie pomogli w zdejmowaniu plecaka i liny, a następnie w ściąganiu ociekającego wodą skafandra i nogawic. W czasie pogawędki przy ogniu dowiedziałem się od zaimprowizowanych gospodarzy domu, iż są to cieśle, którzy

przygotowują gonty dla nowego dachu schroniska, dzierzawca zaś, który stale mieszka tu w zimie, ma przyjść wieczorem. Nie spostrzegłem nawet, jak zapadła ciemna noc.

Zaczyznałem się rozbierać, gdy przyszedł z dołu dzierzawca, bardzo miły młody człowiek, z którym się zaznajomiłem w tem samym schronisku parę miesięcy wcześniej. Było dość późno, gdy zgasiwszy światło mogłem zamknąć powieki. Tym razem jednak wyjątkowo nie spieszyłem się, ponieważ z uwagi zarówno na przemoczenie garderoby jak i na fatalny stan pogody, postanowiłem dzień następny poświęcić wypoczynkowi.

Dzień ten wstał chmurny i mglisty. Długo wylegiwałem się na miękkiej pryczy. Ubrałem się dopiero, gdy poczucie przyzwolitości, no i chęć spożycia śniadania wygnały mię ztamtąd.

Około południa przestało padać. Skorzystałem z tego i wybrałem się na rekonesans do doliny Hlińskiej. Ponieważ warstwa świeżego śniegu była nieznaczna — częściowo zresztą wytopiona przez deszcz — szło się dość prędko, a jakże rozkosznem było poczucie zupełnej nieobecności plecaka! Zaszedłem aż pod Mały Ogród. Ostatnia część drogi nasunęła mi niespodziewaną trudność. Mianowicie wiatr hulał po progach doliny z taką wściekłością, iż złapanie tchu i utrzymanie się w pozycji mniej więcej pionowej, było niełatwem zadaniem. Zostałem jednak wynagrodzony za swój trud, gdyż w chwili rozrzedzenia mgieł ujrzałem żleb, prowadzący z Małego Ogrodu na turnię P 2323 m/ we wschodniej grani Hrubego Wierchu, a żlebem tym wiodła droga, o przejściu której marzyłem oddawna. Chodziło o pierwsze wyjście zimowe na Hruby z Hlińskiej, chodziło o zaatakowanie w jedynym jego słabym punkcie potężnego muru, ograniczającego dolinę od południa.

To co ujrzałem, utwierdziło mię w przekonaniu o możliwości przejścia ściany nawet w dość niekorzystnych warunkach, przekonaniu nabytem zresztą już dwa lata wcześniej przy przechodzeniu w dół doliną Hlińską. Żleb był wówczas niemal aż po brzegi wypełniony niezłym śniegiem i wyglądał prawie jak zachód, wyprowadzający bez trudu na grań. Niestety byliśmy tam popołudniu dziesiątego dnia wyprawy, niemal pozbawieni prowiantów, no i trochę zmęczeni. Jedynie wskutek tego towarzysza, tym razem wyjątkowo rozsądniejszy odemnie, sprzeciwił się mojej trochę szaleńczej propozycji pójścia natychmiast na Hruby, a później wykonanie projektu dziwnie się odkładało, chociaż było w programie niejednej już wycieczki. Zdaje się bowiem, iż każdy szanujący się taternik miał w życiu choć jedną taką wyprawę, do której się latami całemi zabierać musiał, walcząc z pechem udaremniającym ciągle jego zamiary. Wyprawa taka, gdy ją nareszcie odbywamy, ma prócz innych wartości, urok czegoś, za czem oddawna tęskniliśmy.

Żleb wyglądał obecnie o wiele poważniej, niż na Wielkanoc 1926. Ilość śniegu w nim nagromadzonego była bez porównania mniejszą niż wówczas. Ukryta, górna część żlebu pozostawała niewiadomą zadania. Niemniej jednak całość wyglądała na rzecz, która „puści“. Najważniejszym zaś było to, iż zorientowałem się dokładnie w sytuacji i zapamiętałem sobie punkty cha-



Widok z Krzesanicy na Gołe Wierchy, a w dalszym planie na grupę Krywania i Hrubego.

rakterystyczne, wobec czego mogłem być pewnym, iż zbłądzenie, nawet w gęstej mgle, jest wykluczone.

Niepokojącym był natomiast stan pogody. Dujawica co się zowie! Wichur pędził i jęczał na śnieżnej pustyni z rosnącą gwałtownością. Opuściłem pośpiesznie posępne bule, lecz zanim zdołałem powrócić do zacisznego, ciepłego schroniska, raz jeszcze zmoczył mię deszcz, zmieszany ze śniegiem, tym razem wszakże mniej szkodliwie niż poprzedniego dnia.

Po kolacji stanąłem przed ciężkim dylematem: ruszać jutro w niewiadome, czy czekać na możliwszą pogodę? Poraz pierwszy w życiu miałem zimą ruszać na poważniejsze przejście w zupełnej niepogodzie. Zląkłem się. Postanowiłem czekać.

I znów rano wylegiwałem się leniwie. Bezczyność znudziła mi się jednak dość prędko. Zaofiarowałem więc swoją pomoc cieślom, którzy właśnie mieli ścinać drzewo na gonty. Z zachwytem podziwiałem patryjarchalną, prasłowiańską powagę, z jaką moi Słowacy zabierali się do dzieła. Bo też ścięcie drzewa nie jest byle czem! Wszak to wyrok śmierci, wykonywany na wspaniałym, wielkim organizmie! Jest to widok wspaniały i nieskończenie smutny zarazem, gdy drzewo zaczyna spadać, okiść zsypuje się z niego drobnym pyłem — potem słychać wielki huk i bezbronny olbrzym leży powalony na ziemi.

Za pracę w charakterze niekwalifikowanego robotnika dostałem przepysznej, słowackiej zupy. Popołudniu robiło się znów gonty. I znowu podziwiałem Słowaków za ich niesłuchanie zręczną pracę z całkiem prymitywnymi przyrządami. Z wyjątkiem bowiem strugaczki i zakrzywionego noża do żłobienia rowków, cały warsztat był przez nich zaimprovizowany. A robota musiała być jednak tak dokładną, aby gonty z łatwością wchodziły jedne w drugie. Wieczorem, gdy robotnicy zmęczeni odpoczywali, popróbowałem ku ich wielkiemu zdumieniu i tej roboty. Szła jakoś, ale o ileż powolniej, niż im! Mimo to, pozyskałem sobie ich pochwały i uznanie.

Tak upływał mi czas, podczas gdy śnieg ciągle niemal sypał, pogarszając warunki chodzenia z godziny na godzinę. Jeszcze kilka dni takich, a nawet przy pięknej pogodzie nie możnaby chodzić z powodu niebezpieczeństwa lawin. Trzeba się było decydować. Postanowiłem więc przygotować wszystko do wymarszu nazajutrz przed świtem. Wydzieliłem prowianty, spakowałem to, co było potrzebnem na drogę i nastawiłem budzik.

Co to będzie, co to będzie? Oto pytanie, które nie dawało mi spokoju, gdy usiłowałem zasnąć, przewracając się z boku na bok. Głębokim był jednak mój sen, gdy mię z niego wyrwał denerwujący głos budzika. Zerwałem się natychmiast i wyjrzałem na pole. W zupełnych ciemnościach rysowały się tylko niewyraźnie ponure sylwetki rozkołysanych szumiących drzew. Duło straszliwie. Nie mogłem powstrzymać niepokojącej myśli: jak musi wyglądać teraz na wysokościach, albo chociażby w dolinie Hlińskiej, gdzie walczyłem z piekielnym wichrem, podczas kiedy tu, w głębi doliny Koprowej, było zupełnie spokojnie? Czy można w takich warunkach marzyć o utrzymaniu się na grani? Czyż nie jest szaleństwem ruszać — i to samotnie w dodatku — na taką dujawicę? A jednocześnie, jak zawsze w chwilach takich wątpliwości, odzywał się w głębi mojego ja złośliwy, szyderczy głos: he, he! Znamy się dobrze, stary Zarembo! Gdy przychodzi do czynu, tchórz nas oblatuje! — Boże, co robić, co robić!? A decydować się trzeba zaraz. Skupiam aż do ostateczności swoje myśli w bolesnym wysiłku. Rezultat:

uznają, iż nie należy trudzić niepotrzebnie kochanego pana Oppenheima ekspedycją ratunkową. Zostają.

I znowu upłynął jeden dzień beczynnie. Urozmaiciłem go sobie dwoma spacerami: do progu w Niewcyrce i w górę Koprowej, gdzie ślady moje z dni poprzednich były już zupełnie zasypane. Popołudniu rozmawiałem dużo z dzierzawcą schroniska, który zwierzał mi się ze swoich marzeń i planów „upiększenia i ucywilizowania“ doliny, w znacznej mierze już jakoby zaakceptowanych przez K. Č. S. T. Nie domyślał się biedak nawet, do jakiego stopnia byłem niemi przerażony. A były one w istocie niepokojące: Wspaniałe mosty, ścieżki metrowej szerokości, wyrąbanie lasu przed schroniskiem i t.d.! Może już tego lata zniknie bezpowrotnie dziki urok pierwoboru w Koprowej. I nie wrócą już nigdy owe dawne dobre czasy, gdy można było tu przebywać całymi dniami na łonie dziewiczej przyrody, nie spotkawszy żywej duszy, gdy schronisko było na wpół rozwaloną chatą, w której jeno niespokojne szczury gospodarzyły!

Nie poto tu jednak byłem, aby wspominać dawne przeżycia i biadać nad przyszłością. Miałem dokonać wyjść taternickich, a rozporządzałem czasem ograniczonym zarówno ilością posiadanych prowiantów, jak i obowiązkiem wzięcia udziału w posiedzeniu Zarządu Głównego i Zjeździe Delegatów P. T. T. w Zakopanem za trzy dni. Jasnym było, że jeśli nazajutrz będę pędził taki tryb życia jak dotychczas, będę musiał wrócić z niczem. Warstwa świeżego śniegu rosła wprawdzie, ale jeszcze nie groziła poważniejszymi lawinami. Trzeba się było zdecydować teraz albo nigdy. Powzięłem więc postanowienie, tym razem nieodwołalne, wyruszenia nazajutrz bez względu na pogodę i posuwania się naprzód aż do natrafienia na przeszkody nie do pokonania.

Zabrałem się szczególnie starannie do przygotowania wszystkiego na rozstrzygający bój. Pakowałem kolejno do worka gotowe sandwicze, owoce suszone, czekoladę oraz maszynkę do gotowania wraz z zapasem spirytusu koniecznym do przetrzymania ewentualnego biwaku. Uważając konieczność noclegu pod gołym niebem za nader nieprawdopodobną, lecz jednak możliwą ze względu na nieustalony kierunek zejścia, chciałem być przygotowanym na wszelki wypadek. O zabieraniu namiotu lub koca nie było mowy ze względu na ich ciężar i objętość. Natomiast wziąłem parę zapasowych skarpetek i ciepłe domowe pantofle. Zdjęcie przemoczonych najczęściej butów jest bowiem rzeczą konieczną w czasie biwaku zimowego. W przeciwnym razie grożą bardzo poważne odmrożenia nóg; praktyka ostatniego sezonu potwierdziła to w całej pełni. Natomiast zdjawszy buty, zmieniwszy skarpetki, nałożywszy pantofle i schowawszy nogi do plecaka, a poza tem będąc do-

statecznie okrytym i zabezpieczonym od działania wiatru dzięki skafandrowi i nogawicom z nieprzemakalnego płótna — byłbym niewątpliwie zupełnie bezpiecznym.

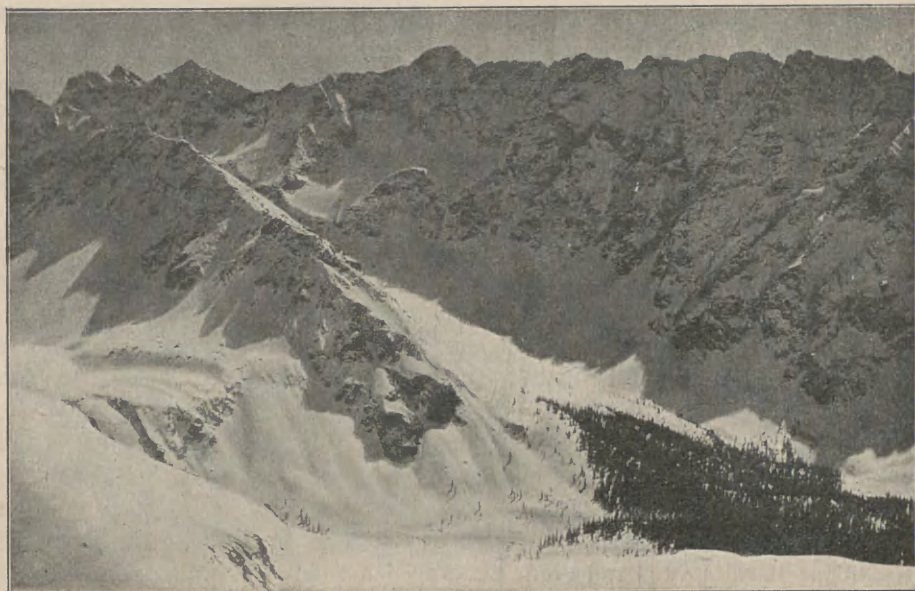
O pół do trzeciej w nocy skoczyłem na równe nogi. Już czas. Do czynu, do czynu! Pocichu, lecz z pośpiechem ubrałem się, jednocześnie przygotowując i spożywając solidne śniadanie. Pogodę zbadałem dopiero, gdy nałożywszy plecak i przerzuciwszy linę przez ramię, wyszedłem na pole, trzymając w jednej ręce latarkę a w drugiej czekan. Na niebie nie dostrzegłem ani jednej gwiazdy. Noc była czarna i posępna, lecz żaden powiew nie mącił jej ciszy, tylko potok szumiał monotonnie i bez przerwy. Na tle zawsze cokolwiek jaśniejszego śniegu rysowały się dziwaczne niekiedy postacie świerków, jakgdyby zaczarowanych, złowrogich postaci w spiczastych kapturach. Pomiędzy nimi przewijała się — wykropkowana śladami moich stóp z dnia poprzedniego — linja mojej drogi, prowadząca do stóp Hrubego Wierchu i dalej — w swem idealnem przedłużeniu — na upragniony szczyt.

Tuż za schroniskiem ślady omijały doskonale przeszkody, spiętrzone przez olbrzymią lawinę, która, spadłszy z Krzyżnego Liptowskiego, przesadziła jednym skokiem dość szeroką w tem miejscu dolinę i oparła się aż na przeciwnym stoku Krywania. Mogłem się przeto posuwać stosunkowo dość szybko. Równocześnie powoli, powoli odbłask śniegu stawał się jaśniejszym i ciemne kontury gór zaczęły się rysować. Wierzchołki jednak zanurzały się we mgle. Przed dojściem do Ciemnych Smreczyn mogłem zgasić latarkę.

W miejscu, gdzie wypada przekroczyć potok ciemnosmreczyński, aby wejść w głąb doliny Hlińskiej, odpocząłem kilka minut. Świat budził się do życia. Nieliczne ptaki witały śpiewem nowy dzień. Gdzieś wysoko nad chmurami wschodziło słońce. Tu jednak było szaro. Jedyne na wschodnim nieboskłonie zamazana pomarańczowa plama była dowodem walki światłości słonecznej z zalegającą ziemię, ciemną i bierną mgłą. I już, już zdawało się w pewnej chwili, że światłość zwycięży. Zakotłowały mgły. Tu i ówdzie coś się odślaniało. Z każdą chwilą było jaśniej. — Czyżby?... Lecz oto nadciągnęły z zachodu nowe chmury, niby niezliczone hufce ducha ciemności. Zwyciężyły! Słońce się chowa i ostatecznie znika za popielatą zasłoną. W Hlińskiej zastaje bezbarwny, smutny dzień zimowy.

Oto najwyższy taras doliny. Przedemną — poprzerywane skałkami — śnieżne przechyliny Małego Ogrodu a dalej, prowadzący w górną strefę mgieł, mroczny i wąski żleb, którym wiedzie moja droga. Wiatr coraz silniejszy się zrywa. Na płasience, na dole, znajdują sobie miejsce znakomicie osłonięte z jednej strony ogromnym blokiem skalnym, z drugiej wydmuchem

śnieżnym. Chwila odpoczynku i skupienia. Zegarek wskazuje godzinę siódmą i minut dwadzieścia pięć, gdy ruszam w Niewiadome, wprost do góry. Wiatr chwilami ciskał w oczy tumany białego pyłu. Śnieg, po którym się posuwam, miejscami — silnie sprasowany przez kilkodniowe dujawice — trzyma znakomicie; tu przydają się raki, przypięte już przy wyjściu z lasu, w dolnej



Hruby Wierch z doliny Hlińskiej.

Fot. Oppenheim.

Hlińskiej. Gdzieindziej jednak zapadam się po kolana i głębiej w puchu, nietkniętym przez słońce. Dotarcie, po silnej stromiźnie do Ogrodu i przejście go skośnie w prawo, do początku żlebu, okazuje się prawdziwie żmudnem, choć zabiera niewiele ponad godzinę.

Zasapany staję pod tym tajemniczym żlebem, o którym myślałem od lat dwóch. Znów mały odpoczynek. Przy sposobności spożywam drugie śniadanie, przypatrując się jednocześnie hypotetycznej drodze. Na prawo znajduje się grzęda, którą w lecie się wychodzi do góry. Wówczas jest łatwa. Dziś, w wybitnie niekorzystnych warunkach, aczkolwiek — być może — do przejścia, przedstawiałyby wybitne trudności terenowe; powiewny taniec unoszonego przez wiry pyłu śnieżnego również nie wróży rozkoszy temu, ktoby

się tam zapaścił. Droga zimowa prowadzi oczywiście i niewątpliwie żlebem¹⁾. Z początku jest on względnie połogi, później zaś, jak częściowo widać mimo mgieł, podnosi się coraz stromiej. Górne partje pozostają wciąż jeszcze niewidoczne.

Tymczasem zaczyna prószyć śnieg. Jest to oczywisty znak Niebios, iż należy ruszać czempredzej. W jednej chwili worek spakowany, znajduje się na moich plecach. Ruszam. Po drodze śnieg nadzwyczaj niejednolity. Naogół świeża warstwa, niezbyt gruba, leży dość luźno na starszym, bardziej spoiwym materiale. W takich miejscach stopa dość łatwo dociera do twardego podłoża, którego znakomicie czepiają się raki. Tu i ówdzie, przeważnie z lewej strony żlebu, wiatr usunął niemal doszczętnie „młody” śnieg. Tam można całkiem bezpiecznie stąpać, lecz niejedną raz nie spostrzegając nawet wzrokiem różnicy konsystencji, wpadam niespodziewanie w głęboką i niezupełnie bezpieczną zaspę. Trzeba więc szukać innej drogi, może właśnie z przeciwnej strony żlebu... Tak więc prowadzą w górę moje ślady powyginane w dziwne zyzgaki, których cel zdaleka wydawałby się zupełnie niezrozumiałym.

W górnych partjach żleb jest rzeczywiście bardzo stromy; nachylenie wynosi około 60 stopni. Warstwa śniegu jest tu już tak cienka, iż z dna wystają coraz częściej olodzone skały. Lawirowanie między nimi staje się tem bardziej kłopotliwym, iż w niejednym miejscu noga postawiona na śniegu natrafia niespodziewanie na oślizgłą płytę, nie dającą żadnego oparcia. Nigdzie zaś nie mam pewności, iż cienka powłoka śnieżna nie zsunie się ze mną na dół, w postaci t. zw. „deski”, odsłaniając płytowe dno żlebu. Na szczęście widać już blisko pozębioną grań. Jeszcze kilka chwil wysiłku i osiągam małe zacięcie bezpośrednio na wschód od turni P 2323 m.

Wściekłe łomotanie wiatru i błady, dziwaczny profil pobliskiego Szczyrbkiego Szczytu — oto moje pierwsze wrażenia na grani. Wyteżając wzrok, przeczuwam dolinę Młynicy, a nawet, jak mi się zdaje, Kolisty Stawek. Ogarnia mię jakieś radosne uniesienie na myśl o tem, że przeszedłem ścianę, o której tak dawno marzyłem i która z dołu tak groźnie wyglądała. Lecz nie czas jeszcze tryumfować: grań jest ostra i eksponowana, a przytem niebywale oblepiona świeżym, najbardziej zdradzieckim śniegiem, — wreszcie wiatr utrudnia znacznie utrzymanie równowagi. Wyjście na położony zaledwie kilkanaście metrów wyżej P 2323 m przedstawia poważne trudności. Każdy chwyt, każdy stopień, musi być najpierw odgadnięty, wzrokiem wymacany i bodaj częściowo oczyszczony ze śniegu, aby mógł dostarczyć problematycznego

¹⁾ Rozwodzę się nad wyborem drogi, ponieważ zdarzyło się w ciągu tej samej zimy, iż na pewnej ścianie znani taternicy, mając obok wypełniony dobrym śniegiem żleb, woleli się wspinać stromą grzędą, która też zmusiła ich do odwrotu.

oparcia. Nic dziwnego, że w takich warunkach przebycie tej malutkiej przestrzeni zabiera mi cały kwadrans.

Na wierzchołku turni siadam — trzymając się skał, aby mię dujawica nie uniosła — i rozważam niepokojące pytanie: co dalej? Z poprzedniej zimy dobrze pamiętam długość grani, oddzielającej mię jeszcze od wierz-



Hruby Wierch i Krywań w chmurze.

Fot. T. i S. Zwoliński.

chołka Hrubego Wierchu. Jest wprawdzie godzina dziesiąta dopiero, lecz nie mam zupełnej pewności iż zdołałbym w takich warunkach osiągnąć przed zmrokiem szczyt Furkotu. Kurniawa z każdą chwilą przybiera na sile. Wydaje mi się, iż warstwa śniegu rośnie w oczach. Coraz obficiej spadające, białe płatki zasłoniły już doszczętnie blade widmo Szczyrbskiego Szczytu. Uświadamiam sobie, iż za chwilę — prawdopodobnie — będzie znacznie gorzej; wówczas posuwanie się granią będzie niemożliwością. Pozostaje tylko jedna droga odwrotu: zejście z powrotem do Małego Ogrodu. Wiem, jakie trudności mnie tam czekają, lecz nie mam wyboru. Przejście granią na Hruby daruję sobie tem łatwiej, że sam go przedtem w zimie dokonałem; zresztą chodziło przecież o przejście ściany.

Ruszam więc natychmiast w dół po własnych śladach. Niewiele jednak z nich zostało, zasypał je bowiem świeży śnieg. Przejście górnej części żlebu — twarzą do ściany z powodu wielkiej stromizny — było uciążliwe i nieprzy-

jemne, lecz odbyło się bez żadnych incydentów. Dolną, połągą częścią schodziłem szybko, niemal zbiegałem, popychany z tyłu potężnymi podmuchami wiatru. W ciągu niecałej godziny znalazłem się w Ogrodzie. Tutaj w ciągu paru godzin przybyły wielkie masy świeżego śniegu. Stromy, skałkami poprzerwany stok groził lawinami. Idąc — o ile możności — grzędkami, unikałem i tego niebezpieczeństwa. Nie było ono zresztą zbyt groźne ze względu na niebardzo wielkie wzniesienie względne Ogrodu i znaczną szerokość doliny w tem miejscu.

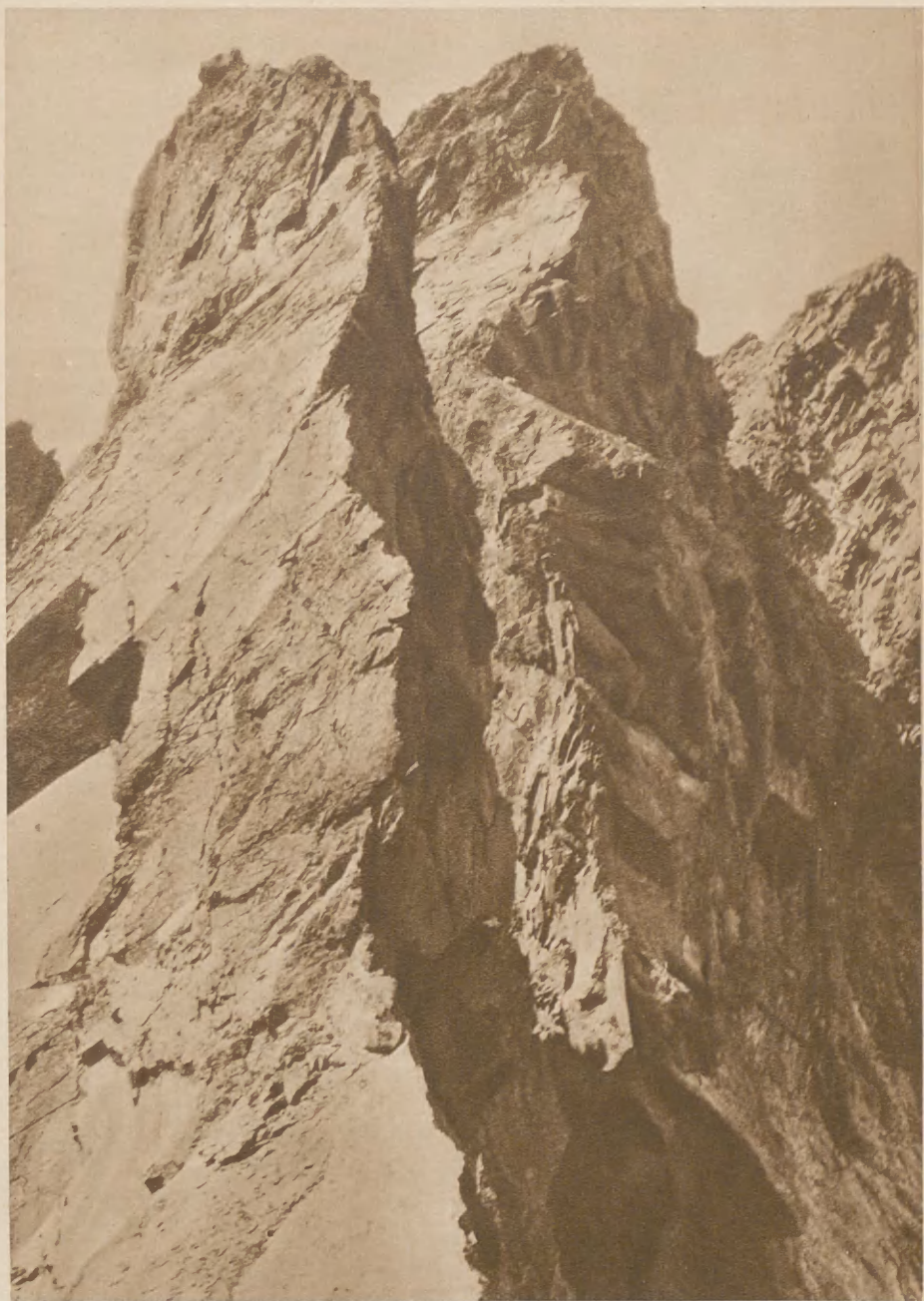
I znowu na dnie Hlińskiej, usiadłem pod wielką wantą, która zrana użyczyła mi schronienia. I podobnie jak rano, spoglądałem na znikające we mgle ściany Hrubego Wierchu, zaledwie mogąc uwierzyć, iż zdążyłem je przejść w tak krótkim czasie w obie strony. Szalejąca kurniawa dodawała krajobrazowi grozy i majestatu. Śnieg nadciągał od zachodu, tworząc coraz gęstsze fale. Wicher wygrywał na skałach dzikie melodje. Wydało mi się w pewnej chwili, iż słyszę uwerturę „Latającego Holendra“. I nic w tem dziwnego, bo czyż taternik, który — z wewnętrznego nakazu — musi chodzić po górach latem i zimą, dniem i nocą, w pogodzie i niepogodzie, nie jest nowoczesnym Latającym Holendrem?

Z żalem opuszczałem drogą memu sercu dolinę Hlińską. Spieszyłem się jednak, gdyż obowiązki wzywały mię gdzieindziej. Ku własnemu i pocziwych Słowaków zdumieniu, zaszedłem na obiad z powrotem do schroniska w Koprowej. Wieczorem zaś, pożegnawszy się z miłymi gospodarzami, przeniosłem się z rzeczami do Trzech Studni. Nazajutrz rano, przez pokryte świeżą okiścią lasy, przez rozległe łąki i pastwiska, zdążyłem czempredzej na pociąg do Ważca. W zagajnikach radośnie śpiewały ptaki. Wypogadzało się bowiem na dobre. Zanim doszedłem do stacji, ujrzałem dawno już niewidziane, wesoło uśmiechnięte słońce.

Pojechałem pociągiem z biegiem Wagu. I w miarę, jak się zniżałem, widziałem coraz mniej śniegu. W Królewianach, gdzie wypadło mi czekać na pociąg do Suchejhory, w całej pełni panowała wiosna. Radośnie i bez trosko wdechałem czyste, ciepłe powietrze i zachwycałem się widokiem pierwszych kwiatów. Antyteza widowisk dnia poprzedniego! A jednak — mimo całego ziemskiego uroku budzącego się życia — nie zapomniałem iż prawdziwą moją ojczyzną duchową jest pęsepną kraina martwych turni, wiecznego śniegu i wyjącego wichru.

Kraków, w lipcu 1928.

K. Zaremba.



„Wierchy“ r. 1928, do str. 63.

Fot. dr. W. Łaba

ŻABI KOŃ

NA SKAŁ WYŻYNNYCH NAGIM GRZEBIENIU.

O, głazne wierchy! twierdze zakłete! —
piękna i mocy chlebem wy Bożym
karmicie tego, kto się ukorzył
wam i ukochał was, niepojęte.

Turnie podniebne! wzniosłe krawędzie! —
ku waszym groźnym pnie się obliczom
cichej radości pełen, kto wyczuł
na nich odwiecznej prawdy orędzie.

Goreje w słońcu, przez mgieł potopy
wystrzela prosta nauka szczytów,
że duch tem lepszy, im są błękitu
bliżej, a ziemi dalej — twe stopy.

Tęsknoto ludzka ku oczyszczeniu,
ku wiecznym bramom i perspektywom! —
twój żar ucicha wizją szczęśliwą
na skał wyżynnych nagim grzebieniu.

Zakopane, 23 sierpnia 1928.

Stanisław Bąkowski.

O „Symfonię tatrzańską“.

W muzyce obcych narodów nie trudno jest znaleźć odpowiedniość zjawisk artystycznych we wszystkich sztukach pięknych. Niezawsze występują one współcześnie i niezawsze z jednakową siłą. Leży to już poniekąd w zbiorowej psychice każdego narodu. W polskich sztukach pięknych jednakże, jako całości, brak ten jest poprostu uderzający. Wystarczy zwrócić uwagę na stosunek naszych sztuk pięknych do Tatr.

Czem są (jeszcze) Tatry dla literatury, czem dla malarstwa — o tem wiemy i o tem dowiadujemy się ciągle na nowo. Fala zainteresowania pisarzy i plastyków to wzrasta, to słabnie, ale niema momentu, w którym w historii tego zainteresowania powstałaby luka, zwracająca na siebie uwagę. Czerpie się z Tatr ustawicznie materiał, przetwarzając go piórem i pędzlem. Można by np. na malarstwie „tatrzańskim“ studjować doskonale historję kierunków w „pejzażu“ polskim. Te pisane i malowane „pieśni o ziemi naszej“ tworzą istotnie wielkie karty w dziejach naszej twórczości artystycznej i mają to do siebie, że — o ile posiadają obiektywną wartość — nie starzeją się nigdy i nie tracą aktualności. Jest to niby „regionalna“ w swej treści sztuka, a jednak znaczenie jej jest wszechpolskie.

Gdzież znajduje się w tej dziedzinie twórczości muzyka polska?

Przewracamy karty w wielkiej księdze twórczości tatrzańskiej, wertujemy długo i ostrożnie, aby niczego nie przeoczyć. Znajdujemy nawet sporo nazwisk z muzyki polskiej, nazwisk kompozytorów, którzy mniej lub więcej umiłowali muzykę ludu mieszkającego u stóp Tatr i częściowo nawet mieszkającego w nich. Ale Podhale, mimo całej swej odrębności i piękności — to jeszcze nie Tatry. Ileżby straciło uroku i nastroju, gdyby nie poblize, gdyby nie tło Tatr! Nareszcie znajdujemy dwa nazwiska, dziś już zupełnie, lub prawie zupełnie, historyczne, a obok nich nazwy dwóch symfonicznych dzieł: „Tatry“ Władysława Żeleńskiego i „Morskie Oko“ Zygmunta Noskowskiego, a więc utwory, które mimo swej prawie historycznej wartości odzywają się niekiedy w sali koncertowej, wyrównując nawet pewne luki w polskiej symfonice. Natrafiamy też na jedno z dzieł Mieczysława Karłowicza (Pieśń

o wszechbycie“, w trylogii symfonicznej: „Trzy odwieczne pieśni“), które — choć nie ma tytułu wskazującego na Tatry, to jednak poczęło się na szczytach naszych, równie groźnych jak kochanych olbrzymów. Czy Karłowicz byłby jako symfonista stworzył kiedykolwiek „symfonię tatrzańską?“ On, który najbardziej prawdopodobnie był do tego powołany z racji charakteru swej sztuki i swego życia, tego nie chcemy przesądzać. Może byłby poszedł dalej w kierunku R. Straussa („Alpensymphonie“) i obdarzyłby naszą muzykę dziełem, które przewyższyłoby siłą inwencji nie tylko polskich muzycznych „taterników“, ale może i alpejską symfonię kolorysty i symbolisty niemieckiego, niejednokrotnie dość „dólską“ w materiale melodycznym. Może nie byłby miał potrzeby posługiwać się aż tak olbrzymim, istotnie bardzo imponującym aparatem techniczno-orkiestrowym, jaki wprowadza Strauss w swej panoramicznej symfonii alpejskiej, ale niewątpliwie byłby w każdym kierunku przewyższył młodociane „Tatry“ czeskiego kompozytora Witesława Nováka, tak wiele sympatycznych cech zawierające a będące wynikiem patrzenia na Tatry z „tamtej“ ich strony. Byłby to istotnie nasze „Tatry“ w wyższym stopniu polskie, niż czeskiemi są „Tatry“ czeskiego mistrza. Co więcej — musiałyby być niemi w większym stopniu, niż „Tatry“ Żeleńskiego, a zwłaszcza „Morskie Oko“ Noskowskiego, obydwa utwory robiące na nas dziś wrażenie obcą techniką malowanych pejzaży z werandy, lub też wrażenie takie, jak na dzisiejszym turyście czynią pierwsze przewodniki po Tatrach, nawet nie pierwsze opisy Tatr, kryjące tak wiele sentymentu romantycznego. Odnosimy się do tych dwóch dzieł nie bez sympatji, nawet wzruszenia, ale też nie zapominamy o tem, że sposób odnoszenia się do zjawisk przyrody, a więc i do gór, ulega znacznym przemianom, jak wszelkie zresztą zjawiska geopsychiczne, przemianom, które możnaby nawet nazwać historycznymi. Z pokolenia niemal na pokolenie dają się stwierdzić zmiany w „poglądach“ na ten cały kompleks wrazeniowy, który krótko zwiemy „Tatrami“. Pozostaje jedno tylko: ich umiłowanie, które tak silnie zaznacza się w literaturze i malarstwie, nie znajdując swej odpowiedniości twórczej w polskiej muzyce. Po drugiej stronie Tatr zaczyna być inaczej: młodostłowaccy muzycy już uzyskali twórczy stosunek do Tatr, na które — rzecz prosta — patrzą po słowacku i słyszą w nich po słowacku to, co jest w górach do słyszenia zewnętrznego i wewnętrznego. Już ich narodowy hymn w pierwszym wierszu mówi o tem, jak to nad Tatrami się błyska. W naszej muzyce od czasów Żeleńskiego i Noskowskiego przestało się błyskać nad Tatrami... Słyszcy się czasem góralskie śpiewki i tańce, opracowane to źle, to dobrze, widzi się na scenie nawet zbójników, ale o Tatrach nic nie słyhać. Powstaje nawet tak wspa-

niała apoteoza góralskiej rasy i góralskiego ducha, jak „Harnasie“ („Janosik“) Karola Szymanowskiego, ale nie możemy identyfikować Podhala z Tatrami.

Jakiż może być powód tego u obcych nieznanego stanu rzeczy? Przeglądając bowiem symfoniczną muzykę narodów całej niemal Europy, spotykamy się ustawicznie z dziełami, które są artystycznym manifestem uwielbienia ojczystej przyrody, między nimi zaś nie brak dzieł, które wprost poczęły się w górach i o górach nam mówią.

Podobno dążenia dzisiejsze w muzyce są „antinaturalistyczne“ — i słusznie. Nie wymaga to jednak zupełnego odwrócenia się od natury i szukania podniety twórczej tylko poza nią, zwłaszcza zaś w obrębie miejskich murów i brudów i miejskiego życia, które ma niewątpliwie szeroką, ale nie całą skalę możliwości. W szczególności zaś muzycy polscy oddalili się znacznie od obcowania z przyrodą, mimo że właściwych „urbanistów“ jest między nimi niewiele. Zdarza się, że interesuje ich raczej sam lud, niż przyroda, w której i z którą ten lud żyje, tworząc z nią prawie nierozzerwalną całość. Ale i to zainteresowanie się ludem naszym jest często hipokryzją lub tylko chwilową „modą“, a nawet do pewnego stopnia „polityką muzyczną“. Mamy też często w ich sztuce do czynienia z wynikami... patrzenia przez okno na przyrodę, a nie z rezultatami bezpośredniego obcowania z nią. Przy dzisiejszej tak jednostronnej dążności do stylizowania, przestylizowywania i groteski, trudno o inne rezultaty. Prócz tego oszalała manja egzotyizmu, orientalizmu oraz wszelkiego rodzaju „extraneizmu“, idącego często w parze z zupełnie ordynarnym snobizmem w towarzystwie pustki myślowej, ubranej w modny strój takiej lub innej techniki, zupełnie obcej duchowi polskiemu. Mamy nawet do czynienia z wybitnymi indywidualnościami, zamkniętymi niestety stale w retorce eksperymentalizmu, który nie u nas może wydać wyniki właściwe. Eksperyment za eksperymentem, „oryginalność“ za oryginalnością, w tem wszystkim zaś nawet nie odwrócenie się od natury, lecz wprost wynaturzenie, niezdolność do reakcji artystycznej na najwspanialsze nawet zjawiska przyrody.

W tych warunkach nie może być mowy o powstaniu „symfonji tatrzańskiej“, która byłaby nie tylko dziełem wysokiej wartości narodowej, ale i dziełem pełnym wartości artystycznych. Paryskie Conservatoire National wysyła ukończonych uczniów kompozycji (odznaczonych nagrodą) na roczny pobyt do Rzymu. Byłoby u nas (o ile nauka kompozycji w Polsce jest wystarczającą), rzeczą nader korzystną wysyłanie komponujących absolwentów konserwatorium na roczny pobyt w zupełnym odludziu. Fundacja tego rodzaju byłaby poprostu zbawienną dla niejednego talentu, który wybrałby niejednokrotnie dla swej twórczości drogę inną, niż jest zmuszony obierać

w „normalnych“ (przymusowych) warunkach. Twórczość muzyczna polska odświeżyłaby się znacznie. Zdaje mi się — lecz obym się mylił — iż w żadnym kraju miasta nie są tak bardzo co do muzyki zdenacjonalizowane, jak miasta polskie, w których „ton polski“ prawie się nie odzywa. Można przez radioaparata słyszeć „muzykę narodową“ wszystkich krajów europejskich a nawet pozaeuropejskich, u nas nietylko się nie słyszy „wieczorów narodowej muzyki“ (w sensie muzyki ludowej, wysyłanej przez stacje radjofoniczne całej Europy), ale jest się świadkiem powstawania na polskim gruncie takich pomysłów, jak imitacja wiedeńskiego „Schrammel-Quartett“, który niewątpliwie zakasuje Wiedeńczyków. Otóż to „zurbanizowanie“ polskiej muzyki pociąga za sobą obojętność nawet wobec tak wspaniałych monumentów polskiej przyrody, jakimi są Tatry. Pomijamy tu fakt, iż istnieją w Polsce wielkie i wspaniałe obszary przyrody, wobec których nasi Apollinowie również okazują stałą obojętność, w przeciwieństwie do przedstawicieli literatury i malarstwa, noszących wielkie nazwiska...

Nikt nie ośmieliłby się napewno narzucać artyście przedmiotów zainteresowania. Byłoby to równie śmieszne, jak i nieproduktywne, nawet beznadziejne. Nikt nie przekona kompozytora do Tatr, jako podniety twórczej, jeśli to przekonanie nie wyjdzie od niego samego. Wolno jednak postawić pytania. Dlaczego obojętność wobec ziemi ojczystej jest obcą np. skandynawskim i francuskim kompozytorom, i to muzycznie wychowanym w stolicach? Dlaczego w Niemczech odzywa się ustawicznie w muzyce uwielbienie dla Alp? Dlaczego potężniejsza muzyka hiszpańska rokrocznie wydaje dzieła, będące wynikiem wrażeń doznanych w przyrodzie tego kraju (n. p. „Les Cimes“ Espli)?... To byłaby jedna kwestja. Druga zaś dałaby się ująć w pytaniu: czy powodem tak odmiennego zjawiska w muzyce polskiej nie jest przypadkiem niemożność zetknięcia się bezpośredniego z przyrodą Tatr? Był kompozytora polskiego w samej Polsce jest na długi jeszcze czas niezmiernie trudny. W większym stopniu niż malarz lub poeta zmuszony jest muzyk polski przebywać bez przerwy w miastach, aby móżdżek wśród nieopisanie ciężkich warunków zapracować na życie, pastwiące się nad artystą i przytępiające jego wrażliwość wobec przyrody, tak rzadko lub nigdy nie spotykającej się z nim oko w oko. I właśnie w tym czasie, w którym twórczy artysta mógłby mieć to spotkanie, przypadają największe troski. Nie każdy z naszych muzyków twórczych mógł jak ś. p. M. Karłowicz mieszkać stale wśród przyrody, patrząc na Tatry i w głębię Tatr, przeżywając nieporównane chwile zachwyty i zbierając może materiał wraźniowy dla przyszłej a niedosłej „symfonji tatrzańskiej“. Ileż dzieł powstaje u nas wprawdzie zależnie od talentu, ale też i zależnie od okoliczności zewnętrznych. Jakże

rzadkim jest w nich stosunek prosty między spontanicznością wrażenia a siłą talentu. Jakże częstym natomiast jest fakt eksploataowania samego tylko talentu. Niemniej jednakże zdaje się nie ulegać wątpliwości, że dzieł symfonicznych o „ziemi naszej“ nie brakłoby, gdyby zaistniała możliwość stałego kontaktu naszych twórców muzycznych z przyrodą, kontaktu stałego, nie dorywczego. Sam przyjazd do Zakopanego nie stworzy „symfonii tatrzańskiej“, raczej przypomni popisy jazz-bandu i ryki murzynów, dancing i sporting muzyczny. Trzeba wejść w ślady ś. p. Karłowicza i poznać Tatry tak jak On je poznał. Nikt nie wymagałby, aby nasi kompozytorowie zwięźali skalę życia do nastrojów i przeżyć pastoralnych. Ale też można wyrazić zdziwienie, że sami zwiężają tę skalę do granic w rzeczywistości niewielkich, wyrzekając się poznania tych czynników, które twórczości nie tamują, natomiast wpływają na nią ożywiająco, odświeżająco, otwierając nowe tereny przeżyć.

Zupełną słuszność miałyby ten, kto by zadał pytanie: czyż więc mają nasi twórcy muzyczni iść po to w Tatry, aby znowu naśladować symfonicznie szum wiatru, huk siklawy, szmer lasów, gromy piorunów, malować barwami muzycznymi wschód i zachód słońca, połysk księżyca w stawach, kazać obojowi grać jakąś nutę juhaską lub wierchową, w scherzu zaś umieścić taniec zbójnicki i t. d.?! Czyż ma się nanowo próbować muzycznie ożywić martwą naturę?!

Odpowiedź na to jest prosta: broń Boże! Choć po prawdzie wielkiego czynu dokonałby ten, kto umiałby i to wykonać własnymi, nowymi środkami. Nam jednak chodzi o to, abyśmy usłyszeli dzieło, którego treścią będzie stosunek kompozytora polskiego do Tatr, stosunek osobisty i wolny od wszelkiego szablonu i zgóry narzuconych przesłanek „artystycznych“, od przypodobań się wielkim „hasłom“, wolny od „społecznych“ zobowiązań, od „śpiewania ludziom, nie sobie“, od jakichkolwiek skrępowań. Ma to być wielka „symfonia przyrody“ (symfonia: w znaczeniu stylu nie formy), przyrody tatrzańskiej, symfonia, która będzie polską, choćbyśmy w niej nie słyszeli zdawkowych „polonizmów“. Bo jeśli styl danego kompozytora nie będzie rasowo polski, to nie pomoże mu wplecenie w swe dzieło ani „Sabałowej nuty“, ani „drobnego“ ani „zbójckiego“. To potrafi uczynić każdy obcy kompozytor. My zaś pragniemy muzycznego rezultatu polskiego spojrzenia na polskie Tatry, w głąb Tatr, gdzie wznoszą się „wolności ołtarze“, może mimo wszystko, jedyne. Musi to być dzieło żywiołowe, nie „wykalkulowane“ tak jaskrawo i widocznie, jak alpejska symfonia R. Straussa. Sądzę, że musi być również „romantyczne“, ale nie w znaczeniu romantyki... romantycznej XIX wieku. Czyta się i słyszy o antiromantycznym kierunku mu-

zyki współczesnej. Nie można takich twierdzeń traktować na serjo. Każda epoka, każdy okres i każdy kompozytor ma swoją romantykę, nawet — Igor Strawiński, największy antiromantyk. Jak długo istnieje chęć i możliwość oderwania się od brudnej rzeczywistości i poniżającego szablonu, tak długo niema mowy o zaniku romantyki. Czyż może jeszcze należy drzeć przed powrotem — impresjonizmu? Artysta zdolny do wrażeń przyrody nie przerazi się hasel antiimpresjonistycznych, jeśli będzie w możności przede wszystkim stworzyć dzieło trwałej wartości muzycznej. Nie mógłbym uznać tego artysty za poważnego, któryby z racji istnienia hasel lub nawet dzieł antiimpresjonistycznych obawiał się iść w kierunku — impresji czy stylu impresjonistycznego, mimo nacisku ze strony indywidualnej możliwości ulegania twórczym wrażeńom n. p. wśród Tatr, gdzie niewątpliwie wyprostują się nerwy, torturowane ideową galopadą wszelkiej „kierunkowości“. Dlatego też sądzę, że dzieło, o którym marzymy, może być jedynie wynikiem skupienia, nie sezonowego zżycia się z Tatrami.

Czekamy na chwilę, w której usłyszymy dzieło, będące tatrzańskim odpowiednikiem do podhalańskich „Harnasiów“ Karola Szymanowskiego. Nie oczekujemy natomiast dzieła, które pragnęłoby się zwać i wielkiem i narodowym dlatego tylko, że tematem jego są Tatry.

Hrebenów, w sierpniu r. 1928.

Adolf Chybiński.

W turniach.

Panu Stanisławowi Barabaszowi we wspomnieniu chwil wspólnie w Tatrach przeżytych.

Nieodłączni towarzysze-klusownicy, Jędrzek Mateja i Jasiiek Groń, wspinali się od strony Węgier, po uboczu, ku przełęczy w grani Liptowskich Murów, którą oświetlały skośne promienie słońca, zmiernającego pod zachód.

Przy każdej turni którą w drodze mijali, skradali się ostrożnie i patrzyli czy nie dojrzą gdzie pasących się kozic. W wyszarzałych cuhach i portkach, gubili się wśród skał granitowych, a szli cicho w miękkich kierpcach, jak para rysi, co wyszła na łowy; czasem tylko oderwał się mały kamyk, nieostrożnie stopą ruszony, albo stuknęło przypadkiem stylisko ciupagi o kolbę jednorurki, przewieszanej przez plecy. Dla ostrożności nie palili fajek, tylko krótkie, jałowcowe cybuszki, godnie dymem przesycone, trzymali odwrotną stroną w zębach, aby się nie cniło za fajką.

Już drugi dzień zmitrężyli daremnie. Obeszli wszystkie zbocza nad doliną Cichą pod Świnicą i Zaworami i nie widzieli ani jednej kozicy. Szli więc do doliny Pięciu Stawów, skąd jesienne trawy, zrudziałe od słońca, wyгнаły już pasterzy ku osiedlom na skoszone ścierniska i polany.

Przepatrując daremnie ubocz, doszli wnet do przełęczy. Grań była wygrzana słońcem, to też gdy tylko przyszli umęczeni długim chodem, zaraz rozścielili cuhy i pokładli się, a oparłszy się na łokciach gawędzili, przeglądając ubocza, czy gdzie nie dojrzą koziego kierdela.

Dolinę Pięciu Stawów pokrywały już granatowe cienie. Ciągnęły się one długimi konturami od Zawratu aż po przyciesie Miedzianego, na którego osłonecznionem zboczu wysoki szczyt Koziego Wierchu położył ostrą, fioletową plamę. Głębokie stawy patrzyły ciemnymi oczyma, w których jak źrenice odbijały się jasne szczyty gór — zaś dalej, gdzie dolina się rozszerzała, świecił polerowanym srebrem Wielki Staw, cały w słońcu, jak duże zwierciadło, ujęty w złote ramy z żółtej, spalonej trawy jesiennej. Grań Miedzianego błyskała jak kram odpustowy, w którym rozwieszono barwne świecidełka i paciorki. Od grani zbiegały w dolinę wstęgi żlebów, bielejące płatami niedotającego śniegu i srebrnymi siklawami. Potracone po skalistych zboczach upłazki o zrudziałej trawie paliły się jakby żywym płomieniem — a tam znów, gdzie mokradełka z roztopionych śniegów obsiadła trawka seledynowa, świeciło niebem na letniem świtaniu. Tylko ciemne cienie od rozrzuconych po zboczach turnic, przerywały te jasne barwy — zaś daleko ku Spiżowi, ponad granią Miedzianego, ośnieżone szczyty Wysokich Tatr paliły się na wieczornem niebie, jak wielkie watry w noc Świętojańską.

— Pikna ta nasa dolina, ze jej sie dość napatrzeć nie možno; — juz lo samego patrzenia worce haw styrmać — rzekł z zachwytem Jasiek.

— A wirchy to sie jarzom jak w kościele na rezurekcyi — mówił zapatrzony Jędrak. — U nos syćko honorniejse jako gdzie; chociojby i słonko — tu idzie se godnie na noc poza turnie, a na dolinak to w bądź jaką przykopę musi sie skryć, bo nima kany. Abo, cy w kie sie tam zrobiom takie cudecki jako haw? A kiej jesce ku temu turlikają owce po upłazach, a po sałasach pachną syry i zentica, wte to wej uciecha!

— Ej, patrzyłby sie nom teraz cyrpak cieplej zenticy, uchodzilimy sie tęgō, a tu nic, kozy jakby sie wytraciły — labidził Jasiek.

— Nima co biadkać — dowodził Jędrak — one i teraz som — ale cy to wysukos zaroz kierdel? — Moze som na Krziznem abo w Bucynowych, abo i w Wołosinie, — kanyś być musom, — uwidzimy jako jutro pokaze, — dziś to zasiądziemy jesce przy wyznim sałasie na niedźwiedzia, bo mi mówił Wojtek Dudławy, ze kiela razy przichodził ku owcom, ino go wse główniami

odegnali. Som widziołek go łońskiego roku, jako teraz ciebie, przy sałasie pod Wołosinem, jak dźwirze kcioł wywazyć, a ze były mocno zaparte, nalupał pazdurami trzasek kieby ciupagom, — a tyz juz i owiec nie beło.

— He, psia para jedna! Kiebyś sie był przikrad ku niemu, a dobrze mu przyłożył — rzekł podniecony opowiadaniem Jasiek.

— Ej, ba! kie me beskurcyjo pocuł w cas, — ale jesień fajna, to go kanyś ułapimy. Slakowałek go, bedzie temu tydzień w Kopkach, na skorusach beł, i jutro po połedniu musimy hań zasiaść bo tam skorus a skorus, jaze brzyg cyrwony. Mielibymy dutki za skóre, kieby sie udało — dorzucił zachęcająco.

— Jabyk zaroz nowom flinte kupił, bo mi te popsuli — rzekł Jasiek oglądając swą strzelbę.

— Ktoz ci jom zepsuł?

— A pewnie Jasiek Byrcyn.

— Coz jej chybio?

— Do cista straciła swój brand. Pewnie wte, kiek mu jom pozicił, to abo jego baba przypadkiem rafnena za lufe w taki cas, abo on przy babie coś w tym casie onacył, a potem tom samom rękóm chycił zaroz flinte, i brand dżasi wzień. Juz i prochu godnie przikładam — nic nie pomaga — rzekł zatroskany Jasiek.

— Trzeba jom gadzinom przestrzelić, to się sprości — radził Jędrak.

— Pewnie zeby pomogło, ale kanyz to teraz bede gadów patrzył — pochowały sie juz na zime. — A ty cobyś kupował? — spytał Jasiek.

— Ja tobyk miał co do konia dołożyć, bo mi dutków chybio, a chciałbyk na zime kupić do drzewa drugiego.

Jasiek wytrzepując fajkę o kolbę strzelby, uśmiechnął się do siebie, a potem spojrział roześmiany na Jędrka i spytał go żartobliwie:

— A cy nie kupowałbyś u tego hrubaśnego słowaka z pod Magóry, coś mu na łoni w mieście konia przeskocił? Narobiłeś wte mału tom komedyjom. — Słowak to jaze kufe ozwar, cisto zgłupiał, a ludzie co patrzyli na to, to cie palicami drugim pokazowali. Ej mos ty Jędrus nogi — dodał ze szczerym zachwytem.

— A dy prowda ze nie ze słomy som — Pambóg to juz mi z nogami wygodził.

— Kieś sie stawiał ze słowakiem — przypominał dalej Jasiek — miarkowałek: ej, Jędrus przebrał, bo przecie to zawdy koń, nie baran, a tu kie cie wyniosło w góre, to sie jesce z pół siuha zwysało, a mnie to ucieho jaze ozpirała — niekta wiedzom miescany jakie u nos hłopy som jest.

— Ale my pote pili u Hamersłaga — rzekł rozbawiony wspomnieniem

Jędrak — wte ty Jasiu wydziwiałeś w tońcu, jaze z dyliny trzoski leciały a syčka sie w sinku cudowali.

— Bo Bartuś Obrochta groł, a juz nijakim świacie nik tak nuty na gęślak nie wyzbiro jako on; som strzelec, to wi jako strzelcowi grać. Kie ci zagro pod noge, to musis furkać, bo cie nuta niesie.

— A córke tego słowaka, bacis Jasiu? — spytał filuternie Jędrak.

— Jesce mi dziška haw w biedrze piece skóra, cok se jom sparzył kiek przy nij siedziół. Straśnie kurozno bezkurcyjo. Ino kolanami przebirała, a wiertala cornemi oczami kiek świdrem; — tyś wte z jej ojcem ukwalował, toś sie jej tak nie przypatrzył.

— Bo mi jom wte rajęł, ze je jedynica i strażnie jom wywianuje, zebyk sie ino zenił.

— Zwidzioteles sie staremu, trzeba sie było godzić, a zadatek brać — prawił wesoło Jasiek.

— Kie mi jej nie potrza, ale bier jom ty, ku tobie przisiadała jako kura przy kogucie.

— Kie mi sie nie widzi.

— A cemu?

— Cienko. Ułapiłek jom za biedro, kie stary nie widziół, to ino kiecek a kiecek, a miesa nic — śmiał się Jasiek, pokazując białe zęby.

— Przigrubnie przy tobie, kie sie ozenis.

— Ale kto wi cy wsędy, — a strzelcowi potrza baby syrokiej, cieplej, bo nieroz tęgo domarznie. A do reśty musi być scekliwo. — Franek wse mówił, ze chude baby rade sie wadzom.

— Ftory Franek? — spytał Jędrak.

— A Jasiców, co go pod Leliowem naśli zabitego — a on beł praktyk na baby... — A po chwili milczenia rzekł zamyślony: — A jo wse sie głowie fto go to zabięł — bo skoda fajnego hłopa, ze sie juz pominon...

Na wspomnienie Franka ładna twarz Jędraka sponsepniała. Ciemne brwi zasunęły się na oczy, zapatrzył się w dal i zadumał, a po chwili wyrzekł z westchnieniem: — I my sie pominiemy, — śmierzc nońdzie i tego, ftoemu do niej nie pilno.

Zapadło milczenie, słyhać było tylko miarowe pykanie fajek i częste spluwania, a czasem tylko zakwilił cicho któryś cybuch, jak młody jarząbek w gnieździe. Słońce zaszło już za grań Świnicy, i przedwieczornej ciszy nic nie maćiło, prócz cichych szmerów siklaw, co po żlebach się sączyły.

Po chwili od strony Krywania odezwał się daleki, krótki a głuchy szum. W czas jakiś dał się słyseć drugi, ale silniejszy.

— Halny! — Stisys Jašku? — Pod Krziwaniem pocyno duć, — trza sie

brać dołu, boby nos haw z tela zestusił, abo i wantom dołożył jesce. Wim ja teraz skrós cego nima kóz we wirchak. Posły nizej w kosówki, — abo i w las, — one ta poprzódzi wystuderujom jako my, kie ma być halny, abo jako naremnica.

— Nima co cekoć, biermy się, — zeby nam ino lejby nie prziniós — bo wte nic z polowacki — biadał zatroskany Jasiek.

Zebrawszy zdjęte flinty i torby, ruszyli szybko ku małemu szałasowi nad stawem, który przytulony do dużego głazu, nikał w fioletowych cieniach doliny. Skracali o ile mogli drogę, przecinali w poprzek śtyrmne upłaziki, przesuwali się po skalnych półkach, po kozich zachodzicach — wartko pomykali w dół. Gdy przechodzili trawiasty upłazik, wyskoczył im prawie z pod nóg świstak i gwizdnąwszy przeraźliwie, skrył się w jednej z jam.

— Ale giełcy! — rzekł Jędrek, słuchając echa, co długo grało po turniach, aż gdzieś po Krzyżne.

— Poprobujmy kopać, Jędrek, moze sie uda.

Nie namyślając się wiele zrucili cuhy i poczęli jedną z jam rozkopywać. Kopali ciupagami, trochę rękami, ale robota im nie szła, bo ziemia była zbita i kamienista; w dodatku jama biegła gdzieś głęboko w dół.

— Kiebyś to miał pazdury, jako on, — tobyś go wygrzub, ale co zrobis samemi palicami? — Przez motyki nie dos rady — rzekł Jasiek zmęczony i rozgniewany beznadziejnym grzebaniem.

— Nic nie zrobimy przez motyki — przyznawał zasapany Jędrek, ocierając spocone czoło rękawem koszuli, — trzeba ino dobrze zbacyć miejsce, by sie dało trafić haw. Za jaki tydzień będą pewnie spały, a wte pódziemy ik wykopać.

— Pytała mnie Brońcia o sadło lo swego ojca, — coś ta nie zdrów, a i u nas co było to sie mineno.

Jasiek, otrzepując ziemię z cuhy, spytał:

— A czemu ty jom juz roz nie bieres? Przecie bogata, robotna a pikna, co przistrojniejszej od niej nie widziołek ani w mieście, ni na nijakim odpusćie w Ludźmirzu, choć tam telo ludzi ze świata przichodzi. — A juz ludzie ciukajom jej ojcom, ze jom jacy uwodzisz.

— Nie uwodem, ale mom coś — odrzekł Jędrek.

— Tobie nie pilno, boś hłop, a do tego urodny, to cie bądź jaka zrajuje, a dziewczynie to sie markoci przez hłopa i schnie.

— Ej, mos ty głowe, Jasiu! Jako wójt w Bielance — odrzekł ironicznie Jędrek.

— Mom głowe ale swojom, — lepsom na ten przykład jako twoja, — bo uwidzisz, ze ci Brońcie ktoś zabiere. Prowda, ze rada ku tobie patrzy — ale to nic. Kie jej sie bardzo pocnie kotwić, to przeruci jednego, abo i dru-

giego kawalira, a nojdzie sie trzeci do gustu i przyjmie. — Wim jo ze Sobek ze Stasikówki przipochlebia sie jej.

Jędrka aż coś podrzuciło, zaiskrzyły mu się oczy i krzyknął groźnie:

— Wara mu od Brońci!... Sprawie go tak ze juz mu jacy gróbarz pomoze!... Ino moją ona moze być! Rozumis?!

Wybuch towarzysza dotknął Jaśka, tak że spochmurniał i zamilkł na chwilę, wreszcie po chwili odrzekł spokojnie, napychając fajkę:

— Kie nie słuchas mojej rady, to rób jako fces — mos swojom wole...

Po chwili Jędrka gniew opuścił, opamiętał się, uspokoił, i rzekł ugodowo do Jaśka:

— Wim jo, ze ty radzis mi dobrze — przecieś mój nolepsy towarzis. Jo som nie kcem z Brońciom odwłocać, ale musem pryndzej poonacyć różne swoje sprawy, pote wysłuchać sie, — dać na zopowiedzi, bo mi jom przecie przez ślubu nie dadzom — dopowiedział w zamyśleniu.

To chwilowe nieporozumienie wyrównało się wkrótce między towarzyszami, a że wieczór się zbliżał, trzeba się było spieszyć w dolinę, tem więcej że szum halnego wiatru coraz częściej słyszeć się dawał. Wnet więc przeszli w poprzek świstacze osiedle i puścili się spiesznie w dół żlebem, nadrabiając chyżością czas stracony przy daremnem kopaniu świstaków.

Dochodzili do szałasu, gdy z poza grani, od węgierskiej strony, leciały już małe kłębki złotych chmur. Błądziły one nad kamienistemi kotlinami, wieszaly się przy którejs turnicy, jak te osie gniazda pod kalenicą, — i znów oderwane podmuchaem leciały dalej, nad Roztokę. Co chwila nadbiegały coraz większe gromady, coraz ciemniejsze, więcej zbite, cięższe, aż wreszcie poczęły się przelewać przez grań skołtunione, szare chmury, a wraz zahuczały wicher i sparł się z turniami.

Cuda świetliste znikły, zrobiło się ciemno, a tylko wicher potężniał i rzucał coraz większą masę ciężkich chmur w dolinę.

Za chwilę spadł po uboczy, i skowycząc złośliwie uderzył jak olbrzym potężnemi pięściami w ścianę starego szałas. Zaskrzyptały trwożliwie stare zmurszałe bierwiona, ale szałas się ostał. Ochronił go głaz, który go od szczytu zasłaniał. Rozszalały żywioł począł targać dranice na dachu, to znów, jakby stękając z wysiłku, pchał swe bary pod spróchniałe przyciesie, podnosił cały szałas w górę i nagle go opuszczał na ziemię, przyczem jak żywy potwór ryczał i chichotał urągliwie. Z grani strącał głazy i rzucał je żlebami w dół, że wciąż gromem huczało. To znowu osłabł na chwilę, słyszeć było tylko głuche stękania i sapania, jakby ze zmęczenia. Po chwili znów szalał po dolinie, zawodząc jakieś ponure pieśni pogrzebowe, że się zdawało iż już zatrata na świat idzie. Zaś w dziurawych dranicach, pod kalenicą, odzy-

wała się od czasu do czasu melodja godzinek, cicho i trwoźnie i aż dziwnie wyraźnie. Wygrywał ją wiatr na oderwanej drancie, — a może to było tylko zbudzone echo tej pieśni, śpiewanej przez kogoś — dawno — w starym szałasie... Przez szpary ścian wiało. Chłód, ciemność i huk wiatru dokuczał myśliwym. Owinęli głowy w cuhy, a oparłszy się o ścianę z głazu, gdyż tam było najzaczisniej, palili w milczeniu fajki, bo z powodu huku wiatru rozmawiać się nie dało.

Około północy począł wiatr przycichać, a w jaką godzinę ustał zupełnie. Pochłodziło bardzo, więc rozpalili na starem watrzysku ogień, grzali się, a rozmawiając przegryzali placek z oszczykiem. Wnet jednak senność poczęła ich ogarniać, więc okrywwszy się cuhami pokładli się spać na zwiędłej cetynie kosówki, przy ciepłe dobroczynnego ogniska. — Gdy się zbudzili było ciemno, domyślali się jednak że już jest dawno po świtaniu. Dolinę zaległy ciemne i ciężkie mgły, z których siąpiło rosą. Byli trochę przemarznięci, to też wnet się zebrali i ruszyli ścieżką na Krzyżne. Przez gęstą, mokrą mgłę widzieli zaledwie kilka kroków śliskiej perci przed sobą. Mimo tego nie bali się jednak zabłądzić, gdyż teren znali dobrze. Pocięszali się nadzieją, że mgła się rozejdzie i na zboczach Buczynowych Turni i Wołoszyna zapolują na kozy.

Część Buczynowych Turni jest bardzo poszarpana, a zbocza nad Roztoką są bardzo ciężkie do przejścia. Ale wśród poszarpanych turnic znajduje się dużo upłazów i kotlinek trawiastych, zacisznych, gdzie kozice rade się chronią gdy przeczuwają wiatr halny lub jaką naremnicę. Gdy wyszli niedaleko przełęczy na Krzyżne, zwrócili się z perci w prawo na zbocza. Ślizgały się kierpce na zmoczonych półkach skalnych lub trawie, że często trzeba było i rąk używać do pomocy, by się nie zsunąć w przepaść. Męczyli się długo, nim stanęli nad dużym żlebem, co stromą ubocz przecinał od szczytu Wołoszyna ku szumiącej potokiem Roztoce. Mgła nie ustąpiła, tylko zgęstniała, że się widziało iżby do wora nabrać jej można. Kropiło z niej drobnym deszczkiem. Pomimo chłodu ocierali czoła spocone ze zmęczenia.

— Haw juz bedzie lepiej iść — rzekł Jędrek — bośmy juz nogorse fała Bogu, mineni. — Przysiedli więc na chwilę dla wypoczynku, a wyjąwszy macherzyny z tytoniem poczęli nabijać fajki. Nie zdołali jednak zapalić, gdy o ich uszy obito się toczenie żlebem drobnych kamyczków. Wytężyli słuch i poczęli wpatrywać się w gęstą mgłę, gdzie słyszeli cichy chrobot toczącego się żwirku.

Jędrek położył palec na ustach i szepnął do Jaśka: — Kozyl!..

Za chwilę, z drugiej strony żlebu, zamajaczyły wśród mgły niewyraźne sylwetki kozic. Bez szelestu prawie podniosły się nagle obie strzelby i gruchnęły wraz dwa strzały jak jeden, zdławione tak przez mokrą mgłę, że

i suchy konar przy złamaniu głośniej trzaśnie. Cienie znikły. Myśliwi przekroczyli żleb i stanęli wnet na miejscu strzałów.

Przykłękli na ziemi i poczęli szukać farby. Znalazł ją po chwili Jasiek. Perliło się parę kropel jasnej krwi na głazie. Ucieszony Jasiek zawołał: — Jędrak! pożyj, farba widzi się z pluc! dobrze trafiona! będzie nasa! — Wnet jednak straciły się krwawe znaki wśród drobnej, zrudziałej trawki, że ich długi czas ponownie szukali. Dalsze krople krwi dojrzał Jędrak. Wisiały one na trawie lub skale, ale tak nikiłe, że musieli się pochylić by ich nie stracić z oczu, i tak uważnie posuwali się aż ku krawędzi prostopadłej ściany, dokąd prowadziły ślady.

— Hań spadła w dół — rzekł Jędrak, pokazując Jaškowi otchłań mgłą zasnutą.

Ale nim Jasiek podniósł oczy wpatrzone w ziemię, już Jędrka nie było. Mignęła mu się tylko rozwiana cuha jak duży motyl — na szarej mgle... Jędrak wraz z oderwanym głazem zniknął w tajemniczej, mglistej przepaści...

Doskoczył Jasiek ku krawędzi, wyciągnął ręce, jakby chciał towarzysza zatrzymać, i tak z wyciągniętymi nad przepaścią rękami, pobladły z przerażenia, spoglądał tępo w nieprzejrzaną mgłę, szepcząc nieprzytomnie: — Panie Jezu Święty, ratuj! — a potem nachyliwszy się nad przepaścią, krzyknął przeraźliwie: — Jędrak! Jędrak! — Ale nikt się nie odezwał, huczał tylko oderwany głaz, uderzając o napotykanne skały, warczał w powietrzu jak pocisk armatni, pędząc z zawrotną hyżością w Roztokę. Własny głos go ocknął z otępienia, pobiegł w prawo ponad krawędzią, potem w lewo, lecz wszędzie była prostopadła ściana, a bojąc się stracić kierunku wśród mgły, powrócił na miejsce skąd spadł Jędrak. Zrzuciwszy cuhę, zapiął mocniej serdak na piersiach, i począł się spuszczać po prostopadłej ścianie w dół z odwagą szaleńca.

Czepiał się rękami mokrych zrębów granitowych, na małych szczerbach stawał nogi, w wąskie rozpadliny wciskał się jak gąsienica, i opuszczał się powoli w tajemniczą głębię, cały pochłonięty myślą, by jak najprędzej odnaleźć Jędrka.

Długo już się zesuwał po oślizgłej skale. Z powodu nadmiernego wysiłku i zmęczenia poczęły mu drżeć nogi i odarte ze skóry, pokrwawione ręce, a serce w piersiach biło tak mocno, że go aż odrzucało od mokrego granitu. Pot ściekał strugami, mieszając się z brudem na odrapanej twarzy.

Gdy tak uwieszony szukał nowego oparcia dla rąk i nóg i popatrzył pod siebie w nieznaną, zamgloną przepaść, ogarniał go coraz większy lęk. Wtedy szeptał bezwiednie do siebie drżącymi wargami coraz posępniej, bez nadziejnij: „Bez dna“.

Ta świadomość odbierała mu resztę siły, że nieraz był bliski upadku. W ostatniej chwili, gdy słabnąca wola zaczęła już rozluźniać palce uczezione skalnego zadziora, oderwał się z pod stopy mały kamyczek i wnet stuknąwszy o skałę zatrzymał się. Powróciła nadzieja! Począł się posuwać śmielej i pewniej, i w niedługim czasie zeskoczył na szeroki skalny próg. Odetchnął i począł się rozglądać. Zobaczył Jędrka. Leżał na wznak, a zwierzchna cuha przykrywała mu głowę. Odrzucił szybko cuhę. Twarz towarzysza była biała, oczy miał zamknięte, ale obmacując głowę nie znalazł większego obrażenia, prócz wielkiego sińca na czole. Widać gruba cuha uchroniła ją od rozbicia. Przytulił ucho do piersi, a usłyszawszy tam życie, szepnął radośnie: „Jacy omglał!“ Skoczył ku rozpadlinie, skąd kapała kroplami woda z mgły, i zebrał na dłoń trochę, poczem zaczął zmywać bładą twarz Jędrka.

Zeszło dużo czasu, nim go ocucił. Najpierw począł cicho jęczeć, później otworzył powieki, spojrzał sennie i zaszeptał:

— Kány ja? Cemu haw tak ciemno? Co sie semną stało... Jašku?

— Spadłeś Jędrus z turni, omglałeś. Gdzie cie boli? powiedz — mówić troskliwie.

Jędrak chciał się unieść na rękę, ale tylko jęknął i zacisnął zęby z bólu, a po chwili wyrzekł cicho i powoli:

— Widzi sie — krziz złamany — boli strasznie... Gorąco we wnuku.

Po tych słowach omdlał.

Jasiek ponownie począł go cucić. Podłożył mu swój serdak pod głowę, bo nisko leżała, wreszcie Jędrak znów oczy otworzył i począł mówić z wysiłkiem:

— Cujem ze umre za małom kwile, — nie ostaw mnie haw w tej puścici — do ojców zaciąg, — tak na kosowce — baxis? — jak to raz niedźwiedzia — bez Leliowe.

— Dobrze, Jędrus — nie ostawie cie, nie! Zrobię jako fces — mówić Jasiek przez zaciśnięte zęby, bo z żalu aż go w gardle dławić poczęło.

Jędrak spoglądał dłuższą chwilę w twarz Jaška, jakby chciał zajrzeć w głąb duszy przyjaciela, — mówił coś cicho, z przerwami, że Jasiek dopiero nachyliwszy się, słyszał jego słowa wyraźniej.

— Nikogo haw nima, — jacy ty... — Fto wysłucha moich grzychów? — fto mnie ozgrzezi?... Miątek pójść do Ludźmirza... wysłuchać sie... Siwiučki dziekan, co od dawna juz posługuje Noświetsej Ponience... byłby jom umodlił za moje przewiny... a teraz juz nima nijakiej rady... na potępe wiecnom w piekło iść trza...

Jasiek słuchał bezradnie smutnej skargi towarzysza i długo szukał w swej biednej głowie jakiejś rady lub pociechy dla umierającego. Wreszcie rzekł:

— A może mi powiesz Jędrus swoje przewiny, — jo póde do Ludźmizra i powiem syćko staremu dziekanowi, jakoś był winowaty, ześ strasnie kcioł sie wysłuchać, ba nie beło jako, bo jacy nas dwok było w tej pustaci, i ze jo za ciebie pokute odprawie, chociajby jaką.

— Zrobis to, zrobis? — pytał drżącymi wargami Jędrak, a potem dodał w zamyśleniu: — Ba ale cy to ino tak mozno — bez drugom rękę?

— Miarkuję, że dy cemuby nie mozno! — A jakby na ten przykład nie, to syćkie twoje grzichy bierem na sie — rzekł Jasiek.

— Kiek strasnie winowaty — szeptał umierający.

— Nie bój sie, jo i nowięksey pokucie udolem.

Na twarz Jędrka wystąpił słaby rumieniec, oczy mu się trochę ożywiły i po chwili odezwał się:

— No to podnieś mi rękę... przezegnom sie... a siły nimom.

Jasiek uniósł mu rękę, i powoli nakreślili wspólnie na piersiach Jędrka znak krzyża, wymawiając razem: „W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego“. I w szarą mgłę, co otaczała tajemniczo jak wieczność obu przyjaciół, poczęły wnikać żarliwe słowa wspólnego pacierza.

Długi czas miał Jędrak oczy zamknięte, że zdawało się Jaśkowi iż już nie żyje. Wreszcie jednak spojrzął przytomnie, odetchnął głęboko i wyrzekł z wysiłkiem:

— To... jo... zabił Franka Jasice... Sparli my sie o Brońcie... Franek pirsy skoczył ku mnie z ciupagom... Toporzysko mu pękło... Pad na ziem... pytał strasnie: daruj mi!... alek go dobieł... w złości...

— A znowu... bedzie temu dwa roki na Katarzyne... kie zestusiłek jegra z turni... przy Żabich Stawkach... Ułapił me z capem... Wielgi grzich... bo cworo małyk sirot ostawił... a matki juz nimiały. To som moje nowiękse przewiny... Ale nie zabacuj pedzieć na słuchaniu... ze Franek pirsy skoczył ku mnie z ciupagom... a o jęgrze, zek nie wiedział jako małe siroty ostawi. Cy bedzies bacył Jasiu?

— Bedem, bedem — mówił Jasiek, zaskoczony wyznaniem towarzysza.

A Jędrak, jakby się spieszył, wyznawał dalej swe winy, te większe i te mniejsze, od których trudno ustrzedz się człowiekowi na ziemi, i tylko wciąż pytał: „Bacys, Jasiu? A cy dobrze bacys?“ A Jasiek wbijał sobie w pamięć wyznawane przez Jędrka grzechy i odpowiadał: „Dobrze bacem“. — Sporo czasu ciągnęło się to Jędrkowe wyznawanie, wreszcie zamilkł, zamyślił się przez dłuższy czas, a potem powiedział:

— Więcyl juz nie bacem.

Poczęli więc obaj odmawiać Ojczy nasz i Zdrowaś, Jędrak ino poruszał wargami, modlił się cicho, — Jasiek głośno, i bił się zapamiętałe w piersi

i wymawiał żarliwie słowa końcowe modlitwy pokutnej: „Zmiłuj się nad nami, Panie Jezu Święty“.

Po chwili już bardzo osłabiony Jędrzek począł mówić urywanemi słowy:

— A hnet pódzies do Ludźmirza?

— Hnet Jędrus, nie dam twojej dusy długo sie męczyć — zapewniał gorąco Jasiek.

— A ojców... tyz pozegnaj... zol mi, ze musem ik samyk ostawić w starości... Do truhły włóz mi flinte... i nie zabac dać pióro orle do kapelusa. Brońci powiedz... zek ino jom jednom... kohał... A teroz... uściskaj mnie... Jasiu.

Jasiek przytulił swą twarz do twarzy umierającego towarzysza i długo tak trwali w tym niemym uścisku.

W szarej mgle poczęło się rozjaśniać. Za chwilę przedarł się przez nią wązki promień słońca, który oświetlił dwie stulone głowy. Jędrzek zwrócił swe siwe oczy do światła, potem popatrzył serdecznie w twarz Jaśka, wreszcie powoli przymykał powieki, aż zamknął, by ich już nigdy nie otworzyć.

Pewnie po tym jasnym promieniu odchodziła grzeszna dusza Jędrkowa, niosąc przed miłosierny sąd Boski swoje przewiny.

Mgła opadała. Zalała teraz jakby wodą wszystkie doliny, a ośnieżone szczyty, wyłaniając się z tej topieli, błyszcząły w słońcu.

Zakopane.

A. H. Jost.

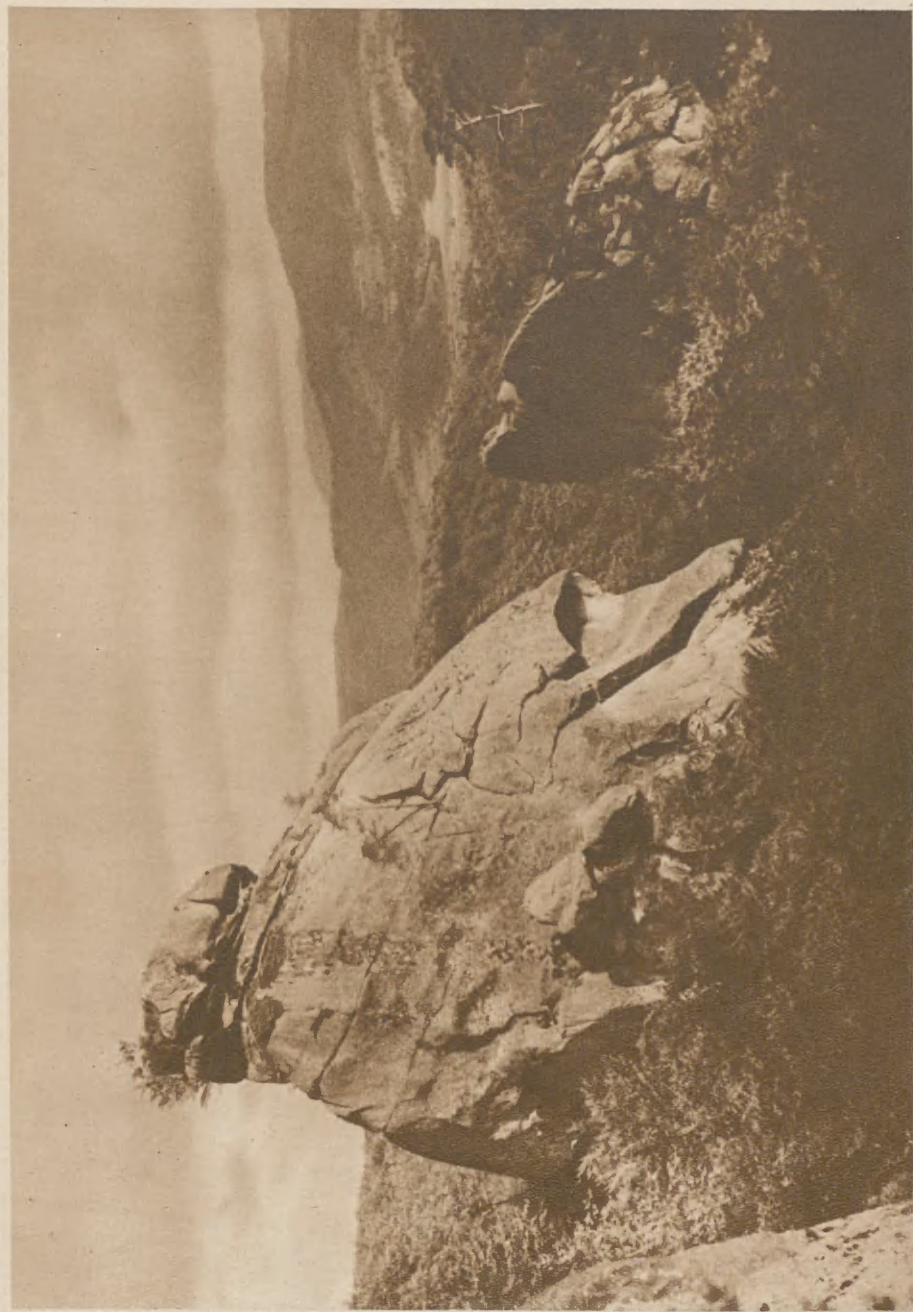
Wspinaczki w Bubniskach.

Skały w Bubniskach wzbudzały oddawna zainteresowanie wśród miłośników przyrody górskiej Wschodniej Małopolski, a obok nich u archeologów, toczących spór o pochodzenie i znaczenie komór skalnych wykutych w ich wnętrzu. W jednym i drugim zakresie mają też blisko wiek liczącą i dość obfitą literaturę. Czytelnikom „Wierchów“¹⁾ znane są z pięknego opisu Maryli Wolskiej p. t. „Kamień na kamieniu...“, która też słusznie wyraża żal, że ta prześliczna okolica, to fantastyczne, bajkowe uroczysko, jest wciąż jeszcze tylko „prowincjonalną osobliwością, o której w Polsce, poza Małopolską i to wschodnią — głucho“.

Pragnę zwrócić na tem miejscu uwagę na jedną jeszcze właściwość skał bubniskich, dotychczas poza szczupłym gronem wtajemniczonych zupełnie nieznaną, a stanowiącą wybitną atrakcję sportową. Są bowiem skały bubniskie terenem wyjątkowo pięknych wspinaczek skalnych.

Skały bubniskie składają się z szeregu turni, rozrzuconych na grzbiecie i zboczu, pięknym lasem pokrytej, Góry Sokolej. Z tych turni zwiedzają tradycyjnym zwyczajem przybywające do Bubnisk wycieczki tylko najbardziej na zachód zwróconą część skał, w których wykute są owe, budzące zainteresowanie archeologów, komory skalne. Lecz obok tego głównego „kamienia“ bubniskiego istnieje jeszcze rzadko zwiedzana, bezdrożna, niewątpliwie jednak najpiękniejsza — część wschodnia i południowo-wschodnia skał. One to tworzą owo „podgradzie“, zalegające — według słów Maryli Wolskiej — wokół, niby miasto kamienne, zbocza całej wyżyny z grodziskiem właściwym pośrodku. Podgradzie pełne baszt niby, kopuł zapadłych w mech po skronie, tynów olbrzymich, zwałów o kształtach dziwotwornych, ów jakby skamieniały macecznik turów, jaszczurów i słońi, powrastanych głaźnemi trąbami w płyty spadziste, głucho dudniące pod stopą, brzozą i świerczyną porośle...

¹⁾ „Wierchy“ tom I (1923), str. 111.



„Wierchy“, r. 1928; do art. R. Kordýsa

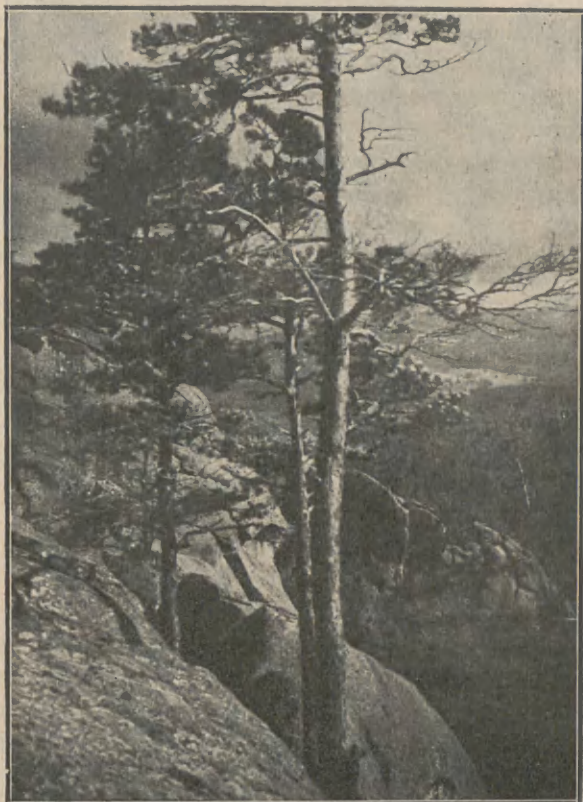
Fot. A. Lenkiewicz

SKAŁY W BUBNISKACH

Jak tylko pamięć ludzka sięga, prowadzi na najwyższy wierzchołek głównego kompleksu skał, udostępniona ręką ludzką, przeważnie sztucznie w skale wykuta ścieżynka, po której bez uwagi godnych trudności, jakkolwiek nie bez niebezpieczeństwa pośliznięcia się na wymytych przez deszcze płytach, wychodzi się w kilka minut na szczyt turni „Wielki Bołd“¹⁾ (ryc. 2). W rozległym, ztąd się rozciągającym widoku, zauważamy w niedalekim sąsiedztwie od wschodu turnię wysoko ponad korony otaczających ją drzew wystrzelającą, kształtu regularnej, na wszystkie strony gwałtownie urywającej się wieżycy. Jest to „Tulipana“, najwyższa turnia bubniska, której zwiedzenie należy do najciekawszych, ale i najtrudniejszych wspinaczek tej okolicy (ryc. 3).

Na południe od Tulipana, znacznie od niego niższy i rozłożystszy, z charakterystyczną, jakby nałożoną u góry, głową końską, wznosi się „Koń Bubniski“, który wielokrotnie szturmowany, oparł się jednakże zakusom i dopiero przy pomocy sztucznych urządzeń: dłuta, haków i liny — został zdobyty.

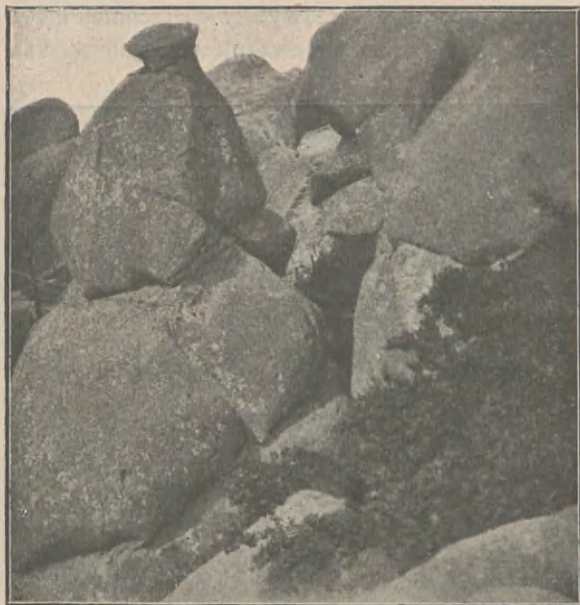
Dalej na wschód od „Konia“, oddzielona od niego jednym jeszcze



Ryc. 1. Sosny na skałach w Bubniskach.

Fot. A. Lenkiewicz.

¹⁾ „Bołd“ jest to wyraz gwarowy i oznacza skałę nagą, odosobnioną, bałwaniego kształtu (por. „Słownik języka polskiego“ Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwieckiego, tom I, str. 189).



Ryc. 2. Wielki Bołd w Bubniskach. — Strona, którą wiedzie wykuta w skałę ścieżka. Fot. R. Kordys.

bołdem, wystrzela charakterystyczna „Lalka“, której postać dobrze oddaje ilustracja na dołączonej tablicy.

Jeszcze dalej na wschód wznoszą się „Nożycy“, ponadto wśród połud. części lasu wyłania się kilka mniej wybitnych i częściowo zwiedzonych bołdów.

Gdy w lipcu 1909 r. przybyli do Bubnisk, pod wodzą dr. Tadeusza Smoluchowskiego, poraz pierwszy lwowscy taternicy, doświadczeni we wspinaniu się po urwiskach tatrzańskich, zdawało się, że turnie bubniskie stanowią dla nich będą miłą, nie wymagającą więk-

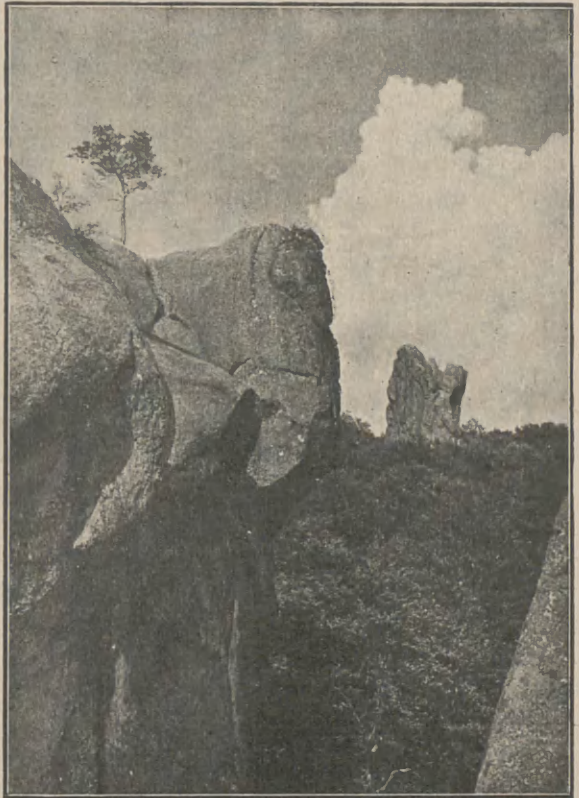
szego wysiłku, rozrywkę. Z miejsca też zaatakowali szereg ścian i wieżyc. Rychło przekonali się jednak, że wygładzony piaskowiec bubniski daje rękom i nogom wspinacza tak znikomą ilość punktów oparcia, że większość turni musiano od razu uznać za niedostępne (przynajmniej bez sztucznych urządzeń), inne zaś trzeba było poddać bardziej systematycznemu oblężeniu.

To też dopiero przy następnych oględzinach Bubnisk odkryto i zdobyto Lalkę (26 września 1909 r.), w 1911 r. poraz pierwszy pokonano w całej długości, przedtem częściami tylko robiony, komin w Wielkim Bołdzie, latem 1912 r. padł Tulipan. W „odkrywaniu“ turni bubniskich brali przede wszystkim udział taternicy: Z. Klemensiewicz, J. Maślanka, M. Dudryk, M. Lerski, T. Wilusz, M. Wolański oraz piszący te słowa. Od roku 1912 systematycznie zwiedzał skały bubniskie W. Wehrstein (niekiedy w towarzystwie świetnego wspinacza A. Moniaka), który oprócz Tulipana zdobył jeszcze — ale już „sztucznie“ — kilka dalszych niedostępnych bołdów. Po wojnie były Bubniska tylko przygodnie odwiedzane, i — o ile wiadomości moje sięgają — nie dokonano w nich niczego nowego.

Wspinaczki bubniskie odbywają się — jak już zaznaczyliśmy — w litym

piaskowcu, którego potężne złoża wysterczają tu ponad powierzchnię góry. Bołdy nasze opadają z reguły pionowemi, lub zbliżonemi do pionu, ścianami, częstokroć nawet zwisają potężnemi przewieszkami, a wygładzony przez wpływy atmosferyczne kamień zmusza wspinacza do szukania drogi w rozpadlinach i drążących turnie — częstokroć na wskrós — kominach. Jeżeli sytuacja wymaga wyjścia na otwartą ścianę, natrafiamy na niej najczęściej na bardzo wielkie trudności, gdyż jedyną ich rzeźbę stanowią muszlowate zagłębienia i płytkie, półokrągłe wyszlifowane rysy, które głównie forsuje się przy wykorzystaniu tarcia.

Względna wysokość bołdów bubniskich nie jest oczywiście znaczna: Wielki Bołd wznosi się niespełna 30 metrów nad przylegającą doń polanę. Tulipana szacuje się na przeszło 40 metrów. Ale nie trzeba zapominać, że cały szereg znanych szczytów tatrzańskich i alpejskich wznosi się nie więcej, albo nie dużo więcej ponad sąsiadujące z nimi przełęcze. Tak np. Rumanowy Szczyt (2428 metrów) przerasta Przełęcz Gankową zaledwie o 40 metrów; tak charakterystyczna i z Zakopanego dobrze widoczna Niebieska Turnia w grani Świnicy nie przewyższa Niebieskiej Przełęczy więcej niż o 30—35 metrów, a wzniesienie jej ponad siodło od strony Gąsienicowej Turni jest jeszcze znacznie mniejsze. Jedną z najwybitniejszych postaci Alp Wschodnich, turnia szczytowa Gross-Litzner'a (3111 m), najzuchwalszego szczytu Sil-



Ryc. 3. Skały w Bubniskach (w głębi „Tulipana“).

Fot. A. Lenkiewicz.

vretty, nie przerasta swego otoczenia więcej, niż o 60 do 70 metrów. To też wrażenie, jakie wywołują turnie bubniskie jest częstokroć potężne, a jako cel wyprawy wspinaczkowej wymagają one wysiłku i ryzyka niemiejszych, niż szereg słynnych turni tatrzańskich.

Zbytecznym jest dodawać, że do wspinaczek bubniskich przychodzić należy w odpowiednio wytrzymałym ubraniu — welwet i żaglowe płótno najlepiej się tu nadają — a trzewiczki i lina są nieodzowne.

* * *

Poniżej podaję zwięzłe opisy trzech najpiękniejszych wspinaczek bubniskich: kominą w Wielkim Bołdzie, Lalki i Tulipana¹⁾.

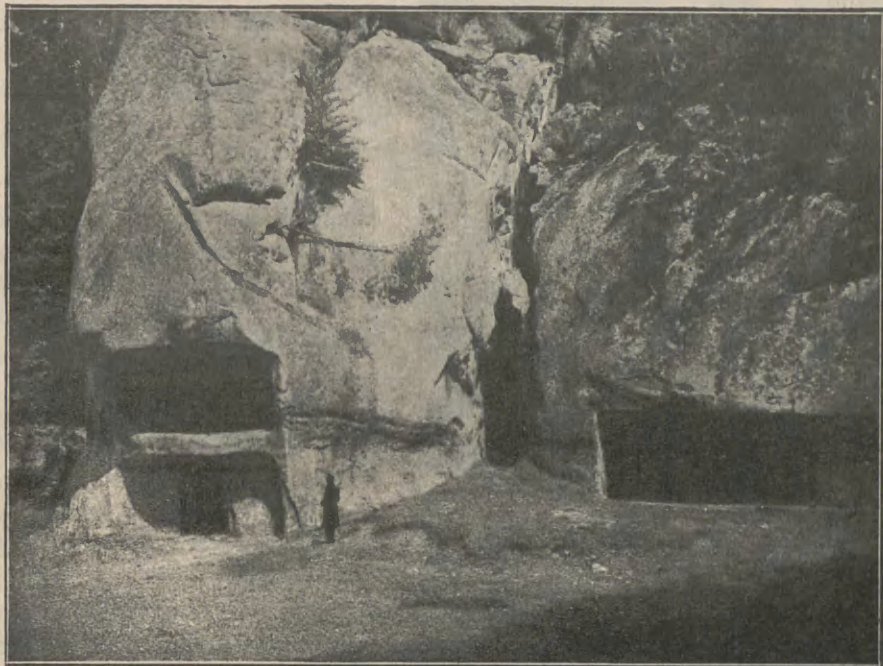
Komin w Wielkim Bołdzie. — W ścianie zachodniej Wielkiego Bołdu znajdują się wykute ręką ludzką komory. Po lewej stronie — gdy patrzymy na ścianę — mamy komorę z otworem drzwiowym, a nad nią, niby balkon na piętrze, — górną nyżę, — z prawej zaś strony — otwartą wielką nyżę i dalej mniejszą komorę, również z otworem drzwiowym. W pośrodku między komorą piętrową (na lewo) a otwartą nyżą (na prawo), widzimy cofniętą nieco w tył rozpadlinę, ku której teren nieco się podnosi. Rozpadlina ta drąży — jak się okazuje — na wskróś cały gmach skalny Wielkiego Bołdu i tworzy na jego tylnej, wschodniej, ścianie, z naszego punktu obserwacyjnego niewidoczne — „okno“. (Ryc. 4).

Aby kominem, w jaki przechodzi w głębi bołdu rozpadlina, wydostać się na szczyt Wielkiego Bołdu, wchodzimy najpierw w obszerną, mroczną nyżę, mającą po obu stronach wykute jakby łoża kamienne. Przechodzimy nyżę w całej długości, aż do miejsca gdzie zdaje się kończyć. Tu natrafiamy niespodzianie na początek bardzo wąskiego, podnoszącego się do góry, zupełnie ciemnego kurytarza i nim przeciskamy się aż do miejsca gdzie się rozszerza i gdzie po lewej stronie wystąpi wąskie żebro skalne. Przy jego pomocy wspinamy się w górę — zawracając niejako z powrotem ku zachodowi. Teraz dzięki światłu, padającemu z wspomnianego wyżej „okna“ we wschodniej ścianie bołdu, uzyskujemy wgląd w komin, w którego wnętrzu

¹⁾ Dla informacji zaznaczam, że Bubniska leżą ok. 25 km na południe od miasta Stryja, w północnych przedgórzach Bieszczadów. Najbliższe stacje kolejowe są: Synowódzko-Bubniszcze od strony zachodniej, od wschodu zaś Bolechów. Z obu tych stacyj jest ok. 3 godziny piechotą do skał. Z Bolechowa można zajechać końmi, ewent. samochodem lub prywatną kolejką wąskotorową, do wsi Polanicy, z kąd jest jeszcze 1/4 godz. drogi pieszej do skał.

Mapa sztabowa 1:75.000, nr. 4371 (XXIX — 9) Skole. Skał należy szukać na północny-zachód od wsi Polanicy, tuż obok punktu 681 m. (na południowy-zachód od niego).

jesteśmy. Wysoko nad nami komin zwęża się na całej szerokości, tworząc poziomą, wąziutką szparę. Na lewo w górze, we „frontowej“ ścianie, spostrzegamy drugie, mniejsze „okno“. Przy pomocy zapierania się o gładkie ściany komina, przetrawersujemy poniżej owej szpary ku mniejszemu oknu, co stanowi najtrudniejszą część całej wspinaczki. (Ryc. 5).



Ryc. 4. „Wielki Bołd“ w Bubniskach.

Fot. A. Lenkiewicz.

Wylądowawszy na wygodnym trawniku widzimy przed sobą dalszą część komina — już powyżej wąziutkiej szpary — przechodzącego teraz w poziomy tunel, umożliwiający przedostanie się — bez żadnych trudności — z zachodniej na wschodnią stronę bołdu. Osiągnąwszy przeciwległy koniec tunelu, spostrzegamy nad sobą górny, 8-metrowy komin pionowy, jednakże — dzięki dobrym chwytom i stopajom — nietrudny. On wyprowadza nas na najwyższy cypel Wielkiego Bołdu.

Czas przejścia dla 2 osób około 20 minut. Trzewiczki i 20 metrów liny konieczne; latarka elektryczna oddaje w dolnych częściach komina dobre usługi.



Ryc. 5. Komin w Wielkim Bóldzie.

Fot. R. Kordys.

Lalka. — Wyjście na Lalkę jest bardzo wdzięczne. Jej południowa, widoczna na ilustracji (tablica!) fasada, zbudowana z olbrzymich przewieszek wydaje się niemożliwą do pokonania. „Słabym miejscem“ Lalki jest jej wschodnia ściana, na którą wchodzimy w tym miejscu, gdzie teren, z jakiego wyrasta, najwyżej się ku skale podnosi.

Dolny, niewysoki stopień, pokonujemy przy pomocy wążki pionowej rysy i wydostajemy się na miernie stromą płytę, z kądem blisko na szeroką, poziomą półkę, położoną poniżej przewieszających się ścian turni. Nad prawym końcem półki widzimy ujście wąskiego kominka, w tym miejscu przewieszonego. Przejście tego kominka, który w górnej części jest tak wąski, że tylko jedno ramię i jedna noga znajdują w nim

miejsce, jest trudne i męczące. Komin wyprowadza nas na dolny koniec krótkiej grani, podnoszącej się stopniami ku ścianie szczytowej. Pokonanie tej, 5 do 6 metrów wysokości liczącej ściany, zupełnie pionowej i prawie pozbawionej chwytów, nastęrcza nadzwyczaj wielkie trudności. Z reguły przechodzi się ją w ten sposób, że przy pomocy wyciągniętego w tym celu drąga zakłada się linę za dobrze widoczny cypelek skalny nad ścianą i po linie wciąga na wierzchołek Lalki. (Ryc. 6).

Szczyt sam jest dość obszerny i może pomieścić 6 do 8 osób. Cofnąwszy się nad sam brzeg urwiska, mogłem — we wrześniu 1911 r. — sfotografować na szczycie Lalki wszystkich czterech towarzyszy wspinaczki. (Ryc. 7).

Wyjście na Lalkę i zejście z niej zabiera przy dwóch uczestnikach około trzech kwadransów czasu. Dwie liny 15 do 20-metrowe pożądane.

Tulipan. — Tulipan jest niewątpliwie koroną wspinaczek bubnickich. Nietylko dlatego, że stanowi najpoważniejszą wyprawę okolicy, nie

ustępującą swymi rozmiarami i czasem trwania niektórym wspinaczkom tatrzańskim, ale również z tego powodu, że żadna z turni bubniskich nie wydaje się być bardziej niedostępna, niż on. Nieprawdopodobnie śmiały monolit, wystrzelający bez żadnych przejść wprost w niebo, ze wszystkich niemal stron przewieszony tak, że z kądem nań patrzymy, wydaje się szerszy raczej u góry niż przy ziemi, może Tulipan słusznie uchodzić za symbol niedostępności. W rzeczy też samej wyjście na Tulipana należy do bardzo trudnych wspinaczek i zbliża się do granic, poza którymi istnieje dla człowieka tylko wyraźna niemożliwość.

Tulipan ma swoją historję. Poddawszy turnię w jesieni 1911 r. dokładnym oględzinom i ustaliwszy jedyne miejsce, w którym Tulipan mógł być zaatakowany, odłożyliśmy próbę do roku następnego. W czerwcu 1912 r. dwaj nasi towarzysze, Maks Dudryk i Mieczysław Lerski, próbę tę wykonali, jednakże, osiągnąwszy po wielkich wysiłkach wierzchołek, znaleźli tam najniespodzianie, a ku swemu niemiłemu zdziwieniu... kopczyk ludzką ręką ustermany. Okazało się, że kilka dni przedtem pp. Moniak i Wehrstein, szukając drogi na Lalkę, o której słyszeli z opowiadań, zaatakowali przez pomyłkę Tulipana. Obznajomiony z paru zaledwie tatrzańskimi wspinaczkami, nie cofnął się p. Moniak¹⁾ przed odstrasżająco groźnym wstępem na ściany turni, a pokonawszy dolne zamki — ciągle w przekonaniu, że znajduje się na szlaku znanym i poprzednio parokrotnie zwiedzonym — nie cofnął się przed dalszemi trudnościami aż do szczytu. Pierwsze wyjście na Tulipana było zatem dziełem pomyłki, nie mniej jednak budzącem pełny respekt przed odwagą młodych wspinaczy. Gdy zaś towarzyszące pierwszemu wyjściu cięższe ryzyka i niepewności wyniku



Ryc. 6. Pod ścianą szczytową „Lalki”. — Zakładanie liny (zdjęcie silnie skrócone). Fot. Kordys.

¹⁾ Zginął na wojnie w 1918 r.



Ryc. 7. Na szczycie „Lalki“, wrzesień 1911.

Fot. R. Kordys.

próby, wzięli na siebie świadomie pp. Dudryk i Lerski, słuszność każe obu wymienionym partjom przypisać zasługę zdobycia najzuchwalszej turni w Bubniskach.

Jedyna możliwa droga na Tulipana zaczyna się w pośrodku wschodniej ściany. Prof. Z. Klemensiewicz tak ją opisuje:

„Najpierw kilkanaście metrów płytka, uboga w chwyty, prostopadłą rysą, w której połowie — mniej więcej — znajduje się najtrudniejsze miejsce. Wyżej rysa pogłębia się i po przejściu małego wybrzuszenia znajdujemy się u wejścia do wielkiej

rozpadliny, drążącej nawskróś całą turnię aż do szczytu. Pierwszą część komina, względnie szeroką, pokonujemy zapieraniem się, aż do wygodnej platformy. Powyżej rozpadlina zwęża się lejkowato tak, że możemy zyskiwać na wysokości żmudnym wykręcaniem się, wyszukując miejsca, przez które jeszcze można się prawie przecisnąć. Tak osiągamy małą niszę, a z niej już na zewnątrz — łatwo — platformę szczytową“.

Straszliwa ciasnota górnego komina pozwala wydostać się na Tulipana tylko osobom szczupłym i nie nazbyt wysokim. Czas wyjścia i zejścia wynosi dla dwóch wspinaczy około godziny.

Ktokolwiek obeznany ze sztuką wspinania się przybędzie do Bubnisk, nie pożałuje wycieczki. Uroczona piękna okolica sielankowych przedgórz, romantyczna powaga owianego mrokiem legend uroczyska, wreszcie fantastycznie śmiałe wspinaczki — stawiają wyprawę bubnińską we wspomnieniach wielu którzy tu byli, na równi z pięknymi dniami wysokogórskich przygód. Dlatego rzeszom turystów, szukających wrażeń w rozmaitych górach naszej ojczyzny, trzeba powiedzieć: jeden dzień górskiej mitręgi warto poświęcić skałom w Bubniskach.

Roman Kordys (Lwów).



„Wierchy“ r. 1928 do art.: Wspinaczki w Bubniskach str. 88.

Fot. R. Kordys

„LALKA“

*SZCZYTOM SKOLSKIM.**GÓROM MOIM.*

Wiele zapomnę! lecz i w życiu wtórem,
Gdy myśl człowiecza już na Bożą czas ma,
Za tym rodzonym moich gór konturem
Zatęsknię... Modre ich przypomnę pasma,
Każde jastrzębich skrzydeł odemkniecie,
Każde czerwone ognisko pastusze
I czarne po nich na łąkach pieczęcie
I ziół oddechy, słodkie, jako żadne...

Choć mi tam Pan Bóg ulaskawi duszę,
Tęsknota — ciężka, choć bez krwi i ciała,
Zawsze, jak kamień będzie w dół leciała,
Póki na lasu mego dno nie padnę,
Póki nie wrócę — Bóg wie z jak wysoka —
Napić się wody z mojego potoka!

Nigdy jej, nigdy do woli nie piła!

Niech wichru smolne, surowe podmuchy,
Co w serce nasion nawiewały siła,
Znów mnie oblecą! Siedmioma łańcuchy
Zakujcież wy mnie znów umiłowane,
Co się dróg do was nigdy nie oduczę,
Za wrót siedmiorgiem, na trzy tajne spusty,
Na żórawiane zamknijcie mnie klucze,
Do stóp dziś waszych znów przypadam usty,

Bom wasza była — i wasza zostanę!

WPLAW...

Wiem, że o niskiej zachodu godzinie,
Kiedyś — z zabrzeża, po mnie prom nadpłynie...
Lecz mu się nie dam przez błonie splecione,
Z innymi razem, nieść na Tamtą Stronę.

Prosto — w ten bławat iskrzący zachodem,
Wpław pójde sama, nieznanym brodem,
A zanim przejdę, radosna uwierzę,
Że twój-to chłód mnie w swe ramiona bierze,
Że twój-to nurt mnie, o wodo kochana,
Słodkiem witaniem objął pod kolana!

Perepelniki w sierpniu 1928.

Maryla Wolska.

Wspomnienia z Gorganów.

Mieliśmy się zejść we czwórkę o północy przy pociągu. Jakież było brata i moje zdziwienie, gdy nie znaleźliśmy wśród podróżnych naszych towarzyszy. Już byliśmy pewni że trzeba będzie jechać we dwójkę, gdy tuż przed odjazdem pociągu zjawił się kol. S., a czwarty, przestraszony niewiele obiecującą pogodą i zapowiadaną w przewodnikach turystycznych niewygodą w Gorganach, uważał za najodpowiedniejsze pozostać w domu.

Przed wschodem słońca wysiedliśmy w Broszniowie (stacja na linii Stryj—Stanisławów), z kąd wąskotorówką mieliśmy pojechać do Osmoły. Chłód poranny niemile dawał się odczuwać, więc przywdzialiśmy swetry i usiadłszy na ławce pod domem, zaczęliśmy, każdy na swoją rękę obserwować kierunek biegu chmur, które jakoś niezdecydowanie kręciły się po niebie, aż dopiero wschodzące słońce przepędziło je ognistemi racami. Gdyśmy około 6-ej godz. siadali na kolejkę, mieliśmy nad sobą wypogodzone niebo. Ładnie rozwiniętą trasą zjechaliśmy w dolinę Łomnicy, której oddalony od toru bieg zdradzał tylko pas wiklin, ciągnący się wzdłuż brzegów. Droga aż do Perehińska nie przedstawia nic szczególnego, dopiero od tej miejscowości dolina nagle się zwęża i pozostawia miejsce tylko dla rzeki i toru kolejki. Z prawej strony zbocza coraz bardziej strome i wysokie, miejscami oberwane, pokazują bardzo ładnie warstwowy układ piaskowcowych fałdów karpackich. Tu



Popadja z Parenek.

Fot. M. Nunberg.



Kosówka w Gorganach.

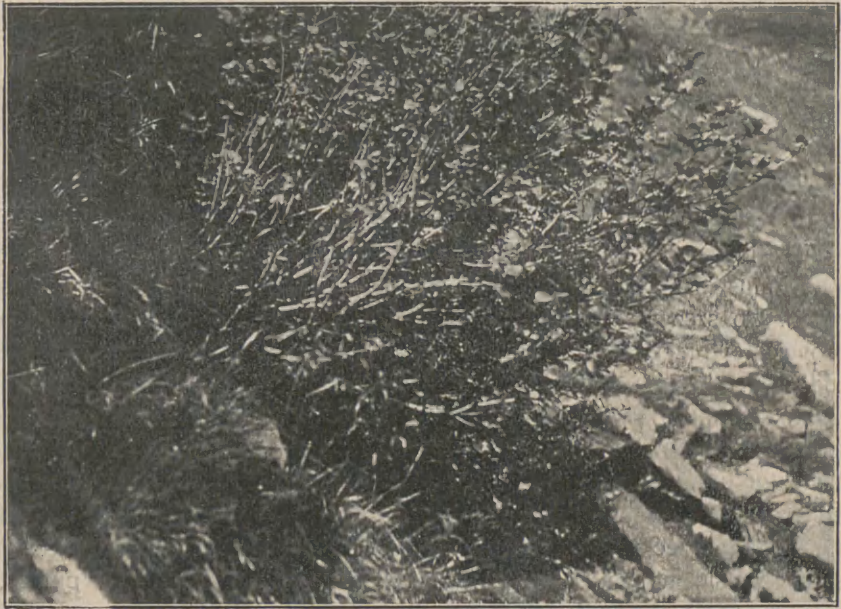
Fot. H. Gąsiorowski.

i ówdzie w szerszych miejscach doliny występuje masowo jałowiec (*Juniperus communis*), tworząc typowe *Juniperetum*. Później już nigdzie go nie spotykaliśmy.

Na godzinę 10-tą mieliśmy zjechać do Osmołody, tymczasem coś się w „samowarze“ popsuło, co kilka kilometrów stawał, a konduktor „robił parę“. Przed Angielowem dogoniła nas druga kolejka i w jej towarzystwie dowleliśmy się na południe do Osmołody. Tu, ku naszemu zdumieniu, dowiadujemy się od jednego z jadących, że do zwiedzania Gorganów konieczną jest przepustka ze starostwa w Nadwórníe. Ładne kwiatki! To w Pieninach i na Babiej Górze łaziliśmy po granicy czeskiej bez przepustek, a tu — masz! Wracać do Nadwórníe i tracić na to dwa dni czasu? — Nie! To zanadto! Postanawiamy tedy jechać dalej, bo i nasz samowar po krótkiej naprawie i namyśle udaje się w dalszą jazdę w dolinę potoku Pietrosa, co nam bardzo na rękę. Spadek coraz większy do pokonania, to też maszyna drapie się fuczając i miotając iskrami; siedzimy formalnie w dymie, smród spalenizny wstrętny, wreszcie dojeżdżamy do Dołhej Polany, końcowego punktu linii. Po długim wędzeniu się „na siedząco“ z przyjemnością wyciągamy pedały, a już zupełnie błogo czujemy się po umyciu w zimnej wodzie Pietrosa.

Wszystko zimne mięso, jakie wzięliśmy z domu i parę jaj na twardo, już zjedzone, więc postanawiamy nie gotować obiadu, bo czasu nie wiele, a do szczytu Popadji daleko. Nabieramy wody do manierek, (w wyższych partiach Gorganów nigdzie wody niema). Po krótkim marszu dochodzimy do potoku Parenek, trafiamy na dość wyraźną ścieżkę myśliwską, wreszcie i ją porzucamy, ale — jak się w powrotnej drodze pokazało — trochę za wcześnie. Weszliśmy w bór świerkowy, ciemny zrazu, lecz im wyżej się wznosimy tem coraz rzadszy, drzewa bardziej przysadziste, siwe od porostu brodaczki. Wreszcie pod wieczór bór się urywa i stajemy przed gęstą, ciemną ścianą kosówki. Jest ona tu tak gęsta, splątana i wysoką, że rezygnujemy na dzisiaj z dalszego pochodu, zresztą najwyższy czas pomyśleć o żołądku i noclegu.

Kolega S. wyjmuje z plecaka smolaczki (nie śmiej się czytelniku! za ich pomocą nawet mokre drzewo łatwiej zapalić niż zapalką, a dużo znaczy, gdy się jest zmokniętym, wypić kubek gorącej herbaty o dziesięć minut wcześniej), i wnet ogień bucha. Nasza kuchenka aluminiowa na trzy osoby okazuje się bardzo praktyczną, lecz nie grzejemy kolacji na spirytusie ze względów oszczędnościowych. Zupa na kostkach Maggi'ego, zasypana kaszką perłową i okraszona skwarkami smakuje wyśmienicie, węgierskie salami jest



Zarośla olchy halnej.

Fot. H. Gąstorowski.

do niczego, bo zanadto pieprzne i pobudza pragnienie, — (jeszcze raz przypomina, że wody w Gorganach niewiele), — ale już najlepiej smakował kompot ze suszonych owoców i kakao gotowane w tej samej miseczce co i zupa, o czym z czystym sumieniem mogły poświadczyć pływające oczka. Wszystkim wybierającym się w przyszłości w Gorgany polecam brać jak najbardziej urozmaicone zapasy, bo to jest niezbędnym warunkiem spokojnego napawania się pięknem przyrody! (Kto chce pić kakao, musi zabrać kilka puszek mleka kondensowanego). Posiliwszy się jako tako ustawiliśmy szkielet szałas, przykryli go gałęziami świerkowemi, które też na posłanie posłużyły, a roznieciwszy porządne ognisko i przygotowawszy na noc drewna, położyliśmy się spać. Kto pierwszy się zbudził z zimna, ma dorzucić drzewa do ognia.

Nie wiem która mogła być godzina, gdy zbudził mię jakiś szmer. Nadstawiam uszu. Z prawej strony dolatuje wyraźne chrapanie kolegi S., zaś przed szałasem słychać jakieś gwałtowne ruchy. Podnoszę głowę i widzę w słabym blasku dogasających węgli dziwnie długą sylwetkę, wyprawiającą na tle ciemnych świerków i wyiskrzzonego nieba jakiś opętany taniec indyjski.

— Kto to?

— Ja — odpowiada mój brat.

— Co cię ugryzło, że tak skaczesz?

— Zimno.

Rzeczywiście, na zbyt wiele ciepła nie można było narzekać. Wygramoliłem się z pod koca i wspólnymi siłami roznieciliśmy ognisko na nowo, poczem snem sprawiedliwych zasnęliśmy. Pierwsze blaski słońca zastały nas już na nogach; na reszcie wody ugotowaliśmy herbatę, zagryźli kawałkiem chleba z czekoladą i jazda w górę!

Ale łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Ponieważ nie mieliśmy żadnej ścieżki, musieliśmy przedzierać się przez kosówkę, kierując się na szczyt Popadji. Do szczytu mamy zaledwie kilkaset metrów w linii powietrznej, a na przebycie tej przestrzeni trzeba było kilka godzin czasu. Największą przeszkodą dla turystów gorgańskich w partji Popadji jest kosówka, i tylko dzięki niej zapędzają się tu wycieczki bardzo rzadko. Kosówka gorgańska jest największą na przestrzeni całych Karpat i Tatr. Jej pnie i gałęzie, wyczesane skośnie ku dołowi przez długo leżący śnieg i ciągle w doliny zwalające się wiatry, zdają się odpychać, i trzeba dobrego wysiłku mięśni całego ciała, żeby się przedrzeć przez ten gąszcz. Ręce wciąż chwytają się gałęzi, nogi nie mogąc się utrzymać na bujących w powietrzu i giętkich pniach, co chwila zapadają się po kolana w poduchy mchu, całe ciało przybiera najdziwaczniejsze pozy, i to wszystko po to, żeby po zdobyciu kilkudziesięciu

metrów chlapnąć na mech. W takich przymusowych chwilach odpoczynku raczymy się borówkami, które na tej wysokości jeszcze nie zupełnie są dojrzałe (sierpień). Wyszedłszy na kawałek wolnego miejsca, widzimy na prawo pas szaro-zielonych zarośli, biegnący ku szczytowi, zwracamy się w tym kierunku i tym razem wpadamy wprawdzie nie z deszczu pod rynnę, ale przecie z pod rynny w deszcz: trafiliśmy na zarośla olchy kosej czyli halnej (*Alnus viridis*), która wśród liściastych jest tem dla zboczy gór, czem kosówka wśród szpilkowych. W każdym razie marsz przez jej zarośla nie jest już tak męczący i koło południa wydobywamy się ze splotów zieleni. Zmęczeni i spragnieni siadamy na brzegu zarośli. Manierki próżne, żołądki też, ale obiadu niema na czem gotować. Oszukujemy się czekoladą i suszonymi owocami, a cytryna przyjemnie odświeża w ustach. Po chwili ruszamy. Już aż do szczytu niewidać żadnych krzaków, nic, tylko pole kamienne. Bardzo dobrze określa je śpiewka: „Kamień na kamieniu, na kamieniu kamień“ i t. d. Jest to charakterystyczny dla wszystkich szczytów gorgańskich t. zw.

„grechot“, a nazwa jego pochodzi od głosu, jaki wydają usuwające się pod nogami kamienie. Porost *Rhizocarpon geographicum* występuje gromadnie na kamieniach i nadaje całym szczytom cytrynowo-zielony odcień. Trzeba ustawicznie uważać jak się stawia nogę, bo kamienie leżą zupełnie luźno, szpary między nimi głębokie i nie trudno o złamanie nogi. Po niedługim czasie pogubiłem wszystkie gwoździe z butów, ale i bez nich idzie się zupełnie



„Grechot“ (na zachodnim zboczu Łopuszny).

Fot. H. Gąsiorowski.

dobrze; wogóle w Gorgany nie trzeba brać t. zw. „bergsteigerów“, bo noga usuwa się razem z kamieniami; wystarczą zwykłe sportowe, ale silne trzewiki.

Wnet dostajemy się na szczyt. Jak okiem sięgnąć rozciąga się morze grzbietów górskich, od południa oko opiera się aż na Alpach Rodniańskich, na północ na przednim planie całe Podkarpacie, a dalej biegnie wzrok hen, hen, gdzie już niema granicy między ziemią a niebem. Niezrównany widok! Nic — tylko góry poplamione zielenią rozmaitych odcieni, nakryte niebieską czapką, ani śladu ludzkich osiedli, mimo że średnica widoku dochodzi do dwustu kilometrów! Tylko ten wstrętny znak tryjanguacyjny na szczycie psuje wrażenie. Całe Gorgany mamy przed sobą jak na dłoni. Stożek Małej Popadji, długi grzbiet Parenek z wystającym z za nich szczytem Grofy, a dalej rysują się niewyraźnie w drgającym powietrzu szczyty Wysokiej, Ihrowyszcza, i śliczna, podwójna piramida Sywuli (1836 m), najwyższego szczytu od Tatr aż po Czarnohorę. Z żalem schodziliśmy w dół, ale przedsmak płynącej w dole wody i ciepłego obiadu zrobił swoje. Po drodze udało nam się znaleźć nieco wody w zagłębieniach poziomo leżących kamieni, w t. zw. „miednicach“; wprawdzie była to woda z ostatnich deszczów i zanieczyszczona glonami, ale wysaliśmy ją do suchego kamienia. Prędko schodziliśmy na dół, bo i ścieżkę myśliwską ze szczytu nie trudno znaleźć. Ponieważ jednak nie odpowiadała ona naszemu kierunkowi drogi na Parenki, więc porzuciliśmy ją i lasem zeszliliśmy w dół do potoku Parenek, w miejscu oznaczonym na mapie liczbą 1088 (mapa austr. „Porohy“ Zon. II, Kol. XXX, skala 1:75000; w Gorganach jest jeszcze potrzebną mapą „Brusztury“ Zon. 12, Kol. XXX i Körösmező-Mikuliczyn Z. 12, Kol. XXXI). Późno po obiedzie ruszyliśmy w dalszą drogę; wlokąc się powoli doszliśmy do górnej części doliny, leżącej na południe od grzbietu Parenek, między punktami 1665 a 1647. Tu zrobiliśmy szałas i przenocowali.

Na drugi dzień koło 10 godziny byliśmy na szczycie Parenek. Ładny ztąd widok na Popadję. Tu można się dobrze zorientować co do kierunku drogi na Grofę przez siodło Płyśce. Po drodze koledze S. pękł bucik, a palce zaciekawione wnikającym do wnętrza światłem, zaczęły wyglądać na Gorgany. Ponieważ dalszy marsz w takim trzewiku był niemożliwy, więc nas pożegnał i potokiem Zhonyliw zeszedł w dolinę Pletrosa, gdzie mu się szczęśliwie udało złapać kolejkę. We dwójkę ruszyliśmy dalej. Pod Grofą znaleźliśmy domek myśliwski, nawet z oszklonym oknem. Właśnie brat zakładał nowe kłisze, gdy z zewnątrz doszły nas jakieś głosy. Na wszelki wypadek brauningi odbezpieczono, lecz jak się okazało niepotrzebnie. Byli to huculi wypasający bydło na połoninach. Opowiadali, że przed pół godziną zagładnął



Dolina Mołody.

Fot. M. Nunberg.

i w Tatrach jednym z powoli ginących drzew szpilkowych. Rośnie] bardzo wolno, drewno ma zbite i nadzwyczaj trwałe, co w głównej mierze przyczyniło się do jej wytepienia. W Gorganach występuje ona dotąd najliczniej na ziemiach Polski i jest rzekomo pod ochroną prawa. Jest to jednak tylko zwyczajnie na papierze. W dolinie Mołodej dowiedzieliśmy się, że tną ją chętniej od świerka, dla jej cennego drewna. Nazywają ją tutaj „kedra“; nazwa ta pewnie pochodzi z rumuńskiego, podobnie jak „elma“, którą to nazwą oznaczają w Gorganach wiązy. Z powodu spóźnionej pory nie mogliśmy zbroczyć do limb i zadowoliliśmy się oglądaniem dość licznych drzew nie bardzo oddalonych od kierunku naszej drogi. Na zmniejszenie się ilości limb, oprócz człowieka, mają też znaczny wpływ rzadkie lata nasienne i orzechówka (*Nucifraga caryocatactes*), ptak pokrewny sójce, który bardzo chętnie zjada orzeszkowate nasiona limbby. Jest ona pospolitą w całych Karpatach, a co

Wierchy VI.



Grofa z Parenek.

Fot. M. Nunberg.

jakiś czas pojawia się liczniej. Ornitologowie utrzymują, że w latach, w których limby nie obrodziły, odbywają one dalsze wędrówki aż nawet ze Syberji, na zachód i południe; niektórzy powiązali dość odległe fakta w hipotezę: co jedenaście lat, gdy przypada maximum plam słonecznych, limby z powodu małej ilości ciepła nie obradzają, a orzechówki, zmuszone głodem, odbywają swoje wędrówki. Możliwe, że jest w tem jakieś ziarnko prawdy. Większe zrzesczenia limby są jeszcze w Gorganach na Grofeckim Koniu (w zach. części), oraz na Klewie. Spotykaliśmy ją później dość licznie na połud.-zach. stoku Ithrowyszca. Pałacyk metropolity w Podlutem jest zbudowany z drzewa limbowego.

Zeszliśmy w dolinę potoku, który co chwila gubił się pod kamieniami, by z tem większą siłą, po kilkuset metrowym podziemnym biegu wybuchnąć. Jest to cechą charakterystyczną górnego biegu niemal wszystkich potoków gorgańskich. Potok ten zaprowadził nas do jednego z nielicznych w Gorganach stawków, który zdaje się być w stadium wysychania, bo znacznie jest mniejszym, niżby to z mapy wyglądało. Zmierzch już zapadał, więc trzeba było dobrze naciągać nogi, żeby jeszcze zejść do Muskiety. Zeszliśmy już zupełnie po nocy. Jest tu kilka domków dla personelu służbowego kolejki i robotników leśnych. Po przenocowaniu u magazyniera ruszyliśmy późnym rankiem do Osmołody, wlokąc się powoli nad rzeką. Nie mieliśmy zamiaru dzisiaj iść dalej, więc wychlapaliśmy się po drodze i gasili często pragnienie i głód. Właśnie byłem zajęty dokładnem wysuszaniem miękuszką chleba pudełka ze sardynek, gdy z drugiej strony Mołody doleciał moich uszu znany mi cichy świst jarząbka. Kto tego głosu nie zna, tenby nigdy nie przypuszczał, że pochodzi on z gardła kuraka, raczej podobny jest on do śpiewu jakiejś gajówki. Wogóle nasze kuraki z rodziny głuszcowatych (*Tetraonidae*) są upośledzone przez naturę pod względem głosu; głuszec i cietrzew nawet w swej największej ekstazie miłosnej na tokach nie mogą się wygadać, tylko syczą i kłapią dzióbem, a jarząbek sobie śwista jak maleńka ptaszyna. Kilka razy powtórzył swój „śpiew“, lecz ponieważ żaden konkurent się nie odzywał, więc ucichł.

Na południe przysiliśmy do Osmołody; letników tu dosyć, przeważnie Rusini. Restauracja Fischera niedaleko kolejki, ceny tak niskie, że pozwalały sobie na podwójny obiad, na co obsługujący, widząc taki koncert, wytrzeszczał oczy. Pokój na nocleg znalazł się zaraz za ścianą; zanieśliśmy tam plecaki i wyszli przejść się po okolicy. Spotkany komisarz finansów powiedział nam znowu o nieszczęśliwej przepustce z Nadwórnej; jutro wybieramy się przez Sywulę do Rafałowej więc powiedzieliśmy mu, żeby daremnie nie trudził patroli przez poszukiwania za nami.

Na drugi dzień poszliśmy do Podlutego, a następnie bardzo wygodną ścieżką, zaczynającą się u ujścia Kuźnieńca do Łomnicy, skęciliśmy na Wysoką. Wzdłuż tej drogi wody jest dosyć, zwłaszcza w zachodniej części grzbietu Małachów. Koło punktu 1390, tuż przy ścieżce, stoi nowy domek myśliwski, lecz z powodu wczesnej jeszcze pory nie zatrzymaliśmy się tu na nocleg. Dopiero pod Wysoką, na lewo od gubiącej się na łysinie wśród lasu ścieżki, zauważyliśmy stary domek myśliwski. Trzeba się dobrze rozglądać, żeby go nie ominąć, bo ze ścieżki widać zaledwie część daszka. Tu postanowiliśmy zanoćować, tembardziej że zaczynało się podejrzanie chmurzyć. Jedyną ujemną stroną tego domku jest, że niema w pobliżu źródła. Wodę z manierek już dawno wypiliśmy, a żołądek upomina się o obiad, którego nie ma na czem ugotować. W stojącym pod okapem dachu żłóbku było jeszcze trochę wody po ostatnich deszczach, ale zupełnie zielonej od glonów. Nie było rady! Po przedczeniu przez



Las na Ithrowyszczu; wpośrodku bardzo stara limba.

Fot. M. Nunberg.

ścierkę okazała się jeszcze dość czystą, by ugotować obiad i mętną herbatę. Mając dach nad głową próbowaliśmy gotować w cichem powietrzu na suchym opale „Meta“; do gotowania herbaty lub kakao nadaje się dobrze (ale nie na wietrze), natomiast obiad wolno się na nim gotuje i dużo się go wypala.

Następny dzień zwłóknął się jakiś śpiący i zimny, szczyty gór gubiły się w kotłującym się morzu mgieł. W niewesołych humorach wydostaliśmy się na Wysoką, a potem na długi i nudny grzbiet Ithrowyszcza. Dużo tu jest limb; ścieżka wciąż idzie granicą grechotu i kosówki, marsz wcale nie męczący, zwłaszcza że i słońce się nie pokazuje. Naznaczoną na mapie przecinką leśną schodzimy na przełęcz Borewkę. Niech się nikt nie da zwieść jej nęcącym na mapie wyglądem, bo w rzeczywistości jest to linja leśna Bóg wie kiedy wycięta i tak zawałona drzewami przez wiatr wywróconemi, że lepiej iść lasem. Przy przełazeniu przez takie zwały drzew należy dobrze



Sywula (szczyt zachodni).

Fot. H. Gąsiorowski.

uważać, bo tutejsi huculi kłusownicy ustawiają z pni łapki na niedźwiedzie, a skoro nieostrożny turysta w nią wlezie, to już chyba w formie placka zostanie wyciągnięty.

Pełno tu jest pamiątek po wojnie; ziemianki pozapadane, okopy, druty kolczaste poplątane między drzewami, tabliczki z czytelnymi jeszcze napisami i t. p. Smutna to okolica, więc z ulgą wydostajemy się na dróżkę,

która zaprowadziła nas do studni, ujętej w rurę drewnianą; zapewne jest to także jedna z pamiątek po wojnie. Na poczekaniu zupa wre, żołądki mruczą z zadowolenia i zaraz po obiedzie jazda do Rafajłowej, bo droga jeszcze daleka, a po drodze trzeba wziąć wielką piramidę Sywuli. Po południu koło trzeciej jesteśmy na niej; mgła zamienia się w leciutki deszczyk, zacinający z boku, na parę kroków nic nie widać. Schodzimy w dół, trafiając po drodze na splątaną sieć okopów i drutów kolczastych, wreszcie wydostajemy się z mgły, a tu na dole wcale niczego pogoda, ot taka przeplatana smutkiem chmur i uśmiechami słońca. Zostawiamy na lewo Negrowę i Bojaryn, a przed nami wnet ukazuje się ogromny kocioł potoku Salatruka. U jego czoła jest bardzo ładna i wielka odkrywka geologiczna, zwana „Piekłem“. Doskonale widać uwarstwowanie skał. Schodzimy w dół nad potok na krąglakową drogę (roboty Legionów) zupełnie już zniszczoną. Co chwila przerzuca się z jednej strony potoka na drugą, wszystkie mostki zerwane, trzeba oglądać się za mostkami naturalnymi, utworzonymi z wywróconych drzew. Pochód tą drogą jest bardzo męczący i długi, każdy belek niemal przegniły; stając na jeden koniec nie mamy gwarancji czy drugi nie podjedzie do góry, a nogi do wody. Dobre schronisko mają tu pluszcze (*Cinclus aquaticus*), to też całe mnóstwo ich się uwija. Ptaszek ten ma zwyczaj zakładać gniazdo często pod wodospadem, a chcąc się doń dostać, musi swym lotem przebijać ruchomą ścianę wodną. Umie też łączyć za pożywieniem po dnie potoków.

Zmęczeni wydostaliśmy się nareszcie na stary tor kolejki; ciemno już było, gdy zaszliśmy do Rafajłowej. Kierujemy się do restauracji i hotelu

Wundermana, u którego niemal wszystko można dostać. Wikt bardzo tani (nawet pstrąg po żydowsku), ale hotel bardzo drogi. Prawdopodobnie na nim odbija sobie właściciel strąę na wikcie. Młody Wunderman prowadził fabrykę olejków terpentynowych, pędzonych z kosówki. Niszczycielskie ślady tego procederu były widoczne jeszcze z pod Sywuli w postaci ogromnego, rudego płatu uschniętej kosówki. Ostatecznie fabryka została zamknięta. — Nazajutrz niedziela, więc nogom trzeba dać wypocząć. Dużo tu jest letników, przeważnie Polaków. Spotkaliśmy tu kilku kolegów; jeden z nich szedł w dolinę Dołżyńca na pomiary, a ponieważ nasza droga na Doboszanek także tamtędy wypadała, więc mieliśmy u niego za kilka dni zagościć.

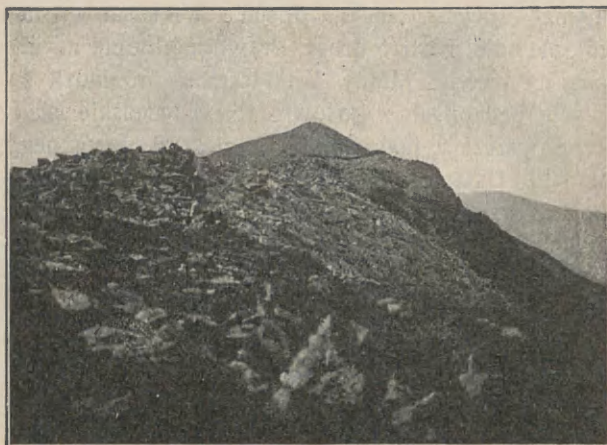
Niedziela mija szybko, poniedziałek przynosi wcale ładną pogodę; z lekkiem plecakiem wybieramy się na Bratkowską. Dobra z początku droga staje się później gliniastą i błotnistą, a kończy się dopiero przy górnej granicy lasu. Pod szczytem widać dym, więc się tam kierujemy. Do ściany lasu przyklejony stoi szałas, nakryty zdartą korą świerkową; pełno w nim beczulek różnego kalibru, a niemożliwie brudny hucul kręci się po swoim „gospodarstwie”. Takiego brudasa jeszcze nie widziałem, poprostu nie poznać gdzie się kończy koszula a zaczynają ręce i szyja. Ławeczka przed szałasem zaprasza do odpoczynku. Mrukliwemu hucułowi wnet się język rozwiązał, gdy zobaczył, że skręcam papierosa. Poprosił nas, byśmy skosztowali „budza”. Jest to ser z owczego mleka, a sposób przyrządzania go może odtrącić nawet najmniej wybrednego smakosza; niestety dowiedzieliśmy się od hucula o tem zapóźno. Dla przestrogi na przyszłość dodam, że mleko wlewa się do żołądka owczego (mniej więcej wymytego) by prędzej skisło, używany zaś ser ugniata się w formę bochenka w szmatkach nieokreślonej barwy. Mówią, że smakiem ma być zbliżony do sera szwajcarskiego, za co Szwajcarzy powinni się obrazić. Smak ma jakiś mdły i nieokreślony; zdaje się, że hucul wyczytał to z mojej miny, bo przestał wychwalać swój wyrób.

Ze szczytu rozlega się śliczna panorama na



Szałas pod Bratkowską.

Fot. M. Nunberg.



Doboszanka.

Fot. M. Nunberg.

całe Gorgany i Czarnohorę, Jest to rzeczywiście jedna z najładniejszych wycieczek w Gorganach. Schodząc w dół spotkaliśmy hucuła wypasającego stado baranów; opowiadał, że przed kilku dniami niedźwiedź zagryzł tu konia. Zeszliśmy razem do koliby. Barany pokładły się w cieniu drzew, a my rozmawialiśmy chwilę z hucułami. Zabieraliśmy się do odejścia, gdy nagle barany

zaczęły pobekiwać, porwały się na nogi i szturmem ruszyły na nas. Widzę, że nie ma żartów z baranami! Ich trzysta a nas dwóch! Brat oparł się o pień, żeby nie upaść, mnie jakiś baran wsadził łeb między nogi i chciał koniecznie przejść jak okręt pod kolosem rodyjskim; ścisnąłem go kolanami i zacząłem okładać pięścią po... głowie. Wreszcie uznał za stosowne wycofać się. Inne kłębiły się pod nogami, szczypały wargami za ręce i ubranie. Co to ma znaczyć?! Patrząc na minę brata i śmiech mnie porwał; a jeżeli moja była taka sama? Po chwili barany się cofnęły i poukładały. Powolutku, żeby nie zwrócić na siebie uwagi udając, że zbieramy poziomki, zaczęliśmy się wycofywać z ich otoczenia. Ale co tu mówić, że baran jest durny! Poznały się na figlu i nie uszliśmy może dwudziestu kroków, gdy szturm się zaczął na nowo. Nie! tego za wiele! Wołamy na hucułów, by sobie trzymali barany za ogony. Wytlómaczyli nam nareszcie zagadkę baraniego oblężenia: co jakiś czas przynoszą ludzie z dolin sól dla baranów, a ponieważ są to dla nich twarze obce, więc myślały, że przynieśliśmy też sól, ztąd ten szturm i szczypanie wargami. Dopiero gdy huculi zapędzili je do koszar mogliśmy odejść w spokoju.

Ścieżka zrazu wyraźna wnet się zgubiła i zeszła na ścieżkę jelenią, co łatwo było poznać po tropach. Ponieważ szła w dół, więc trzymaliśmy się jej, bo musiała zaprowadzić do wody, no a potok do Rafajłowej, gdyż wszystkie wypływające z pod Bratkowskiej dążą w tym kierunku. Potężne pnie zwalonych drzew, zmurszałe, zielone od mchu i paproci, gęsto leżały, a na nich rosło młode pokolenie. Wilgoć i półcień panujący w takim borze świer-

kowym ponuro wpływają na humor. Po drodze spłoszyliśmy koguta głuszca. Królewski ten ptak jest już coraz rzadszy; niemal każdy hucuł ma pióro z „wachlarza“ (ogona) na kapeluszu i uważa to niemal za punkt honoru. Drugą przyczyną, mającą wpływ na rzadkość ptaka, jest polowanie w czasie toków. Nie przeczę! musi to być polowanie dające jedną z największych emocyj myśliwskich, a można je pod tym względem porównać chyba tylko z rykowiskiem jeleni. Tak jeden jak i drugi sposób polowania jest jednak z punktu widzenia hodowlanego wręcz karygodnym; ta sama ustawa łowiecka, która inną zwierzynę (lecz i to nie zawsze) w czasie godów bierze pod ochronę prawną, tutaj robi wyjątek, by dogodzić nerwom myśliwych, a ci są zbyt słabi, żeby sobie odmówić tej przyjemności dla dobra zwierzyny. Według tego co słyszałem, ma być tutaj jeszcze i na Czarnohorcu głuszcak dość liczny (wsch. Gorgany). Z jeleniem jest gorzej teraz aniżeli zaraz po wojnie, także dzięki myśliwym i wilkom. Niedźwiedziom powodzi się trochę lepiej, bo wzięto je nareszcie pod ochronę i zakazano zupełnie na nie polować. Zdałoby się, żeby i polowanie na jelenie na terenie Gorganów zostało zamknięte na lat kilka.

Wieczorem byliśmy z powrotem; rankiem dnia następnego szliśmy doliną Dołżyńca, wzdłuż toru kolejki. U jego końca stoi gajówka leśnego Andryjczuka. Tutaj też został ulokowany kol. K., z którym daliśmy sobie randkę. Obejście, jak na Gorgany, dosyć schludne, jest nawet w pobliżu... „ul“; dzień na pogawędce minął szybko. Leśny opowiadał o niedźwiedziu, który mu się w myśl przysłowia ustąpił z drogi, o rysiach, które łapał w żelaza i t. p.



Jaremcze.

Fot. H. Gąsiorowski.

Na drugi dzień rankiem, w towarzystwie kol. K. i leśnego, wybraliśmy się na Doboszankę. Wyjście na nią od strony północnej jest strome i męczące z powodu usunięcia się całego zbocza, jeszcze w r. 1898.

Przechodząc przez wielką polanę pod szczytem, zauważyliśmy krzyż na niej stojący; jest to miejsce, w którym przed dwoma laty bandyci zamordowali ś. p. kol. Sporka. Krzyż na tem miejscu postawił z własnej inicjatywy pastuch Brataniuk, a nie umiejąc pisać zwrócił się z prośbą do jednego z pracujących tu na granicy inżynierów, by mu wypisał tabliczkę.

Na szczycie tylko przez chwilę mieliśmy widok; wnet nadciągnęły chmury i deszcz lunął jak z cebra. Równocześnie wiatr dął tak silny, że krople leciały formalnie poziomo. Po tem oblewaniu pożegnaliśmy się; za wskazówkami leśnego mieliśmy zejść na ścieżkę, prowadzącą do schroniska pod Gorganem. Zejście po deszczu po grehocie porośniętym porostami *Rhizocarpon geographicum* i *Rh. alpicola* (który tu licznie występuje, a od pierwszego różni się czerwoną barwą, spowodowaną działaniem ługu potasowego, powstającego przy chemicznem wietrzeniu skał), jest bardzo męczące. Prostu trzeba złączyć na czworakach. Nareszcie dostaliśmy się na ścieżkę i w ciągłym deszczu idziemy dalej. Ba! ale to już wieczór nadchodzi, a schroniska jeszcze nie widać; zorientowaliśmy się, że idziemy pod północnym stokiem Doboszanki, a nie w kierunku na Gorgan. Na odwrót za późno, zresztą ścieżka musi nas gdzieś wyprowadzić. Prawie ciemno już było i mieliśmy zamiar przenocować pod pierwszym lepszym drzewem, gdy nagle rozległ się uradowany okrzyk brata: daszek widać! Był to domek myśliwski (zaznaczony też na mapie na północ od Doboszanki). I tak, chcąc nie chcąc, musieliśmy poniechać dalszej drogi przez Gorgan, Syniak i Chomiak do Worochty, a skierować się na Jaremcze.

Ogień i woda! To było pierwszym naszym staraniem. Ogień nie trudno było rozniecić, ale wody, mimo deszczu, nie mogłem znaleźć. Źródła ani śladu, za to we mchu było pełno wygniecionych racic krowich, a w tych dołkach zbierała się woda. Rosół gotowy, nawet bez kostek Maggi'ego! Z dużym zapasem wody — w ubraniu — wróciłem do „kuchni“. Przebraliśmy się w suchą odzież, a po zjedzeniu obiadu, podwieczorka i kolacji naraz, zaczęliśmy suszyć wszystko co było mokre, paląc przytem naturalnie skarpetki. Przesiedzieliśmy tutaj dwa dni; zapasy się wyczerpywały, kapuśniak wciąż padał, więc na trzeci dzień, przez Komarniki i dolinę potoku Żonki, wybraliśmy się do Jaremcza. Droga aż do Komarnik znowu z okrągłaków, ślizka od deszczu, co stwierdzaliśmy częstemi upadkami; za to przynajmniej w ostatnim dniu zastawiły Gorgany swój stół wspianiem przyjęciem z wonnych malin. Po obu stronach drogi gąszcz maliniaków nie do przebycia, czerwony od jagód;

brat wciąż upominał, żebym się nie oglądał na boki, tylko szedł prędzej, bo się spóźnimy na 4-tą do pociągu. Do pociągu? Jak to jakoś dziwnie brzmi. Co on nas obchodzi? Przecież zawsze kończyliśmy nasz marsz tam gdzie nam się podobało, lub gdzie nas wieczór zastał. Niestety! Dnie wywczasów szybko minęły, jeszcze prędzej skończyła się, mimo kulejącego chodu brata (wykręcił sobie nogę przy schodzeniu z Doboszanki) dolina potoku Żonki z licznymi jej wodospadami — „o Żonko ma, jakże jest piękną dolina twa!“ — i na trzecią stanęliśmy na stacji w Jaremczu. Dziwne! Jak to w Gorganach rozdzieliły się narodowości: w Osmołodzie Rusini, w Rafajłowej Polacy, a w Jaremczu aż czarno od żydów. Oczyszciliśmy na stacji trzewiki z gorgańskiego błota, wsiedliśmy do pociągu. Ścisk i gwar niemożliwy. Pełno odjeżdżających rodzin semickich na stacji. Pociąg rusza, wrzask nieopisany zrywa się jak burza, coś niby „hulim“ czy „szulim“ (zapewne w znaczeniu naszego „cześć“) targa powietrzem, deszcz czapek wylatuje w górę... Jedziemy do Lwowa...

Cieszyn, 1926.

Marjan Nunberg.

Życie roślinne na najwyższych szczytach tatrzańskich.

Granitowe szczyty Tatr Wysokich wydają się na pierwsze wejście głuchą pustynią skalną, pozbawioną wszelkiego życia.

„... pustka tak ponura,
takiego chłodu wieje prąd,
że nawet orły strzępią pióra
i odlatują szybko zład“.

To zdanie poety podziela ogół. Nieraz, opowiadając o mych botanicznych wyprawach na szczyty, spotykałem się ze zdziwieniem i niedowierzaniem — „bo przecież tam nic nie rośnie!“ A tymczasem powyżej 2300 m n. p. m. stwierdzono dotąd w Tatrach obecność nie mniej, jak 112 gatunków roślin kwiatowych; 21 z nich sięga nawet po sam szczyt Garłucha. Rośliny te, bez wyjątku drobnych rozmiarów, bądźto są zrzadka rozrzucone po szczelinach skalnych, bądź zwierają się w niewielkie płatki muraw, przyczepionych do pótek i gzysmów. Zauważa się je dopiero podszedłszy całkiem blisko. Zna je więc tatarnik — i przeklina, ilekroć przyjdzie mu przechodzić owe niemiłe dlań „trawki“, psujące przyjemność skalnej wspinaczki. Ale zdaleka

nikną one zupełnie wśród potężnych urwisk i rumowisk skalnych i nie odgrywają żadnej roli w krajobrazie szczytowym. To też i botanik nazywa najwyższe, szczytowe piętro roślinności w Tatrach, począwszy od 2200—2300 m, piętrzem turniowym¹⁾). Nagie turnie panują tu niepodzielnie.

Czy istotnie nagie? Przyjrzyjmy się im dokładnie, z bliska. Spozrzedzemy na ich powierzchni barwne plamy o czarno-żółtym deseniu, przypominającym nieco jakąś fantastyczną mapę geograficzną. To skorupiasty, ściśle przyrosły do skały porost *Rhizocarpon*, zwany także „porostem geograficznym“. To znów widzimy przyrosłe do skały, ale odstające po brzegach ciemno-szare płatki innego porostu, *Gyrophora*. A obok nich całe bogactwo form o rozmaitym wyglądzie i zabarwieniu. Pokrywają one większą część „maliniaków“ i turni, tak że „piętro turniowe“ możnaby równie dobrze nazwać „piętrzem porostów“. Tatarnik ma im coś niecoś do zawdzięczenia, bo plechy ich, powlekając skały, zwiększają naturalną chropowatość granitu i ułatwiają posuwanie się po nim.

Dziwno to są organizmy. W czasie suszy, wyschłe na kość i kruszące się w palcach, potrafią trwać w tym stanie bardzo długo, by ożyć przy pierwszym deszczu lub mokrej mgie, która owionie szczyty. Rosnąc na graniach gdzie śnieg utrzymać się nie może, pozbawione są częstokroć w zimie wszelkiej osłony przed mrozem i wichrem. Lecz wichry nic im nie szkodzą, owszem, unosząc oderwane cząstki ich plechy, przyczyniają się jeszcze do ich rozpoznań.

Na tych to skałach obrosłych porostami, rośnie tu i ówdzie skąpa roślinność kwiatowa. Jej ubóstwo, w porównaniu z bogatszym bez porównania piętrzem alpejskim, zrozumiałe jest zupełnie wobec ciężkich nad wyraz warunków życia na tych wysokościach. Odwrotnie raczej dziwiłoby się należało, że aż 100 przeszło gatunków potrafi, mimo wszystko, wyżyć tam jeszcze. Bo każda roślina, która się ma tam utrzymać, musi przejść ostry egzamin przed srogą i bezwzględną komisją, w której uczestniczą mróz i wichry, a przedwodniczy zima. Działa ona w całych Tatrach, ale im wyżej, tem sroży się bardziej, ograniczając coraz to bardziej życie roślinne. Najpierw wyeliminowany zostaje las, który pozostaje hen, nisko, otulając swym płaszczem tylko stopy gór. Znacznie wyżej pnie się kosówka, ufna w swój giętki kark i ela-

¹⁾ Rozróżniamy w Tatrach następujące piętra roślinności: 1) reglowe, mniej więcej po 1500—1600 m n. p. m.; 2) kosodrzewiny, po 1800—1850 m; 3) halne czyli alpejskie, znamienne tem, że wszystkie bardziej połogie zbocza w jego obrębie zajmują hale, porośnięte na granicy głównie skuciną (*Junens trifidus*); piętro to sięga po 2200 do 2300 m, wyżej zaś położone jest 4) piętro turniowe czyli subniwalne, którego roślinność jest właśnie przedmiotem niniejszego artykułu.



„Wierchy“ r. 1928. do art. B. Pawłowskiego.

Fot. F. Rapt

WIDOK Z GAŁRUCHA KU WYSOKIEJ

Typ krajobrazu wysokogórskiego

styczną podatność swych ramion, gnących się w pokłonie pod każdym naporem, by się z niego otrząsnąć zdradliwie a niespodziewanie. Ale i ona musi się wreszcie zatrzymać. Taki sam los czeka z kolei hale. Na same najwyższe szczyty dochodzi tylko bardzo przeredzona gromadka najwytrwalszych i najodporniejszych roślin.

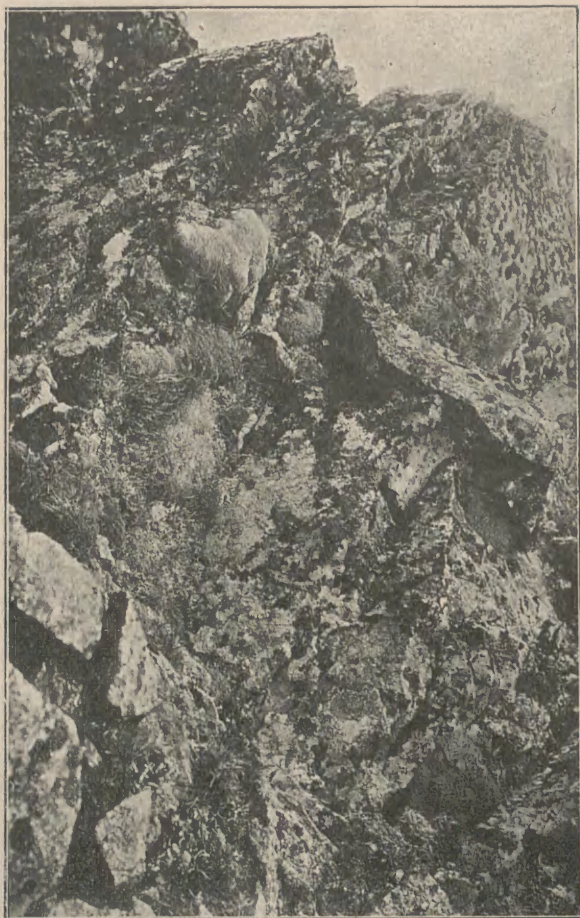
Prawdziwe to królestwo zimy, która panuje tam bezmała przez trzy kwartały. A może rościć sobie prawo do bezwzględnego władania tym obszarem, bo leży on już powyżej granicy wiecznego śniegu, która, wedle obliczeń geografów, przebiega w Tatrach gdzieś między 2300 a 2440 metrów. Oznacza to, że gdyby tylko masy śnieżne, spadające tu rok rocznie, zdołały utrzymać się na miejscu, nie zsuwając się w dół, to ciepło letnie nie wystarczyłoby na ich stopienie i wierchy byłyby

spowite wiecznym, białym całunem. Ale i obecnie, choć tak nie jest, rozwój roślinności możliwy jest zaledwie w ciągu jakichś trzech miesięcy. Pod koniec czerwca lub z początkiem lipca dopiero, gdy w dole wiosna już dawno minęła a i na niższych szczytach ma się ku końcowi, na najwyższych roślinność ledwo zaczyna się budzić ze snu zimowego. A musi się spieszyć, by



Zbocza Mięguszowieckiego Szczytu nad Czarnym Stawem od strony przełęczy Czarnostawiańskiej, poroste rzadka przez luźne murawy boimki dwurzędowej (*Sesleria disticha*). Wys. ok. 2350 m n. p. m.

Fot. M. Sokółowski.



Wysokogórskie rośliny poduszkowe pod szczytem Cubryny, na wysokości ok. 2340 m. Fot. M. Sokołowski.

rozwinąć liście, zakwitnąć, wytworzyć i rozsiać nasiona, zanim wrześnie śniegi i przymrozki nie pogrążą jej znowu w uśpienie zimowe. Niekiedy zdarza się to jeszcze wcześniej, przed trzema laty np. już pod koniec sierpnia. Większość roślin szczytowych nie może w takie lata wogóle wytworzyć nasion. Już z góry zatem wykluczone jest w piętrze turniowem istnienie roślin rocznych, związane bezwzględnie z możliwością corocznego wydawania nasion. To też podczas gdy między 2000 a 2200 m spotykamy ich w Tatrach jeszcze kilkanaście, to wyżej już ani jednej.

Gdybyż przynajmniej w ciągu owego, tak krótkiego wysokogórskiego lata panowały bez przerwy warunki pomyślne dla rozwoju roślin! Tymczasem, choć w ciepłe,

pogodne dni skały nagrzewają się od słońca tak, że parzą za dotknięciem, to dni pochmurne — a tych jest przecież znacznie więcej — oraz noce bywają chłodne, nawet zimne. Przytem niema miesiąca, w którymby rośliny szczytowe były bezpieczne przed nagłym opadem śnieżnym lub przymrozkami. W dniu 7 sierpnia 1925 r., a więc w pełni lata, wszystkie trawki i kwiaty na zboczach Rysów ugiwały się w godzinach porannych pod ciężarem przedudnych, misternie rzeźbionych festonów szronu, lśniących w promieniach słońca, które je właśnie zaczynało oświecać. Ozdoby takie, budzące w nas

Kwitnąca poducha lepnicy bezłodygowej (*Silene acaulis*).

Fot. J. Motyka.

zachwyt, nie są jednak bynajmniej pożądane dla roślin. Wiadomo przecież jakie szkody wyrządzają późnowiosenne przymrozki wśród naszych roślin niżowych i to nie tylko uprawnych, ale i dzikich. Ślady ich znaczą zwarzone liście drzew, powiędłe i smutnie zwieszony kwiaty i ciemne plamy, wyżarte w zieleni łąk. Rośliny turniowe nie mogą sobie pozwolić na taką wrażliwość — inaczej nie żyłyby im tutaj! Więc też, gdy słońce uwolni je od śniegu i szronu, wyglądają równie zielono i zdrowo, jak przedtem.

Nie mniejsze od mrozów niebezpieczeństwo stanowią tak częste na tych wysokościach i tak gwałtowne wichry. Siekąc wściekle to drobnym żwirkiem, to znów kryształkami lodu, szlifują nimi darnie i poduchy roślinne, wyżerając w nich głębokie nieraz rany, a wgrzyzając się w glebę, wyrrywają im dosłownie „grunt pod nogami“. Jeśli zaś przytem są suche, jak to jest regułą przy halnym wietrze, to zwiększając gwałtownie parowanie grożą roślinom

wysuszeniem. Szczególnie groźne są pod tym względem wichry zimowe, wówczas bowiem ze zmarzniętej gleby czerpanie wody jest niemożliwe. Wprawdzie wiele roślin turniowych korzysta w tym czasie z osłony śniegu, ale bynajmniej nie wszystkie: część — coprawda tylko najodporniejsze — rośnie na miejscach tak stromych, że śnieg utrzymać się tam nie potrafi.

Normalnie natomiast właśnie wody mają rośliny szczytowe pod dostatkiem. Każdy, kto chodził po Tatrach, wie z własnego, niekoniecznie miłego doświadczenia, jak częste i obfite są tu opady. Ich roczna wysokość dochodzi nad Morskim Okiem (ok. 1400 m n. p. m.) w niektóre bodaj lata zawrotnej na nasze stosunki cyfry 2 m 40 cm, a niewątpliwie ku szczytom podnosi się jeszcze znacznie. Przytem, wobec niskiej naogół temperatury powietrza, parowanie jest stosunkowo słabe, tak że tatrzańskie rośliny wysokogórskie przywykłe są naogół do znacznie większej wilgotności, niż nasze rośliny niżowe. Przy silnem nasłonecznieniu lub podczas wichrów zmienia się to jednak zupełnie.

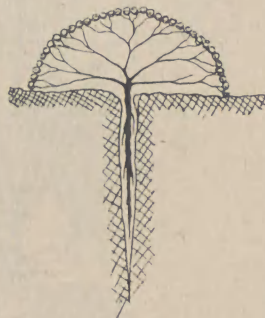
Wogóle całe życie roślin turniowych upływa pod znakiem nagłych zmian i skrajnych przeciwieństw. Raz pławią się w słońcu, to znów otula je mgła, ścina przymrozek lub smaga wichura, aż wreszcie skuje je twardym pancerzem lodu długotrwała zima. Nie wiele roślin potrafi to wszystko wytrzymać! Za to te, które wytrzymują, jakgdyby szczególnie sobie upodobały takie życie; są to bowiem prawie wyłącznie wysokogórskie gatunki, niespotykane poniżej górnej granicy leśnej. Przeniesione na niziny i zasadzone w ogrodzie czują się źle i mimo wszelkiej opieki giną po pewnym czasie. Cóż dziwnego? I człowiek, przywykły do twardego, prostego życia, dusi się w miękkiej atmosferze salonów.

Ciężkie warunki życia wyciskają swe piętno na postaci roślin turniowych. Dumna wyniosłość nie popłacałaby tutaj — pierwszy wicher zmiotłby zuchwalca. To też wszystkie rośliny szczytowe są niskie, przyziemne. Niektóre, jak n. p. rogownica jednokwiatowa (*Cerastium uniflorum*) i pokrewne jej gatunki, przytulają się do podłoża całymi rozestłanymi łodyżkami. Inne znów (starzec krański, jaskier lodnikowy i inne) skupiają liście w przyziemną różyczkę, z pośród której tylko podczas kwitnienia wyrasta krótki kwiatostan. To przytulanie się do ziemi pozwala im lepiej wykorzystać jej ciepło, jakiego nabiera w czasie ogrzewania przez słońce, nadto chroni je przed wichrem, a w zimie ułatwia korzystanie z osłony śnieżnej. Ufne w to wszystko pozwalają sobie niektóre roślinki na śmiałość niebywałą: zachowują przez cały rok zielone liście, dzięki czemu mogą zaraz z pierwszym przebudzeniem się wiosny rozpocząć intensywne przyswajanie pokarmu, nie czekając aż młode, świeżo rozwijające się listki, staną się zdolne do tej czynności.

Postacią najlepiej bodaj odpowiadającą warunkom życia wysokogórskiego odznaczają się rośliny poduszkowe. Ich wypukłe, często półkuliste poduchy, utworzone są przez liczne, tuż obok siebie rosnące i ściśle ze sobą zbite gałązki, pokryte szczątkami obumarłych liści, podczas gdy liście zielone znajdują się na powierzchni poduch. Każda poduszka, pomimo znacznych nieraz rozmiarów, stanowi jedno jedyne indywiduum roślinne, o czym świadczy jedyny, palowy korzeń, którym tkwi w podłożu, korzeń niezmiernie mocny i nieraz bardzo długi.

Ich wiek bywa niekiedy bardzo poważny, dochodzi bowiem kilkudziesięciu, a nawet i stu lat. Dzięki tego rodzaju wzrostowi rośliny nie tylko umocowane są niezwykle silnie, ale są odporne na niekorzystne wpływy atmosferyczne, zwłaszcza na wichry i suszę. Przytem w słońcu rozgrzewają się silnie, co na tych wysokościach jest rzeczą nie do pogardzenia. Wreszcie, będąc zawsze zielonemi, mogą wykorzystywać każdą chwilę pomyślną dla rozwoju. Nic dziwnego zatem, że wzrost poduszkowy jest na tych wysokościach ogromnie rozpowszechniony i odgrywa tutaj znacznie większą rolę jak w położeniach niższych.

Obok obfitości roślin poduszkowych uderza w piętrze turniowem zupełny brak krzewinek, choć trochę niżej spotykamy ich wcale sporo. Jeszcze na szczytach Miedzianego (2238 m), Żabiego Wyżniego (2252 m) lub Koziego Wierchu (2295 m) rosną borówki, prawda że niziutkie i nigdy nie owocujące. Na Mięguszwieckich szczytach lub na Rysach próżno by ich już szukać, podobnie jak i bażyny lub krzewinkowych wierzb wysokogórskich. Widać warunki życia są tam już nieodpowiednie dla roślin zdrewniałych, choćby nawet najskromniej tuliły do ziemi swe gałązki.

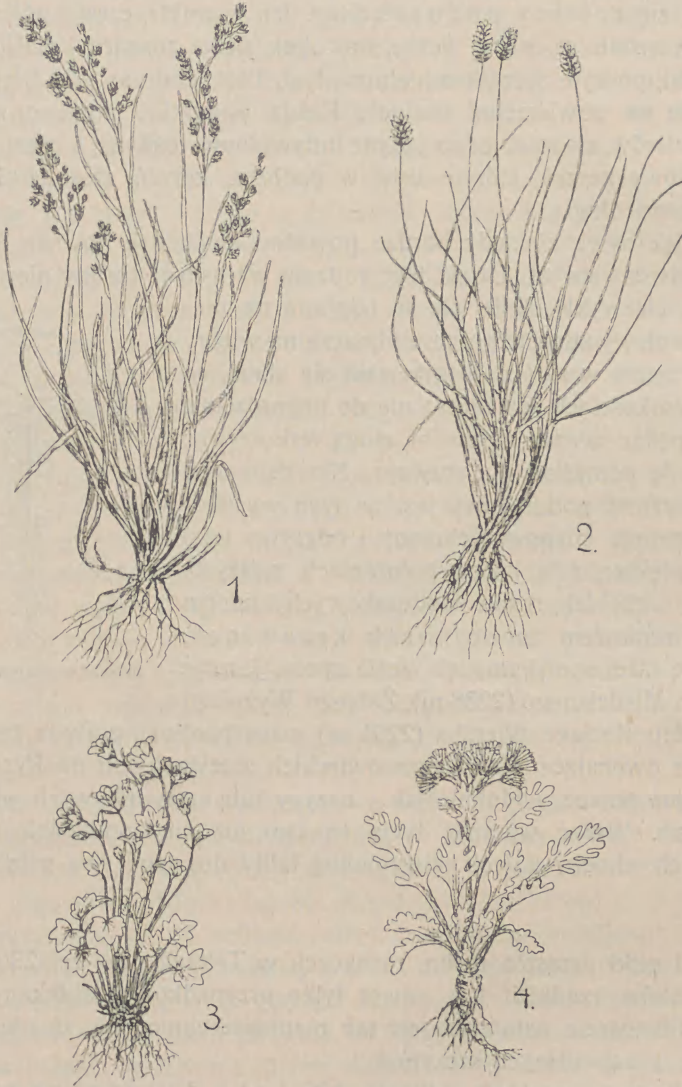


Szemat rośliny poduszkowej.

* * *

Wśród setki przeszło roślin, rosnących w Tatrach powyżej 2300 m, jest wiele gatunków rzadkich lub nawet tylko przypadkowo zabłąkanych na te wyżyny. Kilkanaście natomiast jest tak rozpowszechnionych, że nie brak ich na żadnym z najwyższych szczytów.

Taką typową szczytową rośliną jest boimka dwurzędowa (*Sesleria disticha*), niepozorna trawka o kępiastym wroście, szczeciniastych liściach i główkowatym, dwurzędowym, stałowo nabiegłym kłosie. Jest to jeden z głównych składników tatrzańskich muraw subniwalnych. Po samym zewnętrznym wyglądzie boimki trudno odgadnąć w niej jedną z roślin najodporniejszych



Typowe rośliny najwyższych granitowych szczytów tatrzańskich.

1. Wyklina wiotka (*Poa laxa*). — 2. Boimka dwurzędowa (*Sesleria disticha*). —
 3. Skalnica karpacka (*Saxifraga carpatica*). — 4. Starzec kraiński (*Senecio carniolicus*). — Wszystkie powyższe rośliny rosną jeszcze na szczycie Garlucha (2663 m).



Typowe rośliny najwyższych granitowych szczytów tatrzańskich.

1. Rogownica jednokwiatowa (*Cerastium uniflorum*). — 2. Jaskier lodnikowy (*Ranunculus glacialis*).
 3. Złociień alpejski (*Chrysanthemum alpinum*). — 4. Goryczka przezroczysta (*Gentiana frigida*). —
 5. Skalnica mchowata (*Saxifraga bryoides*). — Wszystkie powyższe rośliny rosną jeszcze na szczycie
 Gałtucha (2663 m).

na wichry i mogących rosnąć nawet na miejscach bezśnieżnych w czasie zimy. Zato unika ona osiedlisk bardziej wilgotnych, jak żleby i zakłęstości terenu.

Jeśli boimka przynajmniej gęstokępiastym wzrostem i szczeciniastymi liśćmi zdradza pewne przystosowanie do warunków życia turniowego, to wprost trudno zrozumieć, jak może w nich wytrzymać roślina tak delikatna, jak wyklina wiotka (*Poa laxa*). A przecież jest to jedna z najpospolitszych roślin szczytowych i rośnie nawet na samych graniach, gdzie wystawiona jest na wszelkie najniekorzystniejsze wpływy. Nie jest zresztą wyjątkiem. Równie wątłą wydaje się z pozoru maleńka i śliczna goryczka przezroczysta (*Gentiana frigida*) o bladożółtych, fioletowo nakrapianych kwiatach, roślina ograniczona w swym występowaniu do Tatr, Karpat siedmiogrodzkich, Bałkanu i Alp styryjskich, a pochodząca ze wschodniej Azji, gdzie żyją wszystkie jej najbliższe krewne. Także i jaskier lodnikowy (*Ranunculus glacialis*) zwodzi nas delikatnością swych dużych, białych lub różowych kwiatów oraz misternie pociętych liści, jest to bowiem rekordzista europejski w pięciu się na szczyty: dochodzi w Alpach do 4270 m n. p. m.

Z roślin poduszkowych, lepiej dostosowanych do otoczenia już swym wyglądem, najbardziej znaną jest lepnicza bezłodygowa (*Silene acaulis*). Prawdziwa to ozdoba turni, gdy wiosną obsypią ją gęsto różowe gwiazdki kwiatów. Zato w stanie niekwitnącym łatwo ją wziąć za wielki mech, tak mało przypomina zwykłe rośliny kwiatowe. W jeszcze wyższym stopniu dotyczy to mokrzycy rozchodnikowatej (*Minuartia sedoides*), tworzącej poduchy zupełnie podobne, ale jaśniejsze, gdyż kwiatki jej są drobne i niepozorne, zielonawe. Roślina to świetnie przystosowana do wysokogórskiego życia, to też nie tylko w Tatrach wspina się na najwyższe szczyty, ale i w Alpach dochodzi do 3825 m. Światowy rekord pod tym względem zdobył himalajski krewniak mokrzycy, piaskowiec mchowaty (*Arenaria musciformis*) o poduszkowatym również wzroście, znaleziono go bowiem na wysokości 6223 m, najwyżej ze wszystkich roślin kwiatowych.

Obficie reprezentowany w tatrzańskiej florze szczytowej jest rodzaj skalnic (*Saxifraga*). Są wśród nich formy również gęsto poduszkowate, jak n. p. skalnica odgiętolistna (*Saxifraga Baumgartenii*); inne, jak skalnica mchowata (*Saxifraga bryoides*), tworzą poduszki mniejsze i mniej zbite.

Do pospolitych a nader charakterystycznych roślin szczytowych należą wreszcie: złocień alpejski (*Chrysanthemum alpinum*), o kwiatach zupełnie podobnych do zwykłego łąkowego złocienia, ale o wzroście niziutkim,

oraz żółtokwitnący starzec kraiński (*Senecio carniolicus*), o liściach pięknie siwych dzięki przylegającemu owłosieniu.

Na tych kilku przykładach musimy poprzestać, mimo że niejedna jeszcze roślinka zasługiwałaby na wzmiankę, czy to ze względu na częste występowanie, czy też na piękno swych kwiatów, ożywiających mile samotną grozę szczytowego krajobrazu.

Jak wszystkie rośliny wogóle, tak i turniowe, nie są rozrzucone bezładnie i bez planu, ale tworzą skupienia o stale powtarzającym się składzie gatunkowym, czyli, jak je nazywamy, zespoły. W tych wysokościach spotykamy ich już zaledwo trzy. Płatki muraw, zarastające półki skalne i granie, należą do zespołu boimki dwurzędowej. Wśród kęp jej rosną: starzec kraiński, dzwonek alpejski, złocień, oraz poduchy lepnicy i mokrzyicy. W miejscach wilgotniejszych, a więc w żlebach i zakłęśnościach terenu, widzimy zespół kosmatki brunatnej (*Luzula spadicæa*), roślinki podobnej do traw, o płaskich, sinawzielonych liściach. Wreszcie wielu roślinom, jak jaskier lodnikowy, skalnica karpacka, rogownica jednokwiatowa i inne, za ciasno jest nawet w licznych subniwalnych murawach; okazy ich czepiają się więc pojedynczo szczelin skalnych, stanowiąc osobny zespół.

* * *

Stosunkowo znaczna liczba roślin osiągających najwyższe szczyty tatrzańskie, świadczy, że tym ostatnim daleko jeszcze do bezwzględnej górnej granicy życia roślinnego. Istotnie, w Alpach znajdujemy powyżej 4000 m., przeszło 1000 m. ponad granicą wiecznego śniegu, jeszcze dziewięć roślin kwiatowych, porosty zaś rosną nawet na szczycie Mont-Blanc'u. Wolne od wszelkiej wegetacji są dopiero podniebne szczyty Himalajów.

Wśród tatrzańskiej roślinności szczytowej mniej więcej połowę stanowią gatunki ograniczone w swym występowaniu wyłącznie do gór środkowoeuropejskich, po części nawet wyłącznie do Karpat. Druga połowa przypada na t. zw. gatunki „arktyczno-alpejskie“, t. j. rosnące poza tem również w krajach podbiegunowych, a przeważnie także w górach azjatyckich lub amerykańskich. Natomiast jeśli chodzi o pochodzenie, to prawie $\frac{4}{5}$ całej flory przypada na rośliny wywodzące się ze środkowej Europy, a zaledwo reszta na formy powstałe w innych obszarach. Te ostatnie przybyły do gór naszych prawdopodobnie w czasie, gdy pokryły je dyluwjalne lodowce, gdy jednocześnie z północy nasunął się na ciało Europy potężny pancierz lodowy, a przestrzeń leżąca pośrodku zarosła w znacznej części tundrą, złożoną z mieszaniny roślin górskich i arktycznych. Natomiast część roślin pochodzenia środkowoeuropejskiego żyje w Tatrach, jak się zdaje, jeszcze od czasów

przedlodowcowych, przetrwawszy tu wszelkie kataklizmy i przeciwności losu. Wogóle jest roślinność wysokogórska w całości swej najstarszą bodaj częścią naszej szaty roślinnej, składu jej bowiem nie zmieniły już polodowcowe przemiany klimatyczne, których widownią były ziemie polskie wraz ze swą florą.

* * *

Pustkowie skalne zapełnia się, jak widzimy, i ożywia za bliższem przyjrzeniem. Oczom naszym ukazuje się życie, zdumiewające różnorodnością form, rozmaicie uzbrojonych do walki z przeciwnościami, lub nieraz bezbronych na pozór, zasobnych jedynie w wewnętrzną siłę i odporność. I do podziwu, jaki w nas budzi piękno skalnych olbrzymów, dołączyć się musi podziw dla tych drobnych istot, co w ciężkich zmaganiach z wrogimi siłami przyrody trwają tu twardo od wieków, jako pionierzy wszechpotężnego Życia.

W Krakowie, we wrześniu 1928.

Bogumił Pawłowski.

NA PĘKSÓW BRZYZEK.

Sel se Niebies po upłazie
Ponad Olcyska,
Bo go z domu wygoniły
Jego dzieciska.

Idzie za nim, dogania go
Śmiertecka suha,
Gacie na niej z pajęcyny
A z grziba cuha.

Coz ta sukas na tym brzyzku
Ze cie haw niesie?
A wróćze sie do dziedziny
Miły Niebiesie!

Jakoz ja sie moge wrócić
Do tej dziedziny,
Kie mie hań fce moja córka
Bić bez przewiny.

Nik mie węcyl do wracania
Dołu nie skusi,
Kie tam na mnie rąbanice
Chłopcysko brusi!

Zaś do niego ta śmiertecka
Kłapnie zębami:
Pojdze se mnom, to cie bedom
Witać zwonami!

Powitajom, pozegnajom —
A nie bójze sie,
Sytko ci juz tak pomoge
Mój ty Niebiesie!

Jes ta na Pęksowym Brzyzku¹⁾
Prawie na wirku —
Cysto piknie uzdajane
Wyrko przy wyrku.

Lezom se ta starzi ludzie,
Roj przy Sieckowi,
Sabała przy Nieboscyku²⁾
Wtoz im co powi? —

Rośnie se tam przy nik kwiatek
Selinijaki...
Zywyk trujom, ik strózujom
Wielgie omiaki.

Kieby ci sie nie widziało
Hań donieść duse,
To juz cie haw na upłazku
Zaraz zaduse!

O mój miły niebozycku,
Puś mie z opieki!
Nieg juz bedzie jako było
Tak i na wieki!

¹⁾ Stary cmentarz w Zakopanem.

²⁾ Tak do niedawna jeszcze starzy górale mówili zawsze o doktorze Chałubińskim.

Juz nie wrócem, coby mie ta
Jako fcom bili,
Ino se tu troske dyhne,
Chojby po kwili...

Kie se ino siad, tak zamarz,
A wte spad śnizek,
I powieźli go tam z tela
Na Pęksów Brzyzek.

Michał Pawlikowski.

STARY KOŚCIÓŁ W ZAKOPANEM.



Fot. J. Abramowicz.

Z lat dawnych.

Redakcja „Wierchów“ umyśliła pod powyższym tytułem wprowadzić do pisma nową rubrykę, poświęconą dawnym opisom naszych gór i góralszczyzny. Opisy takie mają z jednej strony wartość historyczną, dając wiadomości o sprawach do przeszłości już należących, z drugiej rzucają światło na rozwój duchowego stosunku człowieka do gór. Wydobywać więc będziemy dawne druki, dziś trudno dostępne a może uda nam się pozyskać i nowe źródła rękopiśmienne. Do naszych czytelników zwracamy się w tym względzie o pomoc i współpracę. Prosimy o zwracanie naszej uwagi na rzadkie druki, a co byłoby najważniejsze, o przesyłanie nam rękopisów nie wydanych, i to bynajmniej nie koniecznie utworów literackich do druku przeznaczonych, ale także korespondencji prywatnej, zapisek pamiątkowych, *silva rerum* i t. p., o ile zawierają wiadomości o górach lub góralszczyźnie. Niemniej pożądany byłby materiał ilustracyjny, obrazy, szkice i t. p. Dostarczony nam w ten sposób materiał zwracać będziemy po użyciu z największą skrupulatnością.

Opis Morskiego Oka i doliny Pięciu Stawów z roku 1839.

W numerze 1-szym VI-go rocznika z roku 1839, wydawanego w Lesznie tygodnika „Przyjaciel Ludu“, znajduje się artykuł niewiadomego autora p. t. „Morskie Oko (Z Galicji w obrazach)“; — w numerze 2-gim pomieszczono ciąg dalszy. W każdym z tych numerów mieści się również rycina; pierwsza przedstawia „Drogę do Morskiego Oka“, druga „Morskie Oko w Tatrach w obwodzie sandeckim“. Rysunki te wykonane są zupełnie niedołącznie i nie dają żadnego wyobrażenia o przedstawionej okolicy. Tekst zawiera natomiast (pomijając różne błędy) niektóre rzeczy ciekawe. Podajemy go z opuszczeniem ustępów mniej interesujących.

„W dolinach w pośród wysokiego grzbietu głównych Karpat (Tatrów) leżą tak na północnej, jak na południowej stronie tychże, począwszy od tak zwanych Koperszczadów (Kupferschächte) aż do góry Rohacs, jeziora górskie,

od mieszkańców tamtejszych, także plessami, lub morskimi oczami zwane, w wysokości 4000 do 6000 st. Krąży o nich dotąd między gminem podanie, że z morzem w podziemnym związku stoją będąc niejako oczami morza w łądzie stałym — i że się także burzą skoro tylko fale morskie srogą nawałnością miotane bywają; miano nawet w tych jeziorach znachodźić to szczątki dużego okrętu, to inne do żeglugi potrzebne sprzęty“.

Po tym wstępie podaje autor obszerny wywód swoich poglądów na powstanie jezior tatrzańskich — co tutaj pomijamy — poczem przechodzi do opisu Morskiego Oka.

„Morskie oko, od pogranicznych Węgrów zwykle wielkiem lub polskiem rybiem jeziorem zwane, leży na granicy krainy kozio-drzewiny i lasów, to jest na wysokości 4200 stóp a podług wymiaru w oddaleniu 8800 sążni lub koło $2\frac{1}{2}$ mili od domu leśniczego, we wsi Bukowinie i 4000 sążni lub mili od wyjścia Białki z gór wysokich. Jest ono największe pomiędzy jeziorami głównych części Karpat. O obszerności takowego nie raz przesadzone udzielano wiadomości, miara powierzchni wynosi bowiem 56 morgów 411 sążni kwadratowych, mając w okręgu blisko 4200 stóp, szerokie jest 500 stóp, przeszło 1600 stóp długie i na południowo-wschodniej stronie, gdzie najgłębsze, 32 sążni czyli 192 stóp wiedeńskich głębokie. Tworzy ono prawie całkiem regularnie podługowatą okrągłość z doskonale gładkiem zwierciadłem, jednakże stojącemu na północnym brzegu takowego, wydaje się być okrągłem. Chcąc obejść całe jezioro potrzeba dwóch godzin, ponieważ gruzy i skały pochod bardzo utrudzają, aczkolwiek cały obwód niespełna pół mili wynosi.

Południową stronę jeziora rybiego czyli morskiego oka otaczają nagie od 2000 do 3000 stóp wysokie, prawie prostopadłe góry granitowe, perłowo szarej barwy, u których stóp jeszcze w sierpniu rozległe pola śnieżne (żleby) się rozszerzają. Góry te najeżone są kończystymi szczytami i od północno-wschodniej strony przypierają do góry zwanej Wysoka. Pomiędzy wszystkimi temi cudownie pięknymi i malowniczymi górami, wyszczególnia się mianowicie wierzchołek Mnich zwany, leżący na południowo-wschodniej stronie jeziora swoim do ludzkiej postaci podobnym kształtem, swym ostrym, ku wschodowi nieco zakrzywionym szczytem i swą prawie prostopadłą aż do płaszczyzny wodnej pochyłością, która w nas budzi zadziwienie, chociaż góra ta wysokością swoją ledwie do dwóch trzecich części innych sięgać się zdaje. Od strony południowej można jednakowoż dojść aż do wierzchołka, z kąd się nie do opisanie cudny widok odkrywa.

Od wschodniej strony wznoszą się skały wapienne, a od zachodu wysokie góry granitowe, perłowo-szarej, nieco w zieloną wpadające barwy, prawie bezpośrednio z jeziora, jednakże nie tak bystro, jak wieże strony połu-

dniowej. W wielu miejscach spada na dół woda z niezmiernej wysokości, w niezliczonych wodospadach i ginie w jeziorze. Kończyste wierzchołki tych skał porozdzielane są głębokimi parowami, lub wążkami grzbietami z sobą połączone w najrozliczniejszych kształtach. Skały koło jeziora prawie całkiem są nagie, tylko tu i ówdzie rosną w niektórych szczelinach i rozpadlinach, także na granicy pól śnieżnych, rzadkie rośliny górskie, pomiędzy temi: łomikamień syberyjski (*Saxifraga sibirica Walbgh*), porosty i mchy, ucierpiały one jawnie przez spowietrzenie i nabyły przetoż mniej więcej białawo-szarej lub białawo-zielonej barwy; świecące kryształy kwarcowe dodają przy świetle słoneczném więcej blasku ścianom granitowym. U stóp skał ścielą się kopce rumowisk, sięgające aż do $\frac{1}{4}$ części ich wysokości, tu i ówdzie kozio-drzewiną porośle.

Ku północnej stronie jeziora ciągnie się na poprzek przez dolinę wążki wał zawalonej góry, wznoszący się blisko 60 do 80 stóp ponad powierzchnię wody. Przez środek takowego, utworowało sobie ujście jezioro, podzieliwszy go na dwie prawie równe części. Ujście to daje życie Białce, rzece, która od początku aż do połączenia swego z Dunajcem, tworzy granicę między Galicyą a spiżską stolicą (*sic!* przyp. kopisty). Od północnej strony morskiego oka rosną bujnie borówki, paprocie i t. p. na tym wale jednakże mało kozio-drzewiny i sosien, pomiędzy którymi jednakowoż coraz rzadsze się stające drzewo limbowe (*Pinus cembra*).

Woda ma koło brzegów jasno-zieloną barwę, w niektórych jednakże miejscach tak na krajach, jako też w środku morskiego oka, wpada ona w ciemno-zieloną i czarniawą, co oznaczać może bagniste, lub rośliną *Conferca fontinalis* porośle miejsca. Przytem woda niezmiernie jest czystą, a w czasie ciszy, jeżeli się góry w swych cudnych kształtach mocno odbijają na gładkiej powierzchni, po której na bezpiecznej w pogotowiu stojącej tratwie płynąć można, widać jeszcze bardzo wyraźnie w głębokości 8 do 10 stóp, każdy kamień na spodzie jeziora i ryby w głębiny pływające. Podczas gdy dnia 14 sierpnia r. b. o drugiej godzinie w południe temperatura powietrza $+18,3^{\circ}$ pokazywała, miała woda $+8,3^{\circ}$ R.

Pstrągi (*Salmo taticus*, Jarosz. nowy gatunek) żyjące w jeziorze rybiem, które podczas pięknych wieczorów przy ujściu najczęściej przebywają, są nader chude dla braku dostatecznego pożywienia, gdyż woda morskiego oka mało śladów żyjących w niej robaków i owadów pokazuje, wszelakoż pstrągi te ułowione i w niższej Białce utuczone mają być wyśmienite.

Na zachód koło upływu stoi na północnym poprzecznym wale krzyż wystawiony przez Grzegorza Tomasza Zieglera, biskupa linckiego (dawniej tarnowskiego) z napisem: „Hic non plus ultra, non supra nisi in cruce D. N. J.

Christi 1823“, Od krzyża otwiera się precudny widok na całe to skaliste półkole, sprawia to największą roskosz patrzeć na niezmierną, wnet cicho stojącą, wnet słabo, wnet mocno poruszoną płaszczyznę wody, na rozliczne kształty gór i szczytów, i widzieć zmianę barw, gdy pojedyncze prędko przesuwające się chmury cień i światło rozmaicie dzielą, mocno cieniują, lub malowniczego nadają uroku.

Cisza uroczysta w tej wielkiej wspaniałej kotlinie, przerywana jedynie szumem strumienia, wiele do wzbudzenia wzniosłych uczuć się przyczynia. Nieme skały zdają się być światem obfitującym w poważne znaki dawnej przeszłości, a pomimo tego, że się tak niemo i bez życia wznoszą, zdają się posiadać ducha i życie. I w rzeczy samej, skoro tylko zdołamy rozwiązać tajemnicę, która hamuje ich język, staną się one dla nas wymownymi dziejami, świadczącymi o potędze twórczych sił pierwotnych, i niszczącej doczesności. Zaraz pod krzyżem kazał pan Homolacsch, właściciel tej okolicy, na brzegu morskiego oka barakę z stołami i ławami, tratwę do opłynienia płaszczyzny wodnej, również pomnik z lanego żelaza Jego Excel. hrabiemu L. de Taaffe, niegdyś gubernatorowi Galicyi, wystawić. Płynąc przez obszerną płaszczyznę wody ku południowo-wschodniej stronie na tratwie, za pomocą wiosł pędzonej, ciesząc się przy tem szczególniejszym często powtarzanym odgłosem wystrzału z strzelby, lub lepiej jeszcze z mozdzierza, przybywamy w przeciągu pół godziny do ujścia i pięknego wodospadu czarnego stawu.

Czarny staw, od niektórych autorów opisujących główną część Karpat, wyłącznie morskiem okiem zwany — leży w północno-wschodnim kącie dużego jeziora rybiego, blisko o 1000 stóp wyżej jeszcze od takowego. Dostawszy się na grzbiet ściany granitowej, rumowiskiem i potężnymi złomami kamiennymi zasłanej, do czego wyszedłszy od brzegu morskiego oka, pół godziny czasu potrzeba, widać z tamtej strony u stóp góry daleko wyżej ponad okolicę kozio-drzewiny, czarny staw, którego powierzchnia 37 morgów i 1481 sążni kwadratowych obejmuje.

Z trzech stron, zewsząd nieprzebytymi skałami ostrokągowego kształtu otoczony ma on postać kotliny, której największy przemiernik z północnego zachodu na wschód południowy leży. Nie można go obejść, albowiem ostre ściany granitowe bezpośrednio z wód jego wystają, z jednej tylko strony, na którą się wchodzi i z kąd woda jego spada, znajduje się brzeg dostępny; tam to zwykle się odpoczywa, aby się nasycić cudnie zajmującym wrażeniem, jakie ten obraz robi. Głębokość jeziora tego dotąd jeszcze nie jest znaną, wszelakoż domyślają się, iż głębsze jest, niż jezioro morskie; woda jego wydaje się zachwyconemu i mocno tym widokiem zajętemu przychodniowi czarna, dlatego też jezioro to nazwę czarnego stawu otrzymało.

Otoczające szczyty granitowe, perłowo-szarej barwy, do których ku północy wapień alpejski przytyka, wznoszą się z płaszczyzny wodnej tego jeziora, jeszcze blisko do wysokości 2000 stóp. Kilka parowów, czyli rozpadlin, odwiecznym śniegiem wypełnionych sięga od głównego grzbietu góry, aż do płaszczyzny wodnej, żywiąc obficie jezioro i zdobiąc wspaniały widok tej okropnopięknej skalistej kotliny. Do czarnego stawu idzie się zwykle po prawej ręce koło morskiego oka, do czego dobrej godziny potrzeba, droga prowadzi przez rumowiska i gruzы granitowe koło pól śnieżnych, gdzie rosną: *Gentiana glacialis*, *verna*, *utriculosa* i *punctata*, *Silene acaulis*, *Dianthus alpinus*, *Ranunculus alpinus*, *Saxifraga androsacea*, *sibirica* i *ajugaefolia*, *Geum repens*, *Androsace lactea*, *Myosotis alpina*, ciemno-niebieska alpejska niezabudka, wpadająca pewnie w oczy każdego podróżnika piękną swą barwą. *Uvularia amplexifolia*, *Viola biflora*, potem wyżej na prawo koło mnicha, *Doronicum scarpoides*, kozi korzeń, o którym tamtejsi mieszkańcy mówią, że pożywającemu takowy, udziela szczególniejszych sił do drapania się po górach i że od zawrotu i z mordowania się strzeże; oraz gdzie się wiele innych średnio-alpejskich roślin znajduje. Nazad idzie się zwykle po lewej stronie, do czego również tyleż czasu potrzeba, lecz za to pokazuje się ztamtąd w całej swej piękności drugi szereg skał z mnichem i spadającą w dół wodą. Wieczorem prędko się tu chłodno robi, albowiem już o piątej godzinie znika słońce, a ciepło rozpraszać się zaczyna, skoro tylko cienie w dolinach osiadają“.

W dalszym ciągu opisuje autor drogę do Morskiego Oka a właściwie dolinę Białki poczynając od góry. Oto parę szczegółów z tego opisu. Opalony, tak nazwany z powodu pożaru leśnego, i leżące naprzeciw po prawej stronie rzeki Białki Siedem Granatów, składają się wedle autora „z niebiesko-szarego wapienia alpejskiego“, co rzekomo zaraz widać po silniejszym zwietrzeniu. Dolina zarosła jest „lasami sosnowemi“; należy przypuszczać, że autor pochodzi z okolicy Polski gdzie nazwy sosna używa się albo na określenie świerka albo drzewa szpilkowego wogóle. O lasach tych powiedziano, że „przez nieporządne wycinanie i od złomów wiatrowych wiele ucierpiały“. Na Łysej znajduje się baczówka, gdzie podróżni zwyczajnie odpoczywają, jest to bowiem ostatnia siedziba ludzka w drodze do Morskiego Oka. Gdy idąc w dół doliny przejdzie się za ostatni strumień wpadający po lewej stronie do Białki: „występuje Czerwona Skałka, góra wapienna czerwonej barwy, od zwietrzenia już bardzo nadpsuta, z której południowej ściany przed kilku laty część odpadła w poprzek na dolinę, jakgdyby ją zamknąć chciała. Między nią a Białką ledwie tylko dla drogi do Morskiego Oka wiodącej, miejsce pozostało. Drogę tę założono dopiero roku 1811, a później tak ją rozszerzono,

iż po takowej wążkiemi, lecz bardzo mocnemi wózkami chłopskimi jeździć można“.

„Na drodze do morskiego oka zwiedza się jeszcze wprzody zwykle dolinę pięciu stawów z najwspanialszym i najładniejszym wodospadem w całym głównym pasmie Karpat. Droga prowadzi od ujścia strumienia Rostoki do Białki, wnet do góry, wnet na dół przez lasem porośłe rumowiska i złomy wiatrowe. Po trzech-godzinnej drodze ukazuje się już z daleka pyszny widok tego cudnie pięknego wodospadu. Anglik Browne z Trynity Colledge w Cambridge zwiedzając go w roku 1825 po odbytej podróży prawie przez całą Europę i znaczną część Azji, powiedział o tym wodospadzie, że: „mógłby się liczyć do najznakomitszych w świecie, gdyby był prostopadlejszym“. Woda rzuca się tutaj z wysokości blisko 160 stóp przez skały na dół; lecz wśród swego spadu dzieli się na dwie części, co wprawdzie nie sprawia całego skutku, lecz za to tym bardziej zachwyca. Woda ta zbiera się z ujścia pięciu stawów i z topniałego śniegu wyższych okolic: wszelakoż pomimo tego jest czystą i przy swej niskiej temperaturze bardzo orzeźwiającą.

Trudno jest zaiste oderwać się od tak wspaniałego widoku, możnaby tu bez unudzenia całe dnie z upodobaniem przysłuchiwać się dzikim szumiącym dźwiękom tych bałwanów wodnych. Ztąd do 5 stawów jeszcze blisko 2 godzin drogi potrzeba. Dolina takowych, leżąca naprzeciw doliny Tychy, przedstawia okropną puszcze, zapełnioną znakami zniszczenia i rumowisk. Leży ona nierównie wyżej, niż dolina czarnego stawu, dlatego też góry tworząc takową, nie wznoszą się już tak wysoko ponad płaszczyznę doliny, jak szczyty koło czarnego stawu. Do głównego grzbietu od północnej strony, okrytego aż do połowy swej wysokości pokładem wapienia, przypierają nowe masy wapienne, pospolicie tamże górami rybiego jeziora zwane, są one podług naszego podziału głównych Karpat, częścią Tatrów. Cała kotlina doliny pięciu stawów bardzo mało śladów roślinności pokazuje, gdy zaś przeciwnie dolina Tychy, najbujniejszą okryta jest wegetacją.

Zdaje się, iż niektóre kawały skał głównego grzbietu i zachodnich gór wapiennych wyższej kotliny, niedawno dopiero się oderwały; można to łatwo wnioskować z dużych kawałów skalistych, na spadzistościach w takiej ilości nagromadzonych, iż małego tylko pchnięcia od burzy albo bałwanów wodnych potrzebują, aby powpadać do jeziora. Miejscami po pod rumowiska i w rozpadlinach ciągną się od wierzchołków góry aż na dół smugi śniegu, rozszerzające ostre zimowe powietrze.

Cztery wyższe jeziora, leżące w małej odległości od siebie na niezbyt wysokich stopniach, daleko są mniejsze i szerokimi brzegami z gruzów oto-

czone, które na domysł wiodą, że kotliny wodne niegdyś daleko większą miały objętość i że takowe jedynie utworzyły dla jezior dzisiejsze przedziały.

Najwyższe jezioro leży pod głównym grzbietem, jest najmniejsze, prawie całkiem okrągłe, i w lipcu jeszcze lodem pokryte, dlatego go też Zamarzły, lub do zamarzłego zowią.

Drugie, formy owalnej, mało co jest większe od pierwszego.

Trzecie, formy podługowatej, prawie jednakiej szerokości co drugie, jednakże znacznie dłuższe.

Czwarte znowu większe od poprzedzających, jest pociągniętego nierównego kształtu.

Wszystkie te jeziora, z których trzy pierwsze mniej wyższe od drugiego mają położenie, wypuszczając wodę przez wały skaliste i rumowate, oddzielające jedno jezioro od drugiego, tworzą małe wodospady, które wogóle mało w wodę obfitują.

Piąte jezioro wreszcie znacznej jest wielkości, obejmując 40 morgów i 80 sążni kwadratowych, podługowato-okrągłe i leży daleko niżej od drugich. Od północno-wschodniej strony zamyka go gruzami pokryta skalista ściana, przez którą woda, uchodząca 10 do 12 stóp szeroka, najładniejszy wodospad tworzy. Dopiero wokoło i pod tym wodospadem zaczyna się okolica kozio-drzewiny (*Pinus Mugnus* lub *Pumilio*).

Pasterze z szałasów koło trzeciego stawu, wnoszą dla posiłku znużonego wędrowca, który się drapie po tych tu górach, świeżą zentycę w małych czyściutkich czerpakach. Przebywają oni tamże z swemi owcami, kozami i rogacizną, od połowy miesiąca czerwca aż do końca sierpnia, robiąc ulubiony ser górski. Między nimi można jeszcze znaleźć ślady ustaw patryarchalnych, stoją oni pod władzą najstarszego i posiadają różne stopnie w znaczeniu. Juhas, czyli pasterz bydła, bardziej jest poważanym, niżeli pasterze owiec lub kóz; ma on także szczególne prawo nosić koszulę, całkiem w tłuści maczaną i czarno wyglądającą, co go od gadów strzeże. I tak nawet na takich wysokościach panuje jeszcze chciwość sławy! Są oni z resztą bardzo zręczni, skaczą jak kozy przez skały i lubią muzykę. A ponieważ bardzo proste ich życie, więc też ciało dochodzi rzadkiej wysokości; są oni najgościnniejszymi i nie piją mocnych trunków, póki tylko z swemi trzodami na górach bawią; w innej porze roku bardzo miernie upajających używają napojów; wielu z nich nie widziawszy miasta za życia, umiera. Echo tutaj, równie jak wszędzie dalej pomiędzy massami granitu i wapienia, trwa dłużej, sprawiając często powtarzający się huk, do grzmotu podobny. Droga ztąd do morskiego oka, do którego jeszcze blisko trzy godziny iść potrzeba, prowadzi przez górę Kopa zwaną; jest ona wprawdzie utrudzającą, lecz nader

zajmującą. Przecudny widok przedstawia się nam ze szczytu Kopy. Oko niczem nie wstrzymane sięga głęboko w Węgry; pokazuje mu się mnóstwo miast i wiosek spizkich, a z niewypowiedzianem uczuciem widzimy się z tej wysokości (6000 stóp) w blizkiem sąsiedztwie olbrzymiego Krywania, Kreolewskiego nosa, szczytu Lodowej doliny, Łomnickiego i t. d. gdy niższe góry zdają się spoczywać pod nogami widza“.

Na zakończenie podaje autor informacje, w jaki sposób dostać się można z Nowego Sącza do Morskiego Oka, — a więc pierwszego dnia na Łącko i Krościenko do Maniowy gdzie się nocuje. Drugiego dnia jedzie się na nocleg do Bukowiny albo przez Harklową i Uj-Belę albo przez Nowy Targ i Poronin, która to ostatnia droga jest dalsza ale lepsza. W Bukowinie znajduje się nowy dom zajezdny, gdzie „wygodnie pomieścić się można, wieczór zaś spędzić na przeglądaniu ciekawej książki, w której podróźni imiona swe zapisują“.

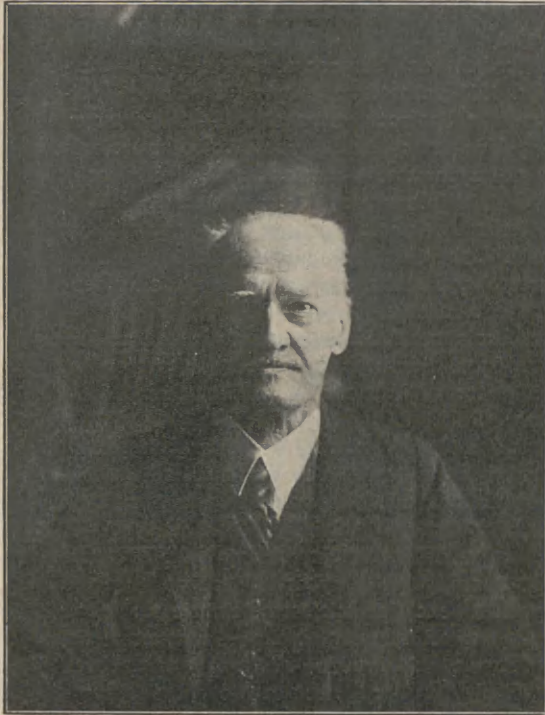


Wierchy r. 1928 do str. 127.

Fot. H. Gąsiorowski

WĄWÓZ „KRAKÓW“ W DOLNIE KOŚCIELISKIEJ

Ś. p. Władysław Szajnocha.



Prezesa ś. p. prof. dr. Władysława Szajnochy była dla Towarzystwa Tatrzańkiego epokową. Przyniosła ona Towarzystwu konsolidację, odrodzenie i podniesienie poziomu działalności do nieosiągniętej dotąd wyżyny.

Wybrany w r. 1904 do Wydziału Towarzystwa zajął w niem ś. p. Szajnocha odrazu stanowisko wybitne. Przy najbliższych wyborach do prezydium, w maju 1906 r., otrzymał godność I-go wiceprezesa, którą piastował aż do ustąpienia z prezesury hr. Antoniego Wodzickiego w marcu 1912 r., poczem wybrany jednomyślnie prezesem, pozostał na tem stanowisku przez pełnych lat dziesięć, t. j. do roku 1922. Faktyczne kierownictwo spraw Towarzystwa spoczywało jednak w rękach Szajnochy już od r. 1906, gdyż ówczesny prezes hr. Antoni Wodzicki bardzo niewiele czasu mógł poświęcać obowiązkowi prezesa, a cały ciężar pracy i odpowiedzialność za losy Towarzystwa włożył na barki wiceprezesa. Tak więc był Szajnocha przez pełnych lat sześćnaście włodarem Towarzystwa. Okres ten jest też punktem kulminacyjnym

rozwoju Tow. T. w jego dawnej, przedwojennej postaci. Rzecz można, że ten właśnie okres żmudnej i owocnej pracy Szajnochy stał się ideowym i gospodarczym fundamentem obecnego, tak świetnego rozrostu Towarzystwa.

Jako zapobiegliwy administrator zwrócił Szajnocha zaraz od początku uwagę swoją na potrzebę uporządkowania wewnętrznego systemu pracy w Towarzystwie i konieczność ujęcia w karby jego strony gospodarczo-finansowej. Uporządkowanie biura Towarzystwa w Krakowie, z nagromadzonemi w niem stosami aktów i usprawnienie wewnętrznej administracji, dalej stworzenie ścisłego systemu budżetowego i konsekwentne,

bezwzględne przestrzeganie równowagi budżetowej, oto jego największe — jakkolwiek na zewnątrz może mało widoczne — zasługi.

Jednym z najważniejszych dzieł, które podjął Szajnocha po objęciu prezesury i już we dwa lata, t. j. w roku 1908, do skutku doprowadził, była budowa nowego schroniska nad Morskim Okiem. Jeżeli się zważy, że budżet tego przedsięwzięcia wynosił 80.000 koron, sumę jak na ówczesne zasoby Towarzystwa wprost kolosalna, a sama techniczna strona budowy przedstawiała ze względu na ciężką jeszcze wówczas komunikację Morskiego Oka z Zakopanem wielkie trudności, to z podziwem patrzeć musimy na żelazną wytrzymałość, z jaką Szajnocha dzieła tego w tak krótkim stosunkowo czasie dokonał. Osobistym jego zabiegiem w Sejmie zawdzięcza Towarzystwo objęcie przez Krajowy Fundusz galicyjski obowiązku spłacania rat annuitetowych od pożyczki 40.000 kor., udzielonej na tę budowę przez Kasę Oszczędności miasta Krakowa, bez czego Towarzystwo nie mogłoby wówczas ani marzyć o takim przedsięwzięciu.

Drugim dziełem, którego inicjatywę i projekt dał Szajnocha, była budowa wielkiego schroniska na Hali Gąsienicowej. W r. 1913 przygotowane były już plany i finansowy plan pokrycia kosztów tej budowy, zaś ś. p. Szajnocha uzyskał był — dzięki znowu osobistym swoim zabiegom — zgodę rodziny Uznańskich, którzy początkowo zezwolenia na budowę dać nie chcieli. Niestety wojna pokrzyżowała te zamiary, a myśl Szajnochy podjął i uskutecznił w dziesięć lat później Oddział Warszawski Towarzystwa.

Wybitną zasługą prezesa było podniesienie wydawnictwa Towarzystwa, jakim był „Pamiętnik“, na wyższy stopień doskonałości. Doborem artykułów oraz stroną ilustracyjną dorównywał „Pamiętnik“ z czasów prezesury Szajnochy wydawanym w daleko lepszych warunkach publikacjom zagranicznym tego rodzaju.

Wiele uwagi i starań poświęcał prezes Szajnocha Oddziałom, a w przekonaniu, że poza Tatrami należy i inne nasze góry utworzyć dla ruchu turystycznego, szczególną sympatią otaczał jedyny wówczas na terenie Karpat Wschodnich Oddział czarnohorski w Kołomyi, kierowany przez ś. p. Hofbauera.

Za prezesury Szajnochy i przy jego współdziałaniu powstaje w Towarzystwie cały szereg placówek roboczych, które życie Towarzystwa czynią intensywniejszem i wszechstronniejszem. I tak w roku 1907 powstaje w Zakopanem Zakopiański Oddział Narciarzy, zamieniony później na Sekcję narciarską, zaś w latach 1910 i 1911 dwie inne sekcje: przyrodnicza i ludoznawcza. Wreszcie powstaje w r. 1912 Sekcja ochrony Tatr. Z Sekcją tą zmuszony był Szajnocha zaraz w r. 1913 stoczyć walkę o wybór miejsca pod budowę schroniska nad Czarnym Stawem; zapatrywanie Sekcji, że miejscem tem nie może być morena zamykająca staw — a to ze względu na ochronę krajobrazu — utrzymało się, a ś. p. Szajnocha, który początkowo innego był zdania, poddał się mu w zupełności, uznając lojalnie wysokie motywy, które kierowały tem zapatrywaniem Sekcji. Oto przykład, jak wysokiej miary człowiekiem był Szajnocha.

Do zasług Jego zaliczyć należy również przyczynienie się do powstania obecnego gmachu Muzeum Tatrzańskiego im. Chałubińskiego. Kiedy bowiem trudno było znaleźć w Zakopanem odpowiednie miejsce, Szajnocha z ochotą zgodził się na propozycję przewodniczącej Komitetu budowy dr. Dłuskiej, ażeby bratnia instytucja powstała na gruntach T. T., tuż obok dworca tatrzańskiego; w tym celu przeprowadził też w roku 1913 uchwałę Walnego Zgromadzenia, zezwalającą na sprzedaż gruntu Towarzystwa pod budowę Muzeum, za cenę, która równała się prawie darowiźnie.

Za prezesury Szajnochy obchodziło T. T. w r. 1913 jubileusz swojego czterdziestolecia. Jeżeli jubileusz ten wypadł wówczas imponująco, jeżeli stał się nie tylko bilansem

przeszłości, ale znakomitym zadatkiem na przyszłość, to zasługa w tem przedewszystkiem prezesa Szajnochy. Obchód uroczystości, przygotowany przez niego do najdrobniejszych szczegółów, odbył się w murach Wszechnicy Jagiellońskiej i był niezapomnianym dniem święta tatarnictwa polskiego.

Jako przewodniczący posiadał Szajnocha dwa przymioty niezmiernie cenne: umiejętność jednania sobie współpracowników i lojalność wobec uchwał kolegalnych, którym zawsze się poddawał. Kolegalność uchwał była dla niego pierwszą i nienaruszalną zasadą dobrych rządów, a przebijająca się w każdym jego słowie i czynie troska o dobro Towarzystwa — troska wolna od osobistych ambicji czy uprzedzeń — jednała mu serca tych, którym dane było z nim pracować. Wytworzona w tych warunkach w łonie Wydziału Towarzystwa niezwykła harmonja współpracy, tak ściśle łączyła wszystkich członków Zarządu z osobą prezesa, że gdy w r. 1921 zażądał on, ażeby zdjęto z niego ciężar obowiązków i pozwolono mu ostatnie lata życia poświęcić ukochanej pracy naukowej, żądanie to spotkało się z jednomyślnym protestem i odmową. Wkrótce jednak przekonał się Wydział, że życzenie prezesa było nieodwołalne i z ciężkiem sercem przyjąć musiał w roku 1922 jego rezygnację. Równocześnie Walne Zgromadzenie nadało mu godność członka honorowego.

Odtąd widywaliśmy ś. p. Szajnochę wśród siebie tylko w uroczystych dla Towarzystwa chwilach, ostatnio w czasie zjazdu Związku Słowiańskich Towarzystw Turystycznych, odbytego w Krakowie jesienią roku 1927.

Oddany prawie do ostatnich chwil życia pracy naukowej na terenie Śląska cieszyńskiego, zakończył tam dnia 1 sierpnia 1928 roku w Jaworzu pracowity i owocny żywot. Zgodnie z ostatniem życzeniem złożyliśmy Jego śmiertelne szczątki w tej ziemiicy śląskiej, którą za życia tak ukochał, a która przez usta swoich reprezentantów przyjęła je najserdeczniej w tę ostatnią gościńę, przyrzekając otaczać czcią mogiłę męża Ojczyźnie dobrze zasłużonego.

Adam Lardemer.

W toku prac nad utworzeniem pogranicznych Parków Narodowych.

W mem zesłorocznem sprawozdaniu z akcji pogranicznych Parków Narodowych, ogłoszonem, jak corocznie w „Wierchach“, zanotowałem szereg poważnych trudności, które mieliśmy do pokonania w naszych pracach. Mimo wszystko jednak ożywiła nas, pracowników na polu ochrony przyrody, wiara w powodzenie, oparta na przekonaniu o głębokiej i niespożytej wartości idei, dla której pracujemy.

Wiara ta, którą wielokrotnie nazywa się naiwnym optymizmem, okazała się uzasadnioną. Rok ubiegły przyniósł w nieustannem falowaniu wydarzeń, jaką jest każda akcja bojowa, silny przypływ. Odnieśliśmy więcej powodzeń, jak klęsk. Tych drugich jest jednak także dość, aby wystrzegać się od wpadania w zbytnią radość zwycięstwa.

W działalności naszej znaczny wysiłek poświęciliśmy w dalszym ciągu pracy na Podhalu. Walczymy tu z rozmaitemi odmianami owej lokalnej polityki, czy też raczej politykierji, która dla swych małych interesów szczuła i szczuje przeciwko idei Parku Narodowego Tatrzańskiego ludność góralską, wojując pod fałszywem hasłem obrony interesów tej ludności przed Parkiem Narodowym. Wymowa faktów, dojście do głosu ludzi spokojnych i rzeczowych, a miłujących prawdziwie Tatry i Podhale, mamy nadzieję, wpłynie zwolna na ludność miejscową, że przestanie się lękać zamknięcia Tatr przed

ludźmi płotem kolczastym i wypędzenia górali z hal, co według agitacji niesumiennej jest odstępem ma ze sobą przynieść Park Narodowy Tatrzański.

Wyrazem dążenia w tym kierunku były kilkakrotne enuncjacje i zebrania na terenie Podhala w ciągu roku bieżącego

Jednym z najważniejszych kroków takich było zebranie regionalne Wojewódzkiego Komitetu Posłów Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, najliczniejszego obecnie klubu poselskiego w Sejmie, które odbyło się w Zakopanem dnia 8 lipca 1928 r. Na zebraniu tem, odbytem pod przewodnictwem posła B. Pochmarskiego, po bardzo ciekawym i nacechowanym głębią myśli referacie posła podhalańskiego F. Gwiżdża o ogólnych potrzebach Podhala, przedstawiłem zebrany zasadę organizacji Parku Narodowego w Tatrach, wyjaśniając bezpodstawność wszelkich obaw, jakoby utworzenie Parku miało być połączone z krzywdą ludności miejscowej. Następnego dnia odbyliśmy przy licznych udziałach pp. posłów, wójtów gmin podtatrzańskich oraz najpoważniejszych działaczy miejscowych wycieczkę do Morskiego Oka, na której przedstawiłem całe zagadnienie Parku Narodowego w terenie na przykładach krajobrazu martwego i żywego. W wyniku tych prac uzyskaliśmy od pp. posłów przyrzeczenie zajęcia się sprawą Parku Tatrzańskiego, a z ust licznych przedstawicieli ludności miejscowej, a przede wszystkim b. posła Wojciecha Roja i wójta gminy Murzasichle Łukaszczyka, którzy wygłosili piękne przemówienia w schronisku przy Morskim Oku, postępowaliśmy z zapewnieniem, że ludność góralska nie będzie się sprzeciwiała utworzeniu Parku Narodowego, jeżeli tylko jej interesy nie będą na szwank narażone.

Dalszym krokiem w tej akcji było zebranie współwłaścicieli hal, zwołane przez Związek Podhalańców w Nowym Targu w dniu 19 sierpnia 1928 r. Na zebraniu tem, odbytem pod przewodnictwem wójta J. Staszla z Maruszyny, pojawili się przedstawiciele właścicieli hal od wschodniego po zachodni kraniec Tatr Polskich. Po słowie wstępnym zasłużonego prezesa Związku Podhalańców dyr. J. Zachemskiego, ujmującym w sposób znakomity całokształt zagadnienia, miałem znowu sposobność przedstawić sprawę Parku Narodowego Tatrzańskiego i związanych z nią interesów ludności góralskiej. W długiej i ożywionej dyskusji trwającej przez szereg godzin przedstawili współwłaściciele hal swe postulaty. Poważny i wysoki ton zebrania, atmosfera miła a nawet serdeczna, którą wyczuwało się na sali, stanowiły dowód, że można w tej trudnej sprawie osiągnąć całkowite uzgodnienie poglądów, co też słusznie podniosła „Gazeta Podhalańska“.

I niewątpliwie akcja ta przyniosłaby dalsze pozytywne wyniki, gdyby nie wypadek, który zbiegiem okoliczności zamącił zarysowujące się porozumienie i wzburzył ludność góralską. Ażeby ten wypadek zrozumieć, należy cofnąć się wstecz i przypomnieć przebieg sprawy zbudowanego nielegalnie na Hali Królowej Wyżniej (Karczmiska) schroniska.

W r. 1926 zamierzył gazda Stanisław Król Wojciaszek przystąpić do budowy schroniska turystycznego przy ścieżce na Halę Gąsienicową tuż na południe od miejsca, gdzie ścieżka ta opuszcza się z Karczmiska w dół ku Hali Gąsienicowej. Ponieważ okolica ta należy do t. zw. rejonu ochrony sanitarnej, zwołano na podstawie ustawy uzdrowiskowej komisję, celem orzeczenia, czy miejsce to nadaje się na budowę schroniska. Komisja ta, a w niej przedstawiciele komisji klimatycznej, Sekcji Ochrony Tatr, działającej z ramienia Państwowej Rady Ochrony Przyrody, oraz Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego wypowiedziały się przeciw zamierzonej budowie schroniska, a to ze względów turystycznych (istnienie o kilkaset kroków opodal 3 schronisk na Hali Gąsienicowej), budowlanych (niemożność dopuszczenia do beładnego zabudowywania okolicy Hali Gąsienicowej) oraz ochrony przyrody (wybrane miejsce na schronisko szpeciło najpiękniejszą partję

Hali Królowej i niszczyło najwspanialszy widok na grupę Tatr Polskich). Temu orzeczeniu Król Wojciaszek się nie poddał i uzyskawszy nieprawne pozwolenie wójta gminy Murzasichle na budowę, budowę schroniska rozpoczął. Wielokrotne zakazy starostwa nowotarskiego nie pomagały. Wysyłani przez starostwo policjanci mogli wstrzymać budowę tylko na czas jakiś, nie mogąc stale dyżurować na odległym, w górach położonym miejscu, nawet nie pomagało konfiskowanie narzędzi do budowy, gdyż narzędzia te pojawiały się na nowo, materiał do budowy chowano w kosodrzewinach, budowano w nocy i t. d. — jednym słowem budowa ta stała się prawdziwym symbolem anarchji budowlanej, która rozpanoszyła się w Zakopanem, przynosząc niepowetowane szkody dla prawdziwego rozwoju letniska. Ten stan rzeczy trwał przez cały rok 1927, aż wreszcie przy akompaniamencie nieustannych zakazów władz budowa została doprowadzoną pod dach, a z wiosną r. 1928 rozpoczął Król Wojciaszek w schronisku, zbudowanym nielegalnie, wbrew zakazom władz oraz bez koncesji noclegowej i szynkarskiej, noclegowanie i wyżywianie turystów, którzy zresztą wobec istnienia pobliskich i lepiej położonych schronisk na Hali Gąsienicowej ze schroniska na Hali Królowej korzystali w znikomą ilość. Było to jawne urąganie władzy, którego dalsze tolerowanie mogło być doprowadzić do najpoważniejszego zachwiania jej autorytetu.

Wobec tego stanu rzeczy starostwo nowotarskie, w myśl odnośnego reskryptu województwa krakowskiego, dało właścicielowi ostatni termin do usunięcia nielegalnie wzniesionej budowy z początkiem września b. r., a gdy Król wezwania tego nie posłuchał, w dniu 7 września b. r. przeprowadziło starostwo nowotarskie całkowite zburzenie budynku schroniska na Karczmisku. Tymczasem w dniu 9 września b. r. zebrał się w Zakopanem liczny wiec współwłaścicieli hal i polan tatrzańskich, zwołany w myśl uchwał nowotarskiego zebrania Związku Podhalań z dnia 19 sierpnia celem wyboru referenta Związku Podhalań na ankietę ministerjalną w sprawie rozwoju Podhala i Zakopanego, która miała być w najbliższym czasie zwołaną do Zakopanego. Na wiec ten udał się Król Wojciaszek w towarzystwie różnych opiekunów jego sprawy, którzy zgłosili się licznie i skwapliwie, wyzyskując tę sprawę dla różnych lokalnych kombinacji wyborczych i politykierskich i zrobił się „matą“. Zamiast zastanawiać się nad wyborem referenta, sprawę zburzonego schroniska wysunięto na pierwszy plan, nie dopuszczając do głosu i przewodnictwa prezesa Związku Podhalań i demonstrując zebranym rany właściciela schroniska, zdobyte rzekomo na wojnie, a w rzeczywistości pochodzące z operacji niedawno odbytej w szpitalu zakopiańskim. Równocześnie przedstawiono całą sprawę zburzenia schroniska na Karczmisku, jako dzieło inspirowane przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie i połączono tę sprawę fałszywie ze sprawą Parku Narodowego Tatrzańskiego, podniecając przeciwko Parkowi, który ma przynieść krzywdę i wywłaszczenia dla ludności góralskiej. Przez tego rodzaju demagogię wzburzenie zebrania jeszcze się wzmogło i doprowadziło do pociągnięcia liczного tłumu około 200 uczestników wiecu — górali, pod przewodnictwem pp. Józefa Pawlicy, Adama Curusia z Zakopanego oraz J. Siutego z Czarnego Dunajca pod Dworzec Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem. Tutaj nastąpiły prawdziwie pożałowania godne i na Podhalu niebywałe dotąd, a dowodzące głębokiej demoralizacji sceny, jak insultowanie czynne zasłużonego naczelnika Sekcji Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego p. Józefa Oppenheima oraz okradzenie przez uczestników wiecu i „delegacji“ ze srebrnej papierošnicy i innych przedmiotów senjora naszych narciarzy p. Zdzisława Ritterschilda, którzy byli przypadkiem przed Dworcem obecni. Wśród groźnych okrzyków tłumu, skierowanych przeciwko turystom i gościom, prowadzący delegację wtargnęli do Dworca i wymusili na sekretarzu

Dworca P. T. T. p. J. Bujaku oświadczenie, że P. T. T. sprawę zburzonego schroniska rozpatrzy.

Zapisuję te zdarzenia nie dlatego, aby nieszczęsne to zajście na nowo odgrzebywać, ale dlatego, że uważam za konieczność obiektywne i spokojne ustalenie przebiegu tego zajścia w tym celu, aby wszystkie rozważne czynniki, które w sprawach Podhala mają głos, do zajść takich nie dopuszczały. Jeżeli się bowiem będzie dozwalało, a nawet dopomagało do tego, aby część ludności miejscowej bojkotowała zarządzenia władz i sprzeciwianie się jej legalnym zarządzeniom będzie podnoszone do godności symbolu złotej wolności góralszczyzny, a równocześnie będzie się tolerowało i podsycalo wrogie wystąpienia ludności przeciw turystom i gościom, z których ta ludność żyje oraz przeciw najważniejszej ich organizacji Polskiemu Towarzystwu Tatrzańskiemu, to Zakopane i Podhale zamiast świetnej, smutna czeka przyszłość.

Wzburzenie, które powstało na górnym Podhalu na skutek przypadkowego zbiegu okoliczności, jakim było zburzenie schroniska na Karczmisku na parę dni przed wiecem współwłaścicieli hal, doprowadziło do wysłania do Warszawy delegacji ludności podhalańskiej, która pod przewodnictwem posłów podhalańskich ks. Madeja i F. Gwiżdża udała się do przewodniczącego klubu posłów B. B. W. R. pułk. Sławka, do Prezydium Rady Ministrów oraz Ministerstwa Oświaty, uzyskując wszędzie zapewnienie, że Rząd nie zamierza w sprawie Parku Narodowego Tatrzańskiego uczynić niczego takiego, co oznaczałoby jakkolwiek krzywdę, czy też szkodę ludności góralskiej.

Powyższe oświadczenie Rządu zostało przyjęte przez delegację z zadowoleniem i tu odrazu podkreślić pragnę, że oświadczenie to tak samo przyjęte zostało przez wszystkich pracowników na polu utworzenia z Tatr Parku Narodowego.

Stwierdzić bowiem należy, co wielokrotnie, ale czasem bezskutecznie, publicznie podkreślaliśmy, że akcja Parku Narodowego Tatrzańskiego wychodzi z założenia, że „ludności góralskiej, jako rodzimemu obywatelstwu Tatr nie może być przytem uczyniona jakakolwiek krzywda“¹⁾, i że przeciwnie, z akcją Parku Narodowego musi być połączona akcja podniesienia komunikacji i stanu gospodarczego Podhala. Do tych zasad są dostosowane wszystkie szczegóły pracy nad Parkiem Narodowym i w tem znaczeniu czas przyszły musi przynieść poprzez wszystkie nieporozumienia całkowite uzgodnienie stanowisk obu czynników ku chwale wielkiego dzieła kulturalnego, jakim jest Park Narodowy i pożytkowi Podhala.

W kierunku tym rozwijają się też wypadki. Odpowiednie wyjaśnienia i enuncjacje Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w prasie, która częściowo została wprowadzona w błąd powyższymi wydarzeniami, przeprowadzenie przez Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego akcji porozumiewawczej z właścicielem zburzonego schroniska na Karczmisku, celem zakupienia od niego materiału ze schroniska i dania mu w ten sposób podstawy do egzystencji w Zakopanem, dalsze stałe informowanie i porozumiewanie się z czynnikami miejscowymi, to wydarzenia, które już wpłynęły na uspokojenie opinii i przyniosą niewątpliwie dalsze wyrównanie zrozumiiałych zresztą przeciwieństw.

O ile jednak w tej dziedzinie możemy zgodzić się i dopuścić do porozumienia, to najenergiczniej zastrzec się musimy przeciwko mieszanu w walkę o Park Narodowy wszelakiej prywaty i pokrywania bojowymi hasłami tej walki zupełnie innych celów.

Do tego rodzaju wydarzeń zaliczyć musimy wmiieszanie się do sprawy Parku Na-

¹⁾ Wyjątek z protokołu Akademii Polskiej i Czeskiej z dnia 8 i 9 grudnia 1925 r., zawierającego zasady utworzenia Parku Narodowego Tatrzańskiego, przyjęte przez wszystkie czynniki urzędowe i społeczne w akcji Parku Narodowego.

rodowego czynników, które pod pozorem obrony interesów właścicieli prywatnych w Tatrach przed Parkiem Narodowym pragną uzyskać usprawiedliwienie dla nadmiernej eksploatacji lasów. Akcja tego rodzaju czynników zaznaczyła się w roku bieżącym szczególnie na obszarze dóbr Poronin p. Józefa Uznańskiego obejmujących w Tatrach okolicę doliny Suchoj Wody i Pańszczycy. Podsycając z jednej strony sztucznie wrzenie wśród ludności góralskiej przeciwko Parkowi Narodowemu, prowadzi się z drugiej strony na obszarze tych dóbr jawną dewastację lasów, której wyrazem były wyręby dokonywane wbrew zakazom władz w lasach poronińskich. Władze opanowały wreszcie to bezprawie, nakładając przewidziane ustawą o zagospodarowaniu lasów prywatnych wysokie kary pieniężne i wysyłając nawet osobną ekspedycję policyjną celem wstrzymania dewastacji, a Departament Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa wydał szereg zarządzeń zmierzających do uporządkowania sytuacji, które oby wydały skutek.

Również w lasach dóbr Szaflary p. Jerzego Uznańskiego i mniejszych lasach gminnych w Tatrach gospodarka leśna pozostawiała wiele do życzenia i należy mieć się nieustannie na baczności, aby tem nie poczyniono niepowetowanych szkód. Należy przytem z naciskiem podkreślić, że nie chodzi nam tu w niczem o jakieś wyjątkowe traktowanie lasów tatrzańskich, musimy jednak bacznie stać na straży, aby w tych tak bezcennych dla kultury polskiej lasach były ściśle respektowane zasady normalnej gospodarki w lasach górskich na podstawie zatwierdzonych przez władze planów gospodarki leśnej (których dotychczas w większości lasów tatrzańskich niema) i z uwzględnieniem określonych przez kompetentne władze leśne rejonów lasów ochronnych. Uporządkowania tych stosunków należy się spodziewać od niedawno wprowadzonej ustawy o zagospodarowaniu lasów prywatnych. Ustawa ta zaznacza się dodatnio, o ile chodzi o przymus wprowadzający obowiązek planów gospodarki leśnej w gospodarstwach większych, ujemnie, o ile chodzi o małe lasy, do których obowiązek planów się nie odnosi. Ta ostatnia okoliczność w związku z nadmiernym eksportem drzewa z Podhala już i tak bardzo ogołoczonego z lasów, sprawia, że mniejsze lasy szczególnie gminne i chłopskie na Podhalu znikają zupełnie, z czem związane są klęski powodzi w czasie deszczów, a niestęchanie niskie stany wody w okresach suchych oraz zaznaczający się już brak drzewa na potrzeby lokalne na Podhalu. Tym fatalnym objawem, godzącym wprost w przyszłość Podhala musimy poświęcić baczna uwagę.

Że kwestje te, jak również inne, związane ze sprawą Parku Narodowego sprawy, wejda na lepsze tory, możemy się spodziewać tem bardziej, że władze administracyjne, a w szczególności Województwo krakowskie i Starostwo nowotarskie postulatami tym udzielają coraz baczniejszej uwagi i poparcia.

Niewątpliwie jednak najgruntowniejszym sposobem rozwiązania wszelkich trudności terenowych, jakie się przy realizacji Parków Narodowych nastręczają, jest wykupno tych terenów na rzecz państwa lub odpowiednich organizacji społecznych. Tylko państwo bowiem, lub organizacje społeczne, mające na celu ideowe prace nad turystyką i ochroną przyrody mogą zabezpieczyć należycie przyrodę przed dewastacją. Na tę też stronę zagadnienia zwróciliśmy w roku bieżącym szczególną uwagę.

Punktem wyjścia dla akcji w większym stylu stał się w tej dziedzinie przyjazd w Tatry p. dyrektora Departamentu Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa inż. Miklaszewskiego. Z p. dyr. Miklaszewskim udaliśmy się w pierwszej połowie lipca w towarzystwie p. mjr. B. Romaniszyna na południową stronę Tatr, gdzie w Wyżnich Hagach spotkał się z p. dyrektorem Departamentu Leśnictwa Ministerstwa Rolnictwa w Pradze inż. Šimanem. P. dyr. Šiman ukazał nam następnie na mapach i w terenie szczegóły

ogromnej akcji zakupna terenów w Tatrach przez Rząd czeskosłowacki. Wynikiem tej akcji prowadzonej od lat kilku jest fakt, że Rząd czeskosłowacki do dawnych terenów (połowa doliny Cichej, dol. Koprowa z otoczeniem, jezioro Szczyrbskie i Łomnica Tatrzańska z otoczeniem), które odziedziczył po państwie węgierskim. dokupił większość udziałów komposesorjatu orawskiego, obejmującego w Tatrach całe doliny Zuberską, Łataną i Cichą Orawską z otoczeniem, cały majątek Wyżne Hagi ks. Hohenlohego (doliny Mięguszwiecką, Złomisk i Batyżowiecką z otoczeniem), a obecnie pertraktuje o nabycie reszty masywu Gałucha z częścią dol. Wielickiej i całego klucza Jaworzyny spiskiej z dolinami Białej Wody i Jaworowej z otoczeniem. Z chwilą wykonania tego planu rząd czeskosłowacki stanie się właścicielem większości Tatr po stronie czeskosłowackiej, przyczem w lasach tych i na tych terenach będzie prowadzoną gospodarka w myśl zasad Parku Narodowego, co utworzy nienaruszone podwaliny pod całe dzieło.

Wielkie czyny, które dla tej akcji Rząd czeskosłowacki już wykonał, energia i zamiłowanie dla sprawy jej wykonawców z pełnym rozmachem i talentem organizacyjnym inż. Šimanem na czele, pełne poparcie, które jej udziela p. Minister Rolnictwa prof. Srdinko, oraz energiczne współdziałanie w całej sprawie czeskosłowackiego Ministra Oświaty, dr. M. Hodży, Słowaka, miłośnika gór i przyrody i wielkiego przyjaciela Polski, pozwalają żywić nadzieję, że akcja ta będzie zrealizowaną w krótkim stosunkowo czasie.

Okoliczność ta wzmacnia jeszcze naturalny postulat, że także i Rząd polski powinien wejść w Tatry, jako ich współwłaściciel. Po obejrzeniu też wspólnie z dyr. Šimanem lasów czeskosłowackich pomiędzy Szczyrbskim jeziorem i Jaworzyną, przedstawiliśmy dyr. Šimanowi oraz dyr. Miklaszewskiemu obraz Tatr polskich od Morskiego Oka do Zakopanego. Po stwierdzeniu zupełnej analogii terenów po obu stronach granicy i całkowitego podobieństwa zagadnień, z którymi akcja parkowa ma tu i tam do czynienia, wyłoniła się ponownie od kilku lat już rozpatrywana myśl zakupna obszarów dóbr Szaflary i Poronin na rzecz Rządu polskiego. Myśl ta została zaakceptowana przez Ministerstwo Rolnictwa, które też przyjęło odnośną propozycję wszczęcia rokowań o zakupno lasów tatrzańskich, przedstawioną przez właściciela dóbr Szaflary p. Jerzego Uznańskiego. Zlecenie przeprowadzenia prac szacunkowych otrzymała lwowska dyrekcja domen i lasów państwowych; z jej ramienia przybyli w sierpniu b. r. w Tatry pp. prezes lwowskiej dyrekcji domen i lasów inż. Kączkowski wraz z inspektorami lasów. Po konferencjach przeprowadzonych w Zakopanem i przy Morskim Oku z powyższymi panami, powierzono oszacowanie dóbr Szaflary p. insp. Lewickiemu, który zyskał sobie już swego czasu wdzięczność kół ochrony przyrody przeprowadzeniem szacunku przełomu Pienin przy zakupnie tego przełomu na rzecz Skarbu Państwa. Odnośne prace terenowe i pertraktacje z p. Jerzym Uznańskim są w toku. Co do dóbr Poronin, to właściciel ich p. Józef Uznański nie zgodził się na sprzedaż ich Rządowi, wobec czego ta sprawa jest nieaktualna.

W głębokim zrozumieniu doniosłości całej akcji, zyczliwości i umiłowaniu lasów i gór naszych, jakie stale znajdujemy u pp. dyrektora inż. Miklaszewskiego, naczelnika wydziału urządzenia lasów Ministerstwa Rolnictwa inż. Stankiewicza, prezesa inż. Kączkowskiego i inspektora W. Lewickiego czerpiemy ufność, że trudne te sprawy zostaną pomyślnie rozwiązane i Rząd nasz wejdzie w Tatry, jako właściciel terenów i regulator sprawy Parku Narodowego, podobnie, jak to się stało po stronie czeskosłowackiej. Z akcją Rządu idzie równoległe praca Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, które w dalszym ciągu zakupuje, nie szczędząc wielkich ofiar, dobrowolnie oferowane części na niektórych halach tatrzańskich.

Nie tracimy również wiary, że i Fundacja Kórnicka, w której pojawiły się w ostatnich czasach pewne niepokojące objawy, pozostanie mimo chwilowych wahań wierną swemu programowi kulturalnej misji i popierania akcji Parku Narodowego. Sprawy tej będziemy bacznie strzec.

Obok pracy terenowej poświęcaliśmy, jak zawsze, wiele uwagi propagandzie. Przewodzącym Parkiem Narodowym Tatrzzańskim zajęła się Liga Ochrony Przyrody, która pod energicznym przewodnictwem swego prezesa dyr. dr. J. Morozewicza oraz pełnej poświęcenia dla idei pracy sekretarza J. Małkowskiego, utworzenie Parku Tatrzńskiego uznała za jedno z najważniejszych swych zadań. W marcu b. r. odbył się też inauguracyjny występ Ligi Ochrony Przyrody w Warszawie, na którym wygłosiłem ilustrowany przedmowa wykład „O Parku Narodowym Tatrzńskim“.

Nader ważną zdobyczą w naszej akcji było pozyskanie dla niej najpotężniejszej organizacji kulturalno-społecznej, jaką jest w Polsce Związek Nauczycielstwa Szkół Powojskowych, liczący ponad 40.000 członków. Na kursach wakacyjnych, które Związek jak corocznie urządzał w roku bieżącym w Zakopanem, po wykładach i wycieczkach prof. Uniw. wileńskiego M. Limanowskiego oraz moich poświęconych zagadnieniom ochrony Tatr i Parku Tatrzńskiego, zapadła entuzjastyczna uchwała, aby wśród wszystkich członków Związku zebrać podpisy pod adres do P. Prezydenta Rzeczypospolitej o udzielenie poparcia najwyższej głowy Państwa naszej akcji. Po pracy tej, już rozpoczętej, pod opieką wiceprezesa P. Z. N. S. P. p. Smulikowskiego, spodziewamy się pomyślnych wyników, a to tem bardziej, że i sfery robotnicze, zorganizowane w Towarzystwie Uniwersytetów Robotniczych, prawdopodobnie przystąpią do analogicznej akcji; starania w tym kierunku rozpoczęliśmy.

W Polskiem Towarzystwie Tatrzńskim, które wysunęło się na czoło wszelkich prac nad ochroną przyrody w górach polskich, mamy stałego i potężnego, bo ponad 12.000 członków liczącego sprzymierzeńca. Również wszelkiego rodzaju towarzystwa i organizacje naukowe i kulturalne, związki młodzieży i t. d. pracują wybitnie na tem polu, udzielając akcji Parkowej poparcia. Celem utrzymania stałego zainteresowania sprawą i zdobycia nowych sprzymierzeńców, wygłosił w roku bieżącym tak sprawozdawca, jak wielu innych naszych pracowników, szereg odczytów i konferencji na temat pogranicznych Parków Narodowych w różnych miejscowościach Polski. Wśród tych zebrań na pierwsze miejsce wysunęła się wspaniała manifestacja Poznania za Parkiem Narodowym Tatrzńskim, odbyta na wiosnę b. r. Na uroczystej akademii tatrzńskiej, urządzonej przez wszystkie Towarzystwa kulturalne Poznania przy masowym udziale publiczności, wśród której pojawili się przedstawiciele władz religijnych, państwowych i samorządowych, uchwalono po wspaniałych referatach prof. M. Limanowskiego z Wilna i prof. E. Romera ze Lwowa jednomyślne rezolucje przeciwko dalszej dewastacji przyrody tatrzńskiej i za utworzeniem Parku Narodowego Tatrzńskiego.

Także doroczny Walny Zjazd Polskiego Towarzystwa Geologicznego, odbyty we wrześniu b. r. we Lwowie, uchwalił gorącą rezolucję za przyspieszeniem utworzenia Parku Tatrzńskiego.

Nie spoczywała również akcja prasowa. Ta ostatnia stała się tem ważniejszą, że pewien odłam prasy krakowskiej rozpoczął w zimie ubiegłej z rozmaitych przyczyn walkę przeciw ochronie przyrody, atakując nas w sposób bezprzykładny. Walkę tę podjęliśmy z wynikiem dobrym i aczkolwiek nie łudzimy się, że przekonaliśmy tych, dla których ideałem jest takie udostępnienie Tatr, żeby co godzinę stały w górach knajpy z dancinami, a wszędzie można było wyjechać jeżeli nie samochodem, to koleją linową, —

stwierdzić możemy, że ataki w prasie wrogiej ucichły, a w znacznej większości prasy polskiej mamy stałych przyjaciół i propagatorów naszych idei.

Pomyślnym jest też objawem, że w roku bieżącym ukazały się trzy publikacje, poświęcone sprawie Parku Narodowego Tatrzańskiego. Myślę tu o broszurach dr. K. SAYSSE-Tobiczyka pod tytułem „Wielkie Zakopane i Park Narodowy w Tatrach“, Warszawa 1928, inż. M. A. Liberaka „Obwód ochrony Polskich Tatr (Polski Park Tatrzański)“ — nakładem Związku Podhalań, Nowy Targ 1928, oraz M. Niemierkiewicza „Parc National limitrophe dans les montagnes de Tatra“, nakład „Messenger Polonais“, Warszawa 1928. Pierwsza z tych broszur jest zbiorem feljetonów z „Dnia Polskiego“, które rozpatrują głównie postulaty Zakopanego, łącząc je jednak słusznie ze sprawą Parku Narodowego, druga daje pewien projekt realizacji Parku Tatrzańskiego głównie z punktu widzenia interesów lokalnych, trzecia napisana w języku francuskim i pięknie ilustrowana jest doskonałą pracą propagandową na rzecz Parku. Aczkolwiek nie we wszystkim można się zgodzić szczególnie z wywodami inż. Liberaka, to jednak wszystkie te broszury stanowią dowód rosnącego zainteresowania się sprawą Parku ze strony czynników, które dotychczas stały na uboczu naszej akcji, co z prawdziwym zadowoleniem witamy.

Sprawa tak doniosła, jaką jest projekt ustawy o ochronie przyrody, przeszła w okresie sprawozdawczym różne koleje. Wprawdzie prof. F. Zoll, który z ramienia Komisji Kodyfikacyjnej opracowywał ten projekt, wykończył go i przeprowadził przez pierwsze czytanie podkomisji prawa rzeczowego Komisji Kodyfikacyjnej, za co jesteśmy prof. Zollowi serdecznie wdzięczni, projekt jednak nie mógł być przeprowadzony na pełnomocnictwa P. Prezydenta Rzeczypospolitej z wiosną b. r. z szeregu powodów. Czy projekt prof. Zolla będzie mógł być zastosowany przy odpowiednich zmianach do Parku Narodowego Tatrzańskiego, czy też raczej wniesiony do ciała ustawodawczych jako projekt ogólnej ustawy o ochronie przyrody w Polsce, której potrzeba jest palącą, a projekt ustawy Parkowej zostanie opracowany osobno, to rozstrzygnie najbliższa przyszłość, przyczem należy uwzględnić stan tej sprawy po stronie czeskosłowackiej.

Stoimy bowiem stale na stanowisku, że jakkolwiek Parki w Tatrach po obu stronach granicy polsko-czeskosłowackiej mają być z punktu prawnego osobnemi ciałami, opartemi na wewnętrznych ustawach obu Państw (z konieczności dostosowania się do rozmaitych ustawodawstw w Polsce i Czechosłowacji), to jednak projekty tych ustaw muszą być uzgodnione w stopniu jak największym drogą wzajemnego porozumienia. Potrzeba takiego uzgodnienia wyłania się poprostu z faktu, że przyroda tatrzańska po obu stronach granicy jest ta sama i nie da się ochraniać na podstawie rozbieżnych zasad, pozatem wynika ona z protokołu krakowskiego z dnia 6 maja 1924 r., który zakończył spór o Jaworzynę, a który w punkcie B) wstępu jest podstawą i zobowiązaniem międzynarodowym co do utworzenia pogranicznych Parków Narodowych. Po stronie czeskosłowackiej niema jednak dotychczas ustawy o ochronie przyrody, ani organu takiego, jaką u nas jest Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Wobec tego stanu rzeczy wyłonił się po stronie czeskosłowackiej projekt utworzenia Parku Narodowego Tatrzańskiego na podstawie ustawy ramowej opartej na zasadach protokołu obu Akademii. Ustawa ta ma być wniesiona do parlamentu jeszcze w roku bieżącym, poczem na jej podstawie nastąpiłoby w ciągu jednego roku opracowanie przepisów wykonawczych przez kompetentne resorty. Tak ustawa ramowa, jak przepisy wykonawcze zostałyby uzgodnione ze stroną polską. Z projektem tym połączyła się idea, popierana gorliwie przez koła naukowe i kulturalne czeskosłowackie z prof. K. Dominem na czele, aby ogłoszenie ustawy ramowej połączyć z rokiem 10-lecia niepodległości Republiki czeskosłowackiej i w ten sposób stworzyć

na granicy obu pobratymczych państw wielkie pamiątkowe dzieło kultury słowiańskiej. O ile ta piękna myśl, którą uchwalili jednomyślnie wielki jubileuszowy Zjazd Przyrodników i Lekarzy Czeskosłowackich w Pradze w maju br. oraz doroczny międzynarodowy Zjazd Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych w Lublanie we wrześniu b. r. zostanie zrealizowana, jeżeli już nie w ramach jubileuszowych obchodów, co jest technicznie niemożliwe, to jednak w bieżącym roku, jako jubileuszowym, zyskamy trwałą podstawę pod całe dzieło. Prace odnośne są w pełnym toku a opóźnienie ich nastąpiło głównie z powodu trudności powstałych w ostatnim roku na tle określenia obszaru terytorjalnego Parku po stronie czeskosłowackiej; uzgodnienie to jednak już ostatecznie nastąpiło w myśl pierwotnego projektu prof. K. Domina, obejmującego całe Tatry po stronie czeskosłowackiej aż po podnóże.

Istnieją więc poważne widoki na ruszenie całej sprawy z miejsca także międzynarodowo. Ministerstwo Oświaty w Pradze przeprowadziło w tym celu w ciągu dłuższego czasu uzgodnienie punktu widzenia wszystkich kompetentnych resortów w sprawie Parku Narodowego, osiągając zasadniczo przychylne ich stanowisko. P. Prezydent Republiki Czeskosłowackiej prof. Masaryk, min. spraw zagr. Dr. Beneš, min. oświaty Dr. Hořá, wiceminister spraw zagr. prof. Křoffta i i., u których w tej sprawie byliśmy wraz z prof. K. Dominem w delegacji w pierwszej połowie czerwca b. r. wszyscy oświadczyli nam swą przychylność i poparcie dla idei utworzenia pogranicznego Parku Narodowego Tatrzańskiego.

Z naszej strony sprawa utworzenia pogranicznych Parków Narodowych dozna niewątpliwie nowego poparcia w pracach Rządu, rozpoczętych w myśl inicjatywy P. Ministra Skarbu Czechowicza nad podniesieniem turystyki krajowej i zagranicznej, jako jednego z poważnych źródeł pomocniczych dla walki z biernością bilansu handlowego. Parki Narodowe są bowiem najgruntowniejszym sposobem trwałego zabezpieczenia i otwarcia najpiękniejszych terenów dla turystyki, jak to mamy przykład w Stanach Zjednoczonych, gdzie przez jeden Park Yellowstone przepływa kilka milionów ludzi rocznie; szczególnie zaś przyciągające są Parki dla ruchu turystycznego ze świata anglosaskiego, dla którego pojęcia Park Narodowy i racjonalna turystyka są identyczne.

Poza temi sprawami zasadniczej natury, które dotychczas omówiliśmy, należy, jak zwykle w mych sprawozdaniach wspomnieć o innych mniej doniosłych z punktu widzenia ogólnej akcji, ale w szczegółach bardzo ważnych.

A więc zajmowaliśmy się w dalszym ciągu sprawą kamieniołomu Fundacji Kórnickiej pod Capkami w Zakopanem. Należy z ubolewaniem stwierdzić, że przedsiębiorstwo kamieniołomów nie dotrzymało swych zobowiązań co do ograniczenia eksploatacji na określonym w porozumieniu z Państwową Radą Ochrony Przyrody terenie. Okoliczność ta, jak również usprawiedliwienie skargi na kamieniołom ze strony mieszkańców i gości zakopiańskich spowodowały władze do zwołania w kwietniu b. r. komisji, w której tak P. R. O. P., jak Polskie Tow. Tatr. wzięły udział. W wyniku tej komisji stwierdzono szereg niepokojących cech całego przedsiębiorstwa tak dla ochrony przyrody, jak dla Zakopanego, jako uzdrowiska i wypowiedziano się w wielu głosach, między innymi P. R. O. P., Polsk. Tow. Tatr. i przedstawicieli sfer fachowo-naukowych o dotychczasowym sposobie prowadzenia przedsiębiorstwa ujemnie. Sprawa poszła dalszym biegiem: poza pewnymi ograniczeniami i uregulowaniem ruchu w kamieniołomie, zarządzonego przez władze, nastąpiło przesilenie wewnętrzne w przedsiębiorstwie, zakończone ustąpieniem współwłaściciela i kierownika kamieniołomu p. Kiejnowskiego. Oczekujemy od nowego zarządu i kierownictwa czynów, które mogłyby choć w części naprawić szkody,

wyrażdzone w terenie przez kamieniołom i umożliwić pogodzenie eksploatacji z interesami ideowymi i realnymi ochrony przyrody i uzdrowiska Zakopane. Sprawie tej, w stosunku do całości zagadnienia Tatr drobnej ale dotkliwej poświęćmy nadal baczną uwagę.

Zwróciliśmy się przeciwko budowie leśniarki, wzniesionej przez Zarząd lasów zakopiańskich Fundacji Kórnickiej przy drodze do Morskiego Oka koło Wanty w miejscu szpecącym jedną z najpiękniejszych panoram Tatr i w porozumieniu z Zarządem Fundacji uzyskaliśmy całkowite rozebranie tego budynku.

Natomiast z radością i uznaniem powitaliśmy rozpoczęcie z wiosną b. r. funkcjonowania w dobrach zakopiańskich Fundacji Kórnickiej straży łowieckiej i leśnej, złożonej z miejscowych górali, a pozostającej pod zwierzchnictwem p. J. Domaniewskiego. Działalność tej straży na polu zwalczania kłusownictwa i ochrony przyrody zaznaczyła się dodatnio i choć w części zastąpiła brak należytego dozoru policyjnego w Tatrach, którego i w tym roku z powodu szczupłego stanu policji i jej przepracowania nie zdołaliśmy należycie wzmocnić. Jeden ze strażników Fundacji Suleja został przy nieznacznym przekroczeniu granicy czeskosłowackiej u Liljowem w pogoni za kłusownikami aresztowany przez żandarmów czeskich i przetrzymany prawie tydzień w areszcie, podczas gdy Zarząd dóbr Fundacji pod kierownictwem p. J. Domaniewskiego i Pogotowie Ratunkowe poszukiwały po polskiej stronie zaginionego. Mamy wrażenie, że ów postępek żandarmów czeskich był tylko wynikiem zbytej gorliwości w służbie, tem niemniej wszczęliśmy akcję, zmierzającą do załatwienia pomyślnego tej sprawy i usunięcia na przyszłość takich fatalnych i mąjących wzajemne stosunki przypadków.

W sprawie projektowanej budowy nowego schroniska na Hali Gąsienicowej przez współwłaścicieli tej Hali rozpoczęliśmy narady z komitetem współwłaścicieli na tej zasadzie, że schronisko to zastąpi tylko obecnie istniejące tam schronisko prywatne Bustrzyckiego, a więc ilość schronisk nie ulegnie powiększeniu.

Projektowane od lat kilku rozpoczęcie prac nad zalesieniem części zniszczonej doliny Jaworzynki nie mogło się rozpocząć z powodu nieufności gminy Murzasichle do tej akcji; będziemy pracowali nad usunięciem tej trudności, polegającej oczywiście na nieporozumieniu.

Wielką obawą napełniły koła turystyczne i ochroniarskie wiadomości dzienników o przygotowującej się budowie wielkiego domu wypoczynkowego Związku zawodowego pracowników miejskich w dolinie Olczyńskiej. Przeciwno takiej budowie wypowiedział się energicznie Walny Zjazd Delegatów P. T. T. odbyty w kwietniu b. r. w Zakopanem, negatywne opinie wypowiedziały też Państwowa Rada Ochrony Przyrody i zaproszeni fachowcy inżynierowie i geologowie. Wszczęte pertraktacje z prezydium Związku w osobach p. prezesa W. Popielawskiego, sekretarza jen. S. Gajewskiego oraz referenta prezydium p. W. Dacha doprowadziły do całkowitego uzgodnienia całej sprawy, przyczem Związek, wprowadzony poprzednio w błąd przez szereg okoliczności, wykazał jaknajlepszą wolę i zrozumienie idei nietykalności Tatr i Parku Narodowego. Projekt budowy domu wypoczynkowego w dolinie Olczyńskiej definitywnie upadł, a Związek zasługujący jako instytucja dobra publicznego na wszelkie poparcie rozpoczął starania uzyskania na innej drodze odpowiedniej, a poza obrębem projektowanego Parku Narodowego leżącej parceli na budowę domu.

Wiele hałasu narobiła sprawa wyścigu samochodowego tatrzańskiego, zorganizowanego w roku bieżącym po raz drugi przez Krakowski Klub Automobilowy. W sprawie tej stoimy na stanowisku, że wyścig sam, urządzony jako impreza krótkotrwała na istniejącej szosie nie przedstawia niebezpieczeństwa dla ochrony przyrody Tatr, a oceniając

gospodarcze znaczenie całego przedsięwzięcia dla Zakopanego, zgodziliśmy się na urządzenie wyścigu. Inna jest rzecz, że Klub Automobilowy będzie musiał dokładać wszelkich starań celem ujęcia wzmagającego się z każdym rokiem napływu publiczności w taki sposób, aby stąd nie wynikały żadne szkody dla kultur lasu i terenu, okalającego drogę do Morskiego Oka. Znając zamiłowanie do przyrody i gór członków zarządu Krakowskiego Klubu Automobilowego jesteśmy przekonani, że sprawa ta przy dobrej woli i dołożeniu starań da się pomyślnie opanować.

Dzięki poparciu Starostwa nowotarskiego udało się w roku bieżącym uregulować sprawę nadmiernie mnożących się w górach wędrownych fotografów, ograniczając ilość do dwóch „posterunków“, przy Morskiem Oku i w dolinie Kościeliskiej.

Nowo wprowadzona, a zawierająca dobre przepisy dla ochrony zwierząt ustawa łowiecka dała się korzystnie odczuć na terenie Tatr, taksamo będzie z działaniem nowej ustawy o zagospodarowaniu lasów rządowych, gdy tylko Rząd stanie się właścicielem lasów w Tatrach, a z ustawą o ochronie ryb na wodach granicznych, gdy zostanie ratyfikowana przez nasz Sejm, a po stronie czeskosłowackiej uzupełniona jeszcze drugą ustawą o zarybieniu rzek, która jest tam obecnie w przygotowaniu.

Sekcja Ochrony Tatr P.T.T. przystąpiła do przemiany na Sekcję Ochrony Gór P.T.T., rozszerzając w ten sposób swą działalność na wszystkie góry Polski, co stało się nakazem chwili; prace reorganizacyjne są w toku.

Na terenie Czechosłowacji w dalszym ciągu podstawą całej akcji byli uczeni czeskosłowaccy pod przewodnictwem tak zasłużonego prof. K. Domina. Wyrazem wielkiego zainteresowania się świata naukowego czeskiego problemami ochrony przyrody i pogranicznych Parków Narodowych było przyjęcie rezolucji za przyspieszeniem prac nad utworzeniem Parku Narodowego na uroczystym Zjeździe Przyrodników i Lekarzy Czeskosłowackich, w Pradze w maju b. r., po wysłuchaniu referatu, który wygłosiłem na ten temat na plenarnym posiedzeniu sekcji przyrodniczej, zaproszony przez prezydium Zjazdu. Wyrazem zaś przepięknej współpracy kulturalnej, łączącej uczonych polskich i czeskosłowackich dookoła wspólnego dzieła Parków Narodowych był przebieg II Międzynarodowego Zjazdu Geografów Roślin. Uczestnicy tego Zjazdu, najpoważniejsi przedstawiciele nauki niemal wszystkich państw Europy i Ameryki, po przewędrowaniu pod przewodnictwem prof. Domina w dłuższej wycieczce całej Czechosłowacji, przybyli w lipcu b. r. w Tatry, gdzie na granicy przy Łysej Polanie powitał ich prof. W. Szafer, aby następnie poprowadzić wielotygodniową wycieczkę po Polsce. W schronisku nad Morskiem Okiem, witając drogich nam gości w imieniu Polsk. Tow. Tatr., przedstawiłem pokrótce sprawę pogranicznych Parków Narodowych, którą uczestnicy Zjazdu dokładnie poznali w terenie do obu stronach granicy tak w Tatrach, jak w Pieninach. Opuszczając Polskę, na plenarnym posiedzeniu pożegnalnym w Warszawie uczestnicy Zjazdu uchwalili rezolucję, wyrażającą pełne uznanie dla prac naszych nad Parkami Narodowymi; rezolucja ta została przedstawiona Rządowi Polski i Czechosłowacji.

Wiernego sprzymierzeńca w pracach naszych mieliśmy też w dalszym ciągu w Klubie Czeskosłowackich Turystów. Dzięki lojalnej współpracy tej potężnej organizacji mogliśmy też odnieść się do Prezydium K. Č. S. T. z całym zaufaniem o interwencji w sprawach przeprowadzonego w ostatnim roku wbrew zasadom naszych umów i niepotrzebnego znaczenia ścieżki z doliny Jaworowej przez Szeroką Jaworzyńską do doliny Białej Wody przez samo serce ścisłego rezerwatu dla zwierzyny oraz rozpoczętej budowy drogi z Podbańskiej do schroniska w dolinie Koprowej, a wreszcie wycinania

starych drzew w otoczeniu tego schroniska. Oczekujemy w tych sprawach kroków Klubu Czeskosłowackich Turystów z zaufaniem w ich skuteczność.

Celem propagandy sprawy Parku Narodowego i wyjaśnienia rozmaitych nieporozumień, które objawiły się w akcji przeciwnej Parkowi Narodowemu po południowej stronie Tatr, udałem się w kwietniu b. r. za zezwoleniem kompetentnych czynników czeskosłowackich do Kezmarku na Spiszu, gdzie odbyłem konferencje z przedstawicielami Towarzystwa Karpathenverein oraz sfer miejscowych na temat aktualnych tatrzańskich zagadnień oraz wygłosiłem w języku niemieckim odczyt z licznymi przeżroczami o Parku Narodowym Tatrzańskim. Bardzo liczna frekwencja na wykładzie i życzliwe jego przyjęcie oraz artykuły, które się pojawiły następnie w organie Niemców Spiskich „Karpathenpost“ świadczyły, że pobyt w Kezmarku wydał korzystne owoce. Jednym z jego pozytywnych wyników, co też znalazło wyraz w obszernym artykule¹⁾, była zmiana stanowiska towarzystwa Karpathenverein co do dalszego przedłużenia t. zw. „drogi wolności“, łączącej letniska i uzdrowiska po południowej stronie Tatr. Na odbytej konferencji wykazałem niemożliwość realizacji wysuwanego przez Niemców Spiskich planu przedłużenia tej drogi przez dol. Koprową i Gładkie, lub dol. Cichą i Tomanową, przy czym liczone na budowę drogi jezdnej polskiej przez dol. Pięciu Stawów Polskich na Gładkie, względnie przez dol. Kościeliską na Tomanową. Wskazywałem przytem na niesłychaną szkodliwość takiego planu dla turystyki górskiej i ochrony przyrody oraz jego absurdalność wobec idei Parku Narodowego, przedstawiłem wreszcie, że z szeregu względów zasadniczych i finansowych nigdy nie będzie można liczyć na zbudowanie dróg jezdnych z polskiej strony przez doliny Pięciu Stawów lub Kościeliską aż na skalne przełęcze. Podczas ożywionej dyskusji przedstawiłem też plan przedłużenia „drogi wolności“ dalej na zachód z Jeziora Szczyrbskiego przez Podbańską i u stóp Tatr wzdłuż wyłotów dolin Raczkowej, Smreczańskiej i Jałowickiej, dalej ponad wąwozem Kwaczańskim w dolinę Orawy, gdzie nastąpiłoby połączenie tej drogi przez szosę Trstena-Suchahora-Chochołów z drogą Witów-Kościeliska-Zakopane. Gdy do tego połączenia dołączymy drogę Zakopane-Łysa Polana-Jaworzyna-Zdźar-Jaskinie Bielskie, to przy należytem rozbudowaniu tych dróg dla ruchu samochodowego otrzymamy wspaniałą szosę dokoła przyszłego Parku Narodowego, która będzie jedną z najpiękniejszych w Europie i będzie się mogła równać ze słynną „route des Pyrenées“. Projekt ten wpłynął na zmianę poglądów na tę sprawę u czynników, grupujących się około „Karpathenpost“. Istnieją także widoki, że zostanie on przyjęty przez sfery miarodajne obu państw, a z tą chwilą zbliży się do realizacji, w myśl zasady, że utrzymanie piękna pierwotnej przyrody Parków Narodowych łączy się ściśle z udostępnieniem i cywilizacyjnem podniesieniem ich podnóża.

Co do innego projektu, wysuwanego przez Karpathenverein, t. j. projektu kolei linowej na Gałuch wraz z obserwatorium na szczycie i budynkami po drodze, należy niestety stwierdzić, że prezydent Karpathenverein, które w roku ubiegłym jakgdyby odstąpiło od tego projektu, ponownie projekt podjęło, przedstawiając go w lecie b. r. czeskosłowackiemu ministrowi przemysłu i handlu Dr. Dvořakowi podczas jego pobytu na południowej stronie Tatr. Projekt ten, któremu stanowczo sprzeciwia się Klub Czeskosłowackich Turystów, jak nas informowano w Pradze, nie ma widoków poparcia czynników rządowych czeskosłowackich, należy jednak z przykrością stwierdzić, że w tej sprawie jak zresztą i innych, pozostających w związku z Parkiem Narodowym, istnieje różnica

¹⁾ Patrz „Karpathenpost“ Nr. 18. Roczn. 49 z dnia 5. V. 1928. Kezmark artykuł p. t. „Die Hohe Tatra als Naturschutzpark“ i „Die Fortsetzung der Tatra-Gürtelstrasse“.

poglądów w ujęciu zagadnienia tatrzańskiego pomiędzy tow. Karpathenverein a Polskiem Towarzystwem Tatrzańskim. Czy czas i wydarzenia przyniosą w tej sprawie zbliżenie się stanowisk obu działających w Tatrach towarzystw, czy też pogłębienie różnic, okaże przyszłość. Stanowisko „Karpathenverein“ zastanawia nas tem bardziej, że najpotężniejsza niemiecka organizacja turystyczna, jaką jest Deutsch- und österr. Alpenverein kroczy od lat wielu, podobnie zresztą jak inne towarzystwa alpejskie zachodnio-europejskie, w pierwszym szeregu ruchu ochrony przyrody oraz rezerwatów i Parków Narodowych.

W każdym wypadku należy stwierdzić, że dzisiaj i od szeregu lat istnieje w sprawach pogranicznych Parków Narodowych całkowita zgodność poglądów pomiędzy P. T. T., a Klubem Czeskosłowackich Turystów, co jest wzmocnione stanowiskiem, jakie w tych dziedzinach zajmuje Asocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycznych.

Ostatni zjazd Rady Asocjacji Słow. Tow. Tur., który odbył się we wrześniu b. r. w Lublanie, był tej jednomyślności słowiańskiego świata turystycznego wspaniałym wyrazem. Na zjeździe tym stwierdzono ponownie, że organizacje turystyczne Polski, Czechosłowacji, Jugosławji i Bułgarii stoją niezachwianie na stanowisku ochrony przyrody i tworzenia rezerwatów i Parków Narodowych, jako najdonioślejszego dzisiaj zagadnienia w turystyce górskiej, wprost zagadnienia jej racji istnienia¹⁾. W podniosłym nastroju uchwalono na zjeździe rezolucje, witające prace nad utworzeniem polsko-czeskosłowackich Parków Narodowych, jako chluby Słowiańszczyzny. Jednym też z najsilniejszych momentów Zjazdu było zawiadomienie Zjazdu przez delegatów Jugosławji o manifestacyjnej uchwale Skupstiny z maja b. r. powołującej do życia trzy Parki Narodowe w Jugosławji, a to w grupie Triglava w Słowenji, masywie Velebitu i na Plitvickich Jeziorach w Kroacji. Prace nad utworzeniem tych Parków na zasadzie ramowej uchwały Skupstiny są w toku, a jak oświadczyli delegaci jugosłowiańscy, co nas też szczególnie ucieszyło, są wykonywane w oparciu o wzory prac naszych nad utworzeniem Parku Narodowego Tatrzańskiego.

Jako dalszy dowód zainteresowania się zagranicy naszymi pracami, przytoczę fakt, że Instytut Międzynarodowy Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów zwrócił się do autora tych słów o artykuł o pogranicznych Parkach Narodowych, który też z licznymi fotografjami został opublikowany w zeszycie Nr. 4 rocznik II z grudnia 1927 r. w „Bulletin des relations scientifiques“, wychodzącym w Paryżu w serji wydawnictw „Bulletins de l'Institut International de coopération intellectuelle“.

Od różnych cudzoziemców, pozostających częstokroć na najwybitniejszych stanowiskach, otrzymaliśmy w dalszym ciągu zapytania o pograniczne Parki Narodowe i dowody głębokiego zainteresowania się naszymi pracami.

Akcja utworzenia Parków Narodowych na innych punktach pogranicza polsko-czeskosłowackiego nie mogła iść intensywnie z powodu nawału prac tatrzańskich.

W grupie Babiej Góry rozpoczął Departament Leśny Min. Roln. prace nad uregulowaniem gospodarki leśnej. Jak wiadomo lasy południowo-wschodniej orawskiej części Babiej Góry należą do t. zw. komposesorjatu orawskiego, w którym rząd nasz ma udział około 25%. W części komposesorjatu, olbrzymio przeważającej, która leży po stronie czeskosłowackiej, Rząd Czeskosłowacki powiększył swój stan posiadania drogą zakupów do 52%, wobec czego generalny zarząd lasów komposesorjatu w Zamkach Orawskich prowadzi już dyrektor z ramienia lasów państwowych czeskosłowackich, a jak nam

¹⁾ Porównaj mój obszerniejszy artykuł w tym tomie „Wierchow“ na ten temat pod tytułem „Ochrona przyrody naczelnem zagadnieniem turystyki słowiańskiej“.

wiadomo, rokowania o nabycie reszty komposesorjatu przez Rząd Czeskosłowacki są w toku. Tem aktualniejszą więc staje się sprawa zakupna również i pozostałych $\frac{3}{4}$ części komposesorjatu po naszej stronie, należących do prywatnych właścicieli, przez nasze lasy państwowe celem ujednostajnienia gospodarki po obu stronach granicy, z czem sprawa utworzenia Parku Narodowego na Babiej Górze ruszyłyby z miejsca.

W Beskidach Wschodnich nie zdołaliśmy z braku czasu doprowadzić w roku bieżącym do oględzin lokalnych terenów na pograniczny Park Narodowy i musimy tę nader doniosłą sprawę odłożyć na lata następne. Na razie ogrom tych gór i okoliczność, że państwo posiada tam wielkie obszary lasów, czyni niebezpieczeństwa i tam istniejące nie tak palącymi jak w Tatrach. Ale i Beskidy Wschodnie, jak o tem do nas wieści nadchodzą, cierpią dotkliwie z powodu nadmiernej eksploatacji drzewostanów, która ogólną falą objęła całe państwo polskie, stanowiąc groźne niebezpieczeństwo dla przyszłości naszych lasów.

Natomiast w Pieninach mamy do zanotowania fakt olbrzymiej doniosłości. Po wieloletnich nader uciążliwych pracach i zabiegach, po przejściu szeregu rozczarowań i klęsk, zdawało się, nieodwracalnych, doszło wreszcie w roku bieżącym na podstawie nowo przeprowadzonego oszacowania do ostatecznego uzgodnienia stanowisk spadkobierców śp. Drohojewskiego i Ministerstwa Rolnictwa co do zakupna przez Skarb Państwa przełomu Pienińskiego i w lecie b. r. odosny wniosek P. Ministra Rolnictwa wpłynął do Ministerstwa Skarbu, oczem po zatwierdzeniu go przez Ministerstwo Skarbu wszedł na Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów, gdzie w dniu 9 listopada b. r. został przy nader życzliwym i pełnym uznania dla doniosłości zagadnienia nastroju pp. ministrów uchwalony. Zaznaczono przytem, że nabycie Pienin przez Skarb Państwa następuje na rzecz Parku Narodowego w związku z celami naukowo-kulturalnymi, ochrony przyrody i turystycznymi. Z utworzeniem Parku Pienińskiego po obu stronach granicy (Rząd czecosłowacki jest właścicielem dwu znaczniejszych partii Pienin po południowej stronie Dunajca), połączy się specjalna umowa polsko-czechosłowacka o Pieninach, oparta na aneksie B) protokołu krakowskiego. Umowa ta jest obecnie opracowywana w delegacji polskiej dla umów granicznych polsko-czechosłowackich przez piszącego te słowa, oraz mjr. B. Romaniszyna, — z ramienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych, działającego przez Referat dla Spraw Komunikacyjnych i Granicznych pod wytrawnym kierownictwem radcy min. W. Łacińskiego. Gdy z delegacją czecosłowacką, prowadzoną przez inż. W. Roubika, współtwórcę i inicjatora sprawy po tamtej stronie, przejeżdżaliśmy Dunajcem we wrześniu b. r. na oględzinach lokalnych celem przygotowania tej umowy, mieliśmy sposobność stwierdzić, że własnością Rządów po obu stronach tej granicy są, względnie będą, najwspanialsze widokowo skały i lasy Pienin, które wraz z cudowną rzeką, przełamującą się w dzikim wąwozie przez skałki, tworzą jedną z największych osobistości przyrodniczych i turystycznych Europy.

* * *

W ciągu tegorocznej kampanji Parkowej byliśmy częstokroć atakowani. Niektórzy zwolennicy ochrony przyrody atakowali nas o ugodowość i miękkość, zbytnie rozdęcie propagandowe sprawy w stosunku do realnych czynów, przeciwnicy napadali nas o przesadę w ochronie przyrody i szkodzenie gospodarce narodowej, lokalni politycy rzucali na nas podejrzenia o ambicje osobiste, spekulanci i niektórzy właściciele prywatni szkalowali nas o interesowność, ludzie nie znający sprawy szerokim chórem wygłaszali o nas pogląd, że jesteśmy faniści marzyciele i ludzie nierealni, którzy z fanatyzmu nie-

dorzecznego zresztą pomysłu chcą „uszcześliwić“ Polskę dziełem nieprzystosowanym do jej ubożego dzisiejszego stanu.

Wśród tego pogłosu, przybierającego czasem fałszywe znamiona „świętego“ oburzenia, prowadzimy spokojnie nasze prace i będziemy je wykonywali dalej według ustalonego programu, który przeszedł już pomyślnie próbę życia. W wytrwaniu na obranej drodze utrzymuje nas fakt, że nikt z krytyków nie daje innego lepszego planu działania, a mimo wszystkich przeciwności akcja nasza przynosi pozytywne wyniki; te zaś zbliżają nas do celu — urzeczywistnienia naszych idei.

Kraków, dnia 10 listopada 1928.

Walery Goetel.

Ochrona przyrody naczelnem zagadnieniem turystyki słowiańskiej. (III. Zjazd Asocjacji Słowiańskich Tow. Turystycznych w Lublanie 1928 r.)

W wesołym nastroju wyjeżdżaliśmy z Krakowa w dniu 23 września b. r. na doroczny trzeci z kolei Zjazd Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych do Lublany w delegacji Pol. Tow. Tatr., składającej się z piszącego te słowa, mjr. Bronisława Romaniszyna i dr. Stolfy¹⁾. Wszak mieliśmy się znowu spotkać z wspólnymi słowiańskimi przyjaciółmi w zbożnej pracy na niwie turystycznej, odświeżyć braterski związek z tymi, którzy swą bezinteresowną pracę oddają na rzecz wspólnych idei.

We Wiedniu spotkaliśmy się z delegacją Klubu Czeskosłowackich Turystów, złożoną z pp. wiceprezesa K. Č. S. T. kons. V. Jenička, skarbnika A. Marek'a z Pragi i dyr. V. Pauliny'ego z Bańskiej Bystrzycy, oraz delegatem K. Č. S. T. z Wiednia p. G. Čížek'em i z nimi razem kontynuowaliśmy podróż przez piękny Semmering na południe. Chmury i deszcze, towarzyszące nam aż niemal do Jugosławji rozeszły się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej w chwili, gdy na granicznej stacji kolejowej Maribor witał nas prezes tamtejszego oddziału towarzystwa Slovenske Planinske Druzstvo, sympatyczny dr. Senjor, z którym też razem pojechaliliśmy dalej do Lublany. Pociąg wpadł w krętą dolinę Drawy. W wąskiej jej kotlinie odsłaniały się nam niespodziane, a coraz to piękniejsze widoki. Zielone masy lasów spływały stromemi zboczami ponad szumiące, spienione fale wezbranej rzeki, z pośród jaskawych plam świeżych, mokrych od deszczu łąk strzelały bystro w górę jasne i ostre skałki, na szczytach gór modliły się białe kościółki, z pośród wąskich dolin wychylały się białościennie, czerwonymi pokryte dachami wsi i miasteczka, — wszystko to rozelśnione w pełnym blasku słońca pod błękitnem, przeczystem wymytem niebem składało się na pełen ujmującego czaru obraz. Gdy zaś wypadliśmy na szeroką kotlinę Lublany, a poza soczystymi łąkami roztoczonymi nad tysiącami zalewami Sawy rozłożyły się pośród mgieł długie pasma dalekich łańcuchów górskich, białych od świeżo spadłych śniegów, zachwycone nasze dusze pozdrowiły z radością drogę nam słowiańskie góry.

Na dworcu w Lublanie powitała nas delegacja towarzystwa Slovenske Planinske Druzstvo z naszym wypróbowanym przyjacielem i znakomitym pracownikiem sekretarzem Slov. Plan. Druzstvo p. Makso Hrovatin'em na czele. Serdecznie witani udaliśmy się na

¹⁾ Prezes P. T. T., inż. J. W. Czerwiński z powodu równoczesnej podróży za granicę nie mógł wziąć udziału w tegorocznym zjeździe Asocjacji.

przygotowane kwatery w czystym i doskonałym pod każdym względem Hotelu Union, aby w czas niedługi spotkać się na powitalnym towarzyskim zebraniu i w długie wieczorne godziny gwarzyć z naszymi przyjaciółmi o wspólnych naszych pracach, zabiegach i troskach.

Dzień 25 września zastał nas przy stole obrad. Obok delegacji polskiej i czechosłowackiej pojawili się przedstawiciele Jugosławii w osobach prezesa Tow. Slov. Plan. Druzstvo Dr. Tomiňšek'a, sekretarza M. Hrovatina, dalej prof. J. Mlakara, inż. Ziernfelda i dr. Senjora, a nadto Chorwatów dr. Prebega, M. Bothe i J. Horvatha, oraz Bułgarij w osobie członka wydziału tow. Bułgarsko Turistsko Druzestvo dr. N. Galcov'a. Przewodnictwo obrad Rady Asocjacji objął dr. Tomiňšek¹⁾, sekretarjat p. M. Hrovatin. Oprócz Członków Rady Asocjacji brali udział w posiedzeniu przedstawiciele władz rządowych i samorządowych Jugosławii, Słowenji i Lublany, jak prezes lublański dr. D. Puc, radca min. handlu dr. Marin, wygłaszając mowy powitalne. Przez cały czas pobytu w Lublanie towarzyszył nam też nader uprzejmie dzielny konsul czechosłowacki w Lublanie dr. H. Fieber.

Obrady toczyły się jak zawsze w rodzinnych językach słowiańskich każdego z delegatów i ponownie mogliśmy stwierdzić, że przy mówieniu powoli i wyraźnie można było zrozumieć każdy język słowiański, szczególnie zaś północni Słowianie, Polacy, Czesi i Słowacy porozumiewali się bez najmniejszych przeszkód z racji nadzwyczajnego podobieństwa swych języków.

Tematem obrad były wszystkie zagadnienia turystyczne, które na poprzednich Zjazdach Rady zebrano w grupy rezolucji, dotyczących ideologii alpinizmu, ochrony przyrody, spraw organizacyjnych, paszportowych i komunikacyjnych, propagandy²⁾. Wśród ożywionych obrad lublańskich zastanawialiśmy się nad tem, co z postulatów tych spełniono, co i w jaki sposób należy zrobić. Ożywioną dyskusję, opracowanie i uchwalenie nowych rezolucji wywołały sprawy zniżek kolejowych dla turystów, unifikacji statystyki, nomenklatury i terminologii z zestawieniem słowiańskiego słownika turystycznego, utworzenie sekretarjatu wykonawczego.

Podobnie jednak jak na poprzednim Zjeździe Asocjacji w Polsce³⁾ osią, dookoła której obracały się tak obrady jak wycieczki zjazdu lublańskiego, prosto centralnym punktem zainteresowań wszystkich uczestników zjazdu były sprawy ochrony przyrody oraz tworzenie rezerwatów i Parków Narodowych. Okazało się ponownie, że rozwój turystyki w krajach słowiańskich podobnie zresztą jak na całym Zachodzie prze w sposób niepowstrzymany w kierunku „ochraniarskim“. Turystyka widzi się bowiem zagrożoną w swem istnieniu przez utratę piękna gór, a z tem podstawy zainteresowania ludzkości górami.

To też na zjeździe lublańskim wszelkie rezolucje z tej dziedziny szczególnie gorąco doznawały przyjęcia. Był to prawdziwy wysiłek delegacji. Z głębokim zainteresowaniem wysłuchano sprawozdań delegatów Polskiej i Czechosłowackiej o dalszych pracach nad utworzeniem pogranicznych Parków Narodowych, poczem przyjęto rezolucję zwr-

¹⁾ Tegoroczny prezes Asocjacji Słow. Tow. Tur. a zarazem przewodniczący związku Savez Planinarskich Druzstava wicemarszałek Skupsztiny dr. Pasarić nie mógł przybyć do Lublany i przewodniczyć obradom, powitał jednak serdecznie część naszej delegacji w Zagrzebiu.

²⁾ Porównaj sprawozdanie p. t. „Asocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycznych“ w „Przeglądzie Turystycznym“, Nr. 7—8, Kraków, grudzień 1927.

³⁾ Porównaj artykuł mój p. t. „Idea łączności wśród turystyki słowiańskiej“, „Wierchy“, tom 5, Kraków 1927.

cającą się do Rządów obu Republik z apelem o ogłoszenie utworzenia Parku Narodowego Tatrzańskiego w 10-lecie niepodległości, jako wielkiego dzieła kultury słowiańskiej, domagano się przyspieszenia prac ustawodawczych. Dla delegacji naszej i czesko-słowackiej szczególnie przytem było przyjemnem, że pozostali delegaci podkreślali z głębokim uznaniem ścisłe porozumienie Polski i Czechosłowacji w sprawach ochrony przyrody, stawiając je za wzór słowiańskiemu światu.

Punktem kulminacyjnym jednak obrad było oświadczenie delegacji jugosłowiańskiej o utworzeniu w Jugosławii trzech górskich Parków Narodowych. Uchwałą ramową Skupsztyny z dnia 20 marca 1928, liczba 28, ogłoszono za Parki Narodowe obszar Triglavu, najwyższej góry Jugosławii (2863 m), świętości narodowej Słoweńców, masywu górskiego Velebit'u w Krasie Nadmorskim oraz Jezior Plitwickich w połudn. Chorwacji. Obecnie pracuje się nad szczegółami realizacji tych Parków, przyczem jak to delegaci jugosłowiańscy dobitnie podkreślali, wzorem dla tych działań są nasze prace nad Tatrzańskim Parkiem Narodowym, a w szczególności protokół Akademii Polskiej i Czeskiej z grudnia 1925 roku. Początkiem zaś całej tej sprawy były poprzednie Zjazdy Asocjacji, w których brała udział delegacja jugosłowiańska, widząc w terenie i na obradach wyniki naszych prac. Pod ich wrażeniem prezes Rady Asocjacji Pasarić jako wicemarszałek Skupsztyny wniósł rezolucję o utworzeniu Parków Narodowych na Skupsztynę.

Z wielkiem zainteresowaniem udaliśmy się też na objęty ramami Asocjacji odczyt o Parku Narodowym Velebit docenta botaniki Uniw. w Zagrzebiu dr. Horvath'a. Już podczas popołudniowych oględzin ślicznej białej Lublany, gdy z góry zamkowej roztoczył się przed nami rozległy widok na zieloną kotlinę Lublany, otoczoną ze wszech stron wspaniałymi łańcuchami alpejskimi, w dyskusji z kolegami jugosłowiańskimi przedstawił się nam obraz trudności zupełnie podobnych, jak te, które są u nas: dewastacja lasów, nadmierne wypasanie, nadmiar obciążeń serwitutowych, krasowacenie terenów wapiennych, zniszczenia przez turystów. Obraz ten w całej pełni wystąpił na odczycie dr. Horvath'a, ilustrowanym licznymi doskonałemi przeżroczami; tu widać było jasno, że ostatni już nadszedł czas, aby imponujący masyw Velebitu, gdzie wśród nagich krasowych skał ocalał do dzisiaj dnia przepiękny pralasz, ocalić w formie Parku Narodowego przed zagrażającą mu zagładą. Według okazywanych nam fotografii i publikacji także Park Narodowy Plitwickich Jezior obejmuje pierwszorzędne osobliwości przyrody: jeziora krasowe z jedynym w swym rodzaju krajobrazem.

Poranek dnia 26 września wstał mglisty, dżdżysty. Gdy jednak opuściliśmy w samochodach Lublanę i po złożeniu hołdu grobowi poety słoweńskiego Prešerena, przez ładny sfalowany kraj dobiliśmy do brzegów Jeziora Bled, powitało nas znowu dobrotliwe słońce. Po wygrzanej spokojnej tafli jeziora przemknęliśmy się łódkami popod skalną ruinę starożytnego zamku na wysepkę, gdzie białe kościółki tonie w powodzi zieleni prastarych drzew. Z wieży kościółka rozległ się wraz dźwięczny głos dzwonka. To delegaci Asocjacji prosili o pomyślność jej rozkwitowi dzwonieniem, które wedle legendy przynosi spełnienie życzeń dzwoniącym.

Po południu udaliśmy się drogą, wijącą się w dolinie Bochyńskiej Sawy wzdłuż rozległych łańcuchów górskich do Jeziora Bochyńskiego, aby z ponad górnego jego krańca wyjść do wodospadu Sawicy, gdzie zaczyna się Park Narodowy Triglavu. Grzmiące fale potężnego wodospadu są godnym wstępem do krainy skał, lasów, jezior, turni i śniegów, które zawiera Park. Obejmuje on ponad 4.000 ha terenu, ciągnącego się w stronę szczytu Triglavu, dalsze jego rozszerzenie jest w planie. Z dumą pokazywali nam koledzy jugo-

słowiańscy osobliwości krajobrazowe i naukowe Parku, z radością w sercu patrzyliśmy na ich dzieło, z naszych blizkich i pokrewnych wynikać prac.

Przechadzka nad Jeziorem Bochyńskim, a szczególnie widok na otoczenie jeziora ukazywany nam z przed jednego z czystych i świetnie urządzonych schronisk tow. Slovenske Planinsko Druzstvo przez nieustrudzonego organizatora Zjazdu p. M. Hrovatin'a, były dla nas znowu przykładem zupełnego podobieństwa zagadnień turystycznych w naszych krajach. Cudowne jezioro zagrożone bezplanowym zabudowaniem jego otoczenia, walka, którą temu niebezpieczeństwu wypowiedziało Slov. Plan. Druzstvo, zakupna terenów nad Jeziorem, — jakże przypominają prace Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z ostatnich lat w Tatrach. W ciężkiej walce, którą toczy Slov. Plan. Druzstvo, pomocą mu jest głęboka miłość do gór słoweńskiego narodu; wyrazem jej jest fakt, że z pośród tej części małego narodu, która została w Jugosławji (1½ miliona Słoweńców żyje w Jugosławji, około milion we Włoszech i w Austrii), znaczna stosunkowo ilość, bo około 20.000 należy do Slovensko Plan. Druzstvo.

Przemile godziny spędziliśmy wieczorem w pokoju klubowym schroniska Sv. Janez naszego bratniego towarzystwa na pieśniach; z nich pieśni słoweńskie wyróżniły się niezrównaną melodyjnością i związaniem z górami.

Cudowne słońce roztopiało następnego ranka zwolna białe opary mgieł i obłoków, zawisłe ponad Bochyńskim Jeziorem i Alpami i ukazało nam w całym majestacie ośnieżoną piramidę Triglava. W przeczystej cichej toni wodnej odbiły się z niezrównaną wyrazistością proste mury i smukła wieżyczka starego wiejskiego kościółka, stróżującego u początku jeziora.

Samochody poniosły nas przez wąską dolinę Stara Fuzina, przypominającą dol. Kościeliską, z powrotem ku Jeziorn Bled, a ztąd doliną Sawy ku północy pomiędzy Julijskie i Kamnickie Alpy. W blaskach słońca złożyły się bujne pęki kukurudzy, suszącej się po żniwach na białych ścianach schludnych domów; drzewa w sadach ugiwały się pod ciężarem owoców. Wysoka cywilizacja, ład i porządek płynęły ku nam zewsząd w tym przeszlicznym kraju. Gdy zaś minęliśmy tętniącą pracą przemysłową i górniczą osady Javornik i Jasenica, a przed oczyma naszymi otwarły się pomiędzy Mojstraną i Krainską Górą wyloty dolin Julijskich Alp, przystanęliśmy w niemym zachwycie.

Ponad lesistymi dolinami zawisły podniebne kotły skalne. Łańcuchy szczytów dolo-mitowych otoczyły je zwartem kołem. Jedne o kształcie przechylonych głów, inne baszty zębate, to znowu wyniosłe piramidy, inne jak koronki dziergane usiane grzbietem skalnych turniczek, a w pośród nich zjawisko niezemskie: grupa Martuljaka. Powyż białe płachty wódczących się mgieł wzbijała się w niebo potężna masa olbrzymów skalnych, a nad skalistą wnęką wyłobioną siłami przyrody ukazał się olśnionym oczom naszym ideał szczytu górskiego, smukły, strzelisty, ostry, w pancerną pionową tysiącmetrową okuty szczyt Szpik.

W chwili, w której objawiło się nam to cudo Julijskich Alp, zrozumieliśmy już do głębi entuzjazm i miłość do swych gór naszych słoweńskich braci.

Serdeczne przyjęcie przez oddział Slov. Plan. Druzstvo w miasteczku Krainska Gora, krótki, ale przepiękny wypad na hale doliny Pisnicy, jak w dolinie Białej Wody zamknięte ze wszech stron ogromnymi ścianami skalnymi i znowu samochody unosiły nas ku wschodowi. W cichej wiosce górskiej Dovje przystanęliśmy na wiejskim cmentarzu. Pod ścianami białego kościółka pochyliliśmy kornie głowy przed grobem wielkiego pioniera słoweńskiego ruchu turystycznego, proboszcza tej wioski ś. p. ks. Aljaž'a. Z fotografii nad grobową płytą wyrzała ku nam dobroduszną uśmiechnięta twarz ks. Aljaž'a.

Oczy tego ofiarnika dobrej sprawy patrzą poprzez otwartą dolinę Vrata na wyniosły szczyt Triglava, któremu ks. Aljaž poświęcił Iwią część swych wysiłków. Dzisiaj mogą spoglądać spokojnie na przedmiot swych najgłębszych umiłowań: w Parku Narodowym Triglavskim zostanie trwale zabezpieczoną piękność najwyższej góry Słowenji.

Na pożegnalnym bankiecie, wydanym tego wieczora przez miasto Lublanę, żywo popłynęła rozmowa z przemysłowymi sąsiadami stołu, a wśród nich serdecznym kolegą, profesorem botaniki Uniwersytetu w Lublanie prof. F. Jesenko o sprawach ochrony przyrody i Parkach Narodowych, których to spraw prof. Jesenko jest gorliwym w Lublanie propagatorem. Wzajemnie wymienione doświadczenia i uwagi utwierdziły nas w świadomości zupełnej analogii naszych prac; wyłoniła się myśl przyjazdu kolegów jugosłowiańskich w Tatrach celem przedstawienia im w terenie naszych prac.

A wreszcie późnym wieczorem spotkała nas jedna jeszcze niezmiernie miła niespodzianka: zapoznanie się z przewodcą młodego pokolenia alpinistycznego Jugosławji, którym jest dr. Tomińšek jun.; spędziliśmy z nim długie chwile na rozpatrywaniu naszych taternickich dążeń. Z zapałem słuchaliśmy opowieści dr. Tomińšek'a o zdobyciach alpinistycznych słoweńskich z ostatnich lat; z pokazywanych nam wspaniałych fotografii ukazywały się jasno trudności dokonanych nowych przejść, dokonanych planowo i systematycznie; wśród nich na pierwsze miejsce wybijają się zdobycie wprost w 36-godzinnej wspinaczce z biwakiem półn.-wschodniej ściany Špika, tej właśnie, którą rano podziwialiśmy i rozwiązanie problemu wyjścia wprost słynną południową ścianą Triglava. Niezmiernie miłe uderzył nas szczery i czysty, jak łąza zachwyty dla gór i gorące umiłowanie przyrody u młodego pokolenia słoweńskich turystów.



Wierch „Špik“ (2472 m) w Alpach Julijskich.

Kiedy 28 września unosił nas znowu pociąg ku północy, a na granicy w Maribor przyjął nas gorąco i gościnnie nasz kochany dr. Senjor z członkami swego klubu, opuszczaliśmy przepiękną ziemię słoweńską z poczuciem, że turystyka jugosłowiańska na dobrej jest drodze, a krocząc dalej pod hasłem ochrony przyrody, najlepiej spełni hasło swego tak słusznego narodowego hymnu: „Lepa naša domovina“ („Piękny jest nasz kraj“).

Kraków, dnia 31 października 1928 r.

Walery Goetel.

Barania Góra i źródła Wisły.

Województwo śląskie różni się znacznie od innych ziem Rzeczypospolitej. Gdy te bowiem mają naogół charakter rolniczy, Śląsk jest krainą wybitnie przemysłową. Pod względem ukształtowania powierzchni, odróżniamy tu dwie strefy: płaską i górystą. Przemysł rozsiadł się w strefie płaszczynowej, tutaj wre ruch i dymią niezliczone kominny fabryk; przyroda i powietrze gór pozostają nietknięte. Położenie takie przedstawia wielkie korzyści, ludność bowiem pracująca ciężko w niehygienicznych warunkach ma tuż pod bokiem góry jako źródło wypoczynku i zdrowia, źródło, z którego korzystać może w dnie świąt i urlopów. Te stosunki wycisnęły swoje piętno na całej turystyce Beskidu śląskiego.

Najpiękniejszą częścią tych gór, to Góra Barania, to źródła rzeki Wisły.

Przez szczyt Baraniej prowadziła niegdyś granica dzieląca Śląsk Cieszyński od Galicji. Granica ta stanowi obecnie granicę między województwem śląskiem a krakowskim. Dawniejsze kamienie graniczne jeszcze dziś sterczą z ziemi, gdzieniegdzie uzupełniono je nowymi. Tędy idzie szlak turystyczny aż do doliny w Szczyrku; za Górą Baranią rozchodzą się boczne szlaki znaczone różnymi kolorami. Gdy tedy wiemy, że Góra Barania leży na samej granicy, łatwo nam będzie odnaleźć ją na mapie. Ale kto nie zna terenu i nie idzie za znacznym szlakiem, ten nie tak łatwo odnajdzie szczyt (1254 m n. p. m.). Barania przedstawia bowiem ogromny kompleks wysoko położonego terenu, o stromo spadających stokach, o nadzwyczaj bujnych lasach, terenu poprzeryzanego licznymi żlebami górskich strumyków, nieraz pokrytego wielkimi bagnami. Wiatrołomy utrudniają często pochód. Przechodzimy przez liczne mniejsze i większe szczyty, granie, przełęcze i kotliny, aż wreszcie dochodzimy do miejsca oznaczonego znakiem tryangulacyjnym (patryją). Tu dopiero jesteśmy na szczycie. Otwiera się przed nami przepiękny krajobraz. Otacza nas istne morze gór, na których zielenią się polany i ciemnieją lasy. Na dalekiem tle nieba rysują się przy pięknej pogodzie Tatry, Babia Góra, Pilsko i inne góry w głębi Czechosłowacji.

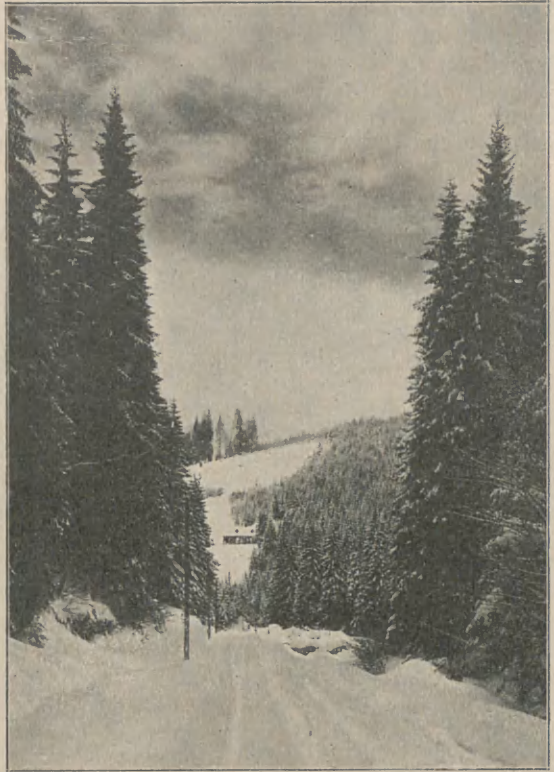
Zajmiemy się teraz samą Baranią. W pobliżu szczytu od południa mamy typowy las wysoko-górski. Stromy drzew są słabe i karłowate, kora na nich stwardniała i popękana, gałęzie nierozwinięte należą do lasu jakby zaniedbanego, zmarniały. Wyrósł on już na granicy leśnego zasięgu, znać na nim wpływy górskiego klimatu. Rzadko tu na szczycie niema wiatru, zazwyczaj dmie silna wichura. Na skraju tego lasu stoi skromny krzyż. Tu zaginął w noc sylwestrową w roku 1926 narciarz, nauczyciel z zawodu. Około nas widzimy kosodrzewinę, limby, te świadki górskiego klimatu i wysokiego położenia. Oddychamy powietrzem świeżem głęboko i lekko i czujemy się pięknie „Bożego ogrodu“. Piramida tryangulacyjna zapisana setkami znaków i nazwisk; tabliczka na niej umieszczona wskazuje drogę do schroniska.

Udajemy się w dalszą drogę. Zeszedłszy nieco ze szczytu mamy przed sobą szlak znaczony biało-czerwonymi znakami. Jest to główny szlak karpacki, idący od Stożka na granicy czeskiej przez Baranią, Pilsko, Babią Górę, Beskid sądecki i dalej na wschód aż do granicy rumuńskiej. Po prawej ręce mamy stromy stok, na którym wytryska kilka źródeł, które tworząc liczne strumyki łączą się wreszcie w potężny górski potok zwany Ślężą. Dolinę tego potoku, zamkniętą stromymi stokami porośniętymi bujnym lasem, zowią Doliną Ślężaków, a jej mieszkańców Ślężakami. Ztąd miał wziąć nazwę cały Śląsk, Ślęża stanowiła ongiś granicę między szczepem Ślężaków a Węgrami, czy innymi szczepami. Po silnych opadach staje się Ślęża groźną rzeką górską. Opuszczając Ślężę idziemy dalej za biało-czerwonymi znakami.

Szlakiem tym, idąc wciąż graniami gór wzdłuż granicy województwa, można odbyć piękną kilkugodzinną wycieczkę aż do góry Skrzycznego, spadającego stromo do doliny Soły w okolicy Żywca. Tej pięknej oraz interesującej wycieczce należy się kiedyś opis osobny.

Zbacając z tego szlaku poniżej szczytu Baraniej za znakami modremi na lewo, dochodzimy do doliny Białej Wisielki. Wiadomo, że Wisła u początku swego składa się z dwóch odnóg: Czarnej i Białej Wisielki. Ze złączenia się dopiero tych obu strumieni powstaje rzeka Wisła. Nazwy Czarna i Biała Wisielka pochodzą prawdopodobnie od ciemniejszego i jaśniejszego koloru wody. Dolina Białej Wisielki jest najpiękniejszą doliną w Beskidzie Zachodnim.

To byłyby dwa główne szlaki prowadzące ze szczytu Baraniej w jedną stronę. Idąc w drugą stronę, po przez partje dziewiczych prawie jeszcze lasów, przez hale i strumyki, dochodzimy do schroniska Górnośląskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Już na kilkadziesiąt metrów od schroniska słyszymy szum potoku; jest to Czarna Wisielka, która płynie tuż poniżej. Gdzie są jednak jej źródła?... Minęliśmy je schodząc ze szczytu Baraniej nie zauważając ich wcale. Nie zwróciło też może naszej uwagi, że droga, którąśmy przeszli, wyłożona jest od miejsca do miejsca dylami, czyli jak tu mówią „wałkami“. Dlaczego? Bo oto prowadzi ona przez moczary i trzęsawiska,



Dolina Czarnej Wisielki.

Zakład fot. Pietznera nast. w Cieszynie.

które zajmują rozległe przestrzenie po obu jej stronach. W przeważnej części są one pokryte mchem i zalesione, dlatego mniej widoczne. Pod mchem znajduje się czarna ziemia borowa, kryjąca szczątki drzew i poprzerastana korzeniami, ulegającymi powolnemu procesowi rozkładu; głębiej, miejscami już od trzech metrów, jest tłusta glina, a pod nią czysty piasek. Teren moczarowaty jest kopulasto wysklepiony. Wykapy i powolne wypływy wody sączą się rozmaitemi wgłębieniami ku najniższemu miejscu kopuły, gdzie



Na szczycie Baraniej Góry.

Zakład fot. Pietznera nast. w Cieszynie.

łącząc się z innymi wykopami tworzą nareszcie strumyk, nazwany Czarną Wiselką. Należałoby go nazwać raczej Żółtą Wiselką, gdyż woda jego jest bardziej brudno-żółta jak czarna. Stoimy tu u kolebki rzeki Wisły, ale o źródle jej lub o źródłach właściwie mowy być nie może. Źródłek, t. j. wypływającej cienkimi strużkami ze ziemi wody, naliczyłem po 10-dniowej letniej pogodzie, w przeciągu dwóch godzin aż 36! Charakterystycznymi dla tej podmokłej okolicy są otulające ją często gęste mgły, nawet wtedy gdy nieco niżej powietrze jest zupełnie czyste.

Czarna Wiselka niema tedy mem zdaniem właściwych źródeł, a powstaje z połączenia wykopów wody sączącej się z mokradeł pod szczytem Baraniej. Poniżej napotkać można często na źródła. I tak wyraźne źródła ma Olza, wypływająca także ze stoków Baraniej w malowniczym położeniu na Ganczorze; Biała Wiselka ma również nieco wyraźniejsze źródło, a raczej źródła od Czarnej.

Schronisko przy źródłach Wisły jest to dobrze zbudowany budynek drewniany. Zbudowano go mniej więcej przed 25 laty, jako domek myśliwski arcyksięcia Fryderyka. Po

wybuchu rewolucji z końcem roku 1918, został on doszczętnie splądrowany i znacznie uszkodzony. Stał tak do roku 1923, w którym to roku zaczęły się zabiegi Górnośląskiego Oddziału P. T. T. w Katowicach o wynajęcie go na schronisko hotelowe. Zabiegi te uwieńczył pomyślny skutek, wnet dokonano robót inwestycyjnych i schronisko zaroilo się licznymi gośćmi, odwiedzającymi je latem i zimą. Księga zwiedzających świadczy o licznej frekwencji i mieści też wiele wybitnych nazwisk.



Schronisko górnośląskiego Oddziału P. T. T. przy źródłach Wisły.

Zakład fot. Pietznera nast. w Cieszynie.

Dochodzi się na Baranią, tak jak i do schroniska, najłatwiej ze stacji Milówka, na linii Sucha—Zwardoń. Ztąd idzie się przez wieś Kamesznicę, wzdłuż potoku Kameszanka. Dojazd jest chwilowo możliwy tylko pod las góry Baraniej, dalsza droga aż do schroniska jest w budowie. Szlak ten, poczynawszy od dworca kolejowego, ma znaki biało-żółte. Dojazd aż pod schronisko mamy z gminy Wisła, wzdłuż rzeki Wisły, a później wzdłuż Czarnej Wiselki. Tędy prowadzi droga bita, dobra dla każdego pojazdu.

Barania obfituje w opady atmosferyczne; są one tu częstsze niż na innych pobliskich górach Beskidu, częstsze może nawet niż na Babiej i Piłsku, które widzimy tak często w mgły otulone. Opady te nasycają rozległe bagna i liczne strumyki o których mówiliśmy wyżej. Opady śnieżne zaczynają się wcześniej, często już w końcu października, są też nader obfite. Gęsty śnieg padający w nocy, zacierza zazwyczaj wszystkie ślady nart i sanek z dnia poprzedniego. Jest tu też prawdziwy raj dla narciarzy. Nie łatwo znaleźć można tak rozległe i dogodne tereny śnieżne. W schronisku przebywa stale instruktor udzielający nauki jazdy na nartach, a w sezonie zimowym odbywa się kilka takich kursów.

Dawniejsze czasy zwiedzanie Baraniej napotykało na znaczne trudności. Odległość od stacji kolejowej i od wsi zmuszała do wyprawy kilkudniowej i wymagającej wielkich przygotowań. Dziś wycieczkę tę można odbyć w jednym dniu bez dużego wysiłku.

Każden Polak, każda Polka, winni choćby tylko raz stanąć u źródła Wisły, zwiedzić tę kolebkę królowej rzek naszych. Zaszczytą ta kolebka stoi na ziemi śląskiej.

Cieszyn.

A. Kęsa.

Za błękitnym nurtem Soły.

Ze Suchej do Zwardonia pojedziem miły czytelniku! Napewno tam nie byłeś, nie spodziewasz się nawet, co to za kraj.

— Żywieccyzna — magiczne to słowo — owiane mocnym^{*} zapachem niezgłębiomych lasów świerkowych, co ciągną się popod widnokregi — beskidzkie Podhale. Nie, będziemy się wdawać w żadne geograficzne rozprawy — dla nas rozpoczynają się już żywieckie dziedziny od Białej, Wadowic, Suchej, Zawoi... Wstępujemy w ich granice i w tej chwili inny zaczyna się kraj — inne życie, inni ludzie, rzekłbyś, że słońce świeci inaczej. Po stokach schodzi zwarty las, w nim się wiją misterne, a cieniste ścieżki, przetykane tu i ówdzie gajownikami — pod horyzontem majaczą śląskie Beskidy.

Wśród niezliczonych grzbietów i grzbiecików, popod zielone przełęcz, wybiegają nagle to kryją się zazdrośnie wśród lasów niezwykle urokliwe doliny, a w wędrowskich po całej tej krainie, towarzyszą często lub jawią się w oddalonych żywieckie „Dunajce“ — Koszarawa i Soła. Ich błękitne wody, z szumem lecące z gór po kamienistych łożyskach, pamiętają chyba czasy bardzo dawne: kiedy były tylko one i las — człowiek zaś siedział jeszcze w dolinach, — kiedy się Piłsko miał żenić z Babią Górą, ale się upił przed ślubem i czapkę zgubił. Wzgardzonego, wzięła sobie za męża Romanka i stał się wieczystym wsparciem ponad żywiecką kotliną. A osamotniona Babia Góra, w dożywotniem panieństwie pędząc lata długie, jeszcze dziś ku Turbaczowi ukradkiem spogląda... Były to wogóle dobre czasy... Gdzieś na Skrzycznem djabli budowali młyn, pod Madohorą — „magłę“ na ludzi. Z pod Romanki wyjeżdżali na smokach czarnoksiężnicy, a w noc świętojańską odkrywały się wszelakie skarby w Beskidzie. — Ale to było drzewiej. — Lata szły i mijały się, a w omszałych puszczech pilszczańskich czy babiogórskich niejednym spróchniały smrek powalił się z głuchym łoskotem o ziemię od tego czasu.

— Zaczem ze Suchej pojedziemy do Zwardonia. — Z okna górskiego pociągu co krótki, miniatury i dyszący parą gotuje się właśnie do wędrowki po ginącym gdzieś w lasach torze, będziemy patrzeć na żywieckie dziedziny, na ciche, ciemnogatowe wierchy, kąpiące się w popołudniowym słońcu, na wielkie wyręby i na wyłożone hale...

Jedziemy. — Aż do Lachowic jakgdyby odprowadza nas wydłużony a stromy Nakamienny Wierch i maleją gwałtownie wody Stryszawy. Sucha znika pośród lasów w kotlinie, a lokomotywa poczyna dyszeć ciężko. Tor wspina się w potężnych zakrętach na graniczną przełęcz w Hucisku, — stłumiony łoskot i szum idzie po lesie, któremu tak dobrze drzemało się w samotności. Z poza niższych grzbietów, dźwiga swój kanciasty łeb Madohora, uosobienie pustki i dzikości. Jej strome stoki porasta czarny i gęsty las, a nad południowymi roztokami przechadza się cisza.

Hucisko to turystyczny klucz do Babiej Góry. Ztąd biegną błękitne znaki przez

lasy, doliny i przełęcz, by wywieźć nas na szczytową halę Mędralowej i pokazać, całkiem już zbliżka, zadumaną królową Beskidu... Wszędzie lasy — nieprzemierzone morze drzew — gdzieś za grzbietem rozsiadło się zatracone od światła miasteczko — Ślemień.

Przykry i nudny pedant powiedziałby, że dopiero teraz, w Hucisku, stoimy u granic kotliny żywieckiej, a wzdłuż Soły pojedziemy dopiero od Żywca; my jednak pominiemy tę uwagę beztrudem milczeniem. Po wyjeździe z Huciska, lokomotywa przestaje hałasować, a pociąg pchany własnym ciężarem, stacza się przez lasy do Jeleśni. Przed oczyma naszymi przesuwają się wytworny szczyt Pilska, co niebieszczeje pod horyzontem i słynie z nieustannych burz i deszczów. Popod stoki jego i popod wyglądający z boku ostry stożek Romanki, wije się szereg przemiłych dolin, a wyżej ponad nimi, zielenią się aż po sam grzbiet, wielkie kobierzyste hale. A gdy od starej gajowni w Gajce wspaniałą aleją leśną pójdziemy na południe, objęje się o uszy nasze potężny szum wody. To huczy po skalnych progach sopotniański wodospad, największy w całym Beskidzie.

Ale nie ma już czasu — lokomotywa nabrała świeży zapas wody i pojedziemy dalej. Góry dokoła poczynają maleć i rzednieć, a kotlina rozszerza się coraz bardziej. Koło toru toczy swe fale Koszarawa, idąc z nami w zawody. Niedługo już jej panowania, — parę chwil jeszcze, a zasili swym nurtem Sołę, by wraz z nią popłynąć przez Mały Beskid w doliny.

Wjeżdżamy na szeroką równię — Żywiec wyrasta przed nami. Dokoła pod widnokrepiem wznoszą się pasma górskie, otaczając swą stolicę. Potężny dzwon Skrzycznego zasłonił swą ścianą śląskie dziedziny i wspiera się kopułą w błękit; — daleko wśród morza szczytów widnieje Barania Góra. Na północy rozłożył się nad dolinami wał Małego Beskidu.

Mamy tu nieco czasu — jeśliś jest towarzyszowi romantyczniejszego usposobienia, to pójdziemy do wspaniałego parku, w którym nie ma ani szablonowych kłębów, ani tabliczek z pouczeniami, a jeśli cię to nie wzrusza — to na słynne piwo żywieckie.

Jeśli jest w Małopolsce jakieś naprawdę sympatyczne miasteczko, to chyba tylko Żywiec. Nie tylko dlatego, iż żydowina tam nie znajdzie ze świecą i dorożki samochodowej, lecz dlatego, że z każdej uliczki i z każdego okna pozdrawia patrzącego któryś z dookołnych szczytów. Z mostu na Sole patrzymy na Babią Górę, która tak bliska wydaje się ztąd, jakby o krok tylko i której kontur niebieskawy magnetycznie działa na każdego przybysza. To też jest to Fudżyama żywiecka — co niedziela i co święto, wyruszają ztąd ku niej wesołe towarzystwa, a w samem schronisku na górze, Żywczaki nadają swoisty ton i wogóle robią fason.

Pozatem jest Żywiec stolicą Oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, którego turystyczne włości ciągną się szeroko i daleko, a kolorowe znaki biegną dziesiątkami kilometrów, aż na Orawę.

Najładniej jest tu w jesieni — gdy na szczytach kłębią się chmury, lub gdy fioletowe omgły przesłaniać zaczynają ku wieczorowi, cały widnokrąg. A gdy nadejdzie zima, czyni się tu „małe Chamonix“ — tylko bez narciarzy. Względnie i ci istnieją także, ale tak na smak, na pokosztowanie.

W jednym skrócie powiedziałem ci już czytelniku wszystko; — nie jesteśmy wszak nudnymi włóczykijami, by z przewodnikiem w rękę obiegać stare kamienie... Wsiądziemy więc napowrót do pociągu i teraz już naprawdę „za błękitnym nurtem Soły“, pomknijemy ku Zwardoniowi. Wjedziemy z powrotem między góry, rzeczną doliną która wciąż się zwężając, wywieździe nas aż na południową granicę. Z Węgierskiej Górki ujrzemy Romankę w całej swej rozciągłości; — jakże zmalała w porównaniu ze śmiałym stoż-

kiem, widzianym z Jelesni. Od tej strony porastają jej ścianę gęste i dzikie lasy, wśród których przebyśnie czasami zielona hala. Wogóle cała ta grupa aż po Pilsko, to kraj niekończących się hal, pełen owczych dzwonek i traw wysokich.

W Milówce powita nas w całej okazałości Barania Góra, prawie zawsze ochmurzona, kapryśniejsza jeszcze od Babiej. W Milówce przypomniał się nam także letnie wieczory, gdy księżyc rozjaśniony wspina się po grzbiecie Zabawy, a tysiąc fal na Sole jakoby żywe srebro wypływa z za dalekiego zakrętu, by roztopić się za nami w ciemnościach. A przejechawszy z kolei i Rayczę, zatrzymamy się dopiero w słonecznej Soli. Jest to przedostatnia stacja i za nią już w górze, za lasami schowany, czeka na nas Zwardoń.

W Soli jest przemile — bezleśne stoki otaczają wieś i wszystko kąpie się literalnie w słońcu. Ztąd ścielą się turystyczne szlaki w najodleglejszy kąt całego Beskidu, ku Wielkiej Raczy. Tu miała istnieć także kopalnia soli, a stara zabita deskami studnia w górnym końcu wsi, jest podobno otworem dawnego szybu. Gdy o zachodzie słońca, cień spłynie w dolinę, wówczas na wyzierającym z za grzbietu potężnym szczycie Muńcuła zapala się zorza wieczorna i jakby płomień różowy ogarnia szczytowe świerki.

Za pół godziny osiągniemy zwardońską przełęcz, na przestrzeni tych kilkunastu kilometrów, pokona lokomotywa ponad sto metrów wzniesienia; to też pracowity jej hałas, rozlega się daleko po lasach. Lasy otaczają nas całkowicie; — po stoku góry, co się tu szeroko rozsiała, wspina się pociąg długą serpentyną; czasem we wyrwie leśnej odstoni się kawałek rzeczki — „zaprane“ wysoko osiedle — jakaś zapomniana dróżka.

Aż dojedziemy do celu... Tu już nie ma doliny, bo stoimy na przełęczy, niema rzeki, bo Soła ztąd właśnie wypływa, jest tylko kilka chałup i will, bo gdzieśby więcej pomieściło się. Jesteśmy już wcale wysoko — 700 metrów. Na stacji kilku letników — celnicy z karabinami — biją dzwonki sygnałowe. Od Czacy wspina się czechostowacki pociąg wyrzucając z za przełęczy czarne słupy dymu.

Jest właśnie zachód słońca; na Sołowym Wierchu leżą już cienie, a szeroki profil Baraniej mętnieje i znika za oparami; na łąkach podnoszą się przeciągłe okrzyki pastusze i niktą daleko po mokrych trawach.

O kilkadziesiąt kroków od dworca przebiega czeska granica, za nią stoi słynna niegdyś gospoda węgierska — „vendeglö“, stary, rozpadający się dom. Mówią ludzie, że niekiedy dusze tych wszystkich cyganów, co tu niegdyś skoczne czardasze wygrywali — schodzą się razem, i wtedy z długiej werandy wybucha na chwilę wrzawa orkiestry, by rozpląnąć się w chłodnych przestworzach nocy.

Kraków.

Władysław Midowicz.

Z ideologii współczesnego alpinizmu.

Gwido Lammer, jeden z najznakomitszych współczesnych alpinistów i ciesząc się między alpinistami niemieckimi wysoką powagą, ogłosił przed kilku miesiącami w czasopiśmie Towarzystwa alpejskiego Niemiec i Austrii (Mitteilungen des deutschen und oesterreichischen Alpenvereins, Nr. 1, 1928) artykuł, który w świecie alpinistycznym wywołał niezwykle wrażenie. Dwudziestopięciotysięczny nakład numeru został rozchwytyany. Artykuł nosi tytuł: „Bezwzględna ochrona pustaci alpejskich“ (Unbedingter Naturschutz des alpinen Oedlandes).

W roczniku IV „Wierchów“ (str. 145 i n.), zdając sprawę ze współczesnych prądów w alpinizmie niemieckim, mówiliśmy o uchwałach Walnego Zjazdu Towarzystwa Alpejskiego odbytego w Toelz w r. 1923 (t. zw. „Toelzer Richtlinien“), zmierzających do zapobieżenia dalszemu przekulturowaniu Alp, a zatem do ochrony świata alpejskiego przed inwazją przemysłu hotelarskiego, komunikacyjnego i t. p. Gwido Lammer idzie dalej; żąda absolutnej nietykalności pustaci górskich, to znaczy strefy wysokogórskiej, wzniesionej ponad strefę w której człowiek ma jeszcze gospodarcze interesa, użytkując lasy i pastwiska.

Charakterystycznym jest wstęp artykułu. Lammer powątpiewa, czy redakcja zechce zamieścić artykuł idący wbrew opinii szerokich mas, — mniema jednak, że użyczenie mu miejsca przyszłe pokolenia poczytają redakcji za zasługę. Snać wszędzie tak samo, w Niemczech jak i u nas, idea ochrony przyrody górskiej zajmować musi jeszcze bojowe stanowisko i apelować do przyszłych pokoleń... Ale również jest znamienne, że redakcja podaje tu przypisek, w którym oświadcza swoją zupełną solidarność z treścią artykułu. Nie znaczy to nic innego, jak solidaryzowanie się z nim większości alpinistycznego świata niemieckiego.

Artykuł Lammera podajemy z nieznacznymi tylko opuszczeniami, gdzie chodzi o sprawy czysto lokalne, lub gdzie autor jest zbyt rozwekły.

Autor zastrzega się, że nie ma zamiaru mówić o ochronie przyrody wogóle. Tam, gdzie człowiek ma gospodarcze interesa, ochrona przyrody ograniczyć się musi do chronienia tego, co bez szkody dla tych interesów zachowane być może, albo też do tworzenia małych rezerwatów, niby muzeów przechowujących pewne osobliwości. Ale pustynia wysokogórska nie daje pożytków gospodarczych... „Pradziadowie nasi omijali ją lekko. Dłaczegoż jednak ich prawniki ciągną do niej coraz to liczniejszą gromadą? Niepowstrzymanie, z siłą żywiołową rośnie przyływ współczesnego alpinizmu. To już nie jakieś szczególne amatorstwo jednostek, ale wewnętrzny tajemniczy rozkaz „przedmiotowego ducha“ (aby użyć terminu Hegla), który opanowuje nas wszystkich. Tysięcznych rzeczy szukają ci i owi turyści w górach, jednego jednak szukają wszyscy i przede wszystkim: uczucia kontrastu z cywilizowaną niziną, tego czegoś zupełnie różnego, owej pierwotności nie okaleczonej przez celowość i pożytkowość człowieka. Któż jest tak tępy, aby nie rozumiał i nie wyczuwał z namacalną rzeczywistością, jaki to bezcenny klejnot dały nam dobroczynne Moce w pustaciach górskich? W ciągu niewielu godzin zostajemy przeniesieni w epokę lodową z jej czcigodną niezmaconą wspaniałością. Kto tu wchodzi, czuje się rzuconym w przeszłość o lat tysiące; siły przyrody panują tu nieskrępowane, pozostawione same sobie, wolne od wszelkich więzów. Co się zwali — leży, uprzątnane chyba przez dzikie wody lub siłę ciężkości. Nic tu nie powstaje na nowo, wszędzie tylko wstrząsający obraz postępującego zniszczenia, — nigdzie śladu przemyślniej ludzkiej celowości. Pomnik to przyrody tak niesłychanie osobliwy i przebogaty w wartości bezcenne dla wrażliwego oka i umysłu, że w tysięcznych pismach nie podobna go opisać i wyczerpać jego znaczenia dla duszy ludzkiej. Któż jest tak dziecinny lub takim parweniuszem, aby czuł niezmacone zadowolenie, gdy człowiek swoją techniką i swoją maszyną przyrodę ujarzmił i znieprawia? Któż nie widzi, że przy tem niszczonej bywa conajmniej tyleż wartości estetycznych i duchowych, ile powstaje wartości użytkowych? Któż jest tak gruboskórny, aby nie odczuł dreszczów zachwytu wobec niezastąpionej niczem piękności takiej właśnie nieokiełzanej, nietkniętej przyrody pierwotnej, kogoby nie przejęło wobec niej uczucie czci i podziwu silniejsze niż wobec czegokolwiek innego w życiu dzisiejszem? Boć człowiek dolin, w swej krótkowzrocznej

zarozumiałości na swoje sztuczki techniczne i swoją — ach! jakże ograniczoną — wiedzę, wytrzebił z serca uczucie czci i podziwu, ów najsilniejszy węzeł łączący go z wszechmocą Praróżdła bytu.

Z tego jednak wynika: my dzisiejsi nie mamy prawa ten powierzony nam klejnot niszczyć, winniśmy go nienaruszonym przekazać naszym potomkom. Jeśli przeto podnoszę tu hasło absolutnej ochrony pustaci alpejskich, to podnoszę postulat głęboko etyczny, postulat przyszłej, prawdziwej kultury; ze względu na nas samych, a bardziej jeszcze ze względu na przyszłe pokolenia, niewolno nam niszczyć dóbr duchowych, których właśnie człowiek wysokiej cywilizacji niezbędnie potrzebuje, jako środka ochronnego przeciw temu, aby nie zwyrodniał w proste go niewolnika komfortu i maszyny, ale aby pozostać — lub odrodzić się na nowo — pełnym człowiekiem“.

...„Z całą stanowczością należy podnieść hasło: przyroda alpejska musi pozostać czystą, względnie musi być napowrót oczyszczoną. Co przez to rozumiem, to chcę otwarcie wypowiedzieć, choćby nawet dziesiątek tysięcy czytelników miał się oburzyć, boleśnie jęknąć, albo szyderczo się roześmiać: tam w górze, w pustaci alpejskiej, niema miejsca dla jakiegokolwiek dzieła ręki ludzkiej, jakiegokolwiek kolei, gościńców czy dróg, mostków, drabin, stale przytwierdzonych lin, łańcuchów, klamer, kutyh stopni, pierścieni i haków, — jakichkolwiek drogowisków, tablic, napisów, — jakichkolwiek znakowań wszelkiego rodzaju, jakichkolwiek gospód czy schronisk, koleb albo sztucznych grot, jakichkolwiek kapliczek, figur lub krzyży, chorągwi, godeł państwowych, znaków granicznych, — jakichkolwiek pomników lub tablic dla ofiar nieszczęśliwych wypadków, jakichkolwiek urządzeń (tych pomników próżności!) do zapisywania nazwisk odwiedzających szczyty i zabazgrywania kamieni nazwiskami. Żadnej rośliny niewolno zrywać ani wykopywać, żadnego zwierzęcia zabijać ani łowić. Że dla poważnej nauki mają być uczynione wyjątki — rozumie się samo przez się; dlatego nie poruszam tu wcale kwestji znaków mierniczych ani obserwatorów wysokogórskich. Bo, przyjmijmy — czego się spodziewam i co uważam za możliwe — że radykalna ochrona przyrody stanie się dla przyszłych pokoleń takim kategorycznym moralnym nakazem, że ją wypowiedzą w ustawach, to wtedy pokolenia te niewątpliwie z gotowością oddadzą nauce to, co jej należy.

Jeszcze raz trzeba z naciskiem dwie rzeczy zaznaczyć: 1) Wszystko to odnosi się tylko do właściwych pustaci, nie dotyczy zaś kolei, dróg, budowli, drogowisków etc. w strefie niższej. Również nie rażą hotele lub schroniska obok odwiecznego typu szałasów, jeżeli na równi z niemi nie narzucając się zlewają się harmonijnie z krajobrazem, który, jak pamięć ludzka sięga, nigdy nie był zupełnie dziewiczym. 2) Również i w niższej strefie ochrona przyrody jest konieczna, lecz nigdy nie może być bezwzględna; ważne słowo mają tu cele pożytkowe człowieka. Tam wysoko jednak, w pustaciach, gdzie dotarł wyłącznie tylko alpinizm i gdzie tylko on krótkowzrocznie gwałci przyrodę, gdyż nie pojął bezcennej wartości jej dziewictwa, tam nie możemy ani my, ani nasi następcy, zadowolnić się kilku „parkami natury“, rzuconemi jakby psom żebrzącym odczepne ochłapy; wszystkie wysokogórskie pustacie muszą pozostać, lub stać się na nowo, olbrzymią, wspaniałą strefą ochronną.

Z wieloma z tych „skrajnie konserwatywnych“ żądań zgodzą się po pewnem wahanu naogół wszyscy alpinistycznie czujący czytelnicy, jeśli tylko mają zrozumienie dla wysokiego duchowego dostojęstwa pustaci górskich. Przejęci poczuciem ich niezastąpionej wartości dla człowieka dzisiejszego i jutrzejszego, żądać muszą oddalenia od nich wszelkich śladów ludzkiej próżności i bezwzględnej ochrony ich świata zwierzęcego

i roślinnego. — Niema tam również miejsca dla ludzkich pomników. Czy szczyty na których praktykuje się najczęściej wspinaczka, mają robić wrażenie cmentarzy, wypełnionych tabliczkami poświęconemi pamięci zmarłych? Czemże jest znikome imię jakiejś jednolitej jętki ludzkiej wobec potęgi żywiołów?!

Wielu też przyzna, że godła stronnictw, znaki graniczne lub sztandary państw i narodów są sprzeczne z duchem wieczystości wyżyn. Choćby i o wysokie ludzkie cele chodziło, to przecież wszelkie społeczne spory pozostaną efemerydą. Gdy dla jednostki jej państwo, jej narodowość — i słusznie — są świętością, to czyż nie uczy historia, że państwa w ciągu wieków ulegają przemianom i przemijają, że każda narodowość po upływie kilku tysięcy lat albo przestaje istnieć, albo przez ewolucje językowe lub pomieszanie ras staje się czemś nowem (np. Holendrzy, Brytyjczycy, Amerykanie). Aliści ze szczytów staczają się tysiąclecia niby krople dżdżu spływające ze skrzydeł łabędzia! Wprawdzie poucza nas wiedza, że i góry nie są wieczne, że przemijają i powstają od nowa. Lecz mierzone ludzką miarą unoszą się ponad czasem i ponad wszelkimi przemijającymi sprawami ludzkimi. Dlatego istota pustaci górskich nie jest ani państwową ani narodową. Nie jest jednak także międzynarodową. Bo powierzchownem jest zarówno nazwanie pustaci alpejskich, tych krain bezpańskich, francuskiemi, włoskiemi lub austriackiemi czy tybetańskimi, jak dziecinną pretensją „ludzkości“ oświadczającej: „góry są moje i mogę niemi rozporządzać jak memi bryłami żelaza lub betonu“. Gdy całkowicie wniknąć chcemy w istotę tych wyżyn, musimy myśleć kosmicznie. Góry są kolumnami świątyni Bóstwa, i do tego świętego chramu, do sfery wolnej, dziewiczej natury, wstępujemy jako zaproszeni goście, — a tam, na wysokościach, oczekują po nas czci dla tego miejsca świętego i obowiązującego w niem zachowania się. Tandetę naszej przemijającej cywilizacji mamy zostawić przed progami — i pochylić czoła.

Wrażliwi odczuwają również, że wszelkie wyznaniowe emblematy istotę i rytm dzikiej przyrody zakłócają. Krzyż, ten symbol bezbrzeżnego, ofiarnego ukochania ludzkości przez Ukrzyżowanego, jak i ślepej nienawiści oprawców, przemawia językiem obcym językowi żywiołów, któremu obce jest wszelkie ethos; góry są poza wszelką granicą dobrego i złego, nie znają zmiłowania, ani miłości, ani nienawiści.

Na tych punktach tedy mogliby miłośnicy gór się porozumieć. Dopiero tam, gdzie idzie o kolejki górskie i drogi, conajmniej o zabezpieczenia i szlakowania, a zwłaszcza o schroniska na pustaciach — tam dopiero podnosi się burzliwy sprzeciw. Wielu z pomiędzy turystów gotowo, zanim drugi kur zapieje, zaprzecić się swoich najlepszych uczuć mówiąc: „wcale nam nie chodzi o pierwotność, nienaruszalność przyrody, ale o szybkie dostanie się bez przeszkód na jak największą liczbę szczytów i o niezmacone poczucie wygody także i w czasie naszych górskich wycieczek. Zdobywszy współczesnej techniki witamy wszędzie życzliwie, nawet i tam, gdzie nie są stylowo przystosowane“. Kto tak mówi, zapoznaje i zagłusza swój własny głos wewnętrzny.

Kaysersling w swem małym lecz rozległym horyzonty ukazującym piśmie „Świat, który się rodzi“ powiada, że dziś opanował wszystko typ szofera, t. zn. człowiek użycia i dziecinny wielbiciel naszej technicznej cywilizacji. Lecz nie wypowiada tego jako oskarżenie, nie widzi w tem wzorem Spenglera upadku zachodniej kultury, lecz sądzi, że ten tak całkowicie płytki człowiek, ten typ szofera, jest w stanie wydać ze siebie nieoczekiwane piękną kulturę wewnętrzną; dziś zdaje się stać no rozdrożu. Zaiste! I ja jestem dzieckiem tego 19-go stulecia, które wszechwzycięzka technika stworzyła, i nigdy się tej mojej matki nie zaprę. Lecz, tylko maszynami, tylko szoferami, nie wolno nam być; także i 18-ty wiek żyje w nas jeszcze, żyją stare russowskie uczucia. Musimy i w du-

szy naszej i w zewnętrznym świecie wyznaczyć kulturze granice. I nigdzie o to łatwiej jak w górach, gdzie ta granica już od tysięcy lat istnieje; tam w dole, poniżej hal, tam niech panuje użytkowość, tam niech przewodzi celowość, — w górze jednak, w puściach, niechaj święta odwieczna bezcelowość, ten wspaniały tygrys, przeży się swobodnie, tak nieokielzany jak był od wieków. A człowiek, który się doń zbliża, niech to czyni ze czcią, a nie — gwoli swego bezpieczeństwa i wygodniostwa — pęta go i zamyka za kratami swej klatki.

Trzy są fałszywe bałwany, którym cześć oddają nasi współcześni a także wielu alpinistów, i na których ołtarzach spalają oni najwyższe wartości: wygodnictwo, manja masowości i zysk. A przeciw tym fetyszom tak trudno walczyć! Dawny alpinista musiał każdą wycieczkę przygotować tak starannie, jak gdyby chodziło o podróz do bieguna i zapracować ją w trudzie; dlatego też pozostawała w jego pamięci głęboko jako coś niezrównanego i jedyne, jako przeżycie wewnętrzne. Dzisiaj można trudną wspinaczkę urządzić sobie jako przedobiedni spacer, tak sobie, mimochodem. A że wartość poszczególnych wyczynów tak zbladła, musi ją masa zastąpić: dzisiejszy turysta stał się pozeraczem szczytów.

Ale kto w czasie dwutygodniowego urlopu połknie jakich dwadzieścia szczytów, kto przy pomocy wysokogórskich schronisk, ścieżek, klamer i t. p. wyludzi od przyrody swoje masowe zdobycze, tego dusza zaprawdę przeżyła i przyswoiła sobie o wiele mniej, niż gdyby był trzy szczyty na dawny, rzetelny sposób walki, cał po cału zdobył i odczuł. Po dwu latach będzie sobie zaledwie mógł przypomnieć, co tu lub ówdzie szczególnego widział lub odczuł, tak ubogą i pustą pozostała dusza jego po tych wyścigach po sztucznie obłaskawionych szczytach. Czy ta manja masowości rzeczywiście zasługuje na to, by dla niej przyroda beczeszczoną była coraz nowemi sztucznemi udogodnieniami? Przeczytajcież sobie w dawnych opisach, jak bogatymi i szczęśliwymi stawali się ci entuzjastyczni miłośnicy gór, właśnie przez swe ofiary, trudy i niebezpieczeństwa, któremi okupywali swój cel upragniony. Jeśli nawet turystyka w dobrym dawnym duchu wymaga więcej czasu, trudu i kosztów, to przecież każde przeżycie które przynosi, równoważy cały tuzin zbyt łatwo zerwanych owoców.

„Drogi i szlakowania zapobiegają stracie czasu i niebezpieczeństwu błędzenia“, wołacie wy. Kto w pozbawioną ścieżek dziedzinę wkracza, niech się wżyje, wmyśli, wpatrzy, wczuje w ukształtowanie, w topografię tej krainy, w morfologję właściwą tym utworom skalnym czy tym lodowcom i polom śnieżnym. W ten sposób zdobędzie stopniowo ten cudowny instykt górski, który go i we mgłę nie zawiedzie. Obserwujcie wasz własny sposób myślenia, jak różnie jest nastawiony przy samodzielnem wyszukiwaniu ścieżki (choćby nawet przy korzystaniu z jakiegoś topograficznie dokładnego opisu) z jednej strony — a przy trzymaniu się znaków, z drugiej. Tu trzeba zamiast w naturę, wnikać w — częstokroć mocno zygzakowatą — logikę farbochłapy, tak nieinteresującą a często tak irytującą. A przytem burzą i gwałcą jaskrawe farby jak i drogowskazy szlachetną harmonję owej pustyni z epoki lodowej.

Współczesne hotelowe schronisko zmienia w sposób świętokradzki przez swój ruch całą postać okolicy. Na zatraconych głaznych odludziach widzi się milami łopoczące na wietrze białe piernaty i wszelaką bieliznę. Karawany tragarzy lub zwierząt jucznych wspinają się przez pustynię bez przerwy coraz wyżej, dźwigając prowianty, — jaskrawe smugi lamp łukowych wdzierają się w mroki górskiej nocy, — jarmarczny zgiełk rozdziera górska ciszę. Jakże gorzki ból przesywa pierś miłośnika gór, który szczególnie uko-

chawsky jakiś dziki zakątek wyżyn, znachodzi go przy ponownych odwiedzinach w szponach eksploatacji, zamieniony w karczmę!

W czym sercu żyje ideał nietkniętej dziewiczej pustaci, tego najbardziej rażą schroniska szczytowe (np. na Hochkönig), które zupełnie uniemożliwiają objęcie całkowitego dookólnego widoku. Wstrętne żelazne linami wpija się natrętna budowa w ciało skały; wygląda to tak jakby arogancki ludzki karzeł naszych czasów niby czupurny krawczyk wywałął język przed olbrzymem, potęgą burz stawiającym czoło: „a widzisz, moje maszynowe liny są jednak silniejsze od twoich wichrów!” — Z kuflem w rękę wychodzą ludzie naprzeciw wieczornej zorzy: „Twoje zdrowie, słonko; ale zwijaj się trochę z tym zachodem, bo mi tam wystygnie mój sznycelek!” — Albo owe wiatrochronne budy na niektórych szczytach, aby się spoceni filistrzy-piwoosze nie „pozaziębiali!” Najwstrętniejsze z tego rodzaju wrzodów szczytowych spotkałem na Tryglawie: budkę szyldwacha z grubej blachy (!); — nie wiem czy stoi tam jeszcze jako pomnik najobrzydliwiej szafibonej kultury.

Czy góry nasze muszą rzeczywiście być zdane na samowolę każdej, choćby dobremi chęciami ożywionej lecz uczuciowo stępięnej jednostki lub stowarzyszenia, którym się spodoba wprowadzić jakieś nowe plugastwo w powyższym rodzaju? Całkiem dobrodusnie uważają się tacy gwałciciele stylu gór za dobroczyńców ludzkości! Czyż nieskałana przyroda i jej ochrona nie jest tysiąckrotnie cenniejszą od tego uprzykrzonego kramarstwa? Nie my, chorążowie bezwzględnej ochrony, jesteśmy nihilistami, — tamci to ludzie są prawdziwymi burzycielami i barbarzyńcami. Kto tę obrzydliwą tandetę zniszczy, ten odbuduje najwyższe i najczcigodniejsze wartości.

A teraz najpotężniejsze i najzachłanniej bożyszczce: mamona! Większość sądzi że gdzie chodzi o święte zyski jednostki, tam muszą zmiłknąć wszelkie idealne względy. Ja zaś tuszę że ten bałwan jeszcze srodze znaje. Największym błędem turystycznych zrzeszeń było, że dopuścili do tego, że alpinistyka stała się złotodajnym interesem. Jużci że aby to mniej brudno wyglądało, zastania się to względami na interes ogółu, lub ludności górskiej zainteresowanej we frekwencji przybyszów — i sądzi się, że to wystarczy dla uszlachcenia czy usprawiedliwienia wszelkich gwałtów popełnianych na przyrodzie. Lecz sprawa ta ma się bodaj inaczej: prawdopodobnie tak swoi jak i obcy niezadługo zwrócą się właśnie najchętniej w okolicę wyżyn całkowicie nie splugawionych. Wprawdzie aż do wrót gór chętnie przejdą po dobrej drodze lub dadzą się podwieść koleją czy samochodem, dalej jednak zechcą, choć w mozołe i niebezpieczeństwie, wejść w zachwycie w święty chram nieuczłowieczonych pustaci, aby podziwiać ten nigdzie indziej na ziemi nie spotykany klejnot.

Tu mogliby mi wrażliwi czytelnicy rzucić pytanie: jakże się przy tem wszystkim ma rzecz z samotnością wyżyn? Zapewne: tam na wyżynach, móżd być samemu z sobą (zupełnie samemu, nie w dwoje i ustawicznie szwargocąc!), jest to wielkiem i rzadkiem dobrem dla duszy nieszczucha. Ale „nietkniętość“ a „samotność“, to są rzeczy całkiem różne. Jakże to? Czy nie jest absolutnie samotnie na księżycu lub na bieżunach? Ale ta samotność jest tak jakby jej nie było, gdyż niema tam istoty duchowej, która by ją jako przeciwieństwo pojęła. Kto prawi o samotności, ten sam siebie oszukuje, nie uważając nigdy siebie samego, ale drugich za winnych zakłócenia tej samotności. A kto wymaga samotności w górach, ten chciałby sam dla siebie i swego ciasnego koła, jako prawdziwych arystokratów uczucia, zachować góry, pozostały zaś „tłum“ zdala od nich trzymać. Taka pretensja nie da się utrzymać. Jakiemże prawem ty właśnie powołujesz się na jakieś, jakoby tobie tylko właściwe szlachectwo uczuć, i sądzisz, że wolno

ci wszystkich innych, jako mniej wartościowych wykluczyć? Jeśli się cieszymy, że coraz liczniejsze zastępy naszego ludu dusze swe oczyszczają z pyłu przyziemnych celów i trosk codziennych w ożywczej krynicy gór, to musimy po części zrezygnować z samotności. Tylko częściowo! Każdy turysta wie, jak łatwo znaleźć w górach samotność, jeśli się tylko unika modnych okolic a zwłaszcza modnych sezonów. Masy mamy wychować w duchu gór — to ma być dziełem stowarzyszeń. Gdy na wolnych wyżynach obok mnie inni ludzie utoną w niemym zachwycie dali, to nie uszczkneł mi nic z błogości mej szczytowej godziny; przeciwnie gdy mlaskają językami albo plotą o rzeczach trywialnych, sadzą się na dowcipy, lub nieproszeni objaśniają nazwy dookólnych widoków.

Czyż jestem tak naiwny, bym sądził, że jeden artykuł w „Wiadomościach“ wystarczy, aby od razu wszelkie poręcze i łańcuchy usunięto, wszystkie w pustaciach przeprowadzone drogi i koleje zburzono, wszystkie schroniska i budowle, które wtargnęły zbyt daleko w strefę wyżynną — zwyczajnie szczególny przedmiot dumy i umiłowania sekcji i towarzystw — zniesiono? Nie! Ale to wiem, że w sercach jakich dziesięciu tysięcy żyje gorąca tęsknota za zupełnie nietkniętą przyrodą, że każdy nowy zamach na ich górską duchową ojczyznę głęboko ich rani. Przeczuwam, że w stu tysiącach zbudzi się drzemiące dotąd jeszcze pragnienie posiadania schronienia, do któregoby uciec mogli z coraz banalniejszego świata interesu i maszyny. Pewnego zaś niedalekiego poranku w miljonach — także i nieturystów — przemówi sumienie kultury i ze wstydem przyznają, że trwonią jeden z najkosztowniejzych nigdy niczem niezastąpionych skarbów, Boże dziedzictwo przyszłych pokoleń, gwoli swej wygodzie i gwoli zyskowi jednostek. Niezawodnie że panoszy się dziś jeszcze na ziemi ów „typ szofera“, którego tak trafnie dojrzał Kaysersling, a który bezkrytycznie uwielbia technikę i „modny komfort“. Ale niemniej w ciągu jednej nocy może dusza współczesna uleść głębokiej przemianie, gdy w jej wnętrzu obudzi się cześć dla tego, co pierwotne, samotwórcze. My starsi przeżywaliliśmy ze zdumieniem takie błyskawiczne przeistoczenia w duszach zachodnich ludów, np. zjawisko nagle na wzór lawiny powstałego sportu, zjawisko przełomu w stanowisku kobiety i t. p.

Daleki jestem od faryzejskiego zrozumienia, jakobym lepiej pojmował lub subtelniej czuł od innych, ja, który aż nadto często błądziłem w ciemności, zanim otworzyły mi się oczy na wielką całość. Niegdyś bazgrałem czerwoną farbą nowe ścieżki skalne, zostawiałem pamiątkowe flaszki na zwycięsko zdobytych szczytach, jako młody kogucik wypiewałem i wykrzykiwałem mój animusz w ciszę górską; — było, że w mniemaniu, iż niczem lepiej nie wyrażę czci kobiecie uwielbianej, ofiarowałem jej bukiet szarrotek i storczyków — co więcej w pewnym starym czasopiśmie alpinistycznym zalecałem niegodnie, aby zabezpieczyć zachodnią grań Wenedigera i aby rokrocznie dla wygody turystów rozsadać prochem jego szczytowe nawisy. Przed 40—50 laty nikt nie przypuszczał, że „uprzystępnianie gór“ znaczy tyle co z dnia na dzień je banalizować. Dziś oczywiście leży to już jak na dłoni. Gdy jednak kiedyś powstanie silny, zgodny prąd kulturalny, wówczas nie będzie rzeczą zbyt trudną ponowne oczyszczenie górskich pustaci.

Idealizm, do którego ja dziś, jako wołający na alpejskiej puszczy, wzywam, jest nienagannie etyczny; gdyż ci „naprawiacze świata“, którzy go głoszą, zaczynają od siebie samych: dobrowolnie obarczają się oni niewygodnym dźwiganiem namiotu i prowiantu, spaniem w namiotach lub dłuższymi pochodami i wcześniejszym wstawaniem; wyrzekają się dobrych dróg, sztucznych stupai, maszynowych zabezpieczeń (lin drucianych i włas-

nych haków) a tem samem może i dróg, które im są za trudne. Nie pozostawiają resztek posiłków ani odpadków na miejscach widocznych, zacierają wszelkie ślady swego tam pobytu, szanują ciszę wyżynnych pustaci jako cenne dobro, tłumią w sobie dziecinny popęd wydzierania kwiatów z terenu swych zmagai, strącania gałązów lub stawiania z nich kopców, lub narzucania się ze swem marnem nazwiskiem potężnej przyrodzie.

Oczywiście, że tu znowu rzuci mi się pod nogi ów najmarniejszy z zarzutów: „wszak najważniejszym jest, by wszyscy starcy i ułomni dostać się mogli wszędzie na szczyty, — przecież przedewszystkiem dla nich powstał alpinizm!“ Bardzo dobrze! czyż niema dosyć gór niższych w strefie polan położonych, z wyciągami i wygodnemi drogami, jak Raks-alpe, Gaisberg, Schaffberg, Rigi i wiele innych, na których starzy i niedoleźni mogą rozkoszować się pięknosciami niezliczonych widoków? Jest jeszcze tysiące łatwych szczytów i bezpiecznych wyjść dostępnych dla zdrowych ale bojaźliwych ludzi. My starzy mężnie znosiliśmy do tej pory nieszczęście, iż nie możemy się dostać wyciągiem na Everest i możemy też przeboleć i brak kolejki na Meije, jak i zrezygnować z zabezpieczeń na Dent du Géant... Wstyd jest być zmuszonym walczyć z taką przewrotną sofistyką, z poza której tylko własna niemoc sofisty wyziera.

Jużci nikłą jest moja nadzieja nawrócenia tych, co się postarzel i zaskrzepli w tym szale udostępniania, i którym miłsze są ich schroniska, ich wyciągi linowe, ich znaczone ścieżki, od gór samych. Lecz zamiast prowadzić z nimi bezpłodne walki piórem, wołam ponad kiwającemi głowami panów Bądźcobądź, p. dr. Jednakowoż, p. radcy Ale-ale ku wam bracia duchowi, ku tobie młodzieży: wy, których najpiękniejszym przywilejem jest nie myśleć zapomocą „gdyby“ i „ale“, lecz bezwzględnie myśleć, czuć i żądać, dźwignijcie ten nieskalanie biały sztandar bezwzględnej ochrony pustaci górskiej wysoko!

Wy zaś słabi, potulni i ustępliwi, posłuchajcie niedawnej a prawdziwej historii... Z początkiem lat siedemdziesiątych zeszłego wieku, w czasie najwyższej gorączki spekulacyjnej, chciała pewna grupa spekulantów, silna finansowo, znaczną część naszego Wienerwaldu wyciąć, a potulni wiedeńscy powiedzieli sobie: „ha! trudno, niema rady“. Ale powstał jeden jedyny mąż: Józef Schöffel; — nie był on demonicznie porywającym mówcą, nie był wymuszającym posłuch dyktatorem, nie był przerastającym swój czas geniuszem, ani prowodyrem partyjnego stada, — był tylko prosto myślącym człowiekiem szczerych uczuć i świadomej woli. Jako samotny idealista wystąpił przeciw szalejącemu wokół „duchowi czasu“ i ujął go silnie za rogi. A oto swemi niewyszukanemi słowami wzniecił niepowstrzymany pożar w sercach milionów — i ocalił ten wspaniały klejnot przyrody dla niezliczonych rzesz potomnych.

Zatem bacź, dzielna młodzieży! Nie istnieje żaden duch czasu, ani żadne niezwalczone okoliczności; są to tylko przez nas samych stworzone fetysze i nasze własne słabości. Ale jasno patrząca, śmiało idąca do celu mniejszość idealistów, może zdobyć to, co uchodzi za niemożliwe i może w krótkim czasie świat na głowie postawić. Po niewielu latach, ty młodzieży, będziesz tworzyć prawa i władczo stanowić, co jest prawem i co prawem być ma. Wymagaj bezwzględnie — i wierz w swoją moc!“

(Przełożyła Józefa Abramowicz).

* * *

Przytoczyliśmy artykuł Lammera niemal w całości nie dlatego, aby zawierał jakieś rewelacje; u nas te same idee datują od czasu pamiętnej walki przeciwko kolejce na Świnnicę, potem — przez lat z górą 15 — zastępywane były przez Sekcję Ochrony Tatr Wierchy VI.

P. T. T., a ostatnimi laty skryształizowały się w projekcie Parku Narodowego Tatrzańskiego. Także i argumenty Lammera — pomijając niektóre nieco paradoksalne i nie trafiające w sedno rzeczy — nie są dla nas nowe. Ale cennem jest dla nas znalezienie sprzymierzeńca w jednym z najznamienitszych alpinistów i czołowych reprezentantów jednego z najpoważniejszych towarzystw alpinistycznych świata. Poza tem jednak artykuł Lammera interesującym jest psychologicznie. Autor należy do najwybitniejszych przedstawicieli tego alpinizmu, który na Zachodzie — zwłaszcza we Włoszech i Francji — nosi — mało sympatyczną — nazwę „alpinizmu akrobatycznego“. Wyczyny jego na polu wspinaczek są pierwszorzędne. Otóż ten kierunek chorzeje często duchowo; góry stają się dla niego martwym aparatem gimnastycznym, ich wartości duchowe przestaje on rozumieć i o nie się nie troszczy. Rekord i połączona z nim reklama własnego reklamiarstwa staje się celem wyłącznym wypraw. Powstaje cała scholastyczna wiedza, naszpikowana nazwiskami, chronologią, warjantami wyjść etc. Zalewowi gór przez gawieź łązików, chodzących dla konkokcji żołądka, dla towarzystwa, dla zmiany scenerji flirtu i dla mody, odpowiada podobnyż zalew bezdusznych „akrobatów“, roszczących pretensję — i to wyłączną — do miana „taterników“. Zjawisko to staje się tak pospolitem, że niekiedy zdaje się jakoby wspinaczkowy alpinizm był wogóle identyczny z tem wszystkim. I oto wspinacz pierwszorzędny ogłasza dwa manifesty: jeden przeciw rekordowemu reklamiarstwu i scholastyce ezoterycznej „wiedzy“ akrobatyzmu, oświadczając się za ideologią Mallory'ego¹⁾, — drugi wypowiadający poważną troskę o duchowe wartości gór, zagrożonych przez zalew elementu — w duchowym znaczeniu — „dólskiego“. Dwa pasorzytnice narodziła na ciele gór — bezduszny akrobatyzm i burżujskie łązikowstwo — w manifestach tych są z całą siłą głębokiej miłości i tęsknoty ku czystej strefie wyżyn napiętnowane. — Słyszmy głos starego orła alpejskiego.

A. kto by nie odczuł duchowej głębi tego głosu, niech go posłucha w świetle kontrastu...

Oto inny głos — modernistycznego „taternika“ (Ilustr. Kurjer Codzienny z dnia 25 września b. r.):

„...Przy istnieniu dwu pokoleń — pisze autor, zdając sprawę z sezonu taternickiego w roku bieżącym — istnieją tarcia. Nie występują tu one wyraźnie, właściwie ich nawet niema, niemniej jednak formy jakie przybiera taternictwo najnowsze, szczególnie taternictwo najmłodszych, wywołują wśród starszych zastrzeżenia i obawy. Sprawa nie jest całkiem prosta. Gdy przed wojną toczono wielkie debaty na temat czy taternictwo jest sportem, czy nie, sprawa ta dziś została przesądzona czysto praktycznie, przez sam rozwój taternictwa. Najsprawniejsza, najmłodsza, najżywotniejsza warstwa ludzi uprawiających sport wysokogórski, uprawia go rzeczywiście z czysto sportowem zacięciem. A sport — to rekord. Niema możności postawienia sprawy w ten sposób, by nazwać taternictwo sportem, ale odmiennym od wszystkich innych. Jeżeli ma ono być sportem to musi posiadać wszystkie cechy sportu, to wtedy nie możemy się krzywić, jeżeli komus sprawność fizyczna pozwala na pokonanie kilkakrotnie pod rząd najtrudniejszych ścian, ścian które przez lata uchodziły za niezdołane, a które z biegiem czasu stają się niejako obowiązkowym egzaminem na pierwszorzędnego wspinacza.

Taternictwo przedwojenne, podwątowane sentymentem i dużą dozą wybujalego intelektualizmu ze snobistycznym upodobaniem twierdziło, że jest sportem. Dziś stało się sportem w każdym calu i cały dodatek sentymentalizmu, sportowi organicznie obcy, od-

¹⁾ O tem pisaliśmy w IV roczniku „Wierchów“ na str. 170 i n.

paść. Trudno, tak być musi, i dla mnie przynajmniej tak jest dobrze. Kto szuka nastrojów, może je w Tatrach znaleźć, ale one z taternictwem nic wspólnego nie mają.

Takie nastawianie sprawy daje jako wynik wzmocnienie ruchu na partjach najtrudniejszych. Dzisiejszy młody taternik, przygotowany doskonale fizycznie, traktujący chodzenie po górach jako przyjemność sportową, a nie jako misterjum eleuzyńskie, ze znacznie większą łatwością rozwiązuje problemy techniczne, główny składnik trudności, aniżeli dawniejszy taternik, wyruszający ze znacznie większym przygotowaniem intelektualnym, a mniejszym zacięciem sportowym...”

Kończę cytować. — Komentarz do tego byłby zbyteczny; stanowi go porównanie z duchem wiejącym z artykułu Lammera. Pomijamy też, jako zgoła nie istotne — i zresztą nieprawdziwe — twierdzenie autora o rzekomej zawiści starych do młodych z powodu jakoby większej ich sprawności wspinaczkowej; nic podobnego nie istnieje. Chodzi tu całkiem o co innego. Jedna tylko uwaga nie będzie zbędną — nie w interesie taternictwa, ale w interesie sportu. Autor stawia rzecz w ten sposób, jakoby sport z natury swej był antiintelektualny. No — i godzi się z tem na rzecz sportu, — zapewne mu z tem oświadczenie dogodniej. Otoż — nie wchodząc w rozstrzygnięcie pytania, czy taternictwo jest czy nie jest, czy ma być lub nie ma być sportem, bo to jest sprawa czysto werbalna, trzeba jednak powiedzieć, że istnieje sport i sport. Sport uprawiali starożytni Hellenowie — aby wychować pełnego człowieka. Sportowcem był Plato — zwycięzca w zawodach olimpijskich i noszący przydomek od szerokiej swej piersi. Sokrates w ciężkiej zbroi hoplity zadziwiał towarzyszy siłą i wytrwałością w bojowych trudach... Sport uprawiał jednak także schyłkowy Rzym. Tu ku uciesze snobów zmagali się atleci wyzwoleńcy na cyrkowej arenie... A barbarzyńcy przyszedłszy wymiotli tych atletów! Sport jest wychowawcą pełnego człowieka — sport jest uciechą snobów i ucieczką nierobów. Z tego więc, że spodoba się nam taternictwo nazwać sportem, nie wynika jeszcze, że prawowitemu taternikowi trzeba wybrać przedtem łyżeczką mózg, zapewne aby nie spadał na głowę, ale na nogi. I to też nieprawda jakoby młodość za sobą wiodła ten modernizm taterniczy. Wierzmy w tę młodość, do której w tak pięknych słowach zwraca się Lammer na końcu swego artykułu — a nie w tę, która — czytając go — czytając o „duchowych wartościach“ gór, konkluduje wzgardliwie: „biedny Lammer — postarzał się: zaczyna wierzyć w duchy“.

* * *

Ten ostatni zwrot nie jest wcale insynuacją. Zupełnie podobny sąd słyszałem z ust pewnego „krocza“ (że zapożyczę się ze słownika rybackiego dla określenia tego narybku w odróżnieniu od innego typu młodzieży), sąd odnoszący się do dr. Mieczysława Świerza z powodu jego interesującego artykułu w nrze 2-gim tegorocznego „Taternika“. — Dr. Świerz jest wprawdzie młodym jeszcze człowiekiem — w pojęciu dawniejszem, gdzie o starości mówiło się około roku 60-go. Ale census obecnie obniża się. Przyszły „taternik“ z mamką w plecaku, już! siedmiolatkowi będzie wymyślał od „starych pierników“. A ten — zgodnie z narodowym pociąganiem do popularności i kabotyństwa — nie chcąc pozostać w tyle za „duchem czasu“, będzie udawał głupszego niż jest i krył się w ciemnościach nocy ze swym starczym pociąganiem do stałych pokarmów... „Trzeba z żywymi napród iść...“ i t. d. ...Starzy i młodzi!... Znany to *trick* — w braku argumentów renomować śliniaczką. Starzy, skostniałi w rutynie, nie mogą zrozumieć nowych prądów. Bywa to, bywa. Ale za kryterjum słuszności nie może służyć wiek; dlatego lepiej ten argument zostawić na boku a traktować rzeczy same w sobie.

Ale chcę mówić o wspomnianym artykule dr. Świerza. Autor nie kokietuje „z duchem czasu“ — („nie istnieje żaden duch czasu“, powiada pięknie Lammer!) — ale stawia kwestję uczciwie i odważnie: nawołuje do powrotu. Taternictwo dzisiejsze straciło poczucie wielkości gór! — oto oskarżenie — czy może wyznanie — gorzkiej uwagi. Taternictwo utonęło w problematyce „warjantów“, w scholastyce nazw, — choruje na krótkowzroczność, na brak szerokiego oddechu. Poza problemacikami, kominami, półeczkami, zachodzikami i t. p. nie widzi gór. Tatry są mu boiskiem aparatów gimnastycznych.. Trzeba nowego nastawienia się duchowego w stosunku do Tatr, — a raczej powrotu do tego, co było dawniej i co nowe taternictwo zatraciło. Inaczej mówiąc: trzeba aby stosunek do Tatr stał się napowrót przedewszystkiem stosunkiem duchowym. (Biedny dr. Świerz! starzeje się, — zaczyna wierzyć w duchy!)..

Artykuł jako program jest niedostateczny, bo nie domawia rzeczy najważniejszej: nie dość „nastawić się“ wewnątrz, bo to nastawianie się nie może się odbyć samym aktem woli, jakimś mistycznym „czynem wewnętrznym“. Trzeba zacząć od czynu zewnętrznego — od zarzucenia całej „problematyki“ i „rekordziarswa“. Aby rozwinąć skrzydła, trzeba zrzucić z pleców niepotrzebny balast. Jednym słowem: „malloryzm!“ Tego właśnie dr. Świerz nie dopowiada. Znaczenie artykułu leży w jego stronie psychologicznej. Jest to dokument wewnętrznej reakcji, — *signum temporis*... Baczcie panowie (...i panie) modernści taternicy, byście przypadkiem z waszą ideologią, prędzej niż sądzicie, nie byli odstawieni... do „starych pierników“! —

J. G. P.

Zmarli.

Ludomir Sawicki

Dnia 3 października br. zmarł prof. Uniw. Jagiellońskiego dr. Ludomir Sawicki znakomity geograf i podróżnik-badacz. Nauka straciła w nim energicznego inicjatora nowych myśli i kierunków, wszechstronnego i płodnego badacza ziemi, wybornego organizatora i niestrudzonego podróżnika, — młodzież nauczyciela, przyjaciela i opiekuna.

Śp. prof. Sawicki urodził się dnia 14. IX. 1884 r. — Pierwsze lata młodości spędził w Wiedniu, gdzie uczęszczał do szkoły średniej i na Uniwersytet. Tu zdołał w krótkim czasie wyróżnić się wśród młodych geografów. Po pierwszych swoich podróżach i po doktoracie przyjeżdża do Krakowa, gdzie w roku 1910 zostaje docentem, a w roku 1919 zwyczajnym profesorem geografji. W zaśniedziałej atmosferze wyłącznie na literaturze opartej nauki geografji, jaka wówczas panowała na Uniwersytecie krakowskim, wprowadza Sawicki nowe ożywcze prądy. Oparcie pracy geograficznej o ścisłą bezpośrednią obserwację w terenie, badania skierowane przedewszystkiem ku ziemi ojczyznej, a na pierwszym planie szczegółowa analiza krajobrazu, zmierzająca do ujęcia syntetycznego, oto pęk promieni, któremi olśnił swoich uczniów i rozniecił w nich trwałe zamiłowanie do badań geograficznych. Niezapomnianymi na zawsze w pamięci uczniów jego pozostaną wycieczki, wpajające w młode umysły idee regionalizmu, z których najdłuższe i najpiękniejsze skierowane były w Karpaty, zarówno po stronie polskiej jak i czesko-słowackiej i obejmowały całokształt zachodnio karpaccich gór trzonowych. Przedmiotem wycieczek były tak problemy morfologiczne jak antropogeograficzne, program ich zawierał zwykle całość krain geograficznych. Nie ograniczały się one do poznawania ziem polskich i sąsiednich, ale wiodły nieraz i w dalekie kraje, wzbogacając dusze przebo-

gatemi obrazami geograficznymi, a świetna ich organizacja, spoczywająca w ręku Profesora, umożliwiała wzięcie w nich udziału wszystkim uczniom jego.

Twórczość Sawickiego, a szczególnie pierwszy jej okres, cechuje wybitne zamiłowanie do zagadnień górskich, przyczem wprowadza on nowe metody i kierunki oraz stawia śmiało hipotezy. Główne jego prace z tej dziedziny publikowane lub istniejące w materiałach, rozpatrują problemy jak: fizjografia Zachodnich Karpat, „Rozmieszczenie ludności w Karpatach Zachodnich“, „Trzy bramy podkarpackie“, krajobrazy lodowcowe zachodniego Beskidu, badania nad jeziorami tatrzańskimi, te ostatnie prowadzone wśród bardzo ciężkich warunków turystycznych i atmosferycznych; (w czasie obserwacji zimowych mieszkał prof. Sawicki w kolibie ze śniegu przy Czarnym Stawie nad Morskiem Okiem). Szczególnie żywo zajmował zmarłego wędrowki pasterkie w Karpatach Zachodnich. Prace nad tem zagadnieniem były zakrojone na dalszą metę, gdyż prof. Sawicki pragnął w szeregu monografij dążyć do syntezy pasterstwa całych Karpat.

Wprawdzie wojna i związane z nią pilniejsze potrzeby odwróciły chwilowo uwagę badacza od tych zagadnień, ale pracami temi dał posiew dla pracy uczniów swoich i stworzył szkołę badań geograficznych nad pasterstwem, i dzisiaj blizką jest realizacji jego piękna myśl ujęcia całości pasterstwa karpackiego.

Z Polskiem Towarzystwem Tatrzańskiem zetknął się zmarły bezpośrednio po skończonej wojnie w czasie akcji plebiscytowej na Spiszu i Orawie. Towarzystwo Tatrzańskie przystąpiło wtedy do opracowania kwestji spisko-orawskiej i powołało do życia osobną komisję naukową, w której Sawicki wziął żywy udział, zajmując się problemem fizyczno-geograficznym. Wyniki prac jego zostały opublikowane w Pamiętniku P. T. T. za rok 1920, poświęconemu specjalnie sprawom Spisza i Orawy.

Nie było zagadnień geografji regionalnej obcych mu lub dalekich, zawsze jednak z pośród wszystkich najbliższą sercu jego była kraina górska, dająca na niewielkim często obszarze takie bogactwo problemów, jakie istotnie tylko na pograniczach fizjograficznych geograf spotyka. Pozatem góry, a w szczególności Tatry, które są i były po wszystkie czasy źródłem natchnień twórczych, krzepkości i mocy, były i dla niego świątynią i symbolem najlepszych sił w człowieku. Jakże blizkim gór był ten człowiek o niezmożonej energii, niestrudzonej sile ducha. Doprawdy wierchową wędrowką było jego życie, ale też i orlem syntetycznym spojrzeniem umiał ogarniać z niej ziemię, zawsze widząc całość, w której wszystkie szczegóły miały swoje należyte miejsce i nigdy nie zasłaniały całości kształtu. Dlatego to, poruszywszy zaledwie niektóre zagadnienia, lub rzuciwszy nieraz śmiałą inicjatywę szedł dalej, innym zostawiając zagłębianie się w szczegóły, sam chciał, jakby instynktem wiedziony, w tem krótkim życiu zebrać dorobek materiałów naukowych możliwie najpełniejszy pod przyszłe elaboraty.

Proste i prawe było życie jego, dla dobra nauki i dla chwały imienia polskiego, któremu nie szczędził propagandy za granicą, w swych dalekich wędrowkach i wyprawach po całym świecie. Zgasł nagle, jak świeca na wietrze zdmuchnięta, w chwili, gdy z nowej podróży swym samochodem ekspedycyjnym po Bałkanie wiozł obfity materiał obserwacyjny.

Postać jego zostanie w pamięci uczniów symbolem woli nieugiętej, czystego serca i nieustającego dążenia do poznania prawdy.

Z. Pacewiczowa.

Henryk Kunzek.

Cicho, spokojnie, jak cichym był cały jego żywot, zasnął na wieki dnia 17 września 1928 r. w Batowicach pod Krakowem dr. Henryk Kunzek.

Znaliśmy go wszyscy, bo wszędzie pracował z nami i wśród nas. Wątlej postaci, skromny, unikający zawsze zgiełku, zaszczytów i sławy, był wszędzie tam, gdzie potrzeba było jego ręki, jego mądrej rady, zapału i jego gorącego serca.

Dr. Henryk Kunzek urodził się w r. 1879 w Samborze. Ulegając woli ojca, acz serce jego rwało się do pracy na polu sztuki, kształcił się w medycynie i w r. 1894 uzyskał dyplom lekarski „sub auspiciis imperatoris“ na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przez osiem lat pracował jako lekarz miejski. Po śmierci ojca rzucił praktykę, aby się kształcić w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, pracując równocześnie jako asystent szpitala na swe utrzymanie. Jako artysta-rzeźbiarz po krótkich studjach w Paryżu osiadł w Krakowie, gdzie go mianowano profesorem Akademii Sztuk Pięknych na dziale rzeźby, rysunków i anatomii artystycznej, później profesorem Szkoły Art. Przemysłu. Znane były jego prace artystyczne, oryginalne rzeźby, jego na głębokiej wiedzy oparte wykłady i wielki dar zjednywania sobie serc i szacunku szeregu uczniów. Jeden z jego przyjaciół i kolegów pisze w wspomnieniu pośmiertnym: „Ktokolwiek w Polsce pracował dla sztuki i kultury, ten musiał słyszeć o Henryku Kunzoku, albo był tak szczęśliwy, że słyszał jego żywe słowo w wykładach“. Nie było takiej placówki ideowej, kulturalnej, czy artystycznej, na którejby twórcza myśl jego nie wycisnęła piętna.

Kiedy wybuchła wojna, zerwał się na pierwszy zew Legionów i jako lekarz legionowy przeżył całą Gehennę trudów, nędzy i głodu wojny, aż go choroba powaliła później na łożo szpitalne na froncie włoskim.

Zasługi wojenne przyniosły mu krzyż walecznych, krzyż Legionów i odznakę za wierną służbę. Trudy wojenne podkopały do reszty wątły organizm i były zarzewiem jego późniejszej choroby; jednak po wojnie wrócił do umiłowanych prac.

Henryk Kunzek, miłując wszystko co piękne, kochał też czystą przyrodę sercem artysty i wielbił umysłem mędrca-filozofa. Źródłem jego natchnień, gorącą miłością życia, były Tatry, ale i tu miłość jego nie była bierną. Kochając fanatycznie ich czystość, surowość i dzikość, stanął w szeregu tych, którzy bronili ich nietykalności.

To też kiedy ważyła się sprawa kolejki na Świnnicę, na wieść że Wydział Krajowy zamierza poprzeć subwencją to przedsięwzięcie, ten anielsko-łagodny człowiek wzbuchnął gorącym oburzeniem. Wyrazem tego był wydrukowany w Krakowskim Miesięczniku Artystycznym (1913) obszerny artykuł pod tytułem: „Czyżby tryumf nonsensu? Rzecz w sprawie kolejki na Świnnicę“. Artykuł ten wyszedł później w osobnej broszurze, wydanej nakładem Sekcji Ochrony Tatr Pol. Tow. Tatrzańskiego. Praca ta pośród innych pism polemicznych w tej sprawie zajmuje stanowisko swoiste. Podczas kiedy inni przeciwnicy kolejki argumentowali głównie względami ekonomicznymi, nie ażeby uważali je za najważniejsze, ale w przekonaniu że tą drogą łatwiej trafią do umysłów, dla których idea ochrony przyrody była jeszcze czemś zgoła obcym, Kunzek, zgodnie ze swym prostolinijnym charakterem, nie wdając się w żadną dyplomację uderzył wprost w sedno rzeczy, względ estetyczny i połączoną z nim wartość duchową Tatr przedstawiając jako moment decydujący.

Tak samo kiedy wypłynęła sprawa tatrzańskiego Parku Narodowego i była debатовaną na konferencji zwołanej we wrześniu 1920 r. przez Państwową Tymczasową Komisję Ochrony Przyrody do Zakopanego, Kunzek zajął tu stanowisko radykalne, żądając

wykupna całych Tatr przez Państwo i zaprowadzenia na całym ich obszarze ochrony jak najszerzej pojętej, o ile możności bezwzględnej. Powołany do grona członków Państwowej Komisji Ochrony Przyrody brał żywy udział w jej obradach, a w sprawie Tatr bronił swego zasadniczego stanowiska.

Niewielu wiedziało, że ś. p. Henryk Kunzek był również uzdolnionym malarzem. W spuście po nim pozostał szereg obrazów, w których uwiecznił fragmenty ukochanych gór, jezior, hal tatrzańskich i okolicznych nizin, gdzie malował z przedziwnym znawstwem i miłością zwłaszcza szatę roślinną.

Wątlęgo zdrowia, chodząc po Tatrach o ile mu siły pozwalały, wychodził samotnie na łatwiejsze szczyty i przełęcze, by — jak mówił — być bliżej sam na sam z Duchem Świata.

Kilka miesięcy przed śmiercią zapragnął ujrzeć jeszcze raz Tatry, jakby w przeczuciu ostatniego pożegnania, ale zmęczone serce nie pozwoliło mu cieszyć się długo utęsknionym widokiem skąpanych w słońcu wierchów. Musiał co rychlej wracać do Krakowa i tu w lecznicach kończyć swój pracowity żywot.

Uprzejmość, wyrozumiałość, przewidująca i mądra dobroć, jasność i pogoda jego kryształowego ducha skupiała i przywiązywała do niego serca dużego grona ludzi, to też śmierć jego odczuli wszyscy jako głęboką i bolesną stratę. Odszedł w krainę Ducha ten, co tu na ziemi nigdy nie uchylał się od Jego służby. Cichy, skromny żołnierz Boży, strudzony wielce życiem stanął przed tronem Najwyższego, unosząc z ziemi tylko legjonową odznakę „Za wierną służbę“. Może Bóg mu pozwoli za nią oglądać z góry umiłowane Tatry.

Z. Królowa.

Wiktor Barabasz.

Wiktor Barabasz ur. w r. 1857 w Bochni, muzyk z zawodu, ostatnimi laty dyrektor krakowskiego Tow. muzycznego, zmarł w lipcu 1928 r. w Krakowie. Brał czynny udział w pracach Tow. Tatrzańskiego w latach 1885 do 1905. Od r. 1901 do 1904 był członkiem Wydziału, w r. 1902 członkiem Komisji organizującej Sekcję turystyczną i członkiem tejże Sekcji, tudzież członkiem Komisji dla przewodnictwa — w r. 1903 gospodarzem w Dworcu tatrzańskim. On to zaprojektował i wyznaczył jeden z najlepiej pomyślanych szlaków tatrzańskich, „ścieżkę nad reglami“ od Przełęczy Kalackiej do Białego, Strążysk i Małolańki. Wyznaczył również ścieżkę pod Żółtą Turnią i Kościelcem. Zmarły był bratem zasłużonego b. dyrektora Szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem, Stanisława Barabasza.

Ofiary katastrof górskich w Tatrach w r. 1928.

Katastrofa, która zdarzyła się na drodze Haerberleina pd. ścianą na Ostry Szczyt dnia 19 sierpnia 1928 r., pochłonęła dwa młode życia: Jadwigi Honowskiej i Zofji Krórowskiej. W ich osobach poniósł świat taternicki, a zwłaszcza taternictwo kobiece, stratę bolesną. Zginęły bowiem dwie najwybitniejsze pionierki taternictwa kobiecego, dzielne taterniczki, które, będąc już dawniej zupełnie samodzielnymi i równorzędnymi towarzyszkami taterników-mężczyzn, postanowiły — wobec wyraźnych w dyskusjach wątpliwości na temat uzdolnienia kobiet do uprawiania prawdziwie samodzielnego taternictwa — odbywać najpoważniejsze wyprawy górskie bez udziału mężczyzn.

Jadwiga Honowska, wybitnie uzdolniona matematyczka, studująca na Uniwersy-

tecie warszawskim, zetknęła się z Tatrami po raz pierwszy w r. 1923. Odtąd — z wyjątkiem roku 1925, w którym stan zdrowia jej na to nie pozwolił — każdego lata odwiedzała Tatry, odbywając już w r. 1924 pierwsze drogi dość trudne i zaprawiając się od początku do rozwiązywania problemów. W r. 1927 pierwszą sensacją wywołały już przejścia wsch. ściany Kościelca i grani Walentkowej w towarzystwie p. Zofji Czarkowskiej, jako dokonane bez udziału mężczyzn. Zimą tatrzańską poznała dopiero w ostatnim roku swego życia, zdobywając się od razu na tak wielkie przedsięwzięcia, jak np. I. wyjście zimowe pn. ścianą na Mały Kezmarski Szczyt wspólnie z Z. Krókovską i J. A. Szczepańskim. W czasie ostatniego sezonu letniego przeszła z towarzyszami szereg dróg pierwszorzędných, w tem cztery nadzwyczaj trudne. — Prócz cnót taternickich i innych, fascynująca, wszechstronna inteligencja i niepospolita delikatna uroda składały się na tę niezapomnianą indywidualność.

W tym samym roku, co Jadwiga Honowska, poznała Tatry Zofja Krókovska, choć obie poznały się i od razu zaprzyjaźniły dopiero na wyprawie, odbytej w kwietniu 1928, w towarzystwie Jana Alfreda Szczepańskiego. Aż do ostatnich czasów chodziła Zofja Krókovska niemal wyłącznie w towarzystwie swego brata, znanego taternika, który równocześnie z nią poznawał góry, co zapewniło jej od samego początku samodzielność taternicką w stopniu dawniej u kobiet prawie całkiem niespotykanym. Rodzeństwo Krókovscy odbyli razem na obszarze całych Tatr szereg wyjść, aż do bardzo trudnych włącznie. Najpiękniejsze jednak wyniki osiągnęła na wyprawach zimowych, z pośród których jako najważniejsze wymienić można: I. wyjście zimowe na Hrubą Turnię (1926), I. w ogóle wyjście pn.-zach, ścianą na Krótką (w grudniu 1927), wyżej wymienione wyjście na Mały Kezmarski Szczyt i szereg innych.

W taternictwie poza wspomnianą już zupełną samodzielnością, poza niezwykleym zapałem, cechowały ją takie zalety, jak opanowanie i spokój w obliczu niebezpieczeństwa wytrzymałość na wielkie wysiłki fizyczne, a nadto tak cenne i sympatyczne dla wszystkich pogodne, miłe usposobienie — owoc usilnej pracy nad sobą i głęboko etycznego światopoglądu. Chwile wolne od studjów z zakresu filologii klasycznej poświęcała — obok taternictwa — organizacjom harcerskim dziewcząt, w których bardzo wiele zdziałała. Nie była jej również obcą praca organizacyjna w Sekcji taternickiej A. Z. S. w Krakowie; należała bowiem do grona jej założycieli i przez pewien czas zasiadała w jej zarządzie. Pamięć jej żyć będzie długo wśród tych, którzy w jakiejbydz formie mieli szczęście zetknięcia się z nią.

Dnia 20 lipca 1928 r. zginął w górach Jerzy Leporowski, z zawodu kupiec z Poznania. Taternictwo polskie traci w Nim indywidualność prawdziwie wybitną, rzecz można bez przesady: jedyną w swoim rodzaju. Wrodzony instynkt człowieka gór zastępował mu doświadczenie, którego w ciągu zbyt krótkiej kariery taternickiej nie zdążył nabyć w całej pełni. Wspinaczem był z Bożej łaski. Jako były lotnik armji niemieckiej w czasie wojny światowej, wcale nie odczuwał ekspozycji. Odwagę posuwał aż do zupełnego lekceważenia niebezpieczeństwa, co też zapewne stało się powodem jego katastrofy.

Oryginalnością jego było odbywanie najtrudniejszych wypraw skalnych samotnie. Pod tym względem żaden z taterników dotychczas z nim porównany być nie może. M. i. przeszedł On bez towarzysza w r. 1926 pd. ścianę Ostrego Szczytu a w następnym roku — pd. ścianę Zamarłej Turni (dwukrotnie). W ciągu ostatniego lata przeszedł w towarzystwie innych taterników takie drogi, jak pn. ścianę Małego Kezmarskiego Szczytu lub pd. ścianę Kopy Lodowej. Brał również udział w rozwiązywaniu poważnych

problemów taternickich. Zginął w czasie samotnej próby przejścia nową drogą pn. ściany Koziego Wierchu, wśród trudności, będących na granicy ludzkiej możliwości.

Przejścia Leporowskiego — zwłaszcza samotne — wzbudzały zrozumiałą sensację. Reklama, którą mu przy tej sposobności robiono, mogła wywołać niemiłe wrażenie. Kto jednak poznał go osobiście, rozumiał natychmiast, iż nie mogło się to dziać za jego wiedzą. Każdy musiał uleść czarowi jego serdecznej szczerości w obejściu, jego bezpośredniego, żywołowego stosunku do gór, człowiek ten bowiem — jakkolwiek napozór przedstawiał w taternictwie czysto sportowy kierunek — ukochał Tatry głęboko.

S. K. Zaremba.

BADANIA NAUKOWE.

Sprawozdanie z dotychczasowych badań fytosocjologicznych w Tatrach.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu zauważyć się daje niezmiernie szybki i bujny rozrost tej gałęzi geografii roślin, której przedmiotem badań są nie pojedyncze rośliny, ale całe ich skupienia, zbiorowiska, w jakich w przyrodzie występują. Kierunek ten, zwany socjologją roślin albo fytosocjologją, nie był całkiem obcy już latom przedwojennym. Jednakże dopiero z początkiem wojny zostały ściśle sprecyzowane zarówno metody badań, jak i zasadnicze zagadnienia. Od tego czasu zaczęła się mnożyć niebывale ilość prac w tej dziedzinie, z jednej strony w Skandynawji, z drugiej w Szwajcarii i Francji, gdzie głównym pionierem tego ruchu jest doc. dr. Josias Braun-Blanquet (obecnie w Montpelier).

Ze Polska wzięła udział w tym ruchu, jest to zasługa głównie prof. dr. W. Szafera z Krakowa, który oceniwszy odrazu znaczenie nowo-wyłaniającej się gałęzi botaniki, zorganizował pierwsze u nas systematyczne badania zbiorowisk roślinnych oparte na najświeższych wzorach szwajcarsko-francuskich. Za teren badań obrane zostały Tatry, gdzie wielka różnorodność podłoża na niewielkim stosunkowo obszarze oraz zachowany w zasadniczych ry-sach pierwotny charakter przyrody pozwalały najprędzej spodziewać się pomyślnych rezultatów. W lipcu r. 1922 wyrusza pierwsza polska wyprawa fytosocjologiczna do doliny Chochołowskiej. Prócz prof. Szafera wzięli w niej udział: dr. B. Pawłowski i prof. dr. S. Kulczyński.

Badania fytosocjologiczne zaczyna się obecnie od tego, że spisuje się jak najdokładniej skład gatunkowy odpowiednio wybranych pól roślinności, przychem każdemu gatunkowi daje się pewną umówioną cyfrę, oznaczającą jego obfitość, oraz sposób występo-

wania. Porównanie ze sobą całego szeregu takich spisów, czyli t. zw. „zdjęć fytosocjologicznych“, wykonanych w różnych punktach badanego terenu, stanowi następnie podstawę do wyróżnienia zespołów roślinnych, t. j. typów roślinności o ściśle określonym, stałe powtarzającym się składzie gatunkowym. Badania takie są i mozolne i wcale niełatwe, wymagają bowiem z jednej strony świetnej znajomości gatunków, które nieraz trzeba odróżniać po samych tylko liściach, z drugiej, dużego doświadczenia i orientacji w wyborze odpowiednich pól roślinności. Zato obraz całej szaty roślinnej upraszcza się dzięki nim niezmiernie, bo w miejsce niesłychanie skomplikowanej mozaiki, jaką przedstawiają w terenie poszczególne gatunki, zyskujemy pewną, stosunkowo niewielką ilość ich naturalnych skupień, t. j. zespołów, dających się w sposób jasny i przegładowy przedstawić kartograficznie. Przytem dopiero ich wyróżnienie pozwala na racjonalne badanie zarówno wzajemnej zależności samych roślin między sobą, jak też związków, jakie łączą roślinność z podłożem lub lokalnym klimatem. Ztąd, prócz czysto teoretycznego, naukowego znaczenia, mają badania fytosocjologiczne pośrednio niemłą doniosłość praktyczną, zwłaszcza dla gospodarki leśnej i łąkowej.

Program, jaki sobie postawili krakowscy botanicy przy swych fytosocjologicznych badaniach w Tatrach, był następujący:

- 1) Wyróżnienie i dokładny opis występujących w Tatrach zespołów roślinnych, oraz ich rozmieszczenia pionowego i poziomego w związku z ukształtowaniem terenu i charakterem podłoża.
- 2) Śledzenie ich wzajemnego związku, rozwoju i następstwa po sobie (sukcesji).
- 3) Kartograficzne przedstawienie ich rozmieszczenia, czyli sporządzenie barwnej mapy fytosocjologicznej Tatr polskich.

W wykonaniu powyższego programu co roku opracowywane są i kartowane kolejno coraz to dalsze odcinki Tatr przez grupy, złożone z dwóch lub trzech badaczy. Prócz zespołów roślin wyższych, opracowywane są zespoły porostów, które w Tatrach odgrywają bardzo wielką rolę, zarastając znaczną część t. zw. „nagich” skał. Te ostatnie badania prowadził dr. J. Motyka z Krakowa.

Wyniki badań oraz mapy fytosocjologiczne poszczególnych odcinków, ogłaszane są kolejno we wydawnictwach Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie pod zbiorowym tytułem: „Zespoły roślin w Tatrach”. Dotąd ukazało się drukiem 7 części tego wydawnictwa, a w szczególności:

I. W. Szafer, B. Pawłowski i S. Kulczyński: Zespoły roślin w dolinie Chochołowskiej. (Po niemiecku w „Bulletin International de l'Acad. Polon. des Sciences et des Lettres”, B, 1923, N Suplem.; — po polsku w „Rozprawach Wydziału mat.-przr.”, B, 1927).

II. J. Motyka: Naskalne zespoły porostów nitrofilnych w polskiej części Tatr Zachodnich. (Tylko po niemiecku w „Bulletin” w r. 1925).

III. W. Szafer, B. Pawłowski i S. Kulczyński: Zespoły roślin w dolinie Kościeliskiej.

IV. B. Pawłowski i K. Stecki: Zespoły roślin w dolinie Miętusiej i na głównym masywie Czerwonych Wierchów.

V. W. Szafer i M. Sokołowski: Zespoły roślin w dolinach położonych na północ od Giewontu.

Części III, IV i V, ogłoszone zostały tylko po niemiecku w r. 1927.

VI. J. Motyka: Studja nad zespołami naskalnych porostów. 1927 (Tylko po niemiecku).

VII. B. Pawłowski, M. Sokołowski i K. Wallisch: Zespoły roślinne i flora doliny Morskiego Oka. 1928. (po polsku i po niemiecku)

Dzięki badaniom w polskiej części Tatr Zachodnich poznane zostały dobrze wszystkie główne zespoły tatrzańskie zespoły wapienne oraz część granitowych. Większość tych ostatnich została jednak należyście wydzielona i opisana dopiero na terenie Morskiego Oka. Badania na tym odcinku miały charakter odrębny od poprzednich, do zwykłych bowiem metodycznych trudności dołączyły się tu trudności terenowe. Trzeba było zwiedzać dokładnie olbrzymie przepaściste ściany skalne, po części wcale niełatwo dostępne, a przedstawiające, jak się okazało, właśnie najciekawsze stosunki. Wyprawy botaniczne przybierały w takich razach charakter prawdziwie taternicki. Jest to bodaj pierwszy u nas wypadek (przynajmniej

na taką skalę), że technika taternicka poszła w służbę badań naukowych, przyczyniając się w poważnej mierze do ich pomyślnych wyników.

Równocześnie z pracami powyższymi opracowywał dr. B. Pawłowski w latach 1925—28 na obszarze całych Tatr najwyższe, t. zw. turniowe piętro ich roślinności, i to zarówno jego florę, jak i zespoły roślinne. Wyniki zostaną niebawem ogłoszone drukiem.

Jak widać z uwag powyższych, zakreślony z góry program badań został już w znacznej części wykonany. Do zbadania i skartowania pozostaje już tylko niewielka stosunkowo część Tatr polskich. Zweża się ona zresztą z każdym rokiem. I tak w roku 1927 zbadana została przez dr. A. Kozłowską z Krakowa dolina Bystrej. Blizkie ukończenia są również prace w dolinie Suchej Wody, prowadzone w r. 1928 przez dr. B. Pawłowskiego i dr. K. Wallischa. Po zbadaniu reszty Tatr polskich zamierzone jest ujęcie wyników całej dotychczasowej pracy w jedną syntetyczną publikację, któraby dawała obraz zespołów roślinnych całego pasma tatrzańkiego, do czego stopniowo gromadzone są materiały.

Obecny stan znajomości tatrzańskich zespołów roślinnych stanowi już wystarczającą podstawę dla podjęcia ścisłych badań nad warunkami, w jakich żyją (gleba, klimat i t. d.).

Zadanie to, niezmiernie trudne i skomplikowane, będzie zapewne musiało być rozłożone na długi szereg lat. Jednakże przynajmniej w jednym jego zakresie posunięto się już teraz wcale daleko, dzięki prof. dr. J. Włodekowi z Krakowa i jego współpracownikom, którzy od roku 1924 prowadzą badania nad glebami tatrzańskich zespołów, początkowo tylko nad stopniem ich kwasoty, z czasem zaś rozszerzając badania także na inne ich właściwości. Okazało się, że gleby poszczególnych zespołów odznaczają się pewną swoistością, charakterystyczną dla nich kwasotą, okazując pod tym względem naogół nieznaczne tylko wahania. Podobnie ma się sprawa także z całym szeregiem innych cech glebowych. Wynika ztąd, że naturalnym jednostkom roślinności odpowiadają pewne naturalne typy glebowe i że wzajemny ich związek jest niezmiernie ścisły.

Dotychczas ogłoszone prace w tym kierunku są następujące:

1) J. Włodek i K. Strzemieński: Badania nad stosunkiem zespołów roślinnych do stężenia jonów wodorowych w glebach doliny Chochołowskiej w Tatrach. (Tylko po niemiecku, w „Biuletynie” Pols. Akad. Umiej. w Krakowie 1925).

2) J. Włodek: Notatka o koncentracji jonów wodorowych niektórych wód doliny Kościeliskiej i Chochołowskiej w Tatrach. — Sprawozdanie Komisji fizjograf. Pol. Akad. Umiej. Tom LX, 1925.

3) J. Włodek i K. Mościcki: Przyczynki do poznania gleb tatrzańskich. — Roczniki Nauk Rolniczych i Leśnych. T. XIX. 1928.

4) J. Włodek i E. Ralski: Dalsze badania nad kwasotą gleb tatrzańskich. — Sprawozdania Komisji fizjograf. T. LXIII. 1928.

5) J. Włodek: Bericht über chemische Untersuchungen der Tatra-Böden bezüglich ihrer Beziehungen zu den Pflanzengesellschaften. Kraków 1928.

6) J. Włodek, K. Strzemiński, E. Ralski: Badania nad glebami zespołów mieszanych na Czerwonych Wierchach i w Bielskich Tatrach.

W r. b. prowadził prof. Włodek wraz z dr. E. Ralskim i panią M. Wodzicką badania nad glebami zespołów w dolinie Morskiego Oka.

Badania fyto-socjologiczne w Tatrach (o ile nam wiadomo, głównie na terenie Tatr Bielskich) prowadzone są również przez czeskich botaników pod kierunkiem prof. K. Domina z Pragi. Dotychczas ogłoszona została przez nich drukiem praca dotycząca jednego tylko zespołu, a mianowicie:

K. Domin: *Festucetum carpaticeae* v Bielských Tatrách. Rozpr. II. Třída České Akad. Roín. XXIV, č. 19. 1925

Prócz poznania samych zespołów roślinnych przyniosły badania fyto-socjologiczne i inne ważne wyniki dla regionalnej geobotaniki tatrzańskiej. Przedewszystkiem doprowadziły do nowego podziału Tatr na piętra roślinności, bardziej naturalnego, niż dawny podział B. Kotuli; pozwoliły na porównanie pod nowym kątem widzenia roślinności tatrzańskiej z alpejską, analogii i różnic w jej układzie.

Wreszcie przyniosły, jako korzyść uboczną, szereg niespodzianych nieraz odkryć florystycznych w Tatrach.

W lipcu b. r. przeszły polskie badania fyto-socjologiczne pewnego rodzaju egzamin przed międzynarodowym aeropagiem, jakim była V-ta międzynarodowa wycieczka geograficzno-roślinna. Sądząc z dyskusji i rozmów z poszczególnymi uczestnikami wycieczki, egzamin ten wypadł pomyślnie. A trzeba przytem podkreślić, że polskie badania były pierwszymi na terenie środkowej Europy, wykonanymi najnowszą metodą szwajcarsko-francuską; że podjęto w nich po raz pierwszy wogóle próbę zobrazowania kartograficznego wszystkich wyróżnionych w terenie zespołów roślin-

nych; że wreszcie w Polsce po raz pierwszy zastosowano precyzyjne metody gleboznawcze, a zwłaszcza nowe metody badania kwasoty gleb, do ściśle i nowoczesnie ujętych zespołów roślinnych.

Wyniki, osiągnięte dotąd, są do zawdzięczenia w pierwszym rzędzie umiejętnemu i planowemu zorganizowaniu pracy zbiorowej całego licznego grona współpracowników. Zasługa jej inicjatora jest tem większa, im trudniejsze do urzeczywistnienia są, szczególnie u nas, przedsięwzięcia tego rodzaju.

B. Pawłowski.

Prace botaniczne w górach polskich prowadzone w r. 1927/8.

— Rok obecny zaznaczył się pewnym rozwojem prac doświadczalnych nad florą połonin górskich. Stacja rolniczo-botaniczna na Czarnej Horze rozpoczęła doświadczenia polowe nad zmianami zachodzącymi w rozmaitych zespołach połoninowych pod wpływem nawozów sztucznych. Założono w roku bieżącym poletka obserwacyjne w zespołach: *Juncetum trifidi*, *Nardetum*, *Airetum caespitosae*. Równocześnie przygotowano poletka obserwacyjne dla studjowania przebiegu sukcesji roślinności na różnych podłożach.

Dr. Szafran Bronisław pracował nad zespołami mchów w reglu górnym Czarnej Hory oraz gromadził materiały bryologiczne w szczególności *Sphagna*, w kilku okęgach Karpat Wschodnich (pasmo Czarnej Hory i Czywczyn).

W roku bieżącym ukazała się w druku monografia zespołów roślinnych pasma Pieńin, opracowana przez S. Kulczyńskiego a wydana przez Pol. Akademię Umiejętności w Krakowie (Bulletin Int. de l'Acad. Polon. des Sc. et d. Lettres 1927).

W Aktach P. Towarzystwa Botanicznego ukazała się praca p. St. Tołpy o torfowiskach wysokogórskich w paśmie Czarnej Hory, przynosząca interesujące szczegóły dotyczące historii lasu i jego górnej granicy w paśmie Czarnej Hory w okresie podyluwalnym. Analogiczne opracowanie jednego z torfowisk nowotarskich, a mianowicie torfowiska „Pod Czerwonem“ dokonane zostało w pracowni krakowskiej przez p. Diakowską.

W roku bieżącym gościło P. Tow. Botaniczne międzynarodową wycieczkę geografów roślin i fyto-socjologów, która zwiedziła Tatry, Pieńiny, Wyżynę Małopolską, góry Świętokrzyskie oraz Puszczę Białowieską. W związku z powyższą wycieczką opublikowany został przewodnik botaniczny po zwiedzanych przez gości zagranicznych terenach,

obejmujący krótkie szkice geobotaniczne Tatr (pióra B. Pawłowskiego i J. Motyki), Pienin (pióra S. Kulczyńskiego i J. Motyki), Karpat Sąddeckich (pióra A. Stadnickiego i B. Pawłowskiego), gór Świętokrzyskich (pióra R. Kobendzy, J. Motyki, E. Massalskiego i K. Kaznowskiego), doliny Prądnika (pióra W. Szafera) i torfowisk nowotarskich (pióra W. Szafera). S. K.

Wycieczka Międzynarodowa Geografów roślin w Tatrach.

— W dziejach prac kulturalnych międzynarodowych powojennych czasów zanotować należy wypadek bardzo doniosły. Oto Komisja stała międzynarodowych wycieczek geografów roślin, pozostająca pod przewodnictwem Szwajcarii, a skupiająca w sobie wszystkich geografów roślin świata, skierowała swą wycieczkę w r. 1928 do Polski i Czechosłowacji. Po raz pierwszy urządzono przytem wycieczkę naukową na terenach dwu różnych państw. Było to możliwe jedynie dzięki znakomitej współpracy wzdłuż granicy polsko-czechosłowackiej, która rozwinęła się między przyrodnikami Polski i Czechosłowacji, wytwarzając szereg organizacji polsko-czechosłowackich oraz słowniańskich, wspólnych dla opracowania problemów geologicznych, botanicznych, geograficznych i t. d. Tatr i Karpat. Wspólny Komitet pozostający po stronie polskiej pod przewodnictwem prof. dr. Władysława Szafera, po stronie czechosłowackiej prof. dr. Karela Domina, przygotował wycieczkę tegoroczną, którą prof. Domin przeprowadził przez całą Czechosłowację i następnie po wiedzieniu południowej strony Tatr i Tatr Bielskich doprowadził do granicy obu państw przy moście na Białce koło Łysej Polany.

Tu oczekiwali wycieczkę prof. Szafer wraz z członkami Komitetu polskiego i w ciągu kilku dni zaznajomił członków Zjazdu, składających się z przedstawicieli wszystkich państw kulturalnych z najdonioślejszymi problemami z geografii roślin Tatr i Karpat w szeregu wycieczek.

Dnia 10 lipca b. r. podjęło członków wycieczki w schronisku nad Morskim Okiem Polskie Towarzystwo Tatrzańskie, przytem wiceprezes prof. dr. W. Goetel wygłosił przemówienie powitalne, podkreślając szczególne znaczenie mającego się utworzyć Parku Narodowego w Tatrach po obu stronach granicy. Sprawa ta wzbudziła wśród członków kongresu szczególnie silne zainteresowanie, któremu w późniejszych wycieczkach w okolicie Morskiego Oka i w grupę Czerwonych Wier-

chów dawali oni swój wyraz. Opuszczając Polskę, uchwalili członkowie wycieczki na końcowem plenarnem posiedzeniu w Warszawie dnia 5 sierpnia b. r. rezolucję, którą podajemy na innym miejscu (zob. niżej pod „Ochrona przyrody“ artykuł p. t. „Działalność Państwowej Rady Ochrony Przyrody“).

W. G.

Prace geologiczne w Karpatach i Tatrach w roku 1928.

— Karpaty Wschodnie: B. Świderski prowadził w dalszym ciągu zdjęcia geologiczne masywu Czarnej Hory, przyczem zjął całą grupę Pop Iwana i dużą część doliny Czarnej Czerechoszu; nadto zajmował się opracowaniem stosunków stratygraficznych i tektonicznych przedgórza polskich Karpat Wschodnich.

K. Tołwiński uzupełnił szczegółowo zdjęcia okolic Borysławia dla mapy 1:5.000 oraz opracował materiały kopalniane o powierzchni struktury piaskowca borysławskiego, ponadto kontynuował badania na przedgórzu w okolicy Kałusza.

B. Bujalski prowadził dalej badania kartograficzne w dolinie Łomnicy. E. Janczewski przeprowadzał pomiary grawimetryczne przy pomocy warjometrów Eötvös'a na terenach pow. kałuskiego w przestrzeni około 12 km². W. i H. Teysseyre pracowali w okolicy Rypnego (arkusz Dolina).

Karpaty Zachodnie: Geologowie i współpracownicy grupy Karpackiej P. I. G. pp.: L. Tarnier. H. Świdziński, Stanisław Krajewski, przeprowadzili zdjęcia arkusza Sanok—Brzozów. H. Goblot pracował na arkuszu Tyczyn—Dynów i Brzostek—Strzyżów.

Prof. W. Rogala kartował obszar strefy naftowej Humniska—Grabownica i opracowywał formy paleoceaniczne z fliszu. B. Rabowski wykonał zdjęcie geologiczne na arkuszu Dobromil i Sambor. L. Horowitz kartował w dalszym ciągu arkusz Ustrzyki Dolne, zajmując się przytem stratygrafią warstw Krośnieńskich. Z. Opolski kartował w okolicach Liska, Z. Obtulowicz w Jasielskiem. Również w Jasielskiem pracował F. Pazdro, w partji Przełęcz Dukielskiej O. Pazdrova. J. Wdowiarski kartował okolicę Komańczy i Łupkowa. B. Świderski i S. Weigner kartowali na arkuszach Grybów—Gorlice, Czesław Kuźniar na arkuszu Dobczyce. F. Bieda kontynuował w dalszym ciągu zdjęcia geologiczne arkusza Ciężkowice. H. Lisikiewiczówna pracowała nad fauną kopalnych koralii z fliszu. Kamila Skoczylasówna wykonała zdjęcia geologiczne miocenu okolicy Sądeckiego wraz z najbliższem otoczeniem fliszowem. W dal-

szym ciągu rozszerzyła swe badania nad mioceniem Karpackim na okolicę Gródny dolny, gdzie zebrane zostały materiały paleontologiczne i profile. W ten sam sposób zbadane zostały okolice Iwkowej.

Prof. J. Nowak dokonał zdjęcia geologicznego okolic Muszyny, stwierdzając, że w Muszynie i okolicy istnieją możliwości otrzymania drogą wierceń większej ilości wody mineralnej. Nadto pracował prof. Nowak w okolicy Krynicy i oznaczył miejsca pod wiercenia paru szybów dla wody mineralnej, które dały częściowo wyniki pozytywne.

Pieniny: F. Rabowski prowadził badania wspólnie z L. Horowitsem na zachód od Jaworek w stronę Szczawnicy i Krościenka, sięgając na południe do Wielkiego Lipnika i Śmierdzionki oraz na wschód w okolice Czorsztyna.

Tatry: S. Sokołowski kontynuował zdjęcia serji reglowej w okolicy Kopek Sołtyśkich, E. Passendorfer swe badania stratygraficzne w serji wierchowej.

Z powodu niemożności zebrania na czas szczegółowych informacji od większości geologów polskich, którzy w roku bieżącym, jako pogodnym i suchym byli wyjątkowo długo w terenie, nie udało mi się zdobyć informacji zupełnie szczegółowych, w zupełności zaś nie zdołałem zebrać informacji co do badań petrograficznych i morfologicznych.

Nadto przeprowadzano w dalszym ciągu zdjęcia fotogrametryczne Tatr, przy czem wobec ukończenia całkowitego prac fotograficznych prowadzono pod kierownictwem B. Piątkiewicza w dalszym ciągu zdjęcia topograficzne, a to przez oficerów Wojskowego Instytutu Geograficznego oraz topografów prywatnych w obszarach reglowych na przestrzeni od doliny Kościeliskiej do doliny Białki. Na podstawie zebranego materiału fotograficznego i topograficznego i po skoncentrowaniu w biurze fotogeodezyjnym w Krakowie, wszystkich klisz oraz zmontowaniu instrumentów wykonano całkowitą mapę szczegółową doliny Kościeliskiej i okolicy.

Karpaty Słowackie: Uprzejmości prof. dr. R. Kettnera z Uniwersytetu w Pradze zawdzięczam w roku bieżącym możliwość zestawienia prac kolegów czeskosłowackich, wykonanych w Karpatach w r. 1928.

Na obszarze tym geolodzy Państwowego Instytutu Geologicznego w Pradze wykonywali w dalszym ciągu zdjęcia geologiczne arkuszy: A. Matejka w Wielkiej Fatrze, O. Kodym w okolicy Kralovan, A. Matejka i L. Zelenka w górach kruszcowych Spisko-Gemerskich. O. Kodym oraz Wł. Cepék we

fliszu w okolicy Turzovki. A. Matejka, O. Kodym, L. Zelenka i D. Andrusow wykonali wspólnie badania okolicy Latoricy w Rusi Podkarpackiej.

Z innych geologów prof. Kettner wykonał szereg studjów w okolicy Gemeru i Nizkich Tatrach, W. Zoubek badał w dalszym ciągu krystalinikum grupy Vjeporu, prof. Kettner oraz W. Zoubek studjowali łupki krystaliczne w masywie Marmaroskim w dolinie Cisy koło Rachowa. D. Andrusow posunął znacznie dalej szczegółowe zdjęcia geologiczne wewnętrznego pasma skałek na Orawie oraz w dolinie Wagu. Wraz z W. Zoubkiem studjował bloki egzotyczne w paśmie skałkowym, wreszcie przeprowadził studja w serji fliszowej na terenie morawsko-słowackim oraz w Beskidach. D. Andrusow przeprowadził kilka wycieczek orientacyjnych na Rusi i Słowaczynie wraz z geologami rumuńskimi prof. Macovei i Athanasiu.

Geolodzy czeskosłowaccy badają obecnie szczegółowo i przeprowadzają zdjęcia tych terenów Czechosłowacji, na których ma się odbyć w roku 1930 III Zjazd Asocjacji Geologów Karpackich, obejmujących geologów Polski, Rumunii, Czechosłowacji i Jugosławii.

Prace faunistyczne tatrzańskie.

Rok ubiegły przyniósł nieco mniej prac polskich, aniżeli lata poprzednie. Niektóre prace podane niżej zawierają w dodatku materiały tatrzańskie, już dawniej ogłoszone, zaczerpnięte więc z literatury od innych autorów, lub też stanowią powtórzenie materiałów, zawartych w dawniejszych pracach tegoż autora:

1. Domaniewski Janusz: Przegląd krajowych form rodziny *Picidae*. Spraw. Kom. Fizjogr. P. Ak. Um. T. 62, 1927.
2. Domaniewski Janusz: Przegląd krajowych form rzędu *Falconiformes*. Tamże, T. 63, 1928.
3. Gajl K.: Hydrobiologische Studien. I. Bio-cönos der *Phyllopora* und *Copepoda* (excl. *Harpacticidae*) des Sees Toporowy im polnischen Teile des Tatragebirges. Bull. Ac. Pol. Sc. et Lettr. (1926), 1927.
4. Hoyer H.: Wyniki badań kości zebranych w r. 1922 w grotach Doliny Kościeliskiej. Spraw. Kom. Fizjogr. P. Ak. Um. T. 62.
5. Koźmiński Z.: Ueber die Variabilität der Cyclopiden aus der *strenuus*-Gruppe auf Grund von quantitativen Untersuchungen. Bull. de l'Acad. Pol. des Sc. et Lettr.
6. Mokrzecki Zygmunt: Sprawozdanie z działalności Zakładu Ochrony Lasu i Entomologii w Skierniewicach 1924—1927. Polsk. Pismo Ent. T. VI, zesz. 3—4, 1927.

7. Niesiołowski Witold: Uwagi nad pracą dr. J. Prüffera „Studia nad motylami Tatr polskich“. Kosmos, L II, zes. III—IV, (1927) 1928.
8. Poliński Władysław: Znaczenie zoogeograficzne mięczaków Polski i konieczność ochrony ich zespołów. Ochrona Przyrody, zes. 7.
9. Schechtel Edward: Pokarm powietrzny u pstrąga *Trutta fario* L.) Roczn. nauk roln. i leśn. T. XVIII, 1927.
10. Strawiński Konstanty: *Picromerus bidens* (L.). Polsk. Pismo Ent. T. VI, zes. 1—2, 1927.

Hoyer (4) opracował szczątki kości, zebrane w grocie „Poszukiwaczy Skarbów“. Większość należy do dyluwjalnego niedźwiedzia jaskiniowego; szczątki innych większych ssaków, jak wilka, rysia, kozicy, są niewątpliwie tegoż samego wieku; prawdopodobnie otwór jaskini, znajdujący się dziś wysoko ponad ziemią, oddzielony od niej wysokim pionowym progiem skalnym, w dyluwjum znajdował się na jednym poziomie ze zboczem doliny i był dostępnym dla tego rodzaju zwierząt; kości mniejszych ssaków, jak nietoperzy, sorków, drobnych gryzoni, mogą pochodzić z czasów późniejszych, na co zdaje się wskazywać ciemniejsza barwa kości.

Domaniewski (1, 2) daje dwa dalsze przeglądy krytyczne krajowych ptaków, a mianowicie rodziny dzięciołów i rzędu *Falconiformes*, obejmując oczywiście w zakresie tych grup całość fauny tatrzańskiej. W pracy o dzięciołach zwraca uwagę wzmianka, że ciekawy północno-alpejsko-karpacki dzięcioł trójpalczasty, dawniej w Tatrach pospolity, obecnie stał się rzadkością. W pracy o *Falconiformes* autor przypomina obserwacje Wodzickiego o gnieźdzeniu się w Tatrach sępa płowego, który obecnie pojawia się tylko jako ptak zalotny.

Schechtel (9) zajął się kwestią pobierania pokarmu przez pstrągi. Chodziło o to, jaki pokarm odgrywa większą rolę w odżywianiu pstrąga: pobierany w wodzie w postaci organizmów planktonowych lub dennych, czy też pokarm powietrzny, występujący w postaci owadów, latających nad wodą. Analiza zawartości przewodu pokarmowego pstrągów, pochodzących ze stawów tatrzańskich, z Dunajca, Skawy i Czeremosza, wykazała, że pokarm powietrzny jest ulubionym pokarmem pstrągi i tylko przy jego braku pobierany jest pokarm wodny.

Omawiając potrzebę ochrony zespołów

mięczaków Polski, Poliński (8) uwzględnił i Tatry, zwracając uwagę szczególnie na konieczność objęcia rezerwatem ujścia niektórych dolin tatrzańskich, gdzie żyje zachodnio-karpacki endemik: *Fruticicola villosula*. Z Tatr wymienia autor jeszcze barwnego ślimaka *Helicigona rosmässleri*, zamieszkującego Tatry, Pieniny i pobliskie góry Słowacczyny; dalej endemika tatrzańskiego *Orcula dolium tatrica*, wreszcie relikty lodowcowe: *Vertigo arctica* i *Vertigo alpestris*; ze względu na konieczność ochrony zespołów, należy poddać ochronie na terenach górskich: skały wapienne (Pieniny, regle tatrzańskie), nagie szczyty wysokogórskie, oraz źródła i potoki górskie.

Niesiołowski (7) prostuje niektóre błędy i nieścisłości pracy Prüffera, między innymi wymieniając osiem gatunków, których istnienie w Tatrach Prüffer uważał za mało prawdopodobne. Notatka nie zawiera całości rezultatów, otrzymanych przez autora podczas kilkuletnich badań, które zostaną ogłoszone w pracy specjalnej; dowiadujemy się jednak, że autor posiada w chwili obecnej 317 gatunków, gdy praca Prüffera zawierała tylko 159 motyli tatrzańskich.

Praca Mokrzejkiego wymienia dwa gatunki kornika, które spowodowały kłeskę w Tatrach przed kilku laty, a które już były wymieniane w jednej z poprzednich prac tegoż autora, oraz trzy inne szkodniki: motyla *Laspeyresia strobilella*, występującego masowo w szyszkach świerka, błonkówkę *Acantholyda hieroglyphica*, pasorzytującego na limbach, oraz owada prostoskrzydłego *Podisma alpina*.

Strawiński (10) wymienia, na podstawie literatury, Tatry, jako jedno z miejsc występowania pluskwiaka *Picromerus bidens*, omawiając w swej pracy morfologię i biologię tego gatunku.

Skorupiakom są poświęcone prace Gajla (3) i Koźmińskiego (5). Pierwsza z nich jest niemiecka, nieco zmieniona w układzie, redakcją pracy tegoż autora, omówioną w czwartym tomie „Wierchów“. Koźmiński (5) na podstawie dokładnych analitycznych badań nad gatunkiem *Cyclops strenuus* wyróżnił kilka form, między innymi jedną charakterystyczną dla stawów tatrzańskich (*Cyclops strenuus f. tatricus*), znaną później i w materiale, pochodzącym z jezior alpejskich. Jest to więc forma alpejsko-tatrzańska, która, być może, zostanie i w innych górach znaleziona.

W. Roszkowski.

OCHRONA PRZYRODY.

Działalność Państwowej Rady Ochrony Przyrody w r. 1927/28 w odniesieniu do spraw górskich.

Do najważniejszych spraw, załatwianych przez P. R. O. P. w roku sprawozdawczym, należały prace około realizacji Parku Narodowego w Tatrach. Sprawa ta postąpiła naprzód, budząc zainteresowanie w najszerzych warstwach społeczeństwa. Wyrazem tego był m. i. „Wieczór Tatrzański“, urządzony w Poznaniu w dniu 19 marca b. r. staraniem poznańskiego Komitetu P. R. O. P. oraz towarzystw naukowo-przyrodniczych. Uroczystość ta, która odbyła się w sali Uniwersytetu poznańskiego, zgromadziła reprezentantów władz państwowych i samorządowych oraz bardzo liczną publiczność. Zagaił ją Kurator okręgu naukowego p. Bernard Chrzanowski, wygłaszając krótkie słowo wstępne. Referat „O krzeszanicach w Tatrach“ wypowiedział prof. Uniwersytetu lwowskiego dr. Eugeniusz Romer, dając naukowy pogląd na powstanie krajobrazu górskiego. Referat przyjęto gorącymi oklaskami. Po części koncertowej wieczoru wygłosił dr. Mieczysław Limanowski, prof. Uniw. wileńskiego, przemówienie na temat: „Tatry — skarb narodowy“. W pełnych entuzjazmu słowach wskazał na doniosłość Tatr w życiu kulturalnym narodu polskiego i wykazał konieczność zbiorowej akcji społeczeństwa w celu uchronienia ich przed zniszczeniem. W końcu przemówienia odczytał rezolucję, którą zebrani z entuzjazmem przyjęli.

W czerwcu b. r. przedłożyła P. R. O. P. Ministerstwu Rolnictwa wniosek w sprawie wykupna dóbr braci Józefa i Jerzego Uznańskich w granicach projektowanego Parku Narodowego, a ewentualnie w całości, w celu umożliwienia wymiany hal położonych w głębi Tatr, na grunta znajdujące się na północ od drogi do Morskiego Oka. Ministerstwo, przychyliając się do tego wniosku, poleciło Dyrekcji lasów państwowych we Lwowie pismem z dnia 31 lipca 1928, aby przeprowadziła szacunek dóbr braci Uznańskich i by przedłożyła Ministerstwu konkretne wnioski w sprawie kupna.

W lipcu b. r. bawiła w Tatrach i Pieninach V-ta Międzynarodowa Wycieczka Geografów Roślin, prowadzona przez prof. dr. Szafera. Uczestnicy, przedstawiciele czternastu państw, zwiedzili najpiękniejsze partie Tatr polskich i Pienin i odnosili się z wielkim uznaniem do postępów idei ochrony przyrody w Polsce. Wyrazem tego była następująca rezolucja, uchwalona przez uczestników zjazdu na posiedzeniu odbytem w Warszawie w dniu 5 sierp-

nia 1928 roku, która przesłana została Rządowi:

„V-ta Międzynarodowa Wycieczka Geografów Roślin, stwierdziła z radością to, co w Polsce dla ochrony przyrody uczyniono, oraz co projektuje się w Czechosłowacji. Wycieczka zwiedziła Tatry na obszarze obu Państw i wyraża swój pełny entuzjazm dla jedynej w Europie środkowej i tak starannie opracowanego projektu utworzenia Parku Narodowego w tych górach, wybitnych zarówno pod względem naukowym jak i krajobrazowym, aby przez to uchronić od zniszczenia zagrożone skarby przyrody. Wycieczka wita ten projekt jak najserdeczniej i życzy szybkiej jego realizacji“.

W sierpniu odmówiła P. R. O. P. zgody na budowę domu wypoczynkowego dla Związku Pracowników Samorządowych Rz. P. w dolinie Olczyskiej stając zgodnie z opinią Pol. Tow. Tatrzańskiego na stanowisku, że zabudowanie głębi doliny Olczyskiej spowodowałoby bezpowrotne zniszczenie jednej z niewielu najcharakterystyczniejszych dolin reglowych.

Zgodnie też z opinią Pol. Tow. Tatrzańskiego sprzeciwiła się P. R. O. P. budowie nowego schroniska na hali Chochołowskiej projektowanego przez warszawski Związek Narciarzy, wychodząc z założenia, że budowa drugiego schroniska na tej hali jest zupełnie wykluczona, natomiast pożądanym byłoby zastąpienie istniejącego już schroniska przez inne obszerniejsze i wygodniejsze na tem samym miejscu.

Z początkiem września zakończoną została ciągnąca się od lat kilku sprawa schroniska, wybudowanego bezprawnie na „Karczmisku“ pod Kopą Królową, które z polecenia władz zostało rozebrane.

P. R. O. P. interweniowała w Starostwie w Nowym Targu w sprawie tępienia ptactwa w gminach należących do okręgu Starostwa, przez chwytanie go w sidła i potrzaski. Starostwo w uwzględnieniu słuszności sprawy wydało w dniu 18 lipca br. okólnik (L. 13.769 1/Po) na podstawie ustawy łowieckiej do wszystkich zwierzczości gminnych, który, mamy nadzieję, zapobiegnie w znacznej mierze masowemu niszczeniu ptactwa, zwłaszcza drozdów i kwiczołów, na Podhalu.

W sprawach wydawania koncesyj na sprzedaż trunków i żywności w obrębie Tatr, odniosła się Rada do Starostwa w Nowym Targu z prośbą, aby koncesyj takich nie wydawało bez poprzedniego zasięgnięcia opinii Delegata Ministra W. R. i O. P. do spraw ochrony przyrody. Interweniowała ponadto,

aby Starostwo wstrzymało dalsze wydawanie pozwoleń na fotografowanie zarobkowe w głębi Tatr.

Z powodu mnożących się w Tatrach w ostatnich czasach zbiorowych wycieczek szkolnych, które prowadzone często w sposób nieracjonalny, a nawet szkodliwy dla zdrowia młodzieży, stały się z powodu niezważania osób kierujących nimi na zachowanie się uczestników — przykrem zjawiskiem w Tatrach, postanowiła P. R. O. P. zainteresować tą sprawą Ministerstwo Oświaty. W tym celu zwróciła się do Pol. Tow. Tatrzańskiego z propozycją, aby opracowało referat, w którym poza omówieniem technicznej strony wycieczek, podany będzie zarazem plan zainteresowania młodzieży szkolnej ruchem turystycznym, a ewentualnie także projekt przyjmowania w poczet członków P. T. T. organizacji szkolnych, skupiających całe grupy młodzieży n. p. w. „kółkach turystycznych”. Spodziewamy się, że umiejętnie prowadzona akcja skieruje tę sprawę na właściwe tory.

W sierpniu b. r. zwrócił się do P. R. O. P. Zarząd Siedmiu Gmin w Witowie z prośbą o podanie wskazówek do opracowania planów gospodarczych w lasach należących do tych gmin. Potrzebne wskazówki opracowane przez prof. St. Sokołowskiego przesłano Zarządowi; jest zatem nadzieja, że w tej części Tatr gospodarka leśna będzie prowadzona racjonalnie.

Akcja zmierzająca do zalesienia zboczy Boczania i Skupniowego Uplazu, podjęta w styczniu b. r. przez właścicieli hali Jaworzynki w związku z okólnikiem Ministerstwa Rolnictwa z dnia 27 VI. 1926 Nr. 2922, została ze względu na spóźniony termin odroczonej do jesieni. We wrześniu b. r. wznowiła ją P. R. O. P., odnosząc się w sprawie podjęcia potrzebnych kroków do Starostwa i Wydziału Powiatowego w Nowym Targu.

Pomimo przepisów ustawy lasowej chroniących kosodrzewinę, sprawa ta pozostawia bardzo wiele do życzenia. Z wielu stron dochodzą wiadomości o wycianiu i paleniu kosówki, między innymi także w schronisku „Beskidenvereinu“ na Babiej Górze, w którym to wypadku P. R. O. P. interweniowała.

Sprawy łowieckie w Tatrach, a przynajmniej na obszarze dóbr Fundacji Kórnickiej, poszły nareszcie nalezycim torem, a to dzięki, energicznej inicjatywie i pracy członka Rady dr. Janusza Domaniewskiego, inspektora ochrony przyrody w Fundacji. Bez względu na skuteczną walkę z rozwieleniem kłusownictwem przez zorganizowanie straży łowieckiej, oto zdobycz rokująca poprawę stosunków.

Ze spraw kamieniołomowych wysuwała się jak zwykle na pierwszy plan sprawa kamieniołomu pod Capkami, która w prasie codziennej była wielokrotnie i wielostronnie poruszana i oświetlana. Wobec podnoszonych z wielu stron zarzutów, że eksploatację kamienia pod Capkami prowadzi się bezplanowo i z wyraźną szkodą Zakopanego, jako uzdrowiska, odbyła się z inicjatywy P. R. O. P. i P. T. T. w Zakopanem w dniu 31 marca b. r. narada połączona z wizją lokalną kamieniołomów, w której, prócz przedstawicieli wspomnianych wyżej instytucji wzięli udział przedstawiciele Kuratorium Fundacji Kórnickiej, dyrekcji kamieniołomów, Starostwa w Nowym Targu, gminy Zakopane i Urzędu ochrony lasów. W związku z wynikami powyższej narady odbyła się w dniu 18 kwietnia b. r. urzędowa komisja zwołana przez Starostwo, w której wzięli udział przedstawiciele P. R. O. P. i P. T. T. Ostateczne wyniki tych kroków są następujące:

1) Kamieniołom nie będzie rozszerzany dalej ku wschodowi w stronę „Księżówki“ i to ani robotami eksploatacyjnymi ani przygotowawczymi, ani deponowaniem materiałów i odpadków.

2) Eksploatacja odbywać się będzie tylko z dokonanych już odkrywek.

3) Kamień, ziemia i odpadki składane będą nie w przedłużeniu hałdy w stronę Księżówki, lecz na terenach pomocniczych, położonych niżej obecnych teras.

4) Do rozsadzania skał używany będzie materiał wybuchowy nie wywołujący silnych detonacji.

5) Cały teren kamieniołomu zostanie ogrodzony.

6) Dozór nad robotnikami będzie ściśle wykonywany.

W ten sposób przynajmniej najbardziej piekące dla Zakopanego sprawy kamieniołomu pod Capkami zostały narazie załatwione.

Wobec istnienia wielkiego kamieniołomu pod Capkami P. R. O. P. sprzeciwiała się usiłowaniam wydobycia wapienia eocenckiego w innych miejscach u podnóża Tatr, n. p. u wylotu Doliny Olczyńskiej.

W pracach nad uregulowaniem stosunków granicznych, które zajmuje się Delegacja polska dla umów granicznych polsko-czesko-słowackich, została zawarta jedna z dalszych umów, a mianowicie w dniu 18 lutego b. r. podpisano w Katowicach konwencję w sprawie rybołówstwa na rzekach granicznych. Jest nadzieja, że umowa ta, wprowadzając szczegółowe przepisy ochronne nie tylko na wspólnych granicznych odcinkach Dunajca i Po-

pradu, ale na całych dorzeczach tych rzek, przyczyni się do zapobieżenia niebezpieczeństwu wyjąłowania górnych wód Dunajca i Popradu, a w szczególności do skutecznej ochrony pstrąga i łososa. Zasługa zawarcia powyższej umowy przypada w udziale prof. dr. Waleremu Goetlowi i majorowi Bronisławowi Romaniszynowi, polskiemu komisarzom granicznym.

W rezerwach Gór Świętokrzyskich tegoroczne burze wyrządziły bardzo znaczne szkody, zwłaszcza w t. zw. Puszczy Jodłowej. Koniecznym będzie usunięcie w niektórych partjach powalonych i zniszczonych drzew, co niestety do pewnego stopnia zmieni dotychczasowy charakter tej puszczy.

Sprawa wykupna Pienin przez Rząd, która niejednokrotnie poruszana była na łamach „Wierchów“, wchodzi, jak się dowiadujemy ze sfer urzędowych, w stadium rozwoju końcowego.

Na koniec podnieść musimy pożyteczną akcję wszczętą dla propagandy Tatr i idei Parku Narodowego zagranicą, przez p. Stefana Jarosza z Poronina, absolwenta Uniwersytetu poznańskiego, który przed dwoma laty wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki celem wygłoszenia dla tamtejszej Polonii szeregu wykładów o Tatrach i Pieninach. Niedawno doniósł Konsulat Generalny Polski w Chicago, że wykłady p. Jarosza spotkały się w Ameryce z nadzwyczajnym uznaniem ze względu na ich wysoki poziom artystyczny i techniczny. Cały szereg polskich instytucyj z Milwaukee nadesłał zbiorowy adres, wyrażający wdzięczność za wysłanie p. Jarosza do Ameryki.

W. K.

Liga Ochrony Przyrody. — Na wiosnę r. b. zawiązane zostało stowarzyszenie pod nazwą L. O. P., z siedzibą w Warszawie. Cel i organizacja jego wynika z przytoczonych niżej postanowień statutu.

§ 1. Siedziba władz centralnych T-wa „Liga Ochrony Przyrody“ jest m. st. Warszawa, działalność zaś T-wa rozciąga się na cały obszar Rzeczypospolitej Polskiej.

Liga Ochrony Przyrody stanowi osobę prawną, może nabywać i sprzedawać wszelki majątek ruchomy lub nieruchomy, zawierać zobowiązania, poszukiwać i odpowiadać sądownie, zawierać umowy oraz przyjmować dary i zapisy.

§ 2. Liga O. P. ma za zadanie zabiegać o zachowanie oblicza ziemi ojczystej w jego pierwotnym lub historycznie wytworzonym stanie, a w szczególności o ochronę tworów przyrody żywej i nieożywionej, tudzież o za-

Wierchy VI.

chowanie piękna i swoistych cech krajobrazu rodzimego.

§ 3. Do osiągnięcia tych celów Liga dążyć będzie:

a) przez budzenie słowem i piśmem zainteresowania i miłości dla cech swoistych ziemi ojczystej;

b) przez poznanie i badanie pod względem przyrodniczym poszczególnych części tej ziemi;

c) przez organizowanie stowarzyszeń, podejmujących zadania Ligi, tudzież przez współpracę w tym kierunku z innymi stowarzyszeniami, które poza tem mają cele specjalne (jako to: towarzystwa krajoznawcze, leśne, rolnicze, łowieckie, rybackie, naukowe, turystyczne i t. p.); oraz przez skupianie działalności tych stowarzyszeń i nadawanie jej wspólnego kierunku;

d) przez gromadzenie funduszy i środków materialnych;

e) przez nabywanie, wydzierzawianie i zabezpieczanie innym sposobem zabytków przyrody lub terenów godnych zachowania pod względem przyrodniczym i krajoobrazowym.

§ 4. Wymienione powyżej zadania winny być spełniane przez ogół członków Ligi O. P., skupionych w Kołach i Oddziałach Ligi, działających na określonych obszarach Rzeczypospolitej.

§ 5. Członkowie Ligi O. P. mogą być: 1. zwyczajni, 2. popierający, 3. korespondenci, 4. honorowi.

§ 6. Członkami zwyczajnymi mogą być osoby fizyczne i prawne (jak sejmiki, gminy, fundacje, zakłady), czynnie współdziałające w spełnianiu zadań Ligi, przyjęte przez Zarząd Główny Ligi i opłacające składkę roczną. Składka roczna członka zwyczajnego, będącego osobą fizyczną, wynosi trzy złote (3 zł.). Składka roczna członka zwyczajnego, będącego osobą prawną (p. wyżej), wynosi najmniej złotych trzydzieści (30 zł.). Składka roczna może być pobierana za szereg lat z góry.

§ 7. Członkami popierającymi mogą być: osoby fizyczne i prawne oraz stowarzyszenia, przyjęte przez Zarząd Główny i dopomagające Lidze Ochrony Przyrody materialnie. Członek popierający, będący osobą fizyczną, wnosi rocznie najmniej złotych dwadzieścia pięć (25 zł.), lub jednorazowo — najmniej złotych dwieście (200 zł.). Członek popierający, będący osobą prawną (sejmik, gmina, fundacja i t. p.) wnosi rocznie najmniej zł. sto (100 zł.) lub jednorazowo najmniej zł. tysiąc (1.000 zł.).

Stowarzyszenie, przystępujące do Ligi

Ochrony Przyrody, otrzymuje tytuł stowarzyszenia związkowego L. O. P., który wyraża, iż popiera ono działalność Ligi Ochrony Przyrody. Składka roczna stowarzyszenia związkowego, wpłacana do kasy Ligi, wynosi po trzydzieści groszy (30 gr.) od każdego członka stowarzyszenia.

Szkoły i zakłady wychowawcze przyjmowane będą do Ligi O. P. w charakterze stowarzyszeń związkowych.

§ 8. Zarząd Główny L. O. P. może z pomiędzy członków Ligi mianować członków-korespondentów. Obowiązki ich określi regulamin.

§ 12. Liga O. P. ma prawo zakładania swych Kół i Oddziałów w różnych miejscowościach Rzplitej, z zastrzeżeniem stosowania się do miejscowych przepisów o stowarzyszeniach.

§ 13. Koło Ligi O. P. może powstać w składzie najmniej 5 członków Ligi, działających w jednej miejscowości.

§ 14. W miarę rozwoju działalności Ligi O. P. będą tworzone Oddziały, obejmujące swą działalnością ściśle określone obszary Rzplitej.

§ 16. Kola i Oddziały Ligi O. P. powstają na mocy decyzji Zarządu Głównego Ligi i kierują się w swej działalności niniejszym statutem oraz regulaminami i instrukcjami, zatwierdzonymi przez Zarząd Główny. Pierwszy przewodniczącym Koła Ligi oraz pierwszy Zarząd Oddziału będzie mianowany przez Zarząd Główny Ligi na przeciąg jednego roku. Późniejsze Zarządy Kół i Oddziałów powstaną z wyborów.

§ 17. Władzami centralnymi Ligi są: Zjazd Delegatów Ligi, Zarząd Główny oraz Główna Komisja Rewizyjna.

§ 30. Majątek Ligi Ochrony Przyrody powstaje ze składek członkowskich, z darowizn i zapisów, z subwencji, kwestii oraz sprzedaży wydawnictw, wreszcie z dochodów, osiągniętych z odczytów publicznych i t. p.

Przewodniczącym L. O. P. został prof. Józef Morozewicz.

Adres Sekretarjatu: Warszawa, ul. Rakowiecka 4. Konto czekowe P. K. O. nr. 17.410.

Z ustawodawstwa leśnego. — Pod datą 24 czerwca 1927 r. — wydane zostało Rozporządzenie Prezydenta Rzplitej (z mocą ustawy) „O zagospodarowaniu lasów nie stanowiących własności państwa”. O Rozporządzeniu tem z punktu widzenia ochrony lasów górskich — pisałem w poprzednim roczniku „Wierchow” (str. 173—174). Obecnie jako dopełnienie ustawodawstwa lasowego wydane

zostało pod datą 22 czerwca 1928 r. podobne Rozporządzenie „O zagospodarowaniu lasów państwowych”. Prawidłowa technika ustawodawcza wymagałaby połączenia przepisów obu tych rozporządzeń w jeden akt ustawodawczy, gdyż oczywiście bardzo wiele przepisów jest wspólnych. W tem drugim Rozporządzeniu oczekujemy przeto powtórzenia się całego szeregu przepisów z pierwszego a to właśnie szczególnie w dziale przepisów ochronnych.

W samej rzeczy też art. 7 ostatniego Rozporządzenia powtarza art. 19 Rozporządzenia z 24 czerwca 1927. Przybył tu jednak nadto jeszcze jeden punkt, którego tam niema: za ochronne mogą być uznane lasy i zarośla, które: „f” — leżą w granicach okręgu ochrony sanitarnej uzdrowisk, posiadających charakter użyteczności publicznej. Jest to punkt, który powinien być wejść także do Rozporządzenia z 24 czerwca 1927 r. z pewnem uzupełnieniem co do ewentualnego odszkodowania właściciela za poniesione w interesie publicznym ofiary. Co innego bowiem jest ochrona dla względów gospodarczych, a co innego ograniczenie użytkowania dla zgoła obcego danemu gospodarstwu interesu publicznego. Dawniejsze (austriacko-galicyskie) ustawodawstwo odróżniało też takie dwie kategorie ochrony pod nazwą (zresztą niewłaściwą) lasów ochronnych i lasów zamkniętych i dla tych ostatnich przewidywało odszkodowanie (§ 9 ust. lasowej z 3/XII 1852); nasze ustawy o tem nie mówią.

Jak to już przy omawianiu Rozporządzenia z 24/6 1927 stwierdziłem, przepisy ochronne pojęte są szeroko a nawet wyprzedzamy w pewnej mierze inne ustawodawstwa przyznając charakter ochronny lasom ważnym ze względów przyrodniczo-naukowych. Jedną jest tu tylko luka: za ochronne powinny być uznane wszystkie lasy na swej górnej granicy pionowego zasięgu, a to ze względu na trudność, lub zgoła niemożność ich odnowienia.

Do ochrony kosodrzewiny odnosi się art. 5, odpowiadający artykułowi 15 Rozporządzenia z 1927 r. Ze postanowienia te nie zupełnie są zadawalniające, pisałem w cytowanym artykule.

J. G. P.

Zniszczenie lasów tatrańskich. — Każdy, kto ma sposobność przez dłuższy okres czasu chodzić po lasach tatrańskich, zauważy, jak z roku na rok gwałtownie kurczy się i maleje szata leśna Tatr, ta największa tych gór obok skał i wód ozdobna.

Porównać takie doliny Chochofowską, Le-

jową, Kościeliską, Małą Łąkę, Strażyską, Olczyską, Suchą Wodę, Filipkę, Roztokę z przed wojny, a dzisiaj! Obiektywny świadek, — fotografje przedwojenne i dzisiejsze, znajdujące się w zbiorach Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, wykazują najlepiej, że tam, gdzie w pierwszych jeszcze latach wojny szumiły wspaniałe bory, dzisiaj rozpościerają się na setkach hektarów zupełnie pustacie, pokryte żałośnie ku niebu sterczącymi kikutami drzew, lub wydartymi z ziemi korzeniami wykrotów.

Przyczyną tego zjawiska były najpierw wiatrolomy, rokrocznie pojawiające się w Tatrach, których w czasach wojny z braku sił roboczych nie można było usunąć. W ślad za tem pojawiła się kłeska kulturowanych lasów, kornik, i w krótkim przeciągu czasu pokrył zielone zbocza regli rdzawymi plamami umarłych drzew.

Ale i wiatrolomy i kornik nie dokonalyby tak strasznego zniszczenia lasów, jakie dzisiaj oglądamy w Tatrach, gdyby nie człowiek-niszczyciel, który kornika i wiatrolomów użył za pokrywę do wandalskiej dewastacji lasów. Przez szereg lat na rozmaitych odcinkach Tatr prowadzi się systematyczną akcję „usuwania wiatrolomów“, „zastawiania pałupka na kornika“, „wyprostowywania ścian leśnych“ i t. d. na skalę, która nie może być niczem usprawiedliwioną. Akcje władz zmierzających do ukrócenia dewastacji, ogłasza się jako krzywdzenie Bogu ducha winnych właścicieli lasów tatrzańskich, a zarządzenia ochronne określa się jako nadużycia władz — tymczasem zaś tępi się bezlitośnie lasy tatrzańskie, częstokroć nie zalesiając należycie wyrąbanych obszarów i zamieniając je w wapiennych pasmach w pustynny kras.

Do szczytu bezprawia doprowadzono w roku bieżącym na obszarze lasów dóbr Poronin p. Józefa Uznańskiego. Pod hasłem walki ze „sztuczkami administracyjnymi“ i Parkiem Narodowym, wyrąbano tam w zimie ponad tysiąc sztuk drzew przy drodze do Morskiego Oka na Przyporniaku, a po zahamowaniu tego gwałtu przez władze, w jesieni powtórzono ten sam eksperyment na większą jeszcze skalę, przystępując równocześnie na kilku miejscach do wyrębu wbrew wszelkim obowiązującym prawom i rozkazom. Paruset chłopów cięło las dzień i noc, zabierając natychmiast drzewo. Wysyłka policjantów na miejsce czynu nie pomagała, gdyż nie można było pozostawić tam stale straży bezpieczeństwa. Dopiero ekspedycja karna, złożona z kilkudziesięciu policjantów z całego województwa krakowskiego, których wysłano na teren na czas dłuższy, położyła kres zniszczeniu.

Miarę nieszczęścia zwiększają pożary, które szalały w ostatnim roku na obszarze Tatr. Wielka susza panująca w lecie, sprzyjała rozszerzaniu się ognia, który prawdopodobnie zawieruszony przez turystów a właściwie łazików, objął wielkie połacie wysokogórskiego lasu i kosodrzewiny w dolinie Roztoki na stokach Wołoszyna. Pożary te, po wielodniowej akcji ratunkowej przeprowadzonej ofiar nie i sprężycie przez wojsko, ostatecznie opanowano, pozostał jednak po nich straszliwy obraz zniszczenia.

Cały ten stan rzeczy potwierdza ponownie i ze szczególnym naciskiem głoszoną przez wszystkich miłośników przyrody tezę, że lasy górskie wymagają szczególnie ostrożnej i ochronnej gospodarki, aby nie uległy zagładzie, a teren leśny trwałej zamiany w pustkę. Rekojmij takiej gospodarki może nam dać jednak tylko objęcie lasów tatrzańskich przez Rząd — dopóki zaś to nie nastąpi, szczególnie troskliwa opieka władz nad wykonywaniem ustaw leśnych w Tatrach i zwrócenie przez kompetentne organa najbaczniejszej uwagi na to, co w lasach tatrzańskich się dzieje. Zwracamy się o to z ponownym gorącym apelem do wszystkich władz Ministerstwa Rolnictwa, Województwa i Starostwa, którym piecza nad lasami tatrzańskimi jest powierzona.

Zagrożenie lososia. — Furunkuloza, czyli wrzodnica wystąpiła znowu w ubiegłym roku w Dunajcu, zabijając tysiące lipieni, pstrągów i lososi. Niebezpieczeństwo, grożące najszlachetniejszym i najcenniejszym naszym rybom, jest specjalnie ważne, gdyż przyczyną tej choroby nie są ściśle ustalone, a więc walka z nią jest niezmiernie utrudniona. Niektórzy ichtjologowie niemieccy wykazują, że furunkulozę wywołuje organiczne zatrucie wody. Poglądom tym nie można odmówić poważnych cech prawdopodobieństwa. Każdego, kto w ostatnich latach śledził przebieg tej choroby, uderzyć musiało spostrzeżenie, że zaczęła ona przybierać charakter epidemji od roku 1923, a więc równocześnie z pogorszeniem się warunków hydrograficznych z powodu dewastacji lasów na obszarze górnego zlewiska Dunajca. Niszczenie lasów postępuje niestety nieubłaganie dalej. Opady deszczowe nie mają się gdzie zatrzymać i spływają szybko do rzek po pozabawionych roślinności zboczach, wskutek czego na Dunajcu jest albo powódź, albo, jeśli choćby tylko przez kilka dni niema opadów, woda maleje poprostu w oczach. Nie popełnimy najmniejszej przesady twier-

dząc, że skutkiem rabunkowej gospodarki leśnej na Podhalu Dunajec wysycha. Wszakże w ubiegłym roku wystąpiło zjawisko, nigdy, jak pamięć ludzka sięga, nad Dunajcem nie zaobserwowane, a mianowicie rzekę tę można było przejść w bród w Pieninach niemal w każdym miejscu. W następstwie tego niskiego stanu wody temperatura jej niezmiernie podnosi się, osiągając wysokość absolutnie szkodliwą dla życia łososia, pstrąga i lipienia. Dno Dunajca, na całej jego przestrzeni od Poronina lub Witowa poza Sącz i dalej, zarasta coraz obficie wodorostami nitkowatymi. Wysoka temperatura wody powoduje proces gnilny i zatrucie wody. Jeśli dalej, zważymy, że pływający z morza łosoś musi przebywać coraz silniej zanieczyszczane ściekami miejskimi i odpływami z fabryk wody Wisły i dolnego Dunajca, musimy dojść do przekonania, że występująca coraz silniej na Dunajcu furunkuloza musi mieć z tym wszystkim poważny związek.

Niestety niszczącym skutkiem wytrzebień lasów nie można zaradzić, gdyż najmniej

kilkadziesiąt lat przyjdzie czekać, zanim stoki wzgórz pokryją się lasami, o ile wogóle zostaną one zalesione. Groźne memento w tej mierze przedstawiają między innymi południowe zbocza Gorców, odarte z lasów i niezalesione. Z tem większą energią należy więc przeciwdziałać zatrutowaniu wód Wisły i Dunajca, oraz masowemu tępieniu łososia ręką człowieka. Nie chodzi tu więc jedynie o kłusownictwo, gdyż przy energiczniejszym zastosowaniu przepisów administracyjnych można je opanować, lecz o tak zwane legalne łowienie, które w praktyce okazało się bezwzględnie tępieniem tej szlachetnej i cennej ryby. Brak ogólnej polskiej ustawy rybackiej coraz dotkliwiej odczuwać się daje, zwłaszcza na obszarze dawnego zaboru rosyjskiego, gdzie do obecnej chwili niema najprymitywniej pojętego ustawodawstwa rybackiego. Należy się obawiać, że zanim przyszła polska ustawa rybacka będzie mogła zabezpieczyć łososiowi należytą ochronę, łosoś w naszych wodach wyginie i należeć będzie do wspomnień.

B. R.

TURYSTYKA.

Dwudziestopięciolecie Sekcji Turystycznej P. T. T. — Taternictwo, pojęte jako elita polskiego ruchu turystycznego, zjawiało się wówczas, gdy niektórzy z szerokiego zastępu miłośników Tatr zaczęli zwiedzać góry z pewną ciągłością, w sposób systematyczny i w związku z tem — z niejakim zaczątkiem umiejętności. W drodze naturalnej selekcji ludzie ci odszukali w masie góralskiego ludu najdoświadczeńszych i zapalnych Tatr zwiedzaczy i stworzyli z nich pierwsze kadry przewodników, z którymi pospół i w najściślejszej, częstokroć przyjacielskiej współpracy, położyli fundament pod taternictwo polskie.

W osobie Tytusa Chałubińskiego znalazło młode taternictwo polskie swego najwybitniejszego przedstawiciela, a „młodzi” tej epoki — Jan Gwałbert Pawlikowski i Ludwik Chałubiński — w swych śmiałych do dziś dnia pamiętnych, wyprawach taternickich podnieśli poziom taternictwa do granic osiągalnej w tym czasie doskonałości. Lata między 1875 a 1885 stanowią też pierwszy „złoty okres” taternictwa polskiego.

Po tym rozkwicie zapanował dłuższy okres застоju. Sięgnął on aż lat przełomu XIX-go i XX-go stulecia, w którym to czasie daje się stwierdzić znaczne ożywienie w ruchu taternickim, ciągle jednak jeszcze tkwiącym w ideologicznych ramach taternictwa z okresu dawno już zmarłego „króla Tatr” Chałubińskiego.

Młodzi przywódcy ówczesnego taternictwa, w pierwszym rzędzie Janusz Chmielowski, dostrzegli trafnie to osłabienie tempa rozwojowego i zanik ekspansji taternickiej. Uświadomienie sobie tego faktu przyszło tem łatwiej, gdy poziom ówczesnego taternictwa porównano ze zdumiewającym istotnie tempem rozwojowym zachodnio-europejskiego — w pierwszej linii niemieckiego — alpinizmu, który w ostatnim dwudziestolecu ubiegłego wieku święcił prawdziwe triumfy przedewszystkiem w zakresie podniesienia sprawności technicznej, rozkwicie ruchu bezprzewodnikowego, oraz turystyki zimowej.

W liście, przestany w roku 1902 przez grono taterników Wydziałowi Tow. Tatrzańskiego, a zredagowanym przez Janusza Chmielowskiego, czytamy:

„Po śmierci nieodżałowanego twórcy turystyki polskiej, ś. p. prof. dra Tytusa Chałubińskiego, szersze warstwy naszego społeczeństwa zaczęły stopniowo zatracać zainteresowanie się wyprawami górskimi; ruch taternicki — ten ruch, co tętnić winien potężnie, szerzyć się i pogłębiać coraz bardziej, ten objaw zdrowia narodowego, ten sport szlachetny i rozumny, zamiast sięgać coraz wyżej i nowe dziedziny zdobywać, a jednocześnie wszereć się rozlewać — ruch ten zwolna zanikać począł...”

Z trafnością, którą dziś chlubnie ocenić należy, autor listu mniemał, że rozwój i po-

stęp w taternictwie nie może być oparty o odosobnione wysiłki, luzem chodzących jednostek, ale wymaga zbiorowego i skoordynowanego wysiłku, ujętego w karby osobnej organizacji.

Z takich rozważań wyrosła idea założenia osobnego stowarzyszenia taternickiego, która zrealizowana została w r. 1903 w formie Sekcji Turystycznej Tow. Tatrzańskiego.

Latem ostatniego roku (1928) Sekcja Turystyczna obchodziła 25-lecie swego istnienia.

To ćwierćwiecze — jakkolwiek przerwane długotrwałym okresem wojennym — pozwala dziś stwierdzić: nadzieje, jakie założyciele Sekcji łączyli z jej istnieniem, zostały w zupełności urzeczywistnione, taternictwo polskie rozpoczęło niebawem nowy okres rozwojowy, w którym — w szybkim tempie — „odrobiło zaległości“ poprzedniego okresu, stając się równocześnie podstawą popularnego, coraz szersze koła zataczającego ruchu turystycznego; wykształciło nowy typ taternika, obywatela się bez przewodnika; zapoczątkowało — na szeroki poziom zakrojoną turystykę zimową. A dla wszystkich tych sukcesów istnienie Sekcji Turystycznej było najistotniejszym warunkiem. Ona była kęosem nowemu „odrodzenia“ taternictwa i kiedyś — po latach — przyszli miłośnicy Tatr i alpinizmu polskiego, ten po 1903 r. rozpoczęły, a obecnie kończący się okres taternictwa, nazwą „okresem Sekcji Turystycznej“.

Dwudziestopięciolecie Sekcji Turystycznej P. T. T. uczczono zjazdem odbytym w Zakopanem w dniach 14 i 15 sierpnia 1928 r.

Zjazd był bardzo liczny i zgromadził — a był to moment naprawdę podniosły — pełny niemal, a chlubnie w historii taternictwa zapisany poczet najwybitniejszych jego przedstawicieli współcześnie żyjących. Całe półwiecze taternictwa było reprezentowane: zjawili się senior taterników prof. Jan Gwałbert Pawlikowski, a postać jego przypominała zebranym pierwszy złoty okres rozkwitu taternictwa w epoce Chałubińskiego. Przybył kontynuator działalności „króla Tatr“, najzasłużeńszy badacz taternictwa i jego organizator, założyciel Sekcji Turystycznej, inż. Janusz Chmielowski z wiernymi towarzyszami pracy, wicewojewodą dr. Adamem Kroeblem i redaktorem Adamem Lewickim. Najliczniej zjechali się przedstawiciele bujnego okresu rozkwitu Sekcji z lat przedwojennych. Przybyła w kordyce pamiętna trójka: Klemensiewicz, Nordy, Maślanka, zjawili się Aleksander Znamięcki, J. Jankowski, bracia Ale-

dr. Walery i Ferdynand Goetlowie, dr. Stefan Komornicki, dr. Wacław Zakrzewski, dr. K. Piotrowski, Stanisław Porębski, Stefan Porębski, bracia Schielowie, Henryk Bednarski, Teofil Janikowski, Z. Ritterschild i wielu innych. Witano serdecznie najwybitniejsze taterniczki tego okresu Wandę Jerominówną i Jadwigę Roguską Cybulska. A potem całe zastępy „młodszych“ z dr. Marjanem Sokółowskim i Stan. Krystynem Zarembą na czele, aż do „najmłodszych“, na „dorobku“ będących taterników i taterniczek. Przewodniczył zjazdowi zasłużony, długoletni prezes Sekcji, dr. Mieczysław Świerż, z zastępcą swoim ks. Janem Humpolą.

Z obcych gości przybyli na zjazd dr. Guhr, prezes Towarzystwa Karpackiego i znany taternik spiski Alfred Grósz i dr. Reichardt.

Uroczystości zjazdowe rozpoczęły się odczytem dra Świerża „o tych, którzy odeszli“, poświęconym uczczeniu tych wszystkich zesłych z tego świata postaci w taternictwie, których nazwiska nazawsze zostały związane z Tatrami.

Na odbytem wieczornym zebraniu towarzyskim zapoznali się ze sobą uczestnicy zjazdu i w wesołym nastroju odnowili dawne węzły w górach zadzierniętego koleżeństwa.

Następnego dnia zeszli się wszyscy w starym kościółku zakopiańskim na nabożeństwo odprawionem przez wicypresea Sekcji ks. Humpolę. Był to najpodnioslejszy bodaj i najbardziej wzruszający moment zjazdu, gdy ze stopni ołtarza przemówił ksiądz-taternik i w słowach natchnionych wiarą i drgających najwyższymi tonami wzruszeń z Tatr wyniesionych, wielbił wielkość i piękno zasianego przez Boga w sercach ludzkich kultu górskiego.

Z kolei udano się na groby, pochowanych w obliczu Tatr ich największych miłośników, ks. Stolarczyka, Tytusa Chałubińskiego, Stan. Witkiewicza, Bron. Dembowskiego, Jana Kasprowicza, Klimka Bachledy, składając wieńce czci i pamięci.

Nastąpiło uroczyste Walne Zgromadzenie Sekcji Turystycznej. W pięknej sali Muzeum im. Chałubińskiego zgromadzili się wszyscy, aby wysłuchać przemówień powitalnych reprezentantów zaprzyjaźnionych stowarzyszeń, oraz — wygłoszonego przez prezesa dra Świerża — rysu historycznego, ujmującego całokształt dorobku Sekcji Turystycznej w dwudziestopięcioletniu. Aby uczcić zasłużonych dla rozwoju taternictwa pracowników Sekcji Walne Zgromadzenie zamianowało honorowymi członkami Sekcji Turystycznej — obok dawniej już obranych J. G. Pawlikowskiego,

J. Chmielowski K. Tetmajera, ks. Gadowski i F. Denesa współzałożycieli Sekcji dr. A. Kroebła i dr. A. Lewickiego, oraz zasłużoną trójkę taterników prof. dr. Z. Klemensiewicza, red. R. Kordysa i inż. J. Maślankę. Odczytaniem nadeszłych depesz i listów zakończono jubileuszową część zebrania.

W dalszej jego oficjalnej części przyjęto sprawozdanie ustępującego Zarządu, wybierając nowy z prezesem drem Stanisławem Komornickim i wiceprezesem drem Marjanem Sokołowskim na czele.

Wspólny obiad w tradycyjnie z Sekcją związaną restauracji Karpowicza, urozmaicony szeregiem przemówień i toastów, był przerwany zakończeniem uroczystości zjazdowych, będących żywą manifestacją nierozzerwalnych węzłów, jakie taterników polskich z Tatrami i między sobą złączyły.

Jubileusz Sekcji Turystycznej czyni podwójnie aktualnym zagadnienie jej przyszłości. Sądzymy, że nie należy jej szukać w perspektywie rozszerzenia granic możliwości tatrzańskich. Pod względem techniki wspinania się osiągnięto już przed wojną górne granice możliwych w granicę tatrzańskim wspinaczek. Najwybitniejsze sukcesy lat powojennych nie zdołały tych granic w wyraźny sposób przekroczyć. Pole dla postępu wydaje się tu być zatem skończone, popularyzowanie zaś rekordów wspinaczkowych wśród szerszych warstw byłoby niegodnym Sekcji Turystycznej obniżaniem taternictwa do poziomu wyczynów w rodzaju popisów „człowieka-muchy“. Wysoka sprawność w zakresie wiedzienia Tatr w niekorzystnych warunkach — w szczególności w zimowych, jest niewątpliwie dorobkiem lat powojennych, ale i tu już niema mowy o nowych horyzontach, które mogłyby się stać treścią działalności Sekcji Turystycznej i porwać falą entuzjazmu nowe pokolenie taterników. Nie da go również „dobijanie“ ostatnich, częstokroć fikcyjnych „problemów“ taternickich.

Dłatego pora jest stwierdzić, że przyszłość taternictwa, w sensie „polskiego alpinizmu“ leży poza Tatrami i prowadzi w ostatecznym celu do wejścia w szranki światowego współzawodnictwa w odkrywaniu i zdobywaniu licznych dziś jeszcze gór wysokich naszej planety, których dziewicze wierzchołki stanowią będą na długie lata godny cel najszczytniejszych ambicji każdego prawdziwego taternika-alpinisty.

n. s.

Karpackie Towarzystwo Narciarzy w r. 1927/8. — Ubiegła zima, jakkolwiek

z początku beśniezna, poprawiła się już w połowie stycznia i trwała dłużej niż przeciętnie, tak, że — w przeciwieństwie do Tatr — miały Karpaty Wschodnie sezon lepszy niż w ubiegłych latach. Jeżeli mimo to ruch wycieczkowy w okolicy Sławska zawiódł oczekiwania, to powodem tego było znaczne pogorszenie w komunikacji kolejowej, spowodowane częścią szkodami powodziowymi, głównie jednak zmianami rozkładu jazdy, nie liczącego się zupełnie z postulatami turystyki. Wszelkie usiłowania naszego Towarzystwa, czynione w porozumieniu z innymi zrzeszeniami i Wojew. Komisją Turyst., nie odniosły żadnego skutku, przeciwnie w tegorocznym rozkładzie jazdy stan ten został spetryfikowany. Natomiast wzrosła ilość wycieczek w Gorgany i Czarnohorę, dzięki schroniskom na Jalu i na Zaroślaku. Odwiedzano również pasmo Borsawy i nawzajem goszczono w Sławsku dwukrotnie wycieczki Oddziału Klubu Czesko-słowackich Turystów w Mukaczewie.

Skocznia nasza na Zniesieniu we Lwowie została znacznie poprawiona. Urządzono w d. 1 i 2 lutego zawody o mistrzostwo Lwowa (wspólnie ze sekcją narciarską A. Z. S.) przy udziale zawodników szwedzkich, tudzież doroczny bieg z Tróściana. Zawodnicy Towarzystwa trenowali w ośrodkach olimpijskich we Lwowie i w Zakopanem, jakoteż startowali w olimpiadzie i wielu zawodach zagranicznych i krajowych. Wśród nich p. J. Loteczkowa zdobyła ponownie mistrzostwo Polski i Francji. W celu utrzymania działalności towarzyskiej i sportowej w sezonie letnim, założono sekcję kajakową (łodzi składanych), która z powodzeniem budzi zamiłowanie do turystyki wodnej. — Członków liczyło Towarzystwo przeszło 200.

Sekcja taternicka Akad. Związku Sportowego w Krakowie.

— W grudniu 1928 r. upływa pięć lat od chwili założenia Sekcji przez kilku młodych taterników. Spoglądając w przeszłość możemy z czystym sumieniem powiedzieć, że Sekcja zadania postawione sobie spełniła chlubnie. Zdołała w tym okresie czasu skupić w swem łonie i przywiązać do siebie szeregi młodych miłośników Tatr, nietylko z Krakowa, lecz także ze Lwowa i Warszawy. A że wśród tych szeregów błyszczą nazwiska wszystkich niemal koryfeuszy młodego pokolenia taternickiego, jest to dowodem, że duch panujący w Sekcji i metody jej pracy były właściwe. Proszę porównać cyfrę siedmiu członków zwyciężnych Sekcji przy założeniu a czterdziestu kilku w chwili obecnej. Proszę porównać

martwe taternicko sezonu letni i zimowy roku 1923 z niebawyłym rozmachem roku 1928. Rozwój ten zawdzięczać należy w przeważnej mierze członkom Sekcji, która więc — jako taka — w swym zakresie również do niego walcnie się przyczyniła. Możemy Sekcji tylko życzyć, by rozwój jej nie osłabł i w następnym pięcioleciu.

Lwią część zasług w pracy organizacyjnej Sekcji przypisać należy jej założycielowi i dotychczasowemu prezesowi dr. Marjanowi Sokołowskiemu. To też Ogólne Zebranie Członków, na którym złożył swą godność przewodniczącego Sekcji — zmuszony do tego wyjazdem z kraju — zamieniło się na spontaniczną manifestację na jego cześć i jednogłówną uchwałą wyraziło mu swą wdzięczność i nadzieję, że po powrocie nie odmówi swej cennej współpracy.

Jak od paru lat, tak i obecnie naczelne miejsce w naszym sprawozdaniu przypada górskiej działalności członków Sekcji. Była ona bardzo żywa i owocna. Przedewszystkiem w zimie, która staje się coraz bardziej domeną Sekcji. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że na 20 nowych wyjść zimowych ostatniego sezonu, (wyliczonych w n-rze 2-im „Taternika“ z 31/5 b. r., (członkowie Sekcji nie brali udziału tylko w czterech), (w czem nb. są 3 wyprawy taterników spiskich). W sezonie tym poczyniono szereg doświadczeń z noclegami na graniach i ścianach — i to tak w namiocie, jak i pod gołym niebem.

Niemniej piękne są wyniki sezonu letniego. Nie mogę wdawać się na tem miejscu w szczegóły, które czytelnik znajdzie w „Taterniku“. Zaznaczę, że członkowie Sekcji dokonali powtórzeń wszystkich najważniejszych i najtrudniejszych problemów — i to po kilkakroć. Z pośród nowych dróg wystarczy wyliczyć ważniejsze: Kozia Przełęcz Wyżnia od pd., pd. grań Żabiej Turni Mięg., pn.-wsch. ściana Młynarza, pn.-wsch. ściana Rumanowego, (częściowo nowa droga), pd.-zach. ściana Środkowej Kończystej, pn.-zach. ściana Wyżniej Wysokiej, Gerlach, Kapalkowa Grań (całkowite wyjście), pn. ściana Spiskiej Grzędy. Dokonano też szeregu bardzo poważnych wypraw samotnych tak w lecie jak i w zimie.

Przy tem wszystkim kierownictwo Sekcji nie zamyka oczu na szereg mniej lub więcej ujemnych objawów, które zaczynają w jaskrawy nieraz sposób wykrzywiać linię rozwoju ruchu taternickiego. Istnieje w Sekcji świadoma wola przeciwstawiania się tym objawom i zwalczania zdecydowanego.

Z prac organizacyjnych Sekcji w ub. r. mamy do zanotowania przedewszystkiem zmianę obowiązującego dotąd regulaminu, idącą w kierunku podwyższenia kwalifikacji wymaganych od członków zwyczajnych (co najmniej 3 wyprawy dość trudne i 2 trudne) oraz członków-adeptów (ogólna znajomość całych Tatr). Obie te zmiany wyplęły logicznie z dokonanych w ub. pięcioleciu postępów w taternictwie Wyprawy, które ongiś pasowały na taternika przez duże T — stały się obecnie codzienną turą nawet bezpretensjonalnych łażników.

W okresie sprawozdawczym odbywały się b. licznie uczęszczane zebrania towarzyskie z dyskusjami. Tematy poruszane miały przeważnie charakter bardzo ogólny — dotyczyły zasadniczych poglądów na samą istotę zjawiska zwanego taternictwem (np. odczyty kol. S. K. Zaremby „Indywidualizm i uniwersalizm w taternictwie“, „Taternictwo: namiętność czy fach?“. Poza tem wymienić należy kol. J. A. Szczepańskiego „Uwagi o taternictwie kobiecim“ i rewelacyjny odczyt p. R. Kordysa „Tajemnica Dawida Frölicha“.

W ubiegłym sezonie doznała Sekcja niezwykle ciężkiego ciosu przez tragiczną śmierć ś. p. Zofji Krókovskiej i ś. p. Jadwigi Honowskiej na Oстрыm Szczycie. Taternictwo polskie straciło w nich dwie niewątpliwie najlepsze taterniczki.

J. K. Dor.

Tatrzańskie Ochońnicze Pogotowie Ratunkowe (T. O. P. R.) w r. 1928.

— Sekcja Ochońniczego Pogotowia Ratunkowego P. T. T. interwenjowała w r. b. w całym szeregu nieszczęśliwych wypadków w Tatrach, bądź to śmiertelnych, bądź w wypadkach cięższych lub lżejszych potłuczeń.

Z powodu dość długo leżącego, zwłaszcza w ocenionych żlebach i rynnach śniegu, wypadki rozpoczęły się wcześniej. Na początku czerwca zaszyły dwa wypadki poślizgnięcia się po śniegu w żlebie Kirkora na Giewoncie. W pierwszym p. Ryszard Kiszko zjechawszy po śniegu około 45 m. doznał ogólnego potłuczenia ciała, kilka ran na głowie i złamania lewej ręki. Pogotowie zaalarmowane przez urzędniczkę Banku Podhalańskiego w przeciągu paru godzin zniosło p. Kiszko do doliny Strążyskiej, a następnie do szpitala, gdzie w przeciągu dwóch tygodni się wyleczył.

Drugiemu wypadkowi w tych samych okolicznościach uległa b. urzędniczka poczty w Zakopanem p. Salamónówna, którą Pogotowie w nocy, w stanie bardzo ciężkiego potłuczenia, zniosło do Strążysk i odwiezło następnie do szpitala.

W okolicach Giewontu i Czerwonych Wierchów zaginał w tym samym czasie akademik z Warszawy p. Jerzy Sokolewicz. Jedyne ślad, jaki po sobie pozostawił, to był kapeluszek z biletem wizytowym i laska znalezione przy krzyżu na Giewoncie. Według zeznań p. inż. Bosak Haukego, który zauważył w czasie swego wyjścia na Giewont zbiegającego z góry turystę bez kapelusza, w okolicy źródła „Piekiełko“, wynikałoby, że Sokolewicz skierował się na Czerwone Wierchy i tam złądziwszy uległ nieszczęśliwemu wypadkowi. Dwutygodniowe poszukiwania członków Pogotowia nie dały żadnych rezultatów. Jedyne przypadek może w przyszłości naprowadzić na zwłoki zaginionego.

Z początkiem lipca interwenjowało Pogotowie na Zamarłej Turni, ściągając ze ściany dwóch młodych turystów, próbujących poraz pierwszy swych sił taternickich: p. Stanisławskiego Wiesława i Korosadowicza Zbigniewa; wypadek bez tragicznych następstw.

Najsilniej i najgłębiej wstrząsnęła sferami turystycznymi wieść o śmierci doskonałego taternika i miłego towarzysza wypraw sp. Jerzego Leporowskiego. Obdarzony z natury doskonałymi warunkami fizycznymi stał Jerzy Leporowski w rzędzie najlepszych taterników polskich. Miał za sobą kilka niezwykle śmiałych i trudnych wyjść górskich. W dniu krytycznym pragnął pokonać ścianę Koziego Wierchu od północy i tu znalazł tragiczną śmierć odpadając od ściany z wysokości około 80 m. Pogotowie zawiadomione telefonicznie z Hali Gąsienicowej przez p. Różę Drójecką wyruszyło wieczorem (20. VII) po szczytki nieszczęśliwego turysty, które zniekształcone i bez głowy, leżącej oddzielnie znaleziono na piargu pod ścianą Koziego. Pogrzeb Jerzego Leporowskiego odbył się w Zakopanem przy współudziale licznie zebranej braci turystycznej. Taternictwo poniosło przez śmierć Leporowskiego wielką stratę.

Trzy tygodnie później uległ znów ciężkiemu potłuczeniu ppłk. Anatol Minkowski z Warszawy, który schodząc z Kosistej ku Pańszczycy spadł z rynną pośliznął się i zleciał po kamieniach ulegając ciężkiemu potłuczeniu oraz złamaniu prawej ręki. Pogotowie nocą dotarło do rannego i dopiero nad ranem z trudem wielkim zniesiono go do Roztoki, ztąd zaś do szpitala w Zakopanem, gdzie po kilku tygodniach wyzdrowiał.

Pod koniec sierpnia Tatrę pochłonęły znów cztery ofiary z pośród polskich turystów. Wypadki te zaszły po stronie czesko-słowackiej. — P. Romuald Dowgiałłowicz

z Warszawy z p. Lolą Hirsztówną z Krakowa, wyruszyli ze schroniska Terey'ego na Lodowy, rozpowszechniając przedtem w schronisku wiadomość, jakoby szli oddzielnie w różnych kierunkach. Kilka dni później znaleziono Dowgiałłowicza pod Małym Lodowym martwego, w pozycji pół siedzącej pół leżącej, samego, zaś po Loli Hirsztównie wszelki ślad zaginął. Na trupie Dowgiałłowicza nie znaleziono żadnych większych obrażeń, wskutek których mogłaby nastąpić śmierć, przyczyną w danym wypadku może być udar sercowy lub zmarznięcie. Za zaginioną Lolą Hirsztówną rozpoczęto niezwykle energiczne poszukiwania, tak że strony czeskiej żandarmerji i czeskiego pogotowia ratunkowego jako też i ze strony T. O. P. R. Od 25 do 29. VIII. partję ratownicze przeszukały wszystkie łąby i zbieczka, dolinę Jaworową, lecz nigdzie nie natknięto się na ślad zaginionej.

Serje tragicznych wypadków zamknęły dwie znane i dobre polskie turystki swą śmiercią u stóp Ostrego Szczytu po czesko-słowackiej stronie Tatr: Zofja Krórkowska i Jadwiga Honowska. Odpadły one od ściany Ostrego Szczytu wskutek słabej asekuracji (niedostatecznie silnie wbity w ścianę skalną hak żelazny) i znalazły wspólną śmierć na piargach.

Do serji zagadkowych wypadków tatrzańskich z lat dawniejszych należy odnalezienie z końcem sierpnia b. r. przez gajowego dóbr ks. Hohenlohego resztek zwłok niewątpliwie polskiego turysty pod ścianą Osterwy. W szczytkach ubrania znaleziono monety polskie z r. 1925 oraz czapkę formatu studenckiego, jakiego używają szkoły wyższe w Polsce. Poza tem żadnych dokumentów, z których możnaby odgadnąć nazwisko zmarłego. Turysta ten według wszelkich przypuszczeń odpadł od ściany z wysokości około 40 m. na piarg, ciało przez przeciąg kilku lat uległo zupełnemu zniszczeniu, kości zaś śnieg i woda rozniosły po stokach, tak że zdołano zebrać tylko resztki ich, oraz kilka strzępów z ubrania i portmonetkę, w której znaleziono monetę polską.

Tatrzańskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe jako Sekcja P. T. T. stało w b. r. na wysokości swego zadania i każdej chwili w przeciągu kilkunastu minut gotowem było nieść pomoc nieszczęśliwym turystom. Poza członkami Zarządu T. O. P. R., w których rękach spoczywała szybka inicjatywa każdorazowej wyprawy, niezwykle czynnymi byli przewodnicy górale jako uczestnicy ekspedycji ratunkowych. Skromne fundusze, jakimi rozporządza ta humanitarna instytucja,

nie pozwalają jeszcze na wyposażenie Pogotowia nowoczesnymi środkami ratowniczymi, których brak wobec wielkiego zapotrzebowania i mnożących się wypadków wciąż daje się odczuwać. W b. r. T. O. P. R. otrzymało subwencję z Ministerstwa Robót Publicznych (Referat Turystyki) tudzież z Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych w Warszawie oraz drobną kwotę z Zarządu Uzdrowiska Zakopane.

I. B.

Gospodarka turystyczna w Beskidzie Zachodnim — 1927/28)¹⁾.

— O gospodarce beskidzkiej w okresie wymienionym i w porównaniu z okresem poprzednim, powieść możemy, że postępuje naprzód w siedmiomilowych butach i z równą fantazją i że czarodziejskie te kroki przemierzać począł Beskid na wszystkie strony, a jeśli jeszcze omijają niektóre okolice, to z konieczności.

Złożyło się na ten rozmach kilka czynników. Przedewszystkiem lepszy stan finansowy niektórych Oddziałów i idące zatem wyrównanie starych długów, nowe adaptacje i samodzielne prace, w dalszym ciągu pozyskanie kilku ofiarnych a twórczych jednostek, a wreszcie powstanie dwu nowych Oddziałów gospodarujących w Beskidzie — Oddziałów w Rabce i w Bochni.

Opowiadając nowinki beskidzkie, starym zwyczajem zacznę od Zachodu.

Oddział Cieszyński, głównie dzięki swemu Kołu w Bielsku, wzrósł na siłach. Oddział ten wykończy intensywnie wewnętrzne urządzenie schroniska na Stożku, które użytkowało już telefoniczne połączenie ze światem. Do najpiękniejszych ubikacji będzie należeć pokój Zarządu.

Oddział Górnośląski zajmował się w ostatnich czasach głównie swem drugim schroniskiem na Równicy, które z małego i niepokąznego domku, zakupionego z rąk niemieckich, przemieniło się w okazałą budowlę. Do schroniska wyznaczono ścieżki z Ustronia i Brennej, jakoteż połączone je niebieskim szlakiem grzbietowym przez Orłową, Jawierzną i Malinowską Skalę, z pasmem Wiślańskim.

Następem schroniskiem w Beskidzie Śląskim, wystawionem przez P. T. T., powinno być bezwzględnie porządne schronisko na Skrzycznem; istniejąca tam bowiem mała

¹⁾ Ponieważ Redakcja „Wierchów” przyjmuje artykuły do Kroniki tylko do końca lipca, sam zaś rocznik wychodzi w grudniu, przeto zrozumiałą jest rzeczą ujmowanie powyższego tematu nie w granicach roku kalendarzowego, lecz akademickiego.

i niezagospodarowana buda narciarska żadną miarą nie może takowego zastąpić. Schronisko to jest o wiele bardziej potrzebnem, aniżeli schronisko na Kamiennym nad Wisłą, do którego budowy przystępuje Oddział Cieszyński.

Oddział Babiogórski (Żywiecki) jest obecnie jednym z najliczniejszych Oddziałów Polskiego Towarzystwa Tatrzńskiego. W tym roku, pod jesień, ma on wykończyć budowę schroniska na Pilsku, które będzie jednym z najwspanialszych w całych Polskich Karpatach.

Z kolei teraz oczekuje na odpowiednią swęj popularności budowlę królowa Beskidu Zachodniego — Babia Góra, na której schronisko, mimo ustawicznych adaptacji Oddziału Żywieckiego i prawdziwie rzetelnej troski o tę placówkę, jest niewystarczające i nie ma odpowiedniego zawiadowcy.

W ostatnich miesiącach założył Oddział Żywiecki stację turystyczną na górze Żar (nad przełomem Soły w Porąbce), która przedewszystkiem będzie służyć narciarzom ze względu na dobre tereny ćwiczebne, turystycznie bowiem nie posiada większego znaczenia. Bardzo za to potrzebną byłaby stacja turystyczna w Hucisku.

Jak to dobitnie ostatnie lata wykazały, należałoby z powrotem oddać w gospodarkę Oddziałowi Żywieckiemu grupę Wielkiej Raczy. Niedługo w drodze kompromisu otrzymał ten teren Oddział Górnośląski, który jednak poza wyznaczeniem szlaków na Muńcuł i Rycerzową, nie zdziałał w nim dotychczas. Doszło do tego, że Czesi wystawili pod samą Wielką Raczą schronisko, upominają się wprost o odpowiednie zagospodarowanie turystyczne z polskiej strony. Oddział Górnośląski jest, co jest zupełnie zrozumiałe, silnie zaangażowanym w Beskidzie Śląskim, a do spełnienia powyższego zadania nadawałby się jedynie Oddział Żywiecki; zwłaszcza iż grupa W. Raczy i tak morfologicznie przynależy do grupy Pilska.

Oddział Rabczański, zawiązany z początkiem bieżącego roku, okazał już w pierwszych miesiącach swego żywota duży zasób energii i dobrej woli. Wyznaczono szlaki na Biernatkę i Turbacz, założono na sezon turystyczne biuro informacyjne i urzędza się wyściczki zbiorowe, no i co najważniejsze — zakupiono grunt pod małe schronisko na W. Luboniu (Biernatka). Oddział w rzeczywistości „rusza się” i w niczem nie przypomina innych, podobnie niewielkich, a biernych twórców P. T. T.

Drugi, świeżo założony Oddział w Bochni, nad którym batutę objął niestrudzony

ks. W. Gadowski, wziął w gospodarke turystyczną pozostały obszar Beskidu Limanowsko-Makowskiego. Jak się wywiąże z tego zadania — oczekujemy, mamy jednak nadzieję, że obszar ten zostanie wkrótce dla turystyki zdobytym.

W ten sposób już cały Beskid Zachodni został rozdzielony pomiędzy Oddziały P. T. T., a koncepcja wielkiego Oddziału Sądeckiego narazie usuwa się na plan dalszy. Niemniej przyszłość może nam sprawić niespodziankę.

Oddział Nowotarski, a względnie jego energiczny prezes, gospodaruje na swym ukochanym Turbaczu jak może, i rzekłbyś, z kamienia wyciska potrzebne złotówki a Turbacz stał się nagle znanym i wręcz modnym; specjalnie polubiła go młodzież obojga płci. W lecie, jeszcze przed wakacjami, zaczynają nań ciągnąć wycieczki szkolne, a w lipcu i sierpniu przewijają się grupki wesołych obywateli, uczniaków i harcerzy, co — z dziurą w kieszeni, a gęstą miną — przyszli „kajsi zdaleka“, a gdzie jeszcze pójda, to chyba jedna Opatrzność wie. W zimie zaś istna Mekka narciarska — kursy męskie i żeńskie, wycieczki niedzielne i powszednie, studenci z Nowego Targu i tak w kółko.

Oddział Pieniński zbiera od roku pieniądze na budowę nowego schroniska w Pieninach i ma już pewną na ten cel kwotę. Na razie jednak nie jest zdecydowany wybór miejsca pod to schronisko.

Oddział Nowosądecki, jak zwykle, pracuje doskonale. Przyczyniają się do tego przedewszystkiem jedyne w swym rodzaju stosunki lokalne. Oddział przygotowuje obecnie budowę tak potrzebnego schroniska na Przechybie.

W. Midowicz.

Uwagi o sezonie taternickim 1928.

W bieżącym letnim sezonie pokazało taternictwo powojenne, bodaj że po raz pierwszy, swoje właściwe oblicze. Pokazało je bez żadnych ostonek, dzięki czemu można na niem wysłedzić wszystkie jego dodatnie i ujemne rysy.

Stwierdzić więc przedewszystkiem należy wzrost ogromnie w stosunku do poprzednich lat ekspansję taterników w kierunku rozwiązywania najrozmaitszych problemów wspinaczkowych, od łatwiejszych do najtrudniejszych. Co więcej. Obok mnóstwa bardzo trudnych, ale krótkich wspinaczek odbywano może nie tak trudne, ale mające z innych względów charakter prawdziwie alpejski (np. na Przełęcz Lodową Wyżnią).

Przypisać to należy zarówno zwiększeniu

się zastępu taterników o szereg młodych, niemniej jednak pierwszorzędnych sił sportowych, jak również coraz większemu wyrobieniu technicznemu i rozmachowi zarówno starszych jak i młodszych.

Nie rzadkiem zjawiskiem były noclegi pod gołym niebem bądź w kolebie przed trudnemi nieraz wyprawami, dowodzące (prócz braku gotówki u najmłodszych) wielkiej tężyzny fizycznej i zamiłowania do prawdziwego życia górskiego bez hoteli i schronisk.

Dalszym dodatnim objawem to równomiernie opanowanie całych Tatr. Minęły już na szczęście czasy, kiedy z różnych względów taternicy nasi próbowali swych sił przeważnie na ścianach i graniach w okolicy Hali Gąsienicowej, albo Morskiego Oka.

Doskonała „forma“ zarówno fizyczna jak i duchowa skierowała kilka grup najwybitniejszych taterników na tak potężne a za nie do zdobycia dotąd uchodzące ściany jak z a c h. Łomnicy i wsch. Mnicha. I chociaż w obu wypadkach usiłowania nie zostały uwieńczzone zupełnem zwycięstwem, jednak albo posunęły problem zdobycia danej ściany znacznie naprzód (na Mnichu), albo też przyniosły ubocznie piękne wyniki taternicze w postaci odkrycia i zdobycia piękną drogą nieznaną dotąd turni (na Łomnicy).

Wszystkie te dodatnie zjawiska dowodzą, że nie tylko powojenne osłabienie ruchu taternickiego należy do dawnej przeszłości, ale że najnowsze taternictwo rokuje pod względem sportowym jak najlepsze nadzieje.

Jak to jednak na początku wspomniałem, ma najnowsze taternictwo i swoje ujemne strony. Z tych najważniejsza, jak mi się wydaje, dotyczy nie strony technicznej (choć i tu nie jest bez błędów), ale ideowej.

Z grona najmłodszych adeptów taternictwa odzywają się głosy, świadczące o nadmiernem ograniczeniu u nich programu, o wzęzaniu horyzontu myśli taternickiej. Bezimienny sprawozdawca z ubiegłego sezonu letniego wypowiada szereg opinii o taternictwie¹⁾, z którymi trudno się jest pogodzić.

Szczupłość ram artykułu nie pozwala na obszerną dyskusję, poruszę więc tylko na tem miejscu parę spraw.

„Nie ma możliwości — mówi sprawozdawca — postawienia sprawy w ten sposób, by nazwać taternictwo sportem, ale odmiennym od wszystkich innych“.

Dziwiw się bardzo jak autor powyższego, (niewątpliwie sam taternik, gdyż naogół zresztą zupełnie dobrze się orjentujący w sprawach

¹⁾ P. „Sezon taternicki 1928 r.“ w Ilustr. Kurj. Codz. Nr. 259, z 18/IX 1928 r.

taternickich) mógł takie twierdzenie wypowiedzieć. Taternictwo jest przecież właśnie sportem jeśli już nie odmiennym od wszystkich innych, to należącym do tej małej grupki sportów, które z jednej strony dzięki szczególnie wielkim wymogom cielesnym i duchowym, z drugiej dzięki wielkiej dozie niebezpieczeństwa i ogromnej skali wrażeń jakie dostarczają, stoją daleko przed wszystkimi innymi sportami. Przyzna mi to chyba sam sprawozdawca, że chyba istnieje z tego punktu widzenia gruba różnica między taternictwem a takimi — szacownymi zresztą — sportami jak piłka nożna, tenis, wędkarstwo i t. p.

„Jeśli ma ono (taternictwo) być sportem, to musi posiadać wszystkie cechy sportu, to wtedy nie możemy się krzywić (!), jeśli komuś sprawność fizyczna pozwala na pokonanie kilkakrotnie pod rząd najtrudniejszych ścian...” Ciekaw jestem bardzo, kogo autor ma na myśli mówiąc o „krzywieniu się” na wielką sprawność fizyczną nowoczesnych taterników? Chyba nie t. zw. „starszego pokolenia” taternickiego, którego tak imponujący wzrost taternictwa musi napawać chyba jedynie dumą i radością.

„Taternictwo przedwojenne poddawane sentymentem i dużą dozą wybujałego intelektualizmu ze snobistycznym upodobaniem twierdziło, że jest sportem...” Pochopnie te słowa tak ostrej a niesłusznej krytyki i niewłaściwego wysoce lekceważenia przedwojennego taternictwa dowodzą, że krytyk przedewszystkiem nie umie patrzeć na zjawiska życiowe z historycznego punktu widzenia; zrozumiałby bowiem przecież, że taternictwo, jak każdy zresztą sport, przechodzić musiało pewne etapy rozwojowe, zanim techniką i rezultatami stało na wysokim dzisiejszym poziomie. Każdy kto ma poczucie problemu taternickiego nie odmówi przecież miana „taternika” Chałubińskiemu, Stokarczykowi, Kleczyńskiemu i innym, choć nie „odrabiali” żadnych trudnych ścian! Kwestjonując sportowy charakter przedwojennego taternictwa zapomina dalej szanowny krytyk takiego drobiazgu jak fakt, że znaczną większość owych nadzwyczaj trudnych „klasycznych” dróg, na których zdają egzamin sprawności najmłodszy taternicy, odkryło właśnie... „poddawane sentymentem”, „snobistyczne” taternictwo przedwojenne.

„Dziś (taternictwo) stało się sportem w każdym calu i cały dodatek sentymentalizmu, sportowy organicznie obcy, odpadł... Kto szuka nastrojów, może je w Tatrach znaleźć, ale one z taternictwem nic wspólnego nie mają”.

Szanowny krytyk identyfikuje najwidoczniej „sentymentalizm” z „uczuciem”.

Każdy kto zna taternictwo przedwojenne jeśli już nie z własnych obserwacji to choćby z literatury przyzna, że właśnie pozbawione ono było zarówno wszelkiego ckiego „sentymentalizmu” jak i wszelkiej fałszywej pozy, w gúście tak charakteryzującego niemiecki alpinizm „Ich — Rausch’u”. Było natomiast przepojone głębokim i szczerem umiłowaniem Tatr, które bynajmniej nie przeszkadzało mu dokonywać najpiękniejszych wyczynów sportowych. Największy z nowoczesnych alpinistów-sportowców Mallory został nam w spuściźnie nie tylko szereg pierwszorzędných czynów sportowych, ale równocześnie i niezwykle uczuciem dla gór przepojone „Credo” alpinistyczne.

Wyobraźmy sobie, że któryś z klubów taternickich wystawił w jakimś „Luna-Parku” kopje wszystkich najtrudniejszych ścian tatrzańskich z kamienia i cementu, wobec czego zniknęła kosztowna, przykra podróż koleją do Zakopanego, długie nudne podejścia dolinami i piargami pod ściany. Ponieważ zaś taternictwu nowoczesnemu „odpadł cały dodatek sentymentalizmu...”, powinno ono wówczas przenieść się w całości do takiego „Luna-Parku”. Czy jednak takby się stało w rzeczywistości — mocno wątpię. I jestem pewien że Szanowny krytyk wątpi także.

Niemą więc najmniejszej racji taternik wstydić się pięknych uczuć, jakie się rodzą w jego sercu, niemą potrzeby dobrowolnie odzierać jeden z najpiękniejszych sportów z jego najlepszych składników, niemą najmniejszej potrzeby zubożać swęj młodocianej duszy! Taternictwo nie jest bynajmniej „odrabianiem” ścian i grani. Żaden z nowoczesnych taterników nie traktuje wcale taternictwa jako „misterjum eleuzyńskiego”, z drugiej strony jednak nie można sprowadzać taternictwa wyłącznie do samej wspinaczki, do bicia haków (względnie ich wybijania), do zjazdów na linie i t. p. wyczynów, „odrabianych” często z zegarkiem w ręku i z jedynym w sercu uczuciem... niepokoju współzawodnika.

Marjan Sokołowski.

„Ananasy” sportowe w Tatrach. —

Gdy patrzymy na to wszystko, co się w naszych górach dzieje i gdy zastanawiamy się nad treścią ideową tych, którzy w przeważającej masie Tatry zalewają, zaczynamy sobie coraz wyraźniej uświadamiać, że obok niebezpieczeństwa zniszczenia pierwotnej kra-

sy Tatr, któremu przeciwstawia się idea ochrony przyrody, istnieje drugie niebezpieczeństwo wypaczenia i zwulgaryzowania ducha taternickiego, i do zwalczania tego zjawiska trzeba przystąpić. Każdy miłośnik gór, który kilka bodaj dni spędził ostatnio w Tatrach, mógł zauważyć, że obłąkańcza pogoń za rekordem wdara się w Tatry i to nie tylko na hale i nad brzegi jezior lecz nawet na urwiste turnie, czyniąc z tej „skalnej świątyni“ i z jej ołtarzów podmiejskie boiska sportowe.

Ograniczmy się do najbardziej charakterystycznych przykładów. Nad brzegiem Czarnego Stawu Gąsienicowego staje gromadka młodzieńców. Wspaniałe otoczenie, strzelista piramida Kościelca, rozstępcznione upłazy poprostu dla nich nie istnieją; jedynie wymiary jeziora budzą zainteresowanie, o czym świadczy ożywiona dyskusja. Po chwili rozpoczynają się zawody w rzucaniu kamieniami na staw. Wśród nieustannych wrzasków bombardują młodzieńcy granatowy atlas wody. Gdy zbliżyłem się ku nim, by przerwać tę

barbarzyńską zabawę, dosłyszałem następującą rozmowę: „A możeby tak zrobić bieg dookoła stawu“ — proponuje jeden z nich. „Czy nie widzisz, że niema ścieżki na prawym brzegu“ — objaśnia drugi. „Będziemy jutro w Morskiem Oku, mamy tam ścieżkę dookoła jeziora, urządzimy pierwszoklasny bieg“ — pociesza trzeci. Wyprosiłem olimpijskie towarzystwo za ... morenę. Zdecydowana pozycja mojej ciupagi, no i skonstratowanie przez jednego z zawodników faktu, „że niema co tu robić“ spowodowały, że towarzystwo zaczęło zbiegać na przełaj po morenie ku ścieżce, a stanąwszy na niej wydało groźny okrzyk potępienia dla „zwariowanych ochraniarzy“.

Inny przykład. Jeden z wybitnych naszych taterników znalazł ubiegłego lata na szczycie Żabiego Konia bilet wizytowy, na którym widniały napisane słowa świadcząca, że zwyciężkę tę właściciel biletu zrobił jako training do biegu metrowego czy kilometrowego. Jakżeż ubogą i pustą staje się dusza człowieka w tej gonitwie za rekordem! B.R.

POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE.

Zarys działalności Zarządu Głównego od 1 października 1927 do 30 sierpnia 1928 r.

I. Kronika żałobna. — Bolesne straty poniosło Towarzystwo w bieżącym roku. — W marcu b. r. straciło swego długoletniego Członka Wydziału ś.p. Mieczysława Białko wskiego. Był to pełen zapału wielbiciel przyrody górskiej. W nim zeszedł do grobu jeden z ostatnich turystów dawnego pokroju. Wkrótce potem zmarł Henryk Hoffbauer, jeden z znakomitych i najwybitniejszych pionierów turystyki we Wschodnim Beskidzie, długoletni wielce zasłużony Prezes Oddziału Czarnohorskiego i honorowy Członek P. T. T. Wreszcie w lecie b. r. zeszedł ze świata ś.p. Władysław Szajnocha, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, długoletni Prezes P. T. T. i jego członek honorowy.

II. Skład Zarządu. — Skład Zarządu Głównego P. T. T. jest następujący:

Prezes: inż. Jan Waclaw Czerwiński, Wiceprezesi: Stanisław Osiecki, dr. Walerj Goetel, dr. Waclaw Majewski, Sekretarz: dr. Emil Stofa, Zastępca Sekretarza: prof. Franciszek Sykutowski, Skarbnik: Stefan Porębski, Zastępca Skarbnika: dyr. Józef Dorawski.

Członkowie: Adam Konopczyński, dr. Adam Lardemer, inż. Mieczysław Maczyński, prof. Kazimierz Sosnowski, dr. Jan Nowicki,

Tadeusz Bukowiecki, ks. Walenty Gadowski, prof. Józef Braszka, inż. Karol Stryjeński, dr. Roman Kordys, dr. Mieczysław Świerz, dr. Tadeusz Smoluchowski, ks. Jan Humpola, Edmund Kaźmierczak, mjr. Bronisław Romaniśzyn, dr. Mieczysław Orłowicz, dyr. Jan Galicz.

Zastępcy: dr. Henryk Szatkowski, Stefan Porębski, inż. Stanisław Krawczyk, Jan Kazimierz Dorawski, dr. Marjan Sokołowski, Stanisław Zaremba, prof. Feliks Rapf.

Delegaci Sekcji: Narciarskiej: dr. Henryk Szatkowski, Turystycznej: dr. Marjan Sokołowski, Ochrony Tatr: prof. dr. Stanisław Sokołowski.

Członkowie Komisji Rewizyjnej: Władysław Skórczewski, dr. Faustyn Jakubowski, Jan Fischer.

III. Sprawy organizacyjne i administracyjne.

Rok 1928 jest okresem dalszego znacznego rozwoju P. T. T. Liczba Oddziałów powiększyła się o nowe Oddziały w Bochni, Rabce i Radomiu, tak, że w roku bieżącym Towarzystwo liczy 22 Oddziały.

Ogólna liczba członków P. T. T. wynosi okrągło 12000

Wysokość wkładki członkowskiej nie uległa zmianie od 1927 r. Podobnie jak w latach poprzednich Oddziałom pracującym czynnie w Beskidach, a liczącym mniej niż 300 członków, odpisuje się tytułem subwencji po-

lowę wkładek członkowskich należnych Zarządowi Głównemu.

Należy przytem zaznaczyć silny rozwój poszczególnych Oddziałów, zwłaszcza Oddziały Zachodnio-Beskidowe, jak Żywiecki i Cieszyński wskutek powstania w roku ubiegłym kół w Białej i Bielsku stały się najsilniejszymi Oddziałami P. T. T., Oddział Żywiecki bowiem liczy 2.455 a Cieszyński 1.218 członków (obok wyżej wymienionych powstały jeszcze Koła Oddziału Żywieckiego w Wadowicach i Stanisławowskiego w Mikuliczynie).

W Oddziale Górnośląskim zamierzone jest utworzenie kół młodzieży szkół zawodowych i policji państwowej, w których w myśl uchwały Zarządu Głównego ma być przyznane obniżenie opłat członkowskich.

IV. Komisje międzyoddziałowe. — Instytucja komisji międzyoddziałowych, jakkolwiek w statucie nieprzewidziana, stała się na podstawie dotychczasowych doświadczeń dla Towarzystwa niezbędną, przygotowując znakomicie materiał dla prac Zarządu Głównego.

W dniu 22 grudnia 1927 r. odbyło się w Katowicach posiedzenie Komisji Międzyoddziałowej Zachodnio-Beskidowej, pod przewodnictwem wiceprezesa prof. dr. Goetla, na którym między innymi uchwalono zwrócić się do Zarządu Głównego, by starał się uzyskać w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wydanie szczegółowych instrukcyj dla Starostw i Policji co do zatwierdzenia legitymacyj konwencyjnych wystawianych przez Oddziały i Koła, oraz by przeprowadził akcję w kierunku zlania obu kół w Białej i Bielsku w jedno Koło Białsko-Bielskie przy Oddziale Babiogórskim w Ływcu, i w kierunku utworzenia jednego Oddziału Śląskiego.

Wobec wpłynięcia do Zarządu Głównego pisma Beskidenvereinu, oświadczającego chęć nawiązania rokowań z P. T. T. w różnych kwestjach turystycznych, stwierdzono przedewszystkiem, że jakiegokolwiek obowiązujące rokowania z Beskidenvereinem mogłyby się odbywać jedynie przez Zarząd Główny P. T. T. Komisja Międzyoddziałowa oświadczyła się za wszczęciem rokowań z tem, że koniecznym jest: 1) oznaczenie terenów działalności Oddziałów P. T. T. i Beskidenvereinu; 2) ujednolinitajnienie znaczenia ścieżek na całym terenie działalności.

Oprócz tego omawiano sprawę znaczenia i budowy ścieżek oraz schronisk, przypominając konieczność przestrzegania planów uchwalonych na Komisjach Międzyoddziałowych. Nadto zmieniono trasę szlaku głów-

nego partji Kubalonki i Babiej Góry (Głuchaczki i szlak przez Czarną Halę).

Dnia 25 marca odbyło się w Rabce posiedzenie II. Komisji Zachodnio-beskidowej pod przewodnictwem członka Zarządu Głównego, prof. Kazimierza Sosnowskiego, przy licznych udziale delegatów Oddziałów: Nowosądeckiego, Tarnowskiego, Bocheńskiego, Nowotarskiego i Rabczańskiego.

Ożywione obrady, przyniosły szereg ważnych uchwał, dotyczących Pienin, Gorców, Beskidów Sądeckich i nietkniętych dotąd gospodarką turystyczną gór Limanowskich. Z ważniejszych postanowień należy zanotować wytyczenie terenu działalności dla nowopowstałych Oddziałów w Rabce i Bochni i wyznaczenie im programu działalności, projekty wytyczenia nowych ścieżek górskich i ostateczne wykończenie szlaku głównego na przestrzeni Rabka—Krynica, omówienie stanu i potrzeb schronisk górskich na odpowiednim terenie, wydawnictwa map, korektury ścieżek pieninских i uzupełnień Przewodnika turystycznego. Za najważniejszą jednak sprawę uznał zjazd rozpoczęcie budowy schroniska na Prehybie łącznymi siłami Oddziału Nowosądeckiego, Tarnowskiego i Bocheńskiego oraz budowę schroniska górskiego schroniska w Pieninach; że jednak siły dotyczących Oddziałów uznano ku temu za niewystarczające, zjazd uchwalił przekazać tę piekącą sprawę do realizacji Oddziałowi krakowskiemu.

V. Walny Zjazd Delegatów 1928 r. —

W dniu 22 kwietnia 1928 r. odbył się IV doroczny Zjazd Delegatów P. T. T. w Zakopanem w obecności zastępców władz, instytucji i reprezentantów miejscowej ludności.

Bardzo ożywiona toczyła się dyskusja nad sprawozdaniem Zarządu Głównego, pryncmem ogólnie wyrażano się z uznaniem o jego działalności i konstatoowano stały rozwój Towarzystwa tak pod względem materialnym i ilości członków jak ideowym i zakresu działania.

Ze sprawozdania Zarządu Głównego należy przytoczyć szczegóły dotyczące robót w górach; i tak przeprowadzono:

a) w Tatrach remont znaków w dolinie Roztoki, Morskiego Oka przez Waksmundzką i w regłach. Wykonano prace około schroniska przy Morskiem Oku, a mianowicie zwiększono pojemność tego schroniska o 100%, wykończono budowę schroniska w Pięciu Stawach i zaopatrzone je w pościel, wykonano remont schroniska w Starej Robocie i Pysznaj.

b) W Beskidzie Zachodnim prze-

prowadzono znakowania na szlakach: Miłówka—Lipowska Góra, Radziechowy—Romanka, Korbielów—Pilsko, Rabka—Turbacz, razem wyznaczono 84 km nowych szlaków oraz przeprowadzono remont starych znakowań. — Wykonano remont schroniska na Stożku i zakupno inwentarza, budowę nowego schroniska na Równicy i zaopatrzonego w inwentarz, rozpoczęto budowę schroniska na Pilsku, przystąpiono do przygotowania budowy schroniska w Pieninach, jednakże dotąd nie zapadła jeszcze decyzja co do miejsca.

c) W Beskidzie Wschodnim: poprawiono znakowania w Podludem i Osmołodzie w kierunku na Gorgany, wykonano znakowanie z Rafajłowej na Doboszankę. — Wykończono schroniska pod Howerlą, na Jału, i Dworek w Worochcie, który dziś pomieścić może 150 turystów.

Jako program robót w górach Zjazd na wniosek prof. Goetla uchwalił: w Tatrach: dalsza rozbudowa schroniska przy Morskiem Oku i dalsze odnawianie znakowania ścieżek; w Beskidzie Zachodnim: dokończenie znakowania szlaku głównego (dziesięć do dwanaście km), dalsza rozbudowa schroniska na Stożku, wykończenie budowy schroniska na Pilsku; w Beskidzie Wschodnim: znakowanie szlaku głównego (którego projekt zawdzięcza Komisja dla robót w górach dr. Orłowiczowi), od Chomiaka do Doboszanki, konserwacja znakowań dotychczas znakowanego szlaku głównego, oraz szlaków pobocznych, znakowanie ścieżek i dróg w okolicy schroniska na Zaroślaku; — wykończenie budowy schroniska pod Howerlą, wykończenie Dworku Czarnohorskiego, przeprowadzenie gruntownych inwestycji w barakach wojennych, znajdujących się na grani Czarnohory i Gorganów.

Tutaj należy zauważyć, że w lecie 1928 r. a więc już po Zeździe Delegatów naprawiono gruntownie cały szlak Orlej Perci, kasując t. w. szlak trudniejszy a wymieniając wszystkie zniszczone liny, łańcuchy i t. d. na szlaku zwykłym (około 120 m nowych lin), oraz odnowiono znaki niemal na całej polaci polskich Tatr.

Zamknięcie rachunkowe Zarządu Głównego za 1927 rok wyraża się cyfrą Zł. 99.310 — w tem dochód z wkładek członkowskich w kwocie Zł. 41.017. — z Dworca Tatrzańskiego w Zakopanem Zł. 7.556. — ze Szkoły Przemysłu Drzewnego Zł. 1.667. — ze schroniska w Roztoce Zł. 1.200. — z Tygodnia Tatrzańskiego Zł. 1.125. — z subwencji Zł. 1.600. — W rozchodach mieszczą się wydatki

administracyjne w kwocie Zł. 17.968. — wydatki na roboty w górach Zł. 1.669. — wydatnictwa Zł. 15.017. — subwencje i pożyczki na roboty w górach dla Oddziałów i Sekcji Zł. 10.080. — reprezentacyjne Zł. 5.060. — i kupno udziałów na halach tatrzańskich Zł. 1.948.

Preliminarz dochodów i wydatków na rok 1928 wyraża się w cyfrze ogólnej Zł. 86.500 — przewidując nadzwyczajny wydatek na wykupno udziałów na halach tatrzańskich w kwocie Zł. 17.700. — z uzyskanej za staraniem Prof. Pawlikowskiego drogą prywatną pożyczki.

Zjazd Delegatów powziął szereg uchwał i rezolucyj z których najważniejsze są następujące:

1. Zjazd Delegatów zwraca się do Sekcji Ochrony Tatr o przeistoczenie się na Sekcję Ochrony Przyrody górskiej z objęciem w swój zakres działania wszystkich gór polskich, oraz o opracowanie statutu i wyjednanie zatwierdzenia przez Zarząd Główny i władzę administracyjną.

2. Zjazd Delegatów zgodnie z uchwałą Rady Asocjacji Słowińskich Towarzystw Turystycznych, zaleca Oddziałom wzięcie czynnego udziału przez swych członków w pracach nad zalesieniem gór a to tak ze względu na ochronę przyrody jak na ogromne szkody spowodowane wyrębami lasów i powstałymi wskutek tego wylewaniami i zwraca się do Sekcji ochrony przyrody górskiej o wypracowanie odpowiedniego projektu.

3. Zjazd Delegatów zgodnie z uchwałą Rady Asocjacji Słow. Tow. Turystycznych, zwraca się z apelem do kompetentnych czynników, aby ze względu na ochronę Tatr, Pienin i Babiej Góry oraz Czarnohory przyspieszono sprawę zamiany lasów prywatnych tamże na lasy państwowe co ułatwiłoby realizację Parków Narodowych, a w szczególności wzywa Zjazd Zarząd Główny o poczynienie wszelkich wysiłków w kierunku sfinalizowania przejścia przez Ministerstwo Rolnictwa i Dóbr Państwowych Przełomu Pienińskiego oraz obszarów dóbr Poronin i Szaflary.

4. Zjazd uchwała, aby zaczynając od roku 1929 „Wierchy“ połączone w jedno wydawnictwo z Przeglądem Turystycznym podobnie jak dawniej pamiętnik P. T. T. otrzymywali wszyscy członkowie P. T. T. i poleca Zarządowi Głównemu wykonanie tej uchwały.

5. Zjazd uważa za rzecz konieczną dla rozwoju turystyki przyznanie członkom towarzystw turystycznych, indywidualnych zniżek kolejowych dla wyjazdu do uczęszczanych stacyj turystycznych, na razie zaś przy-

najmniej dla wycieczek złożonych już z 4 osób; nadto przyznanie trzydniowych zniżkowych, indywidualnych biletów powrotnych do miejscowości turystycznych za okazaniem legitymacji towarzystw turystycznych.

6. Zjazd, przyjmując do wiadomości sprawozdanie Prezydium, z podjętych w sprawie kamieniołomów na Krokwi kroków i aprobując je, wzywa (na podstawie obszernie motywowanego wniosku Oddziału lwowskiego) Zarząd Główny, aby w porozumieniu z innymi zainteresowanymi czynnikami jak Państwową Radą Ochrony Przyrody, Gminą Zakopane, Ligą Ochrony Przyrody, podjął kroki zapobiegające lub ograniczające o ile możliwości zło z rzeczonej eksploatacji wyniknie i dalej wynikać mogące, tudzież, aby postarał się w sposób odpowiedni o poinformowanie opinii publicznej

7. W związku z konwencją turystyczną z Czechosłowacją, zwraca się Zjazd do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Skarbu z prośbą o otwarcie w sezonie letnim 1928 roku odprawy celnej dla samochodów w Piwnicznej i wpłynięcie na władze czechosłowackie w kierunku utworzenia takichże odpraw celnych w Piwnicznej i Niedzicy.

8. Zjazd wzywa Zarząd Główny, aby w wypadku, gdy będzie aktualna budowa nowego schroniska przy Morskiem Oku postawić je w oddaleniu 1½ do 2 km od jeziora.

9. Zjazd Delegatów zwraca się do Ministerstwa W. R. i O. P. z prośbą, aby z uwagą na wychowawczy wpływ, jaki wywierają wycieczki na duszę ludzką, otoczyło szczególną opieką ruch wycieczkowy młodzieży szkolnej a w szczególności, aby zapoznawano młodzież tę z pojęciem kultury turystycznej, aby wycieczki poddano odpowiedniej kontroli, aby kierownictwo tych wycieczek powierzano jedynie wychowawcom posiadającym dostateczne doświadczenie górskie, aby wreszcie w wycieczkach tych wprowadzono młodzież stopniowo i z wielką ostrożnością w trudności terenu górskiego.

10. Zjazd Delegatów zgodnie z uchwałą Rady Asocjacji Słow. Tow. Turystycznych, uważa za konieczne przeprowadzenie ustawy o ochronie przyrody oraz przyspieszenie prac nad projektem ustawy o pogranicznych Parkach Narodowych.

11. Z uwagi na potrzebę stworzenia odpowiednich warunków dla rozwoju ruchu turystycznego w Beskidzie wschodnim, Zjazd Delegatów uważa za konieczne jaknajrychlejsze wydanie przepisów w sprawie racjonal-

nej rozbudowy lotnisk w dolinie Prutu oraz Popradu.

12. Wobec rozchodzących się wieści, iż p. Jerzy Uznański zamierza ofiarować jednej z instytucji społecznych tereny pod budowę domu wypoczynkowego w głębi doliny Olczyńskiej, Zjazd uchwała stanowczy protest przeciwko zabudowywaniu Tatr, w danym wypadku przeciw budowaniu domu wypoczynkowego w dolinie Olczyńskiej i budowaniu tam drogi bitej.

Zjazd wyraża przekonanie, iż właściwe władze stłumią w zarodku zamiary naruszania właściwego charakteru przyrody i piękna Tatr.

13. Wbrew prawu, wbrew elementarnym zasadom prawidłowej gospodarki leśnej operując metodą faktów dokonanych, stale i systematycznie wycina się w Tatrach ogromne obszary lasów. W ostatnich dniach stanęliśmy znowu w obliczu takiego faktu P. Józef Uznański wyciął ponownie bez pozwolenia znaczną ilość lasu na Przyporniaku. Potępiając jaknajostrej czyn tak nieobywatelski, Zjazd Delegatów P. T. T. zwraca się do odpowiednich władz a przedewszystkiem do Państwowej Rady Ochrony Przyrody oraz Ministerstwa Rolnictwa o wydanie stosownych zarządzeń, celem ukroczenia podobnych nadużyć, w danym konkretnym wypadku zaś o surowe ukaranie winnego przestępstwa.

14. Zjazd Delegatów protestuje przeciw katastrofalnemu wycinaniu lasów połoninowych prywatnych ze względu na ogromne szkody wynikające z tego dla kultury kraju i niebezpieczeństwo zamiany w przyszłości ogołoconych terenów w pustkowie.

15. Zjazd uważa za szkodliwe wyjęcie z pod przymusu racjonalnej gospodarki leśnej i możebność samowolnego wyrębu przez małych właścicieli obszarów leśnych mniejszych od 10 hektarów ze względu na niebezpieczeństwo wytrzebienia w Polsce ogromnego procentu zalesienia przy dzisiejszej gospodarce rabunkowej na podstawie obecnie obowiązującej ustawy lasowej i apeluje do Rządu o odpowiednią zmianę tej ustawy.

16. Zjazd zwraca się z usilnym apelem do Rządu o realizację projektu rezerwatu Czarnohorskiego, przedstawionego przez Radę Ochrony Przyrody ze względu na specjalne znaczenie tego rezerwatu pod względem turystycznym i pedagogicznym.

17. Zjazd zwraca się z usilnym apelem do Rządu o budowę szeregu domów wycieczkowych w Karpatach Wschodnich dla młodzieży szkolnej z funduszków gier i zabaw, składanych przez młodzież szkolną, dysponowanych przez Ministerstwo Oświaty.

18. Zjazd uznaje za nieracjonalne stawianie jakichkolwiek prywatnych budynków jak hoteli, sanatorjów oraz urzędzenia letnisk i t. p. w terenach przyszłych rezerwatów, w wyjątek stanowią schroniska turystyczne o ile względy turystyczne wykazują ich konieczną potrzebę i pod tym warunkiem, że będą przystosowane do wymagań ochrony przyrody.

VI. Związek Polskich Towarzystw Turystycznych. — W dniu 5 lutego b. r. odbył się w Warszawie I. Zwyczajny Zjazd Delegatów. Związku Polskich Towarzystw Turystycznych przy współdziałaniu delegatów Pol. Tow. Tatrzańskiego, Pol. Tow. Krajoznawczego, Pol. Automobiklubu, Pol. Związku Turystycznego, Pol. Touring Klubu, Pol. Klubu Turystycznego, Związku Uzdrawisk Polskich, Wołyńskiego Tow. Krajoznawczego i opieki nad zabytkami przeszłości, Sekcji Wycieczkowej Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego.

Obecny na Zjeździe w charakterze gościa delegat Pol. Związku Narciarskiego p. W. Smoluchowski oświadczył odczytując list Związku, że Zarząd tegoż czyni zależnym od dwóch warunków przystąpienie do Z. P. T. T., a to a) od przyjęcia zmiany § 23 statutu Z. P. T. T. wprowadzającej w miejsce prostej proporcjonalności zasadę regresji, b) od porzucenia zasady, że przy rozdziale kompetencji w sprawie schronisk i znaków ma P. Z. N. porozumiewać się z P. T. T., natomiast P. Z. N. skłonny jest porozumiewać się w tej sprawie ze Związkiem Polskich Towarzystw Turystycznych. Na wniosek prof. Goetla przyjęto uchwałę następującą: „Zjazd Delegatów Związku Pol. Tow. Turystycznych zwraca się do Pol. Związku Narciarskiego z apelem, aby tenże wstąpił do Z. P. T. T. poczem żądania P. Z. N. zostaną w Związku rozpatrzone. O ile P. Z. N. do Związku nie przystąpi, nie ma powodów rozpatrywać jego dezyderatów“.

Po przyjęciu sprawozdania tymczasowego Zarządu i preliminarza budżetowego, uchwalono program działalności na rok bieżący. Najważniejsze dotyczące uchwały są następujące:

Należy podjąć energiczne starania o wyjednanie indywidualnych i zbiorowych zniżek dla członków Towarzystw Związkowych o zaprowadzenie powrotnych biletów turystycznych i zapewnienie bezpłatnych biletów dla członków Prezydów towarzystw związkowych.

Należy podjąć starania, aby kredyty rządowe przeznaczone na cele popierania ruchu turystycznego były wydatnie powiększone.

W szczególności należy zwrócić się do Ministerstwa Robót Publ. z wnioskiem o wstawienie do budżetu poważniejszej kwoty na wydawnictwa i czasopisma turystyczne w języku polskim i w językach obcych.

Dla utrzymania kontaktu z Międzynarodowymi instytucjami turystycznymi należy rozpatrzyć zgłoszenie przystąpienia do Alliance Internationale de Tourisme w Brukseli oraz do Conseil Central du Tourisme Inter. w Paryżu.

Należy nawiązać kontakt z przemysłem turystycznym i zainicjować Zjazd organizacyjny „Polskiego Związku Przemysłu Turystycznego“ w roku 1928. Na Zjazd ten winny być zaproszone organizacje hotelarskie, Związek Uzdrawisk Polskich, Zakłady Przewozowe, Biura Podróży, Gremja właścicieli hoteli i pensjonatów w uzdrowiskach, dyrekcje zakładów kąpielowych i t. p.

W roku 1928 w porozumieniu z zainteresowanymi władzami rządowymi należy zainicjować powstanie Związku propagandy turystycznej Polski przy udziale wszystkich czynników zainteresowanych finansowo zwiedzaniem Polski przez cudzoziemców. Na Zjazd ten zaproszone być mają magistraty odnośnych miast, zainteresowane władze rządowe, biura podróży i właściciele największych hoteli i zakładów kąpielowych i t. p. Organizacja winna przybrać charakter podobny do francuskich Syndicats d'Initiative, względnie niemieckich Fremdenverkehrsverbände.

Nadto uchwalono domagać się powołania do życia Państwowej Rady Turystycznej i uzależnienia nadania koncesji „Orbisowi“ od przyjęcia przez tenże na siebie obowiązku rozwijania propagandy turystycznej i przeznaczenia na ten cel pewnego procentu od dochodu.

Prezesem Związku wybrano na trzy lata p. Stanisława Osieckiego i wyznaczono członków Zarządu.

W sprawie rozdziału kompetencji uchwalono po dłuższej dyskusji wniosek Dr. W. Goetla, polecający zarządowi aby na najbliższym Zjeździe Delegatów przedłożył wniosek w sprawie rozdziału kompetencji. Projekt tego wniosku opracuje Pol. Tow. Tatrzańskie, poczem będzie on uzgodniony z referatem Turystyki Ministerstwa Robót Publicznych, oraz Towarzystw do Związku należących.

Z przebiegu obrad Zjazdu okazuje się, jak potrzebnym jest Związek dla spraw turystyki i jak ważne sprawy ma on do załatwienia. Spodziewać się należy, że pewne trudności organizacyjne zostaną w niedługim

czasie usunięte i że Związek zwróci całą swą energję ku realizacji swych celów.

VII. Asocjacja Słowiańskich Towarzystw Turystycznych. — W roku bieżącym odbył się Zjazd Rady Asocjacji Słowiańskich Towarzystw Turystycznych w dniach 25—28 września b. r. w Jugostawji. O przebiegu tego Zjazdu informujemy czytelników „Wierchów“, w osobnym artykule.

VIII. Prace Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w górach. — Od chwili reorganizacji Towarzystwa w 1922 przeważna część robót w górach przypada Oddziałom i należy z zadowoleniem stwierdzić, że Oddziały wzięły się z zapałem i wielką energją do wypełnienia powierzonych im zadań. Uprzymiśniliśmy sobie robót w górach przed wojną i obecnie, musimy przyznać, że mimo ciężkiego położenia materialnego społeczeństwa potrafiły Oddziały dokonać wielu dzieł wymagających wielkiego wysiłku finansowego i nakładu pracy i energii. Pomijając budowę granitowego schroniska na Hali Gąsienicowej wystarczy wspomnieć, że Oddziały Lwowski, Stanisławowski, Kołomyjski, Nowotarski, Zakopiański, Żywiecki, Cieszyński i Górnoląski wybudowały nowe schroniska względnie rozbudowały istniejące. Wytyczenie zaś głównego szlaku turystycznego na całej długości Beskidów jest już kwestją niedługiego czasu.

W roku ubiegłym nie ostygła energia Oddziałów, Zwłaszcza na kresach zachodnich i wschodnich. Rezultaty byłyby znacznie większe, gdyby nie stała na przeszkodzie brak funduszy i ogólne zubożenie społeczeństwa. Zarząd Główny udzielił Oddziałom i Sekcjom subwencji w ogólnej kwocie Zł. 7.600; większych subwencji nie mógł udzielić, gdyż spełnienie ogólnych zadań P. T. T. pochłania przeważną część dochodów Zarządu Głównego.

Podobnie jak w latach poprzednich koryzstali członkowie P. T. T. z 50% zniżek cen za noclegi we wszystkich schroniskach P. T. T., żony członków 25% zniżek, przyczem mają zastrzeżone prawo pierwszeństwa przy zajmowaniu noclegów przed nieczłonkami. Poza tem na mocy układu z Klubem Czeskosłowackich Turystów przysługują członkom P. T. T. po stronie czeskosłowackiej te same ulgi, jakie mają członkowie tego Klubu. Wycieczkom szkolnym przyznawano ulgi przysługujące członkom P. T. T. w zbiorowych ubikacjach (holach) schronisk.

O robotach Zarządu Głównego w górach

Wierchy VI.

była mowa wyżej w ustępie o Zjeździe Delegatów P. T. T.

Należy jeszcze wspomnieć, że Zarząd Główny wdrożył akcję, celem ulepszenia połączenia telefonicznego schroniska nad Morskim Okiem w Zakopanem, i odbył konferencję w sprawie uregulowania ruchu autobusowego a w najbliższej przyszłości zamierza zaprosić interesowane czynniki na konferencję w sprawie stworzenia zajazdu i osadzenia wzdłuż drogi do Morskiego Oka słupków kamiennych w miejsce zbutwiałych poręczy drewnianych. Następnie przeprowadził Zarząd Główny szereg drobnych adaptacyj w Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem i w schronisku w Roztoce.

Dla podniesienia ruchu turystycznego Zarząd Główny jak co roku podnosił wobec Ministerstwa Komunikacji żądania w sprawie wprowadzenia zniżek kolejowych. Dotychczas akcja ta nie wydała rezultatów, należy jednak spodziewać się, że w końcu uda się P. T. T. przełamać niechęć kompetentnych czynników do czynienia zadość postulatowi mającemu tak ważne znaczenie dla rozwoju turystyki.

Niemniej ważną jest też sprawa poprawy połączeń kolejowych i rozmaitych udogodnień dla podróżnych, jak wozów bezpośrednich i t. p.

W celach propagandy uchwalił Zarząd Główny wziąć udział w Wystawie Krajowej w Poznaniu przez zorganizowanie interesującego działu turystycznego. Jakkolwiek wyłożyli się w tym względzie pewne trudności, spodziewać się należy, że Towarzystwu uda się zamier ten w czyn wprowadzić.

Zawarcie konwencji turystycznej z Czechosłowacją podziało bardzo ożywczo na rozwój turystyki w pasie turystycznym. Okazało się, że konwencja została obmyślana praktycznie, gdyż dotychczas po 2¹/₂ rocznem jej istnieniu nie ujawniły się żadne większe braki ani trucia, tak że coraz energiczniej podnoszą się żądania na rozszerzenie konwencji na dalsze obszary. Jedyną troską Zarządu Głównego jest, aby P. T. T. uchroniło się od przyjęcia do swego grona osób, któreby wyzyskiwały legitymacje członkowskie dla celów nie mających nic wspólnego z turystyką, albo nawet dla celów nieuczciwych. Zarząd Główny ustawicznie zwraca na tę okoliczność uwagę Oddziałów, zalecając im skrupulatne badanie osobistych kwalifikacyj kandydatów na członków i przestrzeganie przepisanego statutu sposobu przyjmowania członków. Stwierdzić należy, że Oddziały uświadamiają sobie dokładnie doniosłość tej spr-

wy, to też dotychczas Zarządowi Głównemu niewiadomo, aby zaszyły wypadki nadużywania legitymacji konwencyjnych na szerszą skalę. Niemniej Zarząd Główny nadal będzie usilnie starał się o niedopuszczanie do P.T.T. niepożądanych jednostek, a Oddziały niezawodnie zastosują się jaknajchętniej do wszelkich w tym kierunku wydanych zarządzeń.

Celem uniknięcia pewnych wątpliwości zwrócił się Zarząd Główny P.T.T. do kompetentnych władz o interpretację niektórych postanowień konwencji, dotyczących pojęcia drogi turystycznej, przejazdu granicy na rowerach, ustalenia ilości tytoniu, wysokości kwoty pieniężnej dozwolonej do zabrania przy przekraczaniu granicy i ułatwienia przy udzielaniu zniżek kolejowych w myśl konwencji, a otrzymane wyjaśnienia zakomunikował Oddziałom.

IX. Prace P. T. T. nad ochroną przyrody górskiej. — Idea ochrony przyrody przenika od szeregu lat każdą działalność P.T.T. i należy stwierdzić, że idea ta stanowi główną linię wytyczną kierunku, w którym zmierzają wszystkie jego prace.

Mimo usilnej pracy propagandowej Sekcji Ochrony Tatr P.T.T. i Państwowej Rady Ochrony Przyrody, zrozumienie jednak potrzeby takiej ochrony i środków zmierzających do jej realizacji nie ugruntowało się jeszcze dostatecznie w naszym społeczeństwie. Przedewszystkiem zaś dążności spekulacyjne jednostek utrudniają pracę Towarzystwa na polu ochrony przyrody. Dlatego też czeka Towarzystwo jeszcze długa i wycieńczona praca, zanim pokona wszelkie przeciwności i wywalczy dla powyższej idei pełne zrozumienie.

Pomocą w tej pracy będzie niewątpliwie utworzona obecnie Liga Ochrony Przyrody, do której przystąpiło P. T. T. w charakterze członka, zobowiązując się od każdego swego członka pobierać za nalepkę Ligi po 30 groszy rocznie.

Postulaty ochrony przyrody znalazły silny oddźwięk w uchwałach ostatnich Zjazdów Rady Asocjacji Słowińskich Tow. Turystycznych, przez co stanowisko zajęte w tej sprawie przez P. T. T. zostało moralnie wzmocnione.

Najsilniej wystąpiły zagadnienia ochrony przyrody w Tatrach, gdzie spekulacja zaczyna sięgać do wnętrza Tatr, zagrażając najpikniejszym ich zakątkom, jak ołocicom Morskiego Oka i Czarnego Stawu Gąsienicowego. Wywiązał się na tem tle silny zatarg P.T.T. z zainteresowanymi w tem grupami ludzi, które usiłują zagrozone własne

dążenia spekulacyjne osłaniać wywoływaniem niechęci wśród ludności miejscowej do P.T.T. i łączeniem swych interesów ze sprawami natury publicznej. — P. T. T. jaknajusilniej stara się uspokoić miejscową ludność, wykazując, że dążenie do realizacji Parku Narodowego w Tatrach nie zawiera jakiegokolwiek krzywdy ludności góralskiej. Jakkolwiek istota zatargu, spekulacyjne dążenia jednostek — wskutek niemożliwości ich zaspokojenia — nie może być w zupełności usunięta, P. T. T. jednak i w tym kierunku dąży do możliwie daleko idącego unikania tarć. Jednym z dowodów dążenia P. T. T. do działania w porozumieniu z miejscową ludnością jest zawarty w grudniu 1927 układ ze współwłaścicielami Hali Gąsienicowej. Najważniejszym punktem tej ugody jest sprawa projektu budowy schroniska wszystkich współwłaścicieli na zasadzie koncesji współwłaścicieli Hali obecnie tam użytkowanej.

Zarząd Główny P. T. T. doszedł jednak do przekonania, że realizacja postulatów ochrony przyrody, a zwłaszcza Parku Narodowego w Tatrach natrafiać będzie na coraz większe trudności w spekulacyjnych dążeniach jednostek, jeżeli niektóre najbardziej zagrożone hale tatrzańskie nie przejdą, przynajmniej w znaczniejszej części na własność ideowych organizacji społecznych. W tem przeświadczeniu, mimo trudnych warunków finansowych, Zarząd Główny wkroczył śmiało w roku bieżącym na drogę wykupna udziałów na pewnych halach tatrzańskich, nawiązując do dawnych tradycji Towarzystwa w tym kierunku z czasów przedwojennych. Zaznaczyć jednak należy, że P. T. T. nie zamierza bynajmniej wykluczyć pasterstwa na halach, lecz pragnie tylko regulować stosunki na halach w porozumieniu z ich współwłaścicielami.

Na powyższe cele udało się Towarzystwu uzyskać pożyczkę prywatną w wysokości 2.000 dolarów; zawarło też już kilka kontraktów kupna udziałów na Hali Królowej i Gąsienicowej. Już obecnie jest P. T. T. właścicielem największej ilości udziałów na Hali Gąsienicowej. Także Oddział Warszawski P. T. T. rozumiejąc w całej pełni znaczenie tej sprawy przyrzekł ze swej strony przyjąć z pomocą finansową.

Wszystkie Oddziały bez wyjątku aprobują tę akcję Zarządu Głównego, mimo iż ona tak bardzo obciąża budżet Towarzystwa. Jest to pocieszający dowód, że idea ochrony przyrody i opartej na niej projektu Parku Narodowego Tatrzańskiego, przeniknęła całe życie Towarzystwa.

Poza tem działalność P.T.T. w dziedzinie ochrony przyrody obejmowała cały szereg drobnych kwestyj, których załatwienie najczęściej w porozumieniu z Państwową Radą Ochrony Przyrody stało się aktualne, z ważniejszych należy podnieść zaalesienie moreny przy Morskiem Oku, które jest na ukończeniu.

X. Sprawy wydawnicze. — Wielką troską Zarządu Głównego jest, aby przynajmniej w poważnej części dorównać zagranicznym towarzystwom turystycznym w ich działalności wydawniczej i uczynić zadość potrzebie stałego kontaktu ideowego P.T.T. z jego członkami i z całym kulturalnym społeczeństwem. Niestety brak funduszy jeszcze ciągle nie pozwala na przeznaczenie na cele wydawnicze wystarczających kredytów. W roku ubiegłym P.T.T. wydało wyłącznie własnym kosztem V. rocznik Wierchów, gdyż dotychczasowy współwydawca, księgarnia Altenberga we Lwowie, odmówiła swego udziału w tem wydawnictwie. Rocznik ten spotkał się z ogólnym uznaniem i potrzeba poparcia tego wydawnictwa coraz silniej się ujawnia.

Jakkolwiek „Wierchy“ zawierają bardzo wiele materiału informacyjnego, jednak od dawna odczuwano potrzebę osobnej publikacji ukazującej się periodycznie w krótszych odstępach czasu i zawierającej mniej więcej najdokładniejsze relacje co do aktualnych spraw turystycznych i działalności P.T.T. oraz innych krajowych i zagranicznych, szczególnie słowiańskich, organizacji turystycznych. Dlatego P. T. T. zdecydowało się wydać kwartalnik p. t.: „Przegląd Turystyczny“, który mieli otrzymywać wszyscy członkowie bezpłatnie. Ze względów finansowych ograniczono narazie to wydawnictwo do 2 zeszytów rocznie. Należy jednak spodziewać się, że w najbliższej przyszłości regularne wydawanie Przeglądu Turystycznego co kwartał będzie możliwe. W roku ubiegłym pojawiły się dwa podwójne numery (Nr. 7—8 i 9—10).

„Przegląd“ redagowany przez p. Stanisława Fächerę pod kierunkiem Komisji wydawniczej P.T.T., złożonej z pp.: Prof. dr. W. Goetla i Prof. K. Sosnowskiego w określonych ramach finansowych spełnia swoje zadanie publikacji informacyjnej.

Dotkliwie dawała się dotychczas odczuwać niedostateczność publikacji poświęconej fachowemu omawianiu turystyki górskiej, gdyż organ Sekcji Turystycznej „Taternik“ od dłuższego czasu z powodu trudności finansowych ograniczał się do jednego lub dwóch zeszytów rocznie i nie wychodził regularnie. W myśl uchwały ostatniego Zjazdu

Delegatów P. T. T. Zarząd Główny wyasygnował subwencję w kwocie Zł. 1.000, celem umożliwienia Sekcji Turystycznej podtrzymania i rozszerzenia tego wydawnictwa. Dotychczas ukazały się 3 numery „Taternika“ za rok 1928.

W końcu Zarząd Główny podjął się wspólnie z warszawską firmą „Gea“ wydawnictwa mapy turystycznej Beskidów, wkładając w to wydawnictwo pracę zwłaszcza Oddziałów Nowosądeckiego, Żywieckiego i Stanisławowskiego, oraz kapitał 19.000 Zł. Dotychczas ukazały się następujące arkusze: 1) Szczawnica—Pieniny, 2) Pilsko—Barania Góra, 3) Czarnohora—Zabie, 4) Jaremcze—Worochta, 5) Babia Góra, 6) Magórka—Bielisko—Klimczok. P. T. T. sprzedaje arkusz mapy członkom po niższej cenie 1'60 zł. Cena księgarska 2'50 zł.

Ponadto świeżo ukazał się zwiększony kombinowany arkusz mapy Beskidu Sądeckiego. Ta mapa wypełnia odczuwaną dotkliwie przez turystów lukę i niezawodnie okaże się bardzo pożyteczną.

Nieuniknione w pierwszym wydaniu usterki zostaną w następnych sprostowane.

XI. Tydzień Tatrzański. — W roku bieżącym odbył się doroczny Tydzień Tatrzański w Zakopanem, w czasie od 12—18 sierpnia, rozpoczynając się zbiórka uliczną na cele P. T. T., która przyniosła 776 zł. netto.

Należy stwierdzić, że istotny cel Tygodnia został osiągnięty, a mianowicie propaganda dążeń P. T. T. wśród ludności miejscowej i gości w Zakopanem.

W dniu 13 sierpnia odbył się odczyt prof. dr. Jana Gwalberta Pawlikowskiego p. t. „Taternictwo dawne a dzisiejsze“, który jak zawsze wywołał ogromne zainteresowanie w kulturalnym społeczeństwie Zakopanego.

W dniu 14 sierpnia wygłosił odczyt prof. dr. Mieczysław Świerż p. t. „Ci, którzy odeszli“. (Sylwetki taternicze z przedwojennego okresu Sekcji Turystycznej P. T. T.).

W dniu 15 sierpnia odbyła się uroczystość doniosła dla sfer taternickich, a mianowicie obchód 25-letniego jubileuszu Sekcji Turystycznej P. T. T. Po nabożeństwie w starym kościółku, w czasie którego wygłosił podniosłe kazanie ksiądz kapelan Humpola, złożono wieńce na grobach zasłużonych taterników (s. p. Witkiewicza, Chałubińskiego, Sabały, Klimka Bachledy i innych), następnie odbyło się uroczyste zebranie wszystkich członków Sekcji, na które przybyli prezes Karpathenvereinu dr. Guhr, prof. Gross, prof. Hefty i i. Na zebraniu przemawiali pp. prof.

dr. J. G. Pawlikowski, dr. M. Świerż i zagraniczni goście.

Wieczorem odbył się w restauracji Karpowicza bankiet jubileuszowy, na którym panował serdeczny nastrój.

W dniu 16 sierpnia odbył się odczyt p. majora B. Romaniszyna p. t. „Ideologia taternictwa polskiego a współczesne prądy w alpinizmie europejskim”.

Na zakończenie Tygodnia Tatrzańskiego odbył się w dniu 18 sierpnia odczyt prof. dr. W. Goetla p. t. „Jakimi pomysłami chciano zniszczyć Tatry w ostatnich latach”.

Odczyty cieszyły się naogół dobrą frekwencją i żywym zainteresowaniem; odbywały się w nowo urządzonej sali konferencyjnej Muzeum Tatrzańskiego, któremu za jej użyczenie Zarząd P. T. T. składa serdeczne podziękowanie.

XII. Wojewódzkie Komisje Turystyczne.

Powołanie do życia powyższych Komisji okazuje się nader pożyteczne. Wprawdzie nie wszędzie kontakt tychże z P. T. T. jest dostateczny, spodziewać się jednak należy, że wzajemna zgodna ich współpraca, której nie stoi na przeszkodzie, w niedługim czasie wszędzie dojdzie do skutku, i że Oddziały miejscowe będą brały skrzętnie udział w obradach tych Komisji.

Dotychczas Zarząd Główny otrzymał jedynie protokoły posiedzeń Komisji krakowskiej. Na przyszłość będzie się starał o odpisy protokołów wszystkich Komisji turystycznych, aby na ich podstawie mieć pogląd na ich działalność.

W Krakowie referat turystyki przydzielony został w roku ubiegłym Okręgowej Dyrekcji Robót Publicznych. Wojewódzka Komisja Turystyczna w nowym składzie odbyła 2 posiedzenia. Przedmiotem obrad pierwszego posiedzenia, odbytego w dniu 25/5 1927, między innymi była sprawa ochrony Tatr i Zakopanego, a w szczególności sprawa zaprowadzenia dla ochrony ruchu turystycznego na drogach publicznych lotnych posterunków policyjnych wyposażonych w motocykle, sprawa ograniczenia szybkości pojazdów mechanicznych w Zakopanem, rozszerzenie egzekutywy policji budowlanej w uzdrowiskach, oraz sprawa tworzenia Komitetów turystycznych w uzdrowiskach i zdrojowiskach nie posiadających Komisji uzdrowiskowych.

Szerzej omawiano memoriał P. T. T. z dnia 30 lipca 1926 r., dotyczący ochrony przyrody Tatr i Zakopanego, oraz potrzebę wydania ogólnej ustawy budowlanej z uwzględnieniem

interesów zdrojowisk i uzdrowisk. Następnie powzięła Komisja szereg uchwał w sprawie bezpieczeństwa ruchu samochodowego, udogodnień połączeń kolejowych z Krakowa do Zakopanego, wprowadzenia pociągów wycieczkowych w soboty i niedziele celem odciążenia normalnych pociągów; następnie uchwalono powierzyć Polskiemu Związkowi Uzdrowisk i Zdrojowisk w Warszawie oraz Polskiemu Związkowi Turystycznemu w Krakowie opracowanie projektu lokalnych Komitetów turystycznych w miejscowościach nieobjętych ustawą uzdrowiskową, wreszcie wdrożenie akcji u władz centralnych, celem nowelizacji ustawy uzdrowiskowej.

E. Stolfa

Sekretarz Zarządu Głównego P. T. T.

Zarys działalności Oddziałów P. T. T. w 1927 roku.

I. Oddział Babogórski w Żywcu istniejący od roku 1905 rozwija się bardzo pomyślnie, a to głównie przez utworzenie w roku 1926 Koła Białskiego i Wadowickiego; liczy obecnie 2.455 członków i 23 uczestników.

Dawne schronisko na Babiej Górze, przebudowane zupełnie, uzyskało umocnienie fundamentów i lepszego zewnętrznego wyglądu, wygodniejsze wejście na poddasze oraz 2 mile pokoje mansardowe, każdy o trzech łóżkach. Sprawiono również 10 łóżek nowych.

Ruch w obu schroniskach tak na Babiej Górze, jak i w Korbielowie był normalny.

Głównym zadaniem Oddziału było rozpoczęcie budowy nowego schroniska na Pilsku. Po zatwierdzeniu planów przez Zarząd Główny założono kamienny fundament pod okazałą budowlę o froncie 24 m, która będzie mogła pomieścić wygodnie w kilku pokojach i wielkiej hali sypialnej kilkudziesięciu turystów i stanie się niezawodnie placówką ściągającą latem i zimą licznych miłośników pięknych gór żywieckich.

W miesiącach letnich zrewidowano i odnowiono znakowanie na znacznej części szlaku głównego i innych ścieżkach.

Na górze Żar (761 m) założono stację turystyczną kosztem 349 zł., która ze względu na wycieczki po Beskidzie Małym okazała się bardzo potrzebną.

Obrót kasowy Oddziału łącznie z Kołem Białskim i Wadowickiem wynosił okrągło zł. 58.281.

II. Oddział w Cieszynie liczył członków 1.218. Obrót kasowy wynosił zł. 16.299.

III. Oddział Czarnohorski w Kołomyi liczy

77 członków, mimo tej niewielkiej ilości członków rozwija nadzwyczaj żywą działalność, czego dowodem budowa dużego schroniska 2-piętrowego w Worochcie. Jak potrzebnym było to schronisko, a zarazem jak wzmagają się ruch turystyczny, widać z tego, że w schroniskach w Worochcie użyczono w roku 1927 około 4.000 noclegów. Obrót kasowy wyniósł zł. 17.751.

IV. Oddział „Gorce“ w Nowym Targu, założony w r. 1920, liczył w 1927 r. 72 członków. Własnością Oddziału jest duże schronisko na Turbaczu, obejmujące budynek o dwóch salach noclegowych, kuchni i dwóch małych pokojach. Obrót kasowy wyniósł zł. 2.603.

Działalność Oddziału ograniczała się przeważnie do prowadzenia schroniska i zbierania funduszy na spłatę długów na budowę zaciągniętych.

V. Oddział Górnosiński w Katowicach liczy 12 Kół.

Majątek Oddziału stanowią dwa schroniska, t. j. na Równicy i przy źródłach Wisły. Obrót kasowy wyniósł zł. 176.000. Działalność Oddziału, oprócz prowadzenia powyższych schronisk, obejmowała urządzenie wycieczek letnich i zimowych oraz odczytów.

VI. Oddział w Jarosławiu liczył 40 członków. Obrót kasowy wyniósł w r. 1927 w dochodach zł. 420, w rozchodach zł. 266. Działalność Oddziału ograniczyła się w roku ubiegłym jak i poprzednio do zbierania wkładek, zasilania finansowego Centrali i propagandy turystyki wśród członków. Pod kierownictwem Oddziału urządzono zbiorową wycieczkę w Tatrach w lecie roku 1927.

VII. Oddział w Kielcach liczy członków 45. Zarząd Oddziału zajmował się propagandą turystyki przez umieszczenie odpowiednich artykułów w prasie, zebrania towarzyskie członków i odczyty.

VIII. Oddział we Lwowie dokończył w roku 1927 budowę schroniska na Jalu w centralnym punkcie Gorganów. Budynek schroniska drewniany, wykonany solidnie, składa się z kuchni, jadalni i 5 ubikacyj sypialnych i obliczony jest na 25 łóżek, koszt samej budowy wyniósł około 15.000 zł. Poświęcenie schroniska odbyło się d. 16 czerwca 1927 r. przy współudziale około 150 osób.

W r. 1927 Oddział liczył członków 230. Obrót kasowy wyniósł zł. 7.880.

IX. Oddział „Beskid“ w Nowym Sączu liczy 200 członków. Posiada prowizoryczne schronisko noclegowe (13 łóżek) pod Pieninami w Szczawnicy Niżnej. W 1927 r. wyznaczono szlaki turystyczne o długości 18 km i poprawiono w przestrzeni 28 km. Urząd-

zono kilka wycieczek wspólnych w Beskid Sądecki, Pieniny, Czarnohorę i Gorgany. Obrót kasowy wyniósł zł. 2.837. Oddział posiada lokal przy ul. Jagiellońskiej 37, otwarty we wtorki i piątki o godzinie 6—7 wieczorem.

Oddział przyczynił się czynnie i finansowo do wydania przez firmę „Gea“ mapy turystycznej Beskidu Sądeckiego i przygotował do wywieszenia po stacjach kolejowych mapy z zaznaczeniem kolorowych szlaków turystycznych i ozdobionych powiększeniami fotograficznymi z okolic Beskidu Sądeckiego i Pienin.

X. Oddział „Pieniński“ w Szczawnicy liczy 44 członków; obrót kasy wyniósł 1.944. zł. Oddział w roku 1927 działalność swą skoncentrował w kierunku zbierania funduszy na budowę schroniska w Pieninach.

XI. Oddział w Poznaniu liczy 161 członków, obrót kasowy wyniósł zł. 1.612. W górach bezpośrednio nie pracuje. Natomiast odczytami i zebraniem rozwija intensywną propagandę turystyki i Pol. Towarzystwa Tatrzńskiego.

XII. Oddział w Stanisławowie, założony w 1876 r. nieczynny od roku 1892 do 1923, reaktywowany w 1923 r. posiada: Sekcję narciarską, Turystyczno-wioślarską, Koło miejscowe w Jaremczu, Koło miejscowe w Mikuliczynie.

Ilość członków w roku 1927 wynosiła: samego Oddziału Stanisławowskiego 176, koła Jaremczańskiego 80, Koła Mikulczyńskiego 30, razem 226 członków.

Głównym zadaniem Oddziału było wybudowanie schroniska na Zaroślaku pod Howerlą. Obok tego wyznaczono ścieżki z Rafajłowej na przełęcz Pantyrską, na Bratkowską i Doboszanę. Podczas sezonu letniego w roku 1927 Oddział urządził cały szereg wycieczek na pojedyncze szczyty a także 5-dniową wycieczkę, która objęła Kosowszczyznę po Howerłę. Koło Jaremczańskie urządziło 9 wycieczek. Sekcja turystyczno-wioślarska urządziła 8 wycieczek łodziami.

Oddział urządził Wystawę fotografii krajoobrazu polskiego. Wystawa ta była otwarta w Stanisławowie, w Kołomyi, w Stryju i w Wilnie, budząc uznanie zwiedzających.

Z okazji oddania schroniska na „Zaroślaku“ do publicznego użytku, urządził Oddział uroczyste poświęcenie schroniska w dniu 19 sierpnia 1927 r., które zgromadziło przedstawicieli władz i interesowanych instytucji i towarzystw z całej Polski, oraz liczną delegację Czeskosłowackiego Klubu Turystów. Obrót kasowy wyniósł zł. 24.718.

XIII. Oddział w Tarnowie liczy 156 człon-

ków zwyczajnych i 35 członków Sekcji akademickiej.

W roku 1927 uzupełniono znakowanie szlaków i dodano tabliczki orientacyjne przy wszystkich ścieżkach w Pieninach, następnie w szlaku głównym od Przełęczy Knurowskiej przez Runek, Lubań, Marszałek, do Krościenka, oraz na szlaku bocznym łączącym bezpośrednio Pieniny z Tatrami, w roku 1926 nowo założonym, prowadzącym od mostu na Dunajcu w Czorsztynie przez Niedzicę, Łapsze, Jurgów, Brzegi, Głodówkę aż do drogi Zakopane-Morskie Oko. Obrót kasowy wynosił Zł. 2.264.

XIV. Oddział w Warszawie liczy 604 członków. Majątek Oddziału w Tatrach stanowi nowe schronisko na Hali Gąsienicowej na 121 osób prócz starego schroniska, mogącego pomieścić 30 osób.

Majątek zaś w Warszawie stanowi zbiór przeźroczy, których liczba wynosi 2294, negatywów 250, fotografii 150, 97 map i książek oraz mapa plastyczna Tatr.

W dalszym ciągu robót ku zupełnemu wykończeniu schroniska na Hali Gąsienicowej wykonano uzupełniające roboty przy stacji turbinowej, która została uruchomiona. Wewnątrz schroniska dokonano uzupełnień w umeblowaniu pokoi, wzmocniono ogrzewanie głównej sali, wykończono oszalowanie, pomalowanie i przyozdobienie ścian, zawieszono artystycznie wykonane świeczniki.

W związku z zapewnieniem dla schroniska systematycznego zaopatrywania w żywność i opał i wogóle prawidłowego jego funkcjonowania, doprowadzono do skutku zamierzone oddawna wzniesienie budynku gospodarczego w pobliżu schroniska, składającego się z pomieszczenia dla koni, materiału opałowego, narzędzi gospodarczych i t. p.

Zaprojektowano wspólnie z Zarządem Dóbr Zakopane zadrzewienie terenu w pobliżu schroniska, co ma być wykonane przy nadjeściu odpowiedniej do tego pory.

XV. Oddział w Wilnie. Czwarty rok istnienia Oddziału Wileńskiego wykazał w dalszym ciągu powolny, lecz stały rozwój tego Oddziału, jako dalekiej placówki kresowej, jedyną i łączącą miłośników gór. Liczba członków w roku sprawozdawczym wzrosła z 68 do 73. Zebrania miesięcznych z odczytami, ilustrowanymi przeźrocami urządzono 5. Biblioteka Oddziału, mieszcząca się w tymże lokalu, wzrosła z 83 do 101 numerów. Zbiór przeźroczy wzrósł osiągając liczbę 129. Udział

członków w ruchu turystycznym, letnim i zimowym, wykazał dalszy wzrost.

Przewodniczący Oddziału brał czynny udział w pracach Wojewódzkiej Komisji Turystycznej. Obrót kasowy Oddziału zamyka się w cyfrze 1.444.

XVI. Oddział w Krakowie liczy 1.065 członków. Obrót kasowy wynosił zł. 16.364. Przeważną część członków Wydziału Oddziału wchodziła w skład Zarządu Głównego P.T.T., biorąc udział w jego pracach, przeto działalność Oddziału wiąże się ściśle z działalnością Zarządu Głównego i nie wyodrębnia się na zewnątrz.

Główna uwaga Oddziału skupiła się na razie na doprowadzeniu schroniska nad Morskim Okiem do odpowiedniego stanu. Wydano na ten cel ponad 8.000 zł.

W roku ubiegłym podjęto również dalsze prace nad uporządkowaniem biblioteki i jej uzupełnieniem. Godność bibliotekarza powierzono p. Władysławowi Midowiczowi, który z energią zabrał się do pracy, która w niedługim czasie będzie ukończona. Biblioteka liczy 693 tomów i stanowi jedyną w Polsce bibliotekę turystyczną.

XVII. Oddział w Łodzi liczy 63 członków. Prace tego Oddziału ograniczyły się w r. 1927 do akcji odczytowej, wycieczkowej i propagandowej.

XVIII. Oddział w Zakopanem liczy członków 220. Głównym jego zadaniem było ukończenie schroniska w dolinie Pięciu Stawów. Poza tem członkowie Zarządu tego Oddziału brali żywy udział w pracach Zarządu Głównego na terenie Tatr.

Oddziały P.T.T. w Radomiu (100 członków), Rabce (100 członków) i Bochni (68), świeżo powstały i zajęte pracą organizacji nie mogły jeszcze rozwinąć normalnej działalności.

Akademicki Oddział P.T.T. w Warszawie nie rozwija niestety pożądanej działalności, wobec czego Zarząd Główny będzie musiał obmyśleć środki zmierzające do ożywienia tego Oddziału.

Działalność Oddziałów P.T.T. przedstawia się naogół bardzo pomyślnie, mimo trudności finansowych, które pokonują Oddziały z wyteżoną i niesłabnącą energią.

Szczegółowe sprawozdanie zarówno Zarządu Głównego jak Oddziałów mieści się w numerze 9—10 „Przeglądu Turystycznego“.

E. Stołfa

Sekretarz Zarządu Głównego P.T.T.

KRONIKA ZAKOPIAŃSKA.

O czym tu pisać „na zakopiańskim bruku, przynosząc z miasta uszy pełne stuku... tak możnaby i dalej naśladować Mickiewicza — pisząc o dzisiejszym Zakopanem-„mieście“, a mając duszę przepelnioną tęsknotą do dawnego uroczego Zakopanego, miejscowości cichej, idealnego wypoczynku dla grona ludzi wybranych, gdyż „drzewiej“ tacy tylko tu przebywali...

Nie będę jednak powtarzać niewczesnych i jałowych żalów za tem, co minęło bezpowrotnie, nie będę gnębić nielitościwie i tak już w tym roku w prasie naszej dość zgnębionego uzdrowiska, postaram się tylko przedstawić przebieg zdarzeń roku 1928 życia zakopiańskiego...

Zacznę od pogody — jako że Zakopane jest stacją klimatyczną, a klimat wpływa na usposobienie ludzi dodatnio, lub ujemnie. W tym roku jednak i ten pewnik srodze zawiodł. Cały bowiem rok t. j. sezon zimowy i letni dopisały pod względem aury. W zimie było dużo śniegu i słońca, w lecie dużo słońca, a mało deszczu — więc idealne warunki, aby usposobić gości przyjaźnie, „słonecznie“ dla klimatycznego uzdrowiska.

Tymczasem — nigdy jeszcze nie padło tyle zjadliwych słów, tyle srogich narzekań, ba złorzeczeń nawet, na przepiękną stolicę letnią (i zimową też!), jak w tym cudnym, słonecznym roku. „Zakopane w przededniu kłeski“ — „Zakopane kona“ — „Zakopane doliną cichej śmierci“ — „Dopóty dzban wodę nosi“... (niby już Zakopanemu ucho się urwało...) i t. d. i t. d.

Wynikiem ostatecznym tych ponurych (mimo słońca!) korespondencji było: Zakopane już — zakopane naprawdę — albo czas je zakopać takim, jakie jest dziś — a stworzyć nowe „Odkopane“ na tem miejscu.

Projektów różnych przygodnych „doktorów“, pragnących uzdrowić to „uzdrowisko“, było mnóstwo, wiadoma rzecz, że łatwiej radzić komuś, niżeli coś wykonać; papier jest ciepły, a niektóre redakcje pism naszych nawet czasem płacą... 10 gr. od wiersza.

Nie podejrzewam jednak nikogo o złe zamiary, czy pobudki, zanadto jestem pod urokiem słońca zakopiańskiego w tym słonecznym sezonie, tak jak długoletni i wierny przyjaciel Zakopanego, Kornel Makuszyński — noszę serce przepojone słonecznym blaskiem gór — i zastanawiam się nad tym objawem ujemnej krytyki stosunków miejscowych zakopiańskiej doliny, bo przeciw tylko to można krytykować, a nie „wierchy“ tatrzańskie —

one się „ostały“ wbrew wszystkiemu, co się dzieje na dole.

W licznej powodzi przykrych słów — szukam prawdy... Jest — jest — niestety jest! Cóż z tego, że góry oblane słońcem blyszczą wspaniałe nad doliną zakopiańską, coż z tego, że ogłuszające, szalone tempo jazz-bandowych „szlagierów“ rozlega się na Krupówkach z kawiarni, „markując“ sezon zimowy lub letni; w głębi duszy każdego prawdziwego miłośnika Zakopanego jest troska i niepokój o przyszłość tego pięknego a zarazem jedyne wysokiegórskiego uzdrowiska, jedynej polskiej bramy turystycznej do potężnego gniazda Tatr.

Sztuką życiową jest dobór przyjaciół i ludzi, prawdziwie sobie życzliwych. Czy Zakopane ma takich? Owszem ma — całe szeregi — wiernych, oddanych sobie całą duszą, ba, nawet maniaków, fanatyków, przyjeżdżających tu co roku, koczujących w Tatrach, studujących Tatry, ich florę, faunę, etnograficzne stosunki; wszystko to ich obchodzi, wszystko im drogie, co bliższe szczytom tatrzańskim. Ci ludzie to prawdziwi przyjaciele nasi, jest ich gromada potężna w całej Polsce, oni tworzą P. T. T. Od szeregu lat uprawiają „kult tatrzański“ — gdziekolwiek są i działają, to zawsze w ich sercu — Tatry z Zakopanem są na pierwszym miejscu. W Poznaniu urządzają „Wieczór Tatrzański“ w obronie lasów tutejszych, w Warszawie bronią Tatr, jadą do Lwowa, mówią o Tatrach, zawsze i wszędzie jak o najdroższym klejnocie polskiej ziemi.

A Zakopane coż na to? Otóż ogłoszone saksofonem piszczącym, czy też rozruchwane cizbą ludzką, która tu tylko na te zabawy i dancingi zjeżdża n. p. w okresach świąt, zupełnie nie rozumie tej życzliwości prawdziwych przyjaciół. „Park Narodowy w Tatrach“ — stacja turystyczno-sportowa — to wszystko dopiero może w tym roku — zaczęło światać w głowach Zakopian — tych z Krupówek, t. j. z centrum „miasta“ Zakopane. W ostatnich latach parokrotnie powtarza się tak dziwna sytuacja w „Zakopanem“, że P. T. T. w pewnych kołach tutejszych uważa się za wroga Zakopanego.

Nieporozumienie to wynika oczywiście, jak zwykle to bywa, z niezrozumienia celów P. T. T. Krytyka miejscowych stosunków z jaką wystąpiło i obrona Tatr przed niszczeniem, nad czem pracuje P. T. T., a co się niepodoba niektórym krótkowzrocznym ludziom zakopiańskim, sprawiła pewien zamęt.

A w tem nieporozumieniu stracił ktoś trzeci, oczywiście Zakopane jako uzdrowisko, stacja klimatyczna i turystyczna. Ludzie się kłócą — a miejscowość traci...

Może jednak wreszcie, wobec grozy sytuacji, w jakiej się znalazło Zakopane w sezonie letnim, w owych „neurologach“ przedwczesnych, ale pożytecznych zarazem dla wzbudzenia sumienia obywatelskiego, nastąpi zwrot do zgody, a to tylko się przyczyni do ratowania Zakopanego z upadku, w jaki się samo strąca.

Idea utworzenia z Tatr Parku Narodowego, dzieło tak wielkie, które w tym roku zaczyna przybierać realne podstawy, nie mogła być, rzecz jasna, należycie zrozumiana przez szerszy ogół ludności miejscowej. Konieczność pewnych ograniczeń w dotychczasowym nadmiernem, częstokroć wprost rabunkowym i niezgodnem z prawem eksploataowaniu przyrody tatrzańskiej, wydaje się niektórym gazdom zamachem na ich własność prywatną. Być może ze strony P. T. T. popełniono pewne błędy, w tem mianowicie, że nie popularyzowano dostatecznie idei utworzenia Parku Narodowego, szczególnie wśród ludności miejscowej. Błędy te jednak usiłowano naprawić i w większej części już naprawiono, a ludność miejscowa zrozumieć powinna, że P. T. T. nie dla własnych celów, ani korzyści, pragnie przyczynić się do stworzenia tego wiekopomnego dzieła. Rozpolitykowanie tak nieodpowiednie na gruncie uzdrowiskowym, przyczynia się niejednokrotnie do zaostrenia konfliktu ludności miejscowej z P. T. T.

Pocieszmy się tem, że nowe idee kielkują powoli, i że nie tylko w Zakopanem idea Parku Narodowego trafiła na tyle trudności. Z odczytu prof. Szafera, który się odbył we wrześniu b. r. w Muzeum Tatrzańskiem usłyszeliśmy o różnych podobnych przejściach, jakie były w Ameryce przy stworzeniu Parku Narodowego Yellowstone. Wśród grona przysłuchujących się temu odczytowi, brakło górali, którzy mogliby jednak przekonać się, że nikt nie chce ich krzywdzić, a idea Parku złączona jest ściśle z ich interesem gospodarczym na tym terenie — gdzie się nie orze, ani sieje — tylko czeka na gości. W ostatnich sezonach było ich dość, ale za mało jeszcze dla dziś już rozbudowanego szeroko Zakopanego. Park Narodowy, byłby atrakcją dla cudzoziemców i napływu ich podniósłby gospodarzo uzdrowisko. Już dziś Zakopane posiada odpowiednie hotele n. p. „Bristol“, który gościł z różnych okazji cudzoziemców i był wymienianym w zagranicznych pismach z pełnem uznaniem dla wygod i komfortu.

Czas aby Zakopanie zrozumieli, że nie należy gardzić turystami, jako gośćmi: „Ma Pani gości?“ pytam właścicielkę pewnego pensjonaciku... „Jacy to tam goście, z plecakiem ino po górach latają a jak czasem wrócą na wieczer to im się „straszenie jeść kce“... „Taki to nie gość“, bo za mało „dutków“ daje. A jednak gdyby tacy przestali się interesować Zakopanem, to wtedy nastąpiłaby katastrofa sezonowa, bo sami chorzy nie wystarczą, aby zaludnić wszystkie nowopowstałe budynki, a ci co przyjeżdżają dla dancinów i zabawy, to są goście przelotni, mogą tańczyć i gdzieindziej nietylko u... Trzaski. Turysty i sportowcy powinni znaleźć w Zakopanem wszelkie wygody i ułatwienia, bo oni są najwzdwięższym elementem, który tu przybywa. Oni zawsze wrócą, jak się rozmiłują w cudnej przyrodzie Tatr, wrócą na zimę dla sportów, latem na wycieczki...

Władza Administracyjna Samorządowa w Zakopanem jest w ostatnich latach w ręku Komisarza Rządowego Wojewódzkiego. Od lutego 1928 — po przeniesieniu Rady Starosolskiego, sprawował rządę śp. p. dr. Stefan Góra, który nagle i niespodziewanie skończył życie dn. 14 września podczas swego urlopu w Karlsbadzie. Śp. Góra był niestrudzonym pracownikiem na niwie społecznej, od pierwszej chwili swego pobytu w Zakopanem, brał czynny udział w wielu zarządach różnych spółek, stowarzyszeń, organizacji. Nie brakło go nigdzie gdzie chodziło o dobro i interes Zakopanego. Poniekąd ofiarą było dla niego objęcie powierzzonego mu przez Rząd stanowiska Komisarza dla gminy i uzdrowiska. Na tem trudnem stanowisku wyteżał wszystkie siły i środki, aby doprowadzić do porządku opłakany stan finansowy gminy i przyspieszyć przywrócenie samorządu. Ze zgonem jego ubyła w Zakopanem jednostka nieprzeciętna, wartościowa, a pogrzeb, który się odbył 21 września — po sprowadzeniu zwłok do Zakopanego — był świadectwem, że całe społeczeństwo Zakopiańskie, uczciło w nim nietylko — najpierwszego z urzędu obywatela — ale i człowieka dobrego...

Przez cały czas swych krótkich zresztą rządów Komisarzkich śp. Góra borykał się ze złą wolą jednych, obojętnością drugich — narzekaniami wszystkich tych, którzy nie mogą zrozumieć — że nie ostatni „władca“ winien temu co się dzieje w Zakopanem, ale cały szereg faktów poprzednich, błędów przez lata nagromadzonych, a przedewszystkiem sam ustrój zmiennego społeczeństwa tutejszego, skłonniejszego do krytyki rządów,

jak do wyłonienia z siebie ludzi silnej woli i ręki, którzyby potrafili uporządkować dzisiejsze miasto Zakopane. — Wszyscy tu mają „dobre chęci...” Ale gdyby tak ogłosić wszystko co jest w „archiwum” zakopiańskiej gminy i klimatyki, te projekty uszczęśliwienia Zakopanego, te rozbudowy dworców, domów zdrojowych, wodociągów, parków sportowych, tramwajów, planów regulacyjnych, ulepszeń sanitarnych i t. d. — to dałoby świadectwo, że same chęci nie wystarczyły do urzeczywistnienia tych planów. Wszystko szło drogą najmniejszego oporu, nowy projekt ogłoszono w prasie, chwalono twórcę, obiecywano sobie wiele i kończyło się na tem, co jest obecnie.

Bo to, że jest z roku na rok więcej kulturalnych pensjonatów — mniej lub więcej europejski urządzonych, to inicjatywa prywatna — a miasto Zakopane na co się zdobyło od szeregu lat? Szpital Klimatyczny (ze skandalicznym dostępem — drogą, na której próbują ciężko chorych, czy warto ich jeszcze utrzymać przy życiu — bo jak bardzo chory, to na tej drodze musi umrzeć, tak go wytrzesie); elektrownia, która świeci, na ile ją stać — łazienki (aby stolica letnia była bardziej podobna do Warszawy) — Ogród Miejski, w którym rośnie tylko to, co posadził „niefachowiec” — a odkąd są „fachowcy” jest tylko — trawa; to wszystko już jest od lat kilku — a w r. 1927 i 1928 żadnej nowej „placówki kulturalnej” władze administracyjne nie zostawiły. Mówiło się przy każdej zmianie władzy o nowych kapitałach z Ameryki — Szwajcarii — pożyczkach, które miały subwencjonować inwestycje zakopiańskie, — z chwilą jednak ugruntowania władzy, kapitał ten nie doszedł do Zakopanego i został „atutem” w rękę do dalszych ewentualnych wyborczych sztuczek zakopiańskich. Tak jest — i tak było tu zawsze.

Taksa klimatyczną jest przedmiotem wiecznych utyskiwań gości sezonowych i wartyby spisać szereg epitetów, jakie wysłuchać muszą niewinne temu, co się dzieje z takszą, urzędniczką „klimatyką”. Każdy mądry człowiek lubi płacić wtedy, kiedy wie, za co płaci, głupi wwrzuca bezmyślnie pieniądze. W Polsce, a więc i między gośćmi zakopiańskimi jest na szczęście jeszcze dość mądrych ludzi, — a każdy taki „gość” pyta: czy ja płacę takśę za to, aby odychać kurzem, wnoszącym się na zakopiańskich ulicach, czy za to, że będąc dwa miesiące w Zakopanem nie mogłem się wykapać, ba — nawet umyć porządnie, bo wodociąg zakopiański cały dzień zamknięty, zaś w nocy też

tylko od 6-tej do 8-mej rano otwarty — a przez ten czas na jedną wannę wypadłoby po kilkanaście osób.

Z „przyjemności” dozwolonych za „kurtakśę” — w lecie gość słucha p. Runda w ogrodzie miejskim i dopłaca za to jeszcze 5 gr. za krzesło (na trawniku nie wolno siadać), a w zimie... idzie do Trzaski i tam już żyje, czy dusi się na własny koszt — bo domu zdrojowego niema i jeszcze za sto lat nie będzie, przy tak powolnym rozwoju Zakopanego.

Inne liczne „udogodnienia” dla gości — w postaci braku kanalizacji, wonięjących potoków w centrum miasta, zastępujących kanały (hygieniczne!), brak drogi na Gubałówkę — najśłoneczniejszy teren w Zakopanem, zabudowujący się obecnie wedle „planu regulacyjnego”: „ja tędy — on tamtędy — każdy sobie rzepekę skrobie”. Dowodem tego bałaganu budowlanego „przepięknie” i planowo zabudowana droga do doliny Białego koło „Cieszynianki”. Jaka pomysłowość i fantazja! Domy stoją do drogi — od drogi — bokiem, tyłem, c/a sem i frontem. Indywiduálność przedewszystkiem — i „wszystko można — co nie można — byle zwolna i z ostrożnością” z przepisami budowlanymi, które zapewne są w miejskim urzędzie budowlanym w Zakopanem.

Zupełnie podobna dowolność jest w kwestji „pensjonatów” zakopiańskich. O „koncesję” na pensjonat trzeba się usilnie starać, trzeba za to płacić, są komisje, które żądają n. p. aby w kuchni nie prać, ani nie spać (więc jest już wysoki poziom higienicznych wymogów!), ale bez koncesji jest bardzo łatwo pensjonat prowadzić w każdej pierwszej lepszej budzie zakopiańskiej, byle tylko żyć w zgodzie z gospodarzami, którzy z chytrą przebiegłością każdy dom i stajnię nawet „urządzają” na pensjonat i za bajeczne czynsze odnajmują. Naiwne ofiary dzierżawczyń zawsze znajdują... Kobiety lubią Zakopane — z listów Kornela Makuszyńskiego dowiadują się, jakie to „przyjemności” mogą je spotkać w sezonie — zmiana wrażeń potrzebna „niezrozumianym” mężatom, płochym rozwódkom, niepokieszonym wdowom, ciągną więc wiosną i jesienią jak słonki do Zakopanego i szukają dzierżawy pensjonatów, wynajmują co znajdują, płacą co góral lub inny właściciel chce (mądry bierze — głupi daje), sprzedają perły, pierścionki i t. d. — a płacą choć połowę czynszu... Potem biorą na kredyt u zawsze jeszcze naiwnych kupców tutejszych — następnie „prowadzą” pensjonat, znajdują lub nie znajdują jakiegoś „zdrowego” gościa dla

własnego użytku (na dancingu!), i bankrutują, uciekają w nocy, lub (co się już zdarzyło!) zjawia się dobry, wyrozumiały mąż, płaci długi i zabiera żonę (jak marnotrawnego syna) do siebie z powrotem

Życie Zakopiania liczy się na sezony. — „Ile pani sezonów liczy?“ będą tu wkrótce pytać — a wtedy dopiero się frekwencja zmniejszy — jak panie zaczną sobie „lat“ ujmować. Podobnie utarte wyrażenie jest: „Co pani „prowadzi?“, zamiast gdzie pani mieszka? to znów dowód, że prawie każda pani... prowadzi pensjonat.

Takie tragifarsy powtarzają się od szeregu lat, a władze tutejsze z olimpijskim spokojem marnują pieniądze (niech Trybuła zarobi — bo to poczciwy człowiek!) na spóźnione drukowanie... cen maksymalnych mieszkań sezonowych... tudzież „straszą“ (nikt się nie boi!), że za niemeldowanie gości — będą kary, że nie wolno bez koncesji pensjonatu prowadzić — i t. p. „bujdy na resorach“, którym nikt nie wierzy... Pensjonaty pokątne, przyjmujące bez żadnej kontroli sanitarnej gości, bez żadnych urzędzeń — to gniazda gruźlicy — o których dziś mówi cała Polska. Zdrowotność Zakopanego i pobliskich miejscowości na Podhalu z roku na rok pogarsza się zastraszająco.

Poradnie Przeciwgruźlicze, jedna w Zakopanem, a nowo-otwarta w Olczy, to są prawdziwie dobroczynne i konieczne placówki. Gruźlica czyni dziś coraz częściej spustoszenia wśród ludności góralskiej, a wszystko to z chciwości zysku, aby tylko wynajść dobrze dom i braku kontroli władz sanitarnych. Dezynfekcja owa, o której pisano tyle — to wierutny humbug, przestrzegany przez niektóre uczciwe i koncesjonowane pensjonaty, ale nie przez wszystkie owe tajne „pensjonaty“, których jest większość w Zakopanem.

Ten potworny stan rzeczy jest tolerowany przez władze i widocznie niema na to sposobu. Biedny urzędnik, robotnik lub inny t. zw. ceper z trudnością znajdzie dla siebie mieszkanie na cały rok, gdyż wszyscy wolą wynajmować pierwszemu lepszemu gruźlikowi — byle sezonowo.

Trzeba jeszcze do tego obrazu dodać i to, że dotychczas Zakopane nie zdobyło się na wybudowanie pralni miejskiej — higienicznej — a bieliznę z wszystkich chorych piorą biedne praczki w prywatnych domach swoich, przynosząc z tym ciężkim zarobkiem, prątki gruźlicy swoim dzieciom.

Miejscowe Towarzystwo Przeciwgruźlicze ze swoim zaśluzonym prezesem drem Kuczewskim ma wielkie zadanie przed sobą

i obowiązkiem społeczeństwa zakopiańskiego jest popierać wszelkimi siłami tę cichą, a tak użyteczną działalność.

Tematem niewyczerpanym wszystkich korespondencyj z Zakopanego w sezonie tegorocznym letnim — były nieporządki na ulicach (niestety prawda!) — „restauracja“ poczty i rozkopywanie chodników dla założenia kabli w samym najgorętszym sezonie, kurze wznoszące się nieustannie z ulic zakopiańskich, brak wody w wodociągach, wyśokość taksy klimatycznej i t. p.

Te zarzuty spotykały stolicę letnią w tym roku znacznie częściej, niż w latach ubiegłych, gdyż z każdym rokiem wymaga się postępu w uzdrowisku, w jego urządzeniach sanitarnych i kulturalnych. A tymczasem tu właśnie nic nie postąpiło, — stało na martwym punkcie po owych miłych igraszkach słów: klimatyka czy gmina, gmina czy klimatyka, komisarz rządowy, czy „mer“ francuski; — nic się nie zmieniło w zewnętrznej szacie Krupówek — tylko coś niecoś się spaliło — ale tego nie widać w tem zbiorowisku bud i „kiosków“. Co do sławetnych „kiosków“ to „postęp“ nastąpił w tym kierunku, że teraz pootwierano jeszcze i stragany i to na kółkach, n. p. u wejścia do ogrodu miejskiego.

Sezon zimowy tegoroczny był pod względem aury jednym z najpiękniejszych od lat kilku. Wielkie masy śniegu, dużo słonecznych dni, ściągnęły gości, przeważnie sportowców, na narty i saneczki. Na te ostatnie mniej, choć z inicjatywy prywatnej uruchomiono saneczkowcy z Kuźnic. Ćwiczenia „Olimpijczyków“, kursy narciarskie p. Ritterschilda, i p. Ziętkiewiczowej — to wszystko miało powodzenie. A na odpoczynek po dniu pracowicie spędzonym na śniegu i w śniegu, schodziło się całe towarzystwo do Trzaski i tam aż „trzeszczała“ podłoga od „black-bottoma“, i innych murzyńskich podrygów.

Zakopane stało się modnym miejscem do spędzania świąt. Największy ścisk więc panował podczas świąt Bożego Narodzenia. Wtedy przyjeżdża publiczność pragnąca zabawy. Większość teje tańczy — rano u Karpowicza, popołudniu i wieczór u Trzaski lub w Tatrzańskej. Balów się prawie nie urządza; po co, i dla kogo? — wszyscy wolą tańczyć na dancingu, niżeli na t. zw. balu. To już wyszło z mody...

Jaszczurówka też miała powodzenie, swoim dancingiem zwabiła w nocy już znudzonych lokalem Trzaski gości. Tam się zwykle kończyło noc zabawy.

O ile jednak Jaszczurówka „funkcjonuje“ sprawnie jako miejsce „dancingowe“, o tyle

nie można tego powiedzieć o... łaźniakach — które szumnie i dumnie otworzono w sezonie letnim... Poprzedzone stugębną reklamą, oczekiwane przez amatorów wody — (której zawsze brak w Zakopanem) owe wymarzone cieplicowe kąpiele, okazały się dwoma małymi basenikami, w których też stale brak było wody. Kupa piasku niezmiennego cały sezon, imitowała „plażę“ na kąpiele słoneczne, parę desek źle heblowanych służyły za ławki, — ale że było bardzo gorąco i czek dążył chętnie do wody, więc i te nędzne łaźienki miały powodzenie.

Wróćmy jednak znów do sezonu zimowego, który jest obecnie „najmodniejszym“ i powinien być traktowany ze specjalną pieczołowitością przez prawdziwych przyjaciół Zakopanego. Otóż zaczyna się on z końcem grudnia — od świąt Bożego Narodzenia. Wtedy Zakopane gości wszystkie... Stany Rzeczypospolitej Są „koszerne“ wigilie w rytualnych pensjonatach, jest choinka dla starych i młodych. Schabenbeck fotografuje na kupie śniegu w swoim ogrodzie „wściekłych“ sportowców w białych sweterach i czapkach. Góraś i Bujak wypożyczają narty do telemarków na... Krupówkach. Trzaska, Tatrzańska, wyje — piszczy — trąbi na saksofonie z wielkiej uciechy, gdyż przy każdym stoliku siedzi po 10 osób i razem piją trzy małe czarne i jedno duże piwo (restaurator musi to odpowiednio kalkulować) — i tańczą — tańczą do upadłego... „Alibaba“ kawiarniany wypędził precz Janosika tatrzańkiego — ale jest ruch w interesie.

Po gwałnym okresie świątecznym nastaje spokojniejszy nastrój. Zostają goście chorzy dla klimatycznej kuracji, najskuteczniejszej tu zimą, i narciarze.

Myśl i propaganda P. T. T., aby z Zakopanego uczynić polskie St. Moritz (niektórzy już i teraz anticipando „polski Święty Moryc“ je nazywają) — myśl ta jest wspaniała, i to jedynie mogłoby się przyczynić do właściwego rozwoju Zakopanego. Warunki wszelkie ku temu są. Jest już i dziś kilka pierwszorzędnych hoteli i pensjonatów, jak Bristol, Carlton, Radowid, Stamary i t. d. i szereg innych mniejszych, mogących zadowolić wybredniejszą publiczność; — należy organizować kursy narciarskie, wycieczki wspólne, wprowadzić inne zimowe zabawy zagranicą uprawiane jak hockey, curling i t. p. Słizgawka Sekcji Narciarskiej P. T. T. jest nawet ulepszona, odbywały się tam już rozgrywki klubów sportowych, — początek więc dobry.

Znów jest do zanotowania „wzniosły“ projekt urządzenia w roku 1929 w sezonie

zimowym międzynarodowych zawodów narciarskich i hippicznych na śniegu. Spodziewany jest przyjazd 10—14 narodów; — (o ile znów wodociąg będzie tak funkcjonował jak zeszłego sezonu — to byłoby pożądanym sprowadzić ludy północne, te które się tłuszczeniem smarują a wody nie używają; inaczej będzie kompromitacja narodowa, bo Polaków zaliczą ci Europejczycy, którzy codziennie używają łaźni, do... Eskimosów...). — Komitet oczywiście jest — pod wielkimi protektoratami. Przedstawiciele Ministerstw obiecali wszelkie ułatwienia, wyłoniły się już poszczególne komisje do różnych sekcji — praca wre i należy ufać, że przedsięwzięcie to się uda lepiej niż zawody w r. 1928, które były „sfuszzerowane“. Dlaczego, z jakiego powodu, nie wiem, — ale to wiem, — że co roku są gorsze od owych pierwszych międzynarodowych zawodów z r. 1923 — urządzonych jeszcze na Koziońcu. — Jest jakaś niedokładność w obecnym ich urzędowaniu, a szkoda, bo na terenie Zakopanego umiejętnie urządzone zawody mogłyby prawdziwie zainteresować całą Europę sportową.

Bardzo ważnym krokiem również na drodze rozwoju Zakopanego jako pierwszorzędnej stacji sportowej byłoby zaprowadzenie kolejki linowej, łączącej Zakopane z Gubałówką, która jest bliżkim a prześlicznym terenem narciarskim, jednak dość uciążliwym do podejścia. Projekt ten, opracowany szczegółowo przez inż. Ogińskiego, dyrektora miejscowej elektrowni, aprobowany już przez kompetentne władze, spoczywa w „archiwum dobrych chęci“.

Kolejka na Gubałówkę rozwiązałaby problem komunikacji i dowozu materiałów budowlanych i przyczyniłaby się do stworzenia na tym najkorzystniejszym pod względem zdrowotnym terenie Zakopanego dzielnicy Nowego Zakopanego.

Dowodem, że Zakopane żyje najintensywniej sportem, są też zawody sportowe letnie — a mianowicie rajdy samochodowe. — Zeszłoroczny wyścig autoklubu krakowskiego był „gwoździem“ sezonu — a tegoroczny tem bardziej. 19 sierpnia b. r. warczało, huczalo — trzęsło się Zakopane pod najazdem coś około 1.000 aut. Sam wyścig, urządzony składnie, odbył się bez wypadków, o co na ważkiej stosunkowo drodze do Morskiego Oka nie trudno. Jakże pożądanym byłoby przeprowadzenie w najkrótszym czasie owej, zaczętej już drogi do objazdu dookoła Tatr, od Jaworzyny do Chochołowskiej doliny. Byłaby to nowa atrakcja ściągająca automobilistów, którzy są przecież dobrymi gośćmi, bo mają „dudki“.

Jedną z bolączek Zakopanego, na którą tego roku się „przechorowało“, i to ciężko, to sprawa kamieniołomu.

Nie ulega wątpliwości, że twórcy tego przedsięwzięcia poszli dalej, niżeli sobie to wyobrażano, gdy wydawano pozwolenie na ten kamieniołom. Gdy popełniono już ten błąd i zezwolono na powstanie takiego przemysłu w Tatrach, należy teraz czynić wszelkie możliwe ograniczenia, aby „wilk był syty i koza cała“. Wstrzymać tego przedsięwzięcia w dzisiejszym stanie rzeczy niepodobna, ale obecnie, kiedy już tylko Fundacja Kórnicka po rozwiązaniu spółki z p. Kiejnowskim objęła zarząd tej przemysłowej placówki, można mieć chyba nadzieję, że Fundacja, jako instytucja dobra publicznego, uczyni wszystko co można, aby nie wyrządzić szkód niepowetowanych zarówno krajobrazowi tatrzańskiemu jak i Zakopanemu jako uzdrowisku. — Narzekając na kamieniołom przytacza się słusznie między innymi, że przeskadza on korzystaniu z najważniejszej drogi spacerowej, „drogi pod regłami“. Ale korzystaniu z tej drogi utrudniają jeszcze inne względy, o których co roku od niepamiętnych czasów gada się po wiecach i pisze po gazetach, a wszystko zostaje po dawnemu. Po pierwsze — niema należytej komunikacji z tą drogą, a z ulicy Zamoyskiego dostać się można tylko urągając płotom i tablicom, na których stoi, że przejście zakazane, — a po drugie droga sama jest miejscami w stanie nie do przebycia. Dawniej było takie bezdenne bagno między doliną do Dziury a Strążyskami, dziś przybyło drugie dzięki Skoczni na Krokwi. Dawniej były wzdłuż drogi ławki, które P. T. T. fundowało. Gdy je co roku rozkradano, uprzykrzyła się wreszcie P. T. T. szaryfowa praca — i ławek niema. Wogóle nie jest rzeczą P. T. T. dbać o drogi i ścieżki poza Tatrami. Zdaje się rzeczą prostą, że miejscowość klimatyczna powinna się zatroszczyć o to, któredy się jej goście mają przechadzać, gdyż możliwość przechadzki jest chyba najpierwotniejszym wymogiem miejsca klimatycznego.

O tem jednak „klimatyka“ nie myśli. I nie tylko ta droga jest w takim stanie, ale jeszcze bliższe, a powszechnie uczęszczane ścieżki urągają najprymitywniejszym wymogom. Są z roku na rok coraz gorsze. Proszę się przejść na Kozieniec lub Antałówkę! Nawet bulwar ohrzczony imieniem Słowackiego, mający to niby być drogą spacerową, w wykonaniu chybił swego celu.

Chodników w tym roku nie przybyło wcale — a te, co były, tylko się popsuly i ku

starości pochyliły. — Przy ogromnej rozbudowie Zakopanego wszzer i wzdłuż — dróg często brak takich, aby był wygodny przystęp do wcale porządných nowopowstałych domów. Na to trzeba czekać, aż znów „ktoś“ obieca pożyczkę z okazji wyborów. Rząd nasz bowiem ma ukochaną córkę Krynice, a o takie niesforne dziecko jak Zakopane wcale się nie troszczy — a ten dzieciak, choć miał dużo sił życiowych w sobie, jednak pozwolił gaśnie — może dlatego, że się tak nieszczęśliwie nazywa...

W tym roku przyjechali znów liczni przedstawiciele Rządu, odbywały się konferencje w sprawie rozbudowy dworca, inwestycji koniecznych i t. d. — ale co z tego wyniknie, czas pokaże i... następna kronika zakopiańska.

Zjazd Podhalan w Kościeliskach, który się odbył 4 i 5 sierpnia z udziałem posłów Gwiżdza, Hyli, ks. Madeja i Walewskiego, zajął się gorliwie rozlicznymi sprawami Podhala i rozpatrywał też obiektywnie i życzliwie myśl stworzenia Parku Narodowego tatrzańskiego.

Z wycieczek, których tu nigdy nie brak — nawet w najmniej pomyślnym pod względem aury roku, należy zanotować dwie wycieczki Polaków z Ameryki a mianowicie wycieczki Związku Polek i Związku Narodowego. Obie te wycieczki podejmowane gościnnie przez Komitet z obywateli tutejszych, przyczyniły się do chwilowego ożywienia sezonu letniego. — Należy podkreślić z uznaniem, że program przyjęcia wycieczki Związku Polek był starannie opracowany i całe grono Pań z panią doktorową Kuczewską na czele starało się ustylizować Zakopane prawdziwą góralszczyzną, która tu zanika w zgiełku imitacji wielkomiejskich rozrywek. Taka wieczornica góralska w Czerwonym Krzyżu, z sympatycznym opowiadaczem baśni góralskich Krzeptowskim Białym, jego utalentowaną córką recytatorką, harmonijnym chórem pod batutą p. Mistrzyka wykonującym pieśni góralskie, to impreza bardzo udała i pozostawiająca w oczach widzów i słuchaczy barwny obraz życia na Podhalu. Nazywam to „stylizacją“, bo w życiu codziennem to wszystko już zamiera. Nawet strój góralski okrywa już z reguły nowy kabát, a często kurtka skórzana międzynarodowego szofera... Kobięce barwne stroje ludowe są dziś „scenizowane“, służą do występów popisowych, — kierpce ze zgrabnych nóżek góralek ustąpiły miejsca lakierkom na wysokich obcasach, kwiecista chustka jeszcze tylko tu i tam się pokaże — a strój miejski tandetny

wyparł malownicze piękno swoistego charakteru.

Tutaj należy wspomnieć o bardzo godnym uwagi, rzuconym tylko szkicowo w paru pismach, projekcie p. J. Zborowskiego, zaśłużonego, pełnego inicjatywy kustosa Muzeum Chałubińskiego, który proponuje sposób użytkowania etnograficznych wartości Podhala. Miałoby to się odbywać wedle słów autora projektu, w formie uroczystości o charakterze ludowym i zarazem być rozrywką dla tubylczej ludności oraz pociągającą osobliwością Zakopanego, dla sezonowego przybysza. Pokaz i przegląd strojów góralszczyzny, obrzędów weselnych, tańców, śpiewów, napisy chórów i teatrów ludowych, to wszystko połączone z publicznym nagradzaniem „zwycięzców” w stroju czy zręczności jakiejś — lub talencie rodzimym, mogłoby prócz pięknego obrazu, mieć znaczenie dla opóźnienia procesu zanikania artystycznych i etnicznych odrębności dawnej góralszczyzny. Ot i znowu projekt — bardzo aktualny — ale kto go w czyn wprowadzi?...

Wycieczki cudzoziemców zawsze się interesują oryginalnością strojów górali, ich tańcami i t. d. Niewątpliwie zanik tego charakteru ludowego zmniejszyć musi zainteresowanie się obcych.

Z naukowych tegorocznych wycieczek była tu Międzynarodowa Wycieczka botaników 14 państw, celem zapoznania się głównie z badaniami fitosocjologicznymi prowadzonymi tu od lat kilku i odbyła wycieczki w Tatrę prowadzone przez prof. W. Szafera. — Poza tem była też wycieczka Międzynarodowego Zjazdu prawników, która przybyła tu z Warszawy, w sierpniu.

Polski świat literacki i artystyczny był jak zwykle reprezentowany przez stałych bywalców, jak: Kornel Makuszyński, Ferdynand Goetel, art. malarz Chwistek, M. Frenkel i i.

Z zagranicznych wybitnych osobistości bawił etnograf szwedzki dr. Gustaw Bolinder, zajmujący się badaniem górskich plemion, Grigore Naudrisz, prof. uniw w Czerniowcach, znakomity pisarz francuski a wielki przyjaciel Polski i tłumacz jej pisarzy Paweł Cazin, wreszcie szereg polonistów włoskich, o czem jeszcze niżej.

Bawiła tu też grupa uczniów Petriego, złożona z różnych narodowości. Znakomity ten muzyk jest zarazem cenionym pedagogiem. Ponieważ buduje sobie willę w Zakopanem, więc gościł tu dłuższy czas, a uczniowie przyjechali za mistrzem. Egon Petri występował tu parę razy z koncertem.

Miejscowe organizacje były w tym roku

znacznie powściągliwsze w zbiorcach, co należy zanotować na ich korzyść. Odbyły się tradycyjne tygodnie Tow. przeciwgruźliczego, którego akcja w Zakopanem jest jedną z najbardziej pożytecznych, oraz P. T. T., które jak co roku starało się w Tygodniu Tatrzańskim szerzyć ideję miłości Tatr i tak jak co roku zgromadziło garstkę swoich druchów i wiernych sympatyków, ale szerszy ogół pozostał obojętny. Na bardzo pięknych odczytach prof. Pawlikowskiego, Świerza, W. Goetla, majora Romaniszyna, widziało się niemal zawsze tych samych ludzi.

Jak co roku tak i w tym sezonie letnim odbyły się w Zakopanem Kursy wakacyjne nauczycielstwa szkół powszechnych, które dzięki swemu wysokiemu poziomowi, doskonałej organizacji i ideowości kierowników, są jedną z najbardziej udanych akcji kulturalnych powojennej Polski. Na tegorocznych kursach wykładali profesorowie szkół wyższych ze wszystkich stron Polski, nowością bardzo doniosłą były specjalne kursy z wycieczkami, poświęcone zagadnieniom ochrony przyrody, szczególnie tatrzańskiej, prowadzone przez prof. M. Limanowskiego i W. Goetla.

To wszystko, co napisałam informuje o Zakopanem jako miejscowości klimatyczno-turystyczno-uzdrowiskowej. Teraz wypada coś niecoś opowiedzieć o życiu Zakopanego miasteczka, które już ma stałych mieszkańców około 12.000.

Otóż, zwrotem geograficznym się wyrażając, ludność to mieszana. Składa się z górali, cepów biedniejszych i zamożniejszych, urzędników, przemysłowców, kupców, adwokatów, lekarzy i t. d. Umyślnie wymieniam poszczególne zawody, gdyż właśnie ci mieszkańcy stali żyją kastowo, t. j. każdy dla siebie. Lekarze, być może przepracowani zawodową pracą, mało biorą udziału w życiu społecznym miasteczka. Adwokaci również. Grono nauczycieli szkół wyższych (z małemi wyjątkami) nie interesuje się niczem poza swoją pracą zawodową. Kupcy i przemysłowcy konkurencją walczą o byt, ale występują zawsze solidarnie razem gdy tego „interes” wymaga. Robotnicy-cepy są zorganizowani w „Turze”, na paradę idą razem...

To samo można powiedzieć o stowarzyszeniach i organizacjach. Często cała żywotna działalność organizacji (licznej w cyfrach) polega na jednej lub dwóch osobach.

Życia towarzyskiego w szerszym tego słowa znaczeniu niema w Zakopanem. Miejscowe Koło teatralne już nie funkcjonuje. Sokół od czasu do czasu..., wierny tradycji, urządza obchody w rocznice narodowe,

plastycy-malarze, wystawę, którą mało kto się interesuje a jeszcze mniej kupuje obrazów, potem cisza panuje zupełna i tylko „z podełba“ spoglądają na siebie Zakopiańczycy, dobrze sobie zresztą znani, obmawiając się wzajemnie przy stolikach w Trzaski... „Idź Pan spać, idź Pan spać“ przyspiewuje im Melodysta, i może dlatego życie towarzyskie w Zakopanem śpi...

Klub dyskusyjny z prezesem dr. Mischke, tym charakterystycznym i szanowanym ogólnie „apostolem“ zakopiańskim, wzmocnił w tym roku swoją działalność, urządzając szereg ciekawych odczytów, oraz obchód 100-letniej rocznicy narodzin Hoene-Wrońskiego. To wszystko jednak interesuje małą tylko garstkę osób tutejszych.

Nawet wybory do Sejmu, mimo agitacji różnych obozów i „reklamy świetnej i radiowej“, nie zdołały wzmocnić tętna życia w oswoiłem nudą miasteczku.

Od czasu do czasu znajdzie się odważna i pełna inicjatywy jednostka, która usiłuje skupić ludzi razem, wzbudzić zainteresowania jakieś szersze (poza kawiarnią i plotkami) i wtedy coś nowego powstaje w Zakopanem. Otóż w tym roku prof. Seelib zdążył z trudem wielkim założyć Klub francuski. W lokalach Urzędu gminnego tymczasowo mieści się czytelnia Klubu, otwarta codzień od 4—6 pop. tak dla członków jak i innych gości przebywających w Zakopanem a żądnych czytania francuskich pism. Za małą, bo 20-groszową opłatą, można mieć używanie, jest bowiem wielka ilość pism francuskich i biblioteka do dyspozycji. W pierwszy czwartek miesiąca odbywają się zebrania towarzyskie urozmaicone muzyką, śpiewem, a też od czasu do czasu odczyty w języku francuskim. Był już bardzo zajmujący odczyt dra Laloneł'a, prof. z Nancy, na którym zgromadziło się około 100 osób.

Górale tutejsi łączą się do wspólnej pracy w swoim Związku Górali przy Banku Podhalańskim. W lipcu odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod Dom ludowy Związku Górali. Plac na ten cel ofiarował śp. Franciszek Pawlica. Bank Podhalański zamienił ten plac na odpowiedniejszy dla tego budynku, a ks. biskup sufragan Rospod, w czasie bytności swojej w Zakopanem, dokonał uroczystego aktu poświęcenia. Wieczornica góralska z chórami pod batutą p. Mistrzyka została transmitowana na wszystkie stacje Polskiego Radja.

Poświęcenie we wrześniu krzyża na Hali Gąsienicowej, ufundowanego przez współwłaścicieli hali, było miłą uroczystością —

przykładem współdziałania górali z P. Tow. Tatrzzańskim. Poświęcenia dokonał proboszcz zakopiański ks. dziekan Tobolak.

Nie podobna jednak nie wspomnieć — mówiąc o ludności góralskiej — o jednej przykrej bolączce... Jest nią rozpowszechnione pijaństwo, szczególnie rażące u tjakrów. Wogóle ci ostatni często kompromitują góralszczyznę. Nawet w amerykańskich gazetach wspomniano o nich z niesmakiem — a ja sama byłam świadkiem zdzierstwa, jakie uprawiali na gościach obcych, nie znających tutejszych stosunków. Ta instytucja fikajerska potrzebuje silnej ręki — bo inaczej mylny sąd wydają obcy o wszystkich góralach. Związek górali — który gromadzi w swoich szeregach młodzież, powinien wywierać jak najsilniejszy nacisk na trzeźwość członków i przyzwoite zachowanie wobec gości — aby ocalić nie tylko biel cuchy góralskiej, ale i wydobyc z duszy tego z natury szlachetnego ludu, jego wielkie wartości moralne — które zanikają powoli...

Na zakończenie tego przeglądu co się działo w Zakopanem w r. 1928, należy nadmienić, że budzi się dusza obywateli Zakopanego i przygotowuje do nowego dzieła samopomocy.

Dnia 5 września odbyło się zebranie organizacyjne celem założenia w Zakopanem, na wzór francuski, Syndykatu Inicjatywy, w kształcie spółdzielni z ograniczoną odpowiedzialnością.

Celem tego Syndykatu, który przyjął nazwę „Związek Przyjaciół Zakopanego“, będzie propaganda, reklama na zewnątrz, podejmowanie czynnej inicjatywy we wszystkich sprawach zmierzających do zachowania i rozwoju uzdrowiska. Fundusze na ten cel ma zgromadzić Syndykat w postaci udziałów członków, dochodów z przedsiębiorstw i subwencji. Inicjatorzy i organizatorzy tego dzieła, zdają sobie sprawę z trudności, jakie będą mieli do pokonania, wierzą jednak, że cel poruszy biernie społeczeństwo zakopiańskie, i jeśli nie ourazu to w niedalekiej przyszłości pozwoli wreszcie na stworzenie placówki, która walczy do rozwoju Zakopanego przyczynić się może.

Czas już ku temu nastał, aby w tym roku jubileuszu 10-lecia niepodległości naszego Państwa całe zakopiańskie obywatelstwo i przyjaciele Zakopanego zrozumieli słowa poety:

„Trzeba z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędły lauru liść
Z uporem stroić głowę...“

Ufamy, że Zakopane pójdzie mimo wszystko naprzód do jasnej, wielkiej przyszłości...
A może się tylko łudzimy...

Krystyna Brudzińska.

Zakopane, w październiku.

Kurs polonistyczny dla Włochów w Zakopanem.

— W Zakopanem dzieją się rzeczy ciche; o których ogół prawie nic nie wie, a jednak strokroć ważniejsze od różnych hałaśliwych zjazdów i przedsięwzięć. Do rzeczy takich należał w ubiegłym sezonie letnim urządzony przez profesora uniwersytetu poznańskiego dr. Romana Pollaka, przy pewnym zasiłku ze strony rządu, kurs polonistyczny dla Włochów. Pomysł wydaje się prawie paradoksalnym, a jednak powiódł się zupełnie i wydał niewątpliwie bardzo dodatnie owoce. We Włoszech zainteresowanie literaturą polską jest wcale silne; szereg pracowników poświęca się bądźto naukowym studjum nad naszym piśmiennictwem (na pierwszym miejscu wymienić tu trzeba prof. Mavera z Padwy z jego wybornymi studjami o Słowackim), bądźto przekładom naszych poetów i powieściopisarzy na język włoski. Dużą część zasługi w tym względzie przypada prof. Pollakowi, który od paru lat wykładając literaturę polską w Rzymie, zdołał zainteresować nią także szereg sił młodszych. Jego to był pomysł sprowadzenie polonistów włoskich do Polski dla odbycia kursu polonistycznego (nie ograniczonego zresztą do samej literatury i języka). Już samo otoczenie polskie miałyby tu swoje znaczenie, a w nauczaniu wzięłyby tu udział cały szereg prelegentów, co oczywiście we Włoszech nie jest możliwe. Pomysł został wykonany, — czas wakacyjny sam przez się wskazał jako miejsce najodpowiedniejsze, Zakopane. Tu w zacisznej willi „Naszej“ przy ulicy Zamojskiego zamieszkałi uczestnicy i tu odbywały się wykład-

dy. Nie mogli przyjechać wprawdzie wszyscy poloniści włoscy, na których liczone, przyjechało jednak dziesięć osób płci obojga. Byli między nimi ludzie o stanowisku naukowem, jak i tacy, którzy swe studja polonistyczne od niedawna dopiero podjęli. Oto ich nazwiska: prof. Maver, dr. Cristina Agosti z Turynu (jedna z najwybitniejszych przedstawicieli włoskiego towianizmu, autorka cennych studjów o naszej poezji romantycznej, co wraz z swą siostrą wiele naszych arcydzieł przełożyła, a teraz pracuje nad przekładem „Popiołów“), panna Rosina Begey (córka wielkiego przyjaciela Polski Attilo Begey'a, wydawcy licznych pism towianistycznych), panna Marina Bersano Begey, słuchaczka uniwersytetu turyńskiego, Egisto de Andreis (publicysta i lferat), pani dr. Nucci (lektorka języka włoskiego w Uniwersytecie Jagiell., autorka pracy o Krasińskim), dr. Enrico Damiani, bibliotekarz parlamentu włoskiego, (tłumacz wielu dzieł polskich, między innymi „Godów życia“ Dygasińskiego, hymnów Kasprowicza etc.), dr. A. Stefanini zajęty studjami nad Fredrą. Na kursach wykładali prof.: J. St. Bystrzeński, J. Dąbrowski, W. Goetel, Z. Jachimecki, J. Krzyżanowski, K. Nitsch, J. G. Pawlikowski, E. Romer, M. Treter, a ponadto prof. Maver. Kurs ten nie ograniczał się tylko do słuchania wykładów. Część uczestników przywozła ze sobą prace naukowe, które czytano na osobnych zebraniach wyłącznie już po włosku prowadzonych i poddawano krytyce.

Poza wykładami i ćwiczeniami zorganizowano przy sprzyjającej pogodzie kilka wycieczek w głąb Tatr i do Pienin. Nie brakło sposobności zetknięcia się z wybitnymi przedstawicielami naszej nauki, kultury i sztuki. Po trzytygodniowym bardzo intensywnie wyzyskanym pobycie rozjechali się uczestnicy kursu, aby wiedzę o Polsce i zainteresowanie dla jej skarbów duchowych wszczepić w swojej ojczyźnie.

PIŚMIENNICTWO.

Barabasz Stanisław: „Sztuka ludowa na Podhalu. Część I. i II. Orawa i Spisz“. Lwów, Książnica-Atlas, 1928. — Od czasu cennych i niezbędnych dotąd materiałów Władysława Matlakowskiego teka Barabasza, zawierająca kilkadziesiąt tablic, wydanych starannie i na dobrym papierze, jest pierwszym bogatym i obfitym przyczynkiem do artystycznej twórczości górali. Wartość zaś dzieła jest tem większa, iż po raz pierwszy sięga w terytorja polskie, dotąd zupełnie niewyzyskane. O ile

bowiem Matlakowski ograniczył się do samego Podhala, do Zakopanego i najbliższej okolicy, o tyle Barabasz idzie dalej na zachód i wschód od Nowotarszczyzny t. j. na Orawę i na Spisz.

Rysunki autora, byłego dyrektora zakopiańskiej Szkoły Przemysłu Drzewnego, są rezultatem długoletnich wędrówek po wszech orawskich i spiskich. Wykonane sumiennie i z inżynierską dokładnością, dają nieoceniony zbiór motywów, bądź to o typie rdzennie podhalańskim, bądź też ulegających pewnym

lokalnym ciekawym zmianom. Odegrały wśród tych odcieni rolę słowackie wpływy w ujmowaniu ornamentów. Całość jednak dowodzi niezbicie, jak zwarta jest etnograficzna jednostka, położona pod Tatrami.

Rysunkowe materiały Barabasza są tem ważniejsze, iż posiadają już niejednokrotnie muzealne znaczenie. Ani część tego, co przed kilkunastu laty nagromadził autor w swoich sumiennych studjach, już nie istnieje w życiu i użyciu. Poznały pod wpływem naporu szarej i jednostajnej „kultury” miast misternie rzeźbione odrzwia i zdobne obramienia okien, poznały bezpowrotnie ornamentowane listwy i bogate łyżniki, malowane skrzynie i charakterystyczne krzesła, a zgrabny sprzęt domowy zastąpiła kupna, fabryczna tandeta. Sztuka ludowa na Podhalu ginie z przerażającą szybkością, niespodziewaną nawet dla tych, którzy góralszczyznę dobrze znają.

Dotąd trzeba, że niniejsza teka z 20 tablicami spiskiem i 32 orawskimi zawierającą razem 216 rysunków, to tylko fragment tych materiałów, jakie autor jeszcze posiada. W tem wydawnictwie pokazał nam szczegóły budownictwa chałup i kościołów, oraz wszelaki sprzęt domowy. A czekają na ogłoszenie materiały z zapadłych wsi Podhala, zdobnictwo hafciarskie, wyszycia na kożuchach, stroje ludowe, polichromja słynnego kościoła w Dębnie i t. d. Oby ta nieoceniona kopalnia nieznanych niemal a ginących z dnia na dzień zabytków doczekała się najrychlejszego wydania.

Tablice rysunkowe poprzedza krótki wstęp wraz ze spisem tablic i rysunków. Orjentuje on nas krótko, ale jasno i ze znajomością przedmiotu, naprzód wogóle o artystycznych zdolnościach górali, potem zaś szczególnie o sztuce ludowej spiskiej i orawskiej. Jest ona o wiele bogatsza od rdzennie podhalańskiej i o wiele rozmaitsza, zaś dla artystycznego zdobnictwa zupełnie niewykorzystana.

Juljusz Zborowski.

Gorgany zachodnie. Mapa 1:100.000.
Opracował dla celów turystycznych
Adam Lenkiewicz. (Nakład i druk Sp. Akc. Książnica-Atlas).

W porównaniu z wydawnictwem atlasów tudzież map większych połaci kraju służących celom administracyjnym i handlowym, stanowi publikowanie map szczegółowych, dla turystów, przedsięwzięcie mało zyskowe. Wdzięczność należy się zatem autorowi, który podjął się zmuśnej pracy uzupełnienia hodoграфji i nomenklatury, wykoślawionej często

do niepoznaki przez autorów dawnych map sztabowych różnojęzycznej monarchji, a także Spółce wydawniczej, która dostarczyła potrzebnych środków technicznych i finansowych. Uczucie to potęguje się, skoro chodzi o grupę Karpat tak ciekawą i tak piękną, a tak dotychczas zaniedbywaną, w której dziejach dobra mapa może się stać początkiem nowej ery turystycznego rozwoju. Niestety musimy otwarcie wyznać, że w wykonaniu znaczna część materialnego i moralnego kapitału włożonego w wydawnictwo, została zmarnowana i ostatecznie — z punktu widzenia turysty przynajmniej — nie przedstawia mapa zasadniczych korzyści w porównaniu z austrijacką mapą sztabową. I tak dla przedstawienia terenu użyto wyłącznie linii warstwowych i to bardzo rzadkich (co 100 m), bez odróżnienia poszczególnych warstw i z wyłączeniem wszelkich innych środków. Skutkiem tego mapa odpowiada może surowym postulatom wiedzy geograficznej, lecz jest zato dla przeciętnego turysty zupełnie nieplastyczna. Mimo że wykonano ją w kolorach, do oznaczenia dróg, ścieżek, rzek i warstw użyto tego samego czarnego koloru, co jeszcze bardziej utrudnia czytanie mapy. Kolor zmarnowano dla oznaczenia granicy powiatów — rzeczy dla turysty obojętnej i granicy państwa, którą można było w czarnym kolorze dostatecznie wyraźnie oznaczyć. Odrębnym kolorem oznaczono też szlaki narciarskie. Innowacja ta, za którą turystyka zimowa będzie autorowi bardzo wdzięczna, wymaga jednak koniecznie uzupełnienia w tym kierunku, aby zapomocą strzałek odróżnić szlaki odpowiednie tylko do podchodzenia od tych, które nadają się do zjazdu, są one bowiem — zwłaszcza w Gorganach — często różne. Sam wykrój mapy wypadł nieszczęśliwie, bowiem dla umieszczenia tablicy znaków, zresztą niekompletnej i nieprzestrzeganej¹⁾ obcięto najniepotrzebniej ciekawą i ważną grupę Strimby i Niegrowca, którą przecież należało objąć jako należącą do Gorganów Zachodnich. Najfatalniej jednak przedstawia się korekta, której chyba nikt nie robił. Oto kilka grubszych błędów, które zauważyliśmy: napis „schronisko P. T. T.” umieszczono na lewym, a „Rezarnia” na prawym brzegu Łomnicy. Nazw Wysokiej (1805) i potoku Ozerunki brak zupełnie. Jako szlak narciarski oznaczono niemożliwą do zjazdu ścieżkę z Osmolody na Matachów przez Sofere, natomiast pominięto najlepszy w tych stronach zjazd płajem przez

¹⁾ Według tablicy schronisko P. T. T. ma być oznaczone symbolem w kształcie domku. Tymczasem na mapie schronisko na Jalu — jedyne w tych stronach schronisko P. T. T. — oznaczono prostokątem, jak każdy inny budynek.

Faszory. Nie oznaczono też ważnych zjazdów z Małej Popadji do Hanińca i doliną Kłębaka, szlaków z Ruszczyzny dolinami Salatruka i Płajskiej. — Nie znaczy to, ażeby mapa nie posiadała wielkich zalet; stanowią jej czysty i przejrzysty rysunek, nomenklatura zupełniejsza niż w mapie sztabowej i poprawna, staranne oznaczenie dróg i ścieżek myśliwskich. Tem bardziej szkoda, że skutkiem jakiegoś pośpiechu czy niewytlómaczonego braku dbałości, wprowadzono tyle błędów, których można było uniknąć. Tęgo rodzaju wydawnictwa powinny być przedstawiane do korekty, i to nie tylko autorowi (czego podobno w tym wypadku zaniechano), lecz także innym znawcom danej okolicy, którzyby niewątpliwie dla dobra turystyki współpracy swej nie odmówili, a nie można ich zdawać na widzimisię rysowników firmy. Niech nam wolno będzie wyrazić nadzieję, że następne wydanie ukaże się wkrótce, w stanie nie dającym już pola do tego rodzaju krytyki.

Z. K.

Mapa turystyczna Karpat Polskich: Arkusz 3: Czarnohora—Żabie, i Arkusz 4: Jaremcze—Worochta. Skala 100.000. Nakład i wydanie Towarzystwa Kartograficzno-Wydawniczego „Gea” w Warszawie. Firma Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Przygotowane przez Polskie Towarzystwo Tatrzańskie wydanie map turystycznych Karpat Wschodnich doczekało się w stosunkowo bardzo krótkim czasie realizacji, bo oto znajdują się już w obiegu księgarskim dwa najważniejsze arkusze tej mapy, a mianowicie arkusz 3: „Czarnohora—Żabie” i arkusz 4: „Jaremcze—Worochta”.

Potrzebę map tych okolic ze specjalnem przeznaczeniem do użytku turystów odczuwano jeszcze przed wojną, gdyż powszechnie używana mapa austriacka 1:75.000 nie miała poznaczonych dostępów na szczyty, używanych przez turystów i narciarzy, tem mniej oznaczenia ich kolorami, jakimi poznaczane zostały przez Towarzystwo Tatrzańskie w terenie. Obecnie jednak wskutek upadku monarchji habsburskiej i przyłączenia odnośnych terytorjów do Polski, gdy Instytut Wiedeński zaniechał raz na zawsze swych prac nad mapami tych okolic i ostatnie jego nakłady są na wyczerpaniu, potrzeba stała się piękną, to też zrozumiałą i wysoce godną uznania stała się akcja P. T. T. dla stworzenia i wydawania map turystycznych terenów jego działalnością objętych.

Mapa została wykonana przez Towarzystwo Kartograficzno-Wydawnicze „Gea” w Warszawie.

Wierchy VI.

Na pierwszy rzut oka spostrzega się jej turystyczne przeznaczenie, bo nad innemi znakami dominuje kolorowa sieć dróg turystycznych i szlaków narciarskich. Również teren jest kolorowany trzema barwami: seledynową na oznaczenie lasów, jasno-brązową na oznaczenie miejsc górzystych niezalesionych, wreszcie kreskami koloru brązowego ciemniejszego została mozołnie wykreślona siatka warstwic co 50 m; relief terenu bowiem przedstawiony został metodą warstwic bez zaciemniającego mapę cieniowania, przynajmniej w arkuszach Beskidu Wschodniego; (w Beskidzie Zachodnim używano cieniowania), sieć rzeczna wreszcie kreskami barwy niebieskiej. Są to walory znaczne, bo czynią mapę przejrzystą i dającą możliwość szybkiej, ogólnej orientacji.

Lecz są również strony ujemne.

Przedewszystkiem co do nomenklatury; pozostawiono bowiem niestety znaczną ilość błędnych oznaczeń mapy austriackiej, choć w wielu miejscach widać dążność do wprowadzenia właściwych nazw tubylczych w poprawnem i utartem ich brzmieniu. Nie sposób i nie miejsce wyliczać wszystkie błędy, ograniczę się do kilku z najwięcej przez turystów uczęszczanych partyj. I tak w arkuszu „Jaremcze—Worochta” na południe od napisu Doboszanka, podano bezkrytycznie za mapą austriacką napis „Doużyniec” zamiast napisu „Wyżna” powyżej niewłaściwego napisu i „Niżna” poniżej. Napisy „Pod Połomami”, „Pod Doboszanką” zbyteczne. Ostatni należało wymienić na „Fedyczil”. Napis „Mała Zielenica” należało zastąpić tubylczem „Zieleniczka”. „Mł. Gorgan” na pn. zachód od Siniaka również nazwą tubylczą „Siniak-Gorgan”. Nad Worochtą nazwę „Serednia” zastąpić albo ruskiem „Seredna”, albo utartem polskiem „Srednia”. „Prutek Jablonicki” ma swą nazwę aż do ujścia do Prutu w Tatarowie, nazwa „Prutek Tatarowski” tubylcom nieznaną. Szczyt nad Kosmaczem 1464 ma nazwę ruską „Łysyna”, wśród turystów utarła się nazwa „Łysińa Kosmacka”, w nawiasie należało podać nazwę „Łedeskul”, także używaną, jednak na oznaczenie tego samego szczytu, a nie miejsca 1 km na pn., jak to jest na mapie. Nie „Połonica Czeńegowska”, lecz „Polanica Czernogowska”. Na arkuszu 3-cim „Czarnohora—Żabie”: błędny napis austriackiej mapy „Czyrny” (grzbiet między ujściem Foreszczenki a Maryszem), w którym wskutek omyłki drukarskiej początkowe O zamieniono na C, sprostowano wadliwie na „Czorny”, grzbiet ten zwie się „Ozirny”. Czerwonny napis „Żabie” na oznaczenie ośrodka wsi na-

leżałoby przesunąć pod sam margines, gdyż tam, gdzie na mapie dano ten napis, niema centrum wsi, lecz tylko przysiółek Ilcia Dolna (Dolizsna) i tu miejsce jest właśnie na ten napis, a nie inny, zaś napis „Ilcia Górna (Horizsna)“ dać ca 1 cm powyżej ujścia potoka Krywec do Ilci, jednego z największych dopływów Czeremoszu, na mapie nienazwanego. Na głównym grzbiecie Czarnohory napis „Howerla“ ma być tuż obok punktu 2058, tam, gdzie Howerla Mała. Nazwę „Howerla Mała“ sbyłcom nieznana, najlepiej było opuścić, a jeśli koniecznie chce się uwzględnić utarcie tej nazwy wśród bardzo nielicznej rzeszy turystów, którzy osiągnąwszy t. zw. Plecy (Plecze) Zaroślackie (bo są i Plecy Breskulskie, a także i Kośmieskie), cieszą się że już są na Howerli, bodaj na „Małej“, to możnaby tę nazwę zatrzymać, lecz umieścić ją o 1½ km na północ od obecnego napisu. Napis „Zaroślak“ należałoby przenieść tam, gdzie jest napis „mała“ od Howerla mała, tak samo napis „Kozły“ o 1½ km na wschód. Nie potok „Mreje“, lecz potok „Gadżyna“, napis „Rebra“ przenieść pod punkt 1997. a na jego miejsce dać 2036 (najwyższe wzniesienie po Howerli) oraz jego nazwę „Brebieskul“. 1773 zaopatrzyć w napis „Szuryń“, t. z. omyłkową nazwę potoka z niego spływającego „Szuzen“ zastąpić nazwą „Szuryń“. Fatalnie brzmi przełómaczenie żywcem z niemieckiego „zu Bystrzec“ na „do Bystrzeca“. Termin ten stosowała mapa 1:75.000 do osad odleglejszych od ośrodków wsi; w tym wypadku należało cały zasięg chat bystrzyckich ująć w jeden rozstrzelony napis Bystrzec. Dalej nie „Walilen“, lecz „Wałyło“, nie „Maskul“ (pod Pop Iwanem), lecz „Waskul“ i t. d., i t. d.

Również rażą niektóre błędy i braki topograficzne. I tak w arkuszu Jaremcze—Worochta w dolinie Zielenicy oznaczona jest gajownia w Ilmie. Gajowni tej od lat kilku niema. W tej samej dolinie brak gajowni w Komarnikach. Na Rebrowacz brak dobrze utrzymanej ścieżki, natomiast niepotrzebnie prowadzi tam szlak narciarski. Rebrowacz o ile pieszo jest najbardziej uczęszczanym szczytem nad Worochtą, to z powodu zalesienia nie przedstawia interesu dla narciarza. Wprost zagadkowy jest znak dwutorowej kolei między przystankiem w Podleśniowie a wodospadem w głębi doliny Żeńca. W arkuszu Czarnohora—Zabie brak płaju z doliny Prutu doliną nienazwanego na mapie potoka Ozirnego, jednego z silniejszych dopływów Prutu górnego (na zachód i połn. zachód od Kostrzycy), stanowiącego ważne przejście

z doliny Prutu do doliny Bystrzca, wiedzie niem bowiem najkrótsza droga z Worochty do Bystrzca, i t. d.

Znaki konwencjonalne wraz z legendą pozostawiają też niejedno do zyczenia. I tak legenda jest niepraktycznie podzielona na 2 części, jedną zamieszczoną na osobnej wkładce i drugą ze znakami kolorowymi, które z przyczyn prawdopodobnie technicznych mogły być podane tylko razem z mapą. Racjonalniej byłoby przenieść wszystkie objaśnienia na margines mapy, co przyczyniłoby się do wygodniejszego czytania mapy. Napis „Ścieżki brązowe (winno być „linje“) oznaczają ścieżki znaczone żółto w terenie“ nie wystarczy, bo są i linje czerwone, a także i zielone, a o jednych jak drugich w legendzie głucho. Określenie „Granica pasa turystycznego“ zbyt mało mówi; nie poinformowany o szczegółach konwencji turystycznej nie będzie wiedział o co chodzi, należało przynajmniej dodać „dla czechosłowackich turystów“. Nie jest objaśnione, co oznacza linja niebieska nieprzerywana, dana na niektórych szlakach narciarskich tuż obok przerywanej, oznaczającej szlak narciarski. Legendą należało objąć także kolory terenu oraz podać różnicę wysokości warstwice cieńszych i grubszych. Brak znaku na tartaki i strażnicówki celne (przeważny brak tych ostatnich wogóle na mapie za wyjątkiem strażnicówki opodal schroniska pod Howerlą). Brak objaśnienia, co oznacza druk czerwony w napisach nazw miejscowości i co oznacza napis podkreślony kreską czerwoną (Kosmacz), jak wreszcie co oznaczają wogóle poszczególne kalibry druku. Znak kolei dwutorowej zbyt podobny do znaku drogi polnej nieutrzymanej. Brak granic powiatów. W określeniu las „z duchtami“ to ostatnie słowo, niemal nieznanne, lepiej zastąpić określeniem „las przecięty linjami“ lub „przerębami“. Dalej: jeśli wyszli wydawcy z założenia, że tekst legendy należy podać i w obcych językach, to również należało uwzględnić i nomenklaturę czechosłowacką, z uwagi że mapa, jak to z oznaczenia granicy pasa turystycznego po polskiej stronie wynika, jest przeznaczona także i dla czechosłowackich turystów.

Wreszcie na okładce tytułowej brak nazwy arkusza. Numer nie wystarczy. Na samej mapie skrócenie z prawej strony u góry „Beskid Wsch.“ jest nie na miejscu, winno być „Beskid Wschodnie“ w całych słowach. Numeracja poszczególnych arkuszy bezładna.

Wszystko to są błędy, którym przy dokładniejszym opracowaniu można było za-

pobiedz. Ogólnie jednak rzecz biorąc, mapa na razie i taka odda znaczne usługi, bo przejrzystością i umożliwieniem szybkiej, ogólnej orientacji okaże się niezawodnie praktyczniejszą od obu map austriackich. Szkoda jednak, że błędy w nomenklaturze, legendzie i braki topograficzne psują całość. Dokładna korekta przed ostatecznym drukiem była koniecznie wskazana, a pośpiech, z jakim wzięto się do dzieła tak poważnego, jak stworzenie kolorowej mapy Karpat w nowej podziałce, jakkolwiek zrozumiały z powodu braku mapy tych okolic, był może zbyt wielki. Mieć na oku należało także i to, że posiadamy i z polskich wydawnictw zupełnie na wyżynie zadania stojącą mapę Gorganów zachodnich A. Lenkiewicza, staraniem Lwowskiego Oddziału Towarzystwa Tatrzańskiego, bardzo starannie przez Książnicę-Atlas wydana.

Należy więc poddać mapę uzupełnieniom i przeróbce w nowym wydaniu, które, oby jak najprędzej doszło do skutku.

Grudziądz, lipiec 1928.

H. Gąsiorowski.

Mapa turystyczna Karpat Polskich: Beskid Zachodni (arkusz 1 i 2). Skala 100.000. Wydanie „Gea”, Warszawa.

W turystyce beskidowej oddawna odczuwano brak specjalnych turystycznych map. Powszechnie używane „sztabówki” austriackie, jakkolwiek technicznie stały na dość wysokim poziomie, to jednak posiadały fatalną nomenklaturę. Polskie zaś wojskowe mapy taktyczne, będące fotograficznym zmniejszeniem wymienionych map austriackich, przedstawiają w terenach górzyszych istną szarą plamę (zbytne zagęszczenie szrafu pionowego) i są bardzo uciążliwe w orientacji, zwłaszcza dla turysty o przeciętnym zmyśle terenoznawczym.

W związku z tem P. Tow. Tatrzańskie wraz z warszawskim Towarzystwem kartograficzno-wydawniczym „Gea”, rozpoczęło wydawnictwo specjalnej mapy turystycznej w podziale 1:100 000. Dotychczas ukazało się siedem arkuszy, obejmujących część Beskidu Zachodniego (Beskid Żywiecki i Śląski, Beskid Mały, Babia Góra, Pieniny, Beskid Sandecki), jakoteż Beskidu Wschodniego (Gorgany i Czarnohora).

Podstawowym materiałem do wykresu map są mapy austriackie (1:75.000), a sieć szlaków turystycznych, a częściowo i nomenklaturę, opracowuje Tow. Tatrzańskie.

Należy przyznać, iż surowe arkusze, wykonane przez kreślarzy W. I. G., przedsta-

wiały się pięknie i solidnie — odtworzone z nich jednak metodą chromofotolitografii mapy, zawiodły częściowo oczekiwania.

W użyciu okazały się one z pewnością praktycznymi — w każdym razie dwa pierwsze arkusze (Pilsko-Barania Góra i Szczawnica-Pieniny), z punktu widzenia ściśle kartograficznego pozostawiają wiele do życzenia.

I tak na pierwszy rzut oka uderza niemiłe stosunkowo bardzo pobieżne cieniowanie, na którego precyzyjność specjalnie kładziono nacisk w sferach P. T. T. Nawet badając szczegółowo powyższe arkusze nie można dokładnie wywnioskować, w jaki sposób porozmieszczano źródła światła (miało być zastosowaniem skośne oświetlenie) i wręcz odnosi się wrażenie, że tereny te „cieniono” bez żadnej metody. Jest to defekt stosunkowo ważny, jak na mapy, z których usunięto szraf pionowy (uplastycznienie metodą kreskową) i na których większa ilość kolorów, jakkolwiek pożądana i konieczna, bynajmniej nie rozjaśnia sytuacji.

Reprodukcja poziomica na niektórych arkuszach wypadła nienajlepiej — naogół są one na nich prowadzone niejednorodną linią, która na zgęściach grubieje. Również niepotrzebnie uwzględniono duchtynie leśne, które np. w arkuszu Pilsko-Barania Góra wybitnie przeladowują treść mapy, nie przynosząc przytem prawie żadnego pożytku turysty.

To byłyby te poważniejsze braki i niedopatrzenia. Do pomniejszych należy wkreślanie kolorowych szlaków turystycznych, które wbrew życzeniu wykreślono liniami zbyt szerokimi, a wskutek tego nieestetycznymi; ponadto szlaki wyznakowane zielono zlewają się na mapie z kolorem lasu.

Nomenklatury wreszcie, a zwłaszcza czerwone, bardzo często są przebite pozostałą treścią i nie wypadają zbyt pięknie ani też czytelnie. Istnieje także wśród nich pewna ilość błędów, co już jest bezwzględnie winą wydawcy, który nie przesłał wszystkich arkuszy do ostatniej umówionej korekty.

Za niezbyt szczęśliwy pomysł musimy również uważać wkreślenie rzek jedynie w postaci linii brzegowych.

Z kolei należy ocenić strony dodatnie. Jedną z nich jest fakt, że mapy te są pierwszymi mapami ściśle turystycznymi w Polsce, a zatem bez konkurencji. Do dalszych wypadnie zaliczyć umiarkowany rozkład treści, który map poza wymienionymi powyżej duchtami nie przeladowuje, do czego w dużej mierze przyczyniają się pomniejszone sygnatury zabudowań. Z uznaniem musi się podnieść precyzyjne wykreślenie miasteczek,

jakoteż praktyczną modyfikację kilku sygnatur; (coprawda sygnatury na schronisko zagospodarowane, niezagospodarowane, stacje turystyczne i osadę pasterską, są w swem znaczeniu tu i ówdzie pomieszane). Pozatem uwzględnienie ważniejszych okolicznych terenów poza marginesem, jakoteż kolorowa, a nie czarna numerację warstwic.

Każdy arkusz jako całość, został wydany w formie małego zeszytiku z kluczem znaków i objaśnieniami (zbyt drobny druk), jakoteż ozdobiony winiętą w stylu Walerego Eljasza; (należy ją jako zbyt prymitywną zmienić w następnych wydaniach).

Mapy te są bardzo potrzebne i rozejdą się, — już jednak w następnych arkuszach (ma ich wyjść jeszcze 9) braki techniczne powinny zostać usunięte. W. M.

Władysław Szumowski. Dietl a Szczawnica. Kraków 1928. Artykuł prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Szumowskiego, ukazał się w księdze zbiorowej, wydanej ku czci Józefa Dietla, pierwszego prezydenta miasta Krakowa i znakomitego lekarza. Autor posługiwał się rękopisem Józefa Szalaya, twórcy, właściciela i wieloletniego kierownika zakładu zdrojowego w Szczawnicy. Dowiadujemy się ztąd ciekawych szczegółów o zasługach Dietla dla uzdrowiska, za które uczczono go w 1865 roku pomnikiem z napisem „hoc monumentum facieundum curavit grata Szczawnica“. Z.

Taternik. — Rocznik XII Taternika (1928) rozpoczął się pod dobrą wróżbą. Redakcja zawiadamia, że po okresie pewnego zastoju, spowodowanego wojną i stosunkami powojennymi, Taternik znacznie znowu wychodzić regularnie jako pismo periodyczne, sześć razy na rok. Redakcja pozostając nadal w ręku dr. M. Świerza wzmocniona została komitetem redakcyjnym, do którego wchodzi z ramienia Sekcji Turystycznej P. T. T. pp. J. Chmielowski i R. Kordys, z ramienia Sekcji taternickiej Akad. Związku Sportowego pp. M. Sokołowski i S. K. Zaremba. — Rzeczywiście w regularnych odstępach czasu (od marca do lipca b. r.) wyszły trzy zeszyty „Taternika“, — niestety potem nastąpiła przerwa i po dzień dzisiejszy (połowa grudnia) nie ukazał się dalszy zeszyt...

Treść trzech zeszytów wypełniają jak zwykle przyczynki do historii dawnych i opisy nowych dróg i wypraw taternickich. Z pierwszego działu najciekawszą jest rozprawa R. Kordysa o „taternickim itinerarium Staszica“, z drugiego opis wycieczki odbytej w czasie

od dnia 1—13 kwietnia b. r. przez pp. Narkiewicza Jodka i A. Karpińskiego, od Koperszadów aż po Kaczę dolinę, w czasie której przez dni dziesięć nie schodzili w dolinę idąc wciąż granicami. Poza dowodem niezwykłej tężyzny i sprawności, wycieczka ta jest interesującą jako problem. Narkiewicz Jodka, z którego pióra pochodzi opis tej wyprawy, powiada, że tego rodzaju przedsięwzięcia „zbliżają wyprawę w terenie tak stosunkowo małym jak Tatry, do typu wypraw w łańcuchach górskich tej skali co Andy lub Himalaje“.

Oczywiście jest przytem, że duchowa strona takiego życia na szczytach całkiem inny posiada walor niż akrobatyczna a bezcelowa wspinaczka na jakąś turniczkę. —

Z artykułów dotyczących ideowej strony taternictwa podnieść należy artykuł M. Świerza: „O powrót do wielkości Tat“, który omówiliśmy już na innym miejscu. J. G. P.

Przegląd Turystyczny. Rok IV (1927/28).

Od czasu naszego poprzedniego sprawozdania ukazały się dwa zeszyty, liczbowane jako „Nr. 7—8“ i „Nr. 9—10“. Zadaniem Przeglądu jest informować członków P. T. T. w sprawach Towarzystwa, a ogół turystyczny o wszystkich aktualnych kwestjach z turystyką związanych. To ostatnie zadanie spełnia Przegląd niemal tylko w zakresie turystyki górskiej, przeto nazwa jego po części nie odpowiada treści. Wogóle sprawa turystyki nizinnej leży u nas dotąd odłogiem... W obrębie zakreślonego sobie programu spełnia „Przegląd“ swe zadanie zupełnie dobrze. Poza stroną kronikarską i sprawozdawczą pomieszczane też bywają artykuły treści zasadniczej. Z tych podnieść należy w n-rze 7—8 artykuł M. Sokołowskiego, zwrócony przeciw bałamuceniu opinii publicznej w sprawach ochrony przyrody przez niektóre dzienniki, otwierające swe łamy bezkrytycznie różnym niepowołanym ignorantom, — tudzież anonimowy artykuł dotyczący żywej sprawy P. T. T., mianowicie kwestji, czy ma ono ograniczyć swą działalność tylko do gór, czy też ma zająć stanowisko czynne w uzdrowiskach i stacjach turystycznych u ich podnóża; chodzi w szczególności na razie o Zakopane. Autor słusznie żąda zajęcia stanowiska czynnego, raczej powrotu do niego. Sprawa ta powinna być wzięta szczególnie pod uwagę i dyskusję, bo nie ulega wątpliwości, że zajęcie stanowiska takiego dziś jest całkiem czemś odmiennem jak było wczoraj. — Z innych spraw poruszonych w Przeglądzie podkreślamy wywody J. Zborowskiego (w obu zeszytach) w spra-

wie rewizji nomenklatury tatrańskiej, sprawie aktualnej szczególnie ze względu na przygotowującą się mapę Tatr. E. Rapf poświęca wyczerpujący artykuł technicznej stronie znaczenia szlaków.

Układ części kronikarskiej szwankuje nieco pod względem typograficznym: tytułiki poszczególnych notatek są za drobne co zwłaszcza przy braku odstępow czyni wyszukanie czegoś męczącym i trudnym.

J. G. P.

T. Zwoliński: Mapa Tatr Polskich w podziale 1:37.500, wydanie nowe poprawione i uzupełnione. Nakład księgarni Zwolińskiego w Zakopanem, 1928. (Jest to mapa wielobarwna, warstwowa, podaje kolory znaków przydrożnych, schroniska, grotty i inne szczególne potrzebne dla turysty). Cena 5 zł.

J. Mrázek: Vysoké Tatry. (Mapa warstwowa Tatr w podziale 1:40.000, wydawnictwo Klubu Čsl. Turistů w Pradze).

Pišova mapa Vysokých Tater, w podziale 1:50.000, wydanie nowe (V). Mapa wraz z krótkim przewodnikiem, nakładem księgarni A. Piša w Brnie morawskim.

Album Tatr. Rotogratury ze zdjęć Oppenheima. Nakład Sekcji narciarskiej P. T. T. Kraków 1927. Cena 7 zł.

Zdrojowiska i uzdrowiska polskie. Przewodnik ilustrowany. Rocznik IV., 1928/9. Nakład Tow. Ruch, S. A. Stron 222.

Zakopane. (Kilkustronnicowy prospekt ilustrowany w językach: polskim, francuskim, angielskim i niemieckim) Nakład Krajowego Związku Turystycznego w Krakowie, przy subwencji Zarządu uzdrowiska.

Dr. Henryk Wilczyński: Obrony Zakładów Kórnickich Fundacji narodowej Zamoyskich — część druga. Warszawa 1927, Nakład autora.

Kazimierz Sayse Tobiczek: Wielkie Zakopane. Wydanie Dnia Polskiego, Warszawa 1928. (Omawia postulaty rozwoju Zakopanego w związku z projektem Parku Narodowego).

St. Tync i J. Gołąbek: Beskid Zachodni i Podhale. Górale Polscy. Pierwszy zeszyt regionalny czytane polskich. Książnica-Atlas 1928, (str. 115 z ilustr.) (Wypisy wierszem i prozą z różnych autorów).

J. Balicki i St. Maykowi: Będziem Polakami. Drugi rok nauki języka polskiego

w szkołach średnich ogólnie kształcących. Lwów, Ossolineum 1928. (Zawiera wypisy z autorów dawniejszych i oryginalne ustępy współczesnych wierszem i prozą, odnoszące się do różnych okolic Polski. Cykl V.: „Wśród wierchów“).

Mieczysław Małeckki: Archaizm podhalański wraz z próbą wyznaczenia granic tego dyalektu. Z mapą. (Monografie polskich cech gwarowych, Nr. IV.). Nakład Pol. Akad. Umiejętności 1928.

Jan Drożdż: Gospodarstwo górskie. Studja nad rozwojem mleczarstwa i hodowli w Karpatach. Rzeszów, 1927.

Marjan Sokołowski: O górnej granicy lasu w Tatrach. Zakłady Kórnickie. Zakład badań drzew i lasu Nr. 1. Kraków, wydawnictwo Fundacji „Zakłady Kórnickie, 1928. (Stron 188, z ilustracjami, grafikami i mapami).

Wiktor Ormicki: Eksport drzewa na obszarze Dunajca i Popradu. Prace Instytutu Geograficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zeszyt IX. Kraków 1927.

Jan Sokołowski: Ochrona ptaków. Wyd. Pol. Rady Ochrony Przyrody, Nr. 16, Kraków 1928.

Emil Zegadłowicz: Dziewanny. Poeemat 1927. (Tło zachodnio-beskidzkie).

Emil Zegadłowicz: Godzina przed jutrznią. Żywota Mikołaja srebrem pisanego. Nakład księgarni Św. Wojciecha w Poznaniu.

Tenże: Z pod młyńskich kamieni. Żywota Mikołaja srebrem pisanego, część druga. Tamże. — (Jest to powieść na tle zachodnio-beskidzkiem).

Jan G. H. Pawlikowski: Bajda o Niemrawcu. Z ilustracjami Skoczylasa. Wyd. Biblioteki Medycznej. Skład główny: Dom Książki Polskiej. (Jest to powieść na tle podhalańskim).

Rafał Malczewski: Narkotyki gór. Nowele. Nakł. Gebethner i Wolff. 1928. (Na tle turystyki tatrańskiej).

T. Gluziński: Przygoda. Wydawnictwo Polskie, Poznań, 1928. Nowele na tle turystyki tatrańskiej.

Mieczysław Opałek: Kosodrzewina. Poezje; z portretem autora. Lwów 1928. Skł. Gł. Księg. Ossolineum.

Kazimierz Andrzej Jaworski: Na granitowym maszcie. (Cykl wierszy tatrańskich). Warszawa, Skł. Gł. Dom Książki Polskiej, 1928.



Od Redakcji.

Wobec wznowienia wydawnictwa „Przeglądu Turystycznego“, jak i rozszerzenia i ustalenia wydawnictwa „Taternik“, działy reprezentowane przez te pisma (t. j. z jednej strony sprawozdania z działalności P. T. T., z drugiej wiadomości bieżące z dziedziny turystyki, a w szczególności turystyki wysokogórskiej), będą we „Wierchach“ ograniczone do tych granic, które mogą interesować także i szerszy ogół czytelników, nie spotykający się z tamtymi specjalnymi pismami. W przyszłym Roczniku nastąpi jeszcze dalsza redukcja sprawozdań.

Natomiast obok dotychczasowych działów i wprowadzonego w ostatnich latach działu recenzji i bibliografii, wprowadzamy obecnie jeszcze dział nowy p. t. „Z lat dawnych“, o którym dajemy informację na stronie 119.

Ponieważ usiłować będziemy wypuszczać „Wierchy“ z początkiem grudnia, przeto prosimy współpracowników naszych o nadsyłanie artykułów do 1 lipca, a wiadomości do Kroniki do 1 października. Artykuły zgłaszać należy jak najwcześniej, gdyż wobec uchwały Zarządu Głównego P. T. T. ograniczającej objętość „Wierchów“, zapóźno zgłoszone artykuły nie mogłyby być pomieszczone w najbliższym Roczniku.

Rękopisy i korespondencję redakcyjną przysyłać należy pod adresem:

Prof. dr. Jan Gwalbert Pawlikowski, Lwów, ul. 3-go maja 5; (od 1 lipca do 1 października): Zakopane (Bystre, Koziniec). W Krakowie zastępuje Redakcję prof. Walery Goetel, ul. Szlak 4.

W sprawach administracyjnych należy udawać się do Biura Zarządu Głównego P. T. T. w Krakowie, ul. Potockiego 4.

Roczniki „Wierchów“ I—IV są do nabycia dla nieczłonków w Księgarni Wydawniczej H. Altenberga, Lwów, ul. Piłsudskiego (dawniej Pańska) 16; Rocznik V. i VI. znajduje się na składzie w Księgarni Gebethnera i Wolffa w Krakowie. Członkowie P. T. T. nabywać mogą wszystkie Roczniki w Biurze P. T. T. w Krakowie (Potockiego 4) lub w Dworcu Tatrzańskim w Zakopanem po cenach niższych.

Cena dla nieczłonków: Rocznik I. zł. 5.—, II. zł. 7:50, — III. zł. 15.—, IV. zł. 5:70, — V. zł. 6:50 — VI. zł. 7.—; dla członków¹⁾: Rocznik I. zł. 4:50, II. zł. 5:25, — III. zł. 10:50, — IV. zł. 4.—, — V. zł. 4:50, — VI. zł. 5.—.

¹⁾ Przy zamówieniach pocztą dodać należy na przesyłkę 50 groszy.

